PALĄCA SPRAWA.

„Dawno wołacie, a nic niemasz“.
(Jeremiasz).

Celem niniejszej pracy jest zebranie materyału, wyjaśniającego przyszłemu historykowi sztuki naszej w ogólności, a sztuki kościelnej w szczególności, przyczyn upadku, w jakim sztuka ta dotychczas u nas się znajduje, oraz wykazanie, dlaczego piękne pomniki tej sztuki z epok minionych na szwank i zatratę narażone bywają. Idzie mi też o zaprojektowanie reform, jakieby stanowi obecnemu zaradzić potrafiły. Reformy takie, jak wszelkie zresztą u nas reformy, projektować mogę jedynie w celu pozostawienia śladu, iż reformatorowie istnieli. W pracy mojej reformy małą grają rolę; nacisk główny kładę na stan obecny i jego przyczyny.

Przyczyny te, jako malarz, znam dokładnie, ujawniam je z całą bezwzględnością; niech społeczeństwo wie, z czem i gdzie walczyć mu wypada.

Zastanówmy się teraz, w jaki sposób pozyskują się przedmioty sztuki kościelnej u nas.

Parafia otrzymała nowego pasterza. Jest on przedewszystkiem gorliwy o dobro świątyni, powierzonej jego pieczy; chcąc tę gorliwość okazać, przystępuje do odnawiania i restaurowania kościoła. Przyprowadza mury do porządku, tynkuje i maluje ściany, dach blaszany cynkowy jest szczytem jego marzeń. Następnie zajmuje się wyzłoceniem i restauracyą ołtarzy. Tu zazwyczaj styka się proboszcz ze specyalistą w pracach tego rodzaju, t. j. z pozłotnikiem. Któż to jest pozłotnik? Nie mamy w kraju szkoły snycerskiej ani pozłotniczej; tradycya przeto święcie przechowuje się wśród pozłotników naszych, a z nią bodaj więcej przywar, niż zalet, przechodzi z pokolenia w pokolenie. Nie mamy w kraju muzeum ani nawet większego (dostępnego) zbioru, w którymby publiczność smak swój nieco ukształcić mogła. Trudno wymagać od duchowieństwa naszego, by bez możności oglądania tego, co piękne, smak należycie kształcić sobie mogło. Tak tedy proboszcz styka się przy odnawianiu świątyni z pozłotnikiem, t. j. z człowiekiem mniej więcej tego samego poziomu estetycznego, który ma jednak pewną przewagę, bo jest majstrem, któremu liczne świadectwa nadają charakter autorytetu.

Taki autorytet, przywołany do kościoła potrafi zgodzić się, to jest podjąć się za pewną sumę odnowienia ołtarzy, potrafi „dodać gustu", zaprojektować takie lub inne zmiany lub przeróbki ołtarzy, a to tak, aby one przypominały lub przewyższały pięknością ołtarze świątyni sąsiedniej, które albo on sam, lub jego współzawodnik odnawiał. Pozłotnik, jako majster zgodny, potrafi uwzględnić wymagania i zachcenia proboszcza oraz parafian, potrafi nagiąć się łatwo do tych częstokroć dość dziwnych upodobań. Odgrywa on nawet rolę zbawcy honoru parafii, bo pieniędzy starczy na odzłocenie ołtarza; za to na odnowienie starego malowidła niema ani jednego rubla w ubogiej kasie parafialnej. Proboszcz zwierza się z kłopotem majstrowi, a ten po namyśle oświadcza, iż „na chwałę Bożą" może uda mu się znaleźć mistrza, który za bagatelę dzieło do stanu nowego (nie pierwotnego) przyprowadzi; i oto obraz, wysłany do Warszawy, po kilku tygodniach wraca, „jak nowy", ku uciesze wiernych, proboszcza oraz majstra pozłotniczego, który otrzymuje jak najlepsze świadectwo; bo przecież trudno odmówić człowiekowi, świadectwa który tyle oto uczynności okazał. W chwili, gdy roboty są już na ukończeniu, oko proboszcza pada na antepedyum stare, wyblakłe, w dziwne jakieś wzory: szpeci to piękną całość świątyni. Usłużny pozłotnik współczuje strapieniu duchownego, i oto we dwie niespełna godziny

antepedyum aż błyszczy się od farby olejnej: i to także nazywa się odnowieniem.

Majster pozłotniczy cieszy się nie tylko uznaniem proboszcza, ale i parafian; naturalnie, jest to zazwyczaj człowiek z ludu, nie strzelający poziomem swych zapatrywań wysoko po nad takie osoby, jak organista, sołtys i t. p.; ma on coś pokrewnego z temi osobami, tak wpływowemi w życiu wsi i parafii; nie dziw więc, iż siłą tej samej pozycyi towarzyskiej potrafi on wywierać wpływ na proboszcza przez najbliższe jego otoczenie. A posiadanie tego wpływu to nie drobnostka, boć ci, co dają lub uchwalają „składkę" na kościół, przedewszystkiem winni być z owoców swej ofiarności zadowoleni; ich więc smak, z małymi wyjątkami, jest czynnikiem niepoślednim w decydowaniu, jaką szatę świąteczną ma kościół przybrać. Wystawmy sobie, iż pozłotnik przez długoletnie obcowanie z chlebodawcami parafialnymi potrafił przyswoić sobie pewną „rutynę" w postępowaniu i że, jak mówią, „zna ludzi": wtedy wpływ jego nieskończenie potężnieje, urasta, ba! staje się niekiedy groźnym. Uzbrojony taką rutyną majster to powaga twarda, jak opoka, powaga, z którą walka niełatwa. Bo jak tu walczyć z człowiekiem, którego wszyscy rozumieją (w parafii), który przemawia argumentami, zupełnie przypadającymi do skali pojęć otoczenia, który zaspakaja te właśnie potrzeby estetyczne, jakie parafianom są właściwe, wrodzone? Wpływ takiego człowieka będzie decydujący i żadnej apelacyi nie dozwoli! Parafianie chcą mieć przybytek odnowiony, lśniący od złota, błyszczące, jaskrawe ołtarze, malowidła o krzyczących barwach: pozłotnik odczuł, zrozumiał, przejął się ich „smakiem" i za „tanie pieniądze" dał im to, czego chcieli, dorzuciwszy to lub owo na „chwałę Bożą". Jego ludzie umieją wszystko od lakierowania „na dąb" konfesyonałów, od „robienia marmurów" do złocenia ołtarzy „na glac", do „restaurowania" starych malowideł, malowania nowych obrazów i „fresków", gdy tego zajdzie potrzeba. Oto naprzykład w kaplicy wisiał obraz dziwny, niby to szafa, a nie szafa, miał drzwiczki, ale nie dochodziły, środka brakowało; kłopot z tem był niemały, bo robactwo drzewa się imało, i prochy podłogę zasypywały. Rada w radę — zdjęło się ten obraz i wyniosło na stryszek, a jeden z „ludzi" pozłotnika wymalował przepiękną Maryę Magdalenę wedle sztychu G. Dorégo. Albo np. portrety fundatorów, co z ram wypadały! Obcięło się to i dopasowało, a ten pan z Warszawy „powerniksował" je, — że wyglądają, jak „nowe".

Charakterystyka pozłotnika byłaby nie zupełną, gdybyśmy do niej nie dodali chociaż szkicu jego „człowieka z Warszawy". Na żadnem zapewne polu niema tylu ludzi wykolejonych, chybionych, jak na polu sztuki. Brak talentu, częściej brak środków doskonalenia się sprawiają, iż zastęp artystów tworzy się z egzystencyi zagadkowych, mglistych, z jakichś szumowin świata malarskiego; tam to majster pozłotniczy wybiera „swoich ludzi". Taki „człowiek" bywa zazwyczaj uniwersalnym; trudności ani skrupułów on nie ma, jego „talent" starczy na wszystko. Dla niego istnieje tylko jedna trudność, t. j. trudność dostania pieniędzy. Zresztą walka o byt, twarde warunki, w których żyje ten, co ma za całą broń tylko pędzel i farby, usprawiedliwiają poniekąd takiego „człowieka". Współczujemy mu nawet, gdy poznamy warunki, w jakich inni artyści, mniej zależni, zmuszeni są u nas pracować. Takiemu oto „człowiekowi" powierza się za sprawą pozłotnika „restaurowanie" (czytaj: przemalowywanie) starych, częstokroć wysokiej wartości obrazów: on też „tworzy" nowe dzieła w miarę potrzeby. Mniej więcej każdy z artystów ma swój rodzaj, który specyalnie uprawia. Jeden maluje konie, inny krajobrazy, jeszcze inny sceny jarmarczne, słowem rozmaitość wielka, stosownie do usposobienia lub temperamentu. Wielu z tych malarzy ma odpowiednie, a nawet niepospolite, wyrobienie techniczne, niezbędnie przystosowane do rodzaju, jakiemu się poświęca. Po za portretem i lekcyą każdy taki malarz, „aby żyć", poświęca się u nas „malarstwu religijnemu", o ile zamówienie się trafi. Że niełatwo nałamać się od obrazu rodzajowego lub koni z bryczką do „religijnego tematu" i „stylu", to chyba jasne, jednak dla chleba o takie nałamywanie się nie trudno. Sumienniejsi mają fotografie ze starych mistrzów lub nowożytnych specyalistów zagranicznych od malarstwa religijnego i z tych fotografii „na zimno" kompilują swe obrazy. Czasami sztych lub nawet drzeworyt są jedynem źródłem „natchnienia". Wykonanie techniczne bywa zazwyczaj poprawne, nawet dobre, ale czyż może być mowa o „wrażeniu", o „stylu", o „uczuciu", o zrozumieniu tego, co jest właściwie sztuką religijną? A jednak dosyć od czasu do czasu przejrzeć dzienniki, aby przekonać się, iż artyści, których z innej strony znamy i za co innego cenimy, „popełniają" obrazy religijne „dla chleba", ba nawet wiążą się w korporacyę, by tylko „robotę" w swe ręce uchwycić! Z dwojga złego lepiej, że taki artysta obraz wykona; nie będzie to przynajmniej karykatura, ale — jeżeli chodzi o zbliżenie się do ideału malarstwa religijne-

go—czy np. pejżażysta może uporać się z wyrazem umierającego Zbawiciela? Gdybyśmy spytali tych „lepszych” artystów, malujących obrazy religijne, czy czynią to z zamiłowania, odpowiedzieliby: „Nie, tylko — dla chleba! Tak! „Chleb” oto pcha ich na pole, tak całkiem im obce, a wymagające specyalnego, całkiem odrębnego, wykształcenia artystycznego i, powiedzmy śmiało, „duchowego”. Tu uśmiechną się może ironicznie rozliczni X i Y, ja jednak nie cofam tego wyrażenia: bez duchowego przygotowania, bez wżycia się w ducha tematu pożyteczna praca na polu malarstwa religijnego jest niemożebną. Otóż, jeżeli „inteligentny” artysta ma takie trudności do zwalczania, to cóż dopiero mówić o „człowieku” pozłotnika! Czasami odnawianie kościoła lub ołtarza (częściej) odbywa się „środkami domowymi”, to jest wieś ma majstra klepkę, co to wszystko zrobić potrafi. Miałem sam raz sposobność widzieć, jak taki uniwersalny człowiek przepiękne gotyckie „żabki” na pinaklach Długoszowskiego kościoła w Działoszycach odnawiał w taki sposób, że piłką wyrzynał w kamieniu to, co wedle jego zdania miało być do „żabki” podobne, — a na model (szablon) ubił młotem jedyną, jaka z dawnych „żabek” pozostała jeszcze w całości. Taki tedy uniwersalny „sprytny” majster posuwa nawet swą śmiałość do lakierowania bronzów, rzeźb i obrazów. Proboszcz, organista, nauczyciel wiejski i uniwersalny majster składają radę, i ich decyzye są nieodwołalne. Często nawet (co już nie do wiary) komitet taki zajmuje się „rozprzestrzenianiem” samej budowy (autentyczne!). Harmonia zdań takiego komitetu bywa, jak na kraj, o którym przysłowie mówi: „dwu Polaków, a trzy zdania”, iście zadziwiająca. Ile taki komitet wprowadza inowacyi, jakie sieje spustoszenia, jakie popełnia zbrodnie przeciw smakowi, mamże opisywać? Czyż nie dość popatrzeć na powleczoną białą olejną farbą piękną bronzową chrzcielnicę z czasów Łokietka w Rawie, nagnijące na strychach kościelnych wartościowe makaty, na palone z uchwały rady i dozoru kościelnego ornaty z herbami Zbigniewa Oleśnickiego, na śpiewniki iluminowane, pargaminowe, podkładanepod schodki dla księdza w czasie „wystawienia”? Mam że wyliczać te wszystkie zbrodnie, na jakie patrzeć musiałem? Ilu takich artystów wędruje po kraju, ilu mieszka w miastach i miasteczkach prowincyonalnych, niepodobna zliczyć. Niejednokrotnie przekonywałem się, iż każde miasteczko ma swego miejscowego Matejkę lub Siemiradzkiego, który, chociaż w mniemaniu swego otoczenia „nie taki wielki”, jak tamci, niemniej jednak szerokiej

zażywa wziętości i najczęściej „obstalunki” ku zadowolnieniu „stalującego” wykonywa.

O stosunkach prowincyonalnych, chociaż je znam, pisać nie będę. Wezmę pod uwagę przypadek, kiedy proboszcz jedzie po obraz do Warszawy. Jeżeli już z góry pozłotnik jaki nie opatrzył księdza w adres „swego człowieka”, to w wyborze artysty gra rolę częstokroć prosty przypadek: pogawędka w wagonie, tak zwane „przepytywanie się między znajomymi”, informacya posługacza hotelowego, najczęściej polecenie znajomego księdza lub sąsiada i t. p. Przypuśćmy, że proboszcz ma już adres „artysty”; wtedy zazwyczaj ma już i upatrzony „ideał”, t. j. ma w kieszeni obrazek tani, często groszowy, odbity gdzieś na Szląsku, jeden z tych, jakich tyle zalega kramy podkościelne; obrazek ten stanowi kryteryum wymogów proboszcza, bo i fundator się zgodził, i organista orzekł, że jest „piękny”, i samego proboszcza jakoś ta twarzyczka świętego bierze za serce. Mając tedy „ideał” w kieszeni, idzie proboszcz do artysty i, pokazawszy mu „ideał”, który ma być powiększony do rozmiarów kilkułokciowego malowidła, zaczyna targować się z „artystą”. Przypuśćmy, iż ofiara wynosi 100 rs! jakby to dobrze było utargować jakie 25 rs., bo oto przydałyby się jeszcze dzwonki mszalne, a tu grosza niema. Targi takie trwają dni kilka nieraz, nim „zgoda” nastanie. I trzeba przyznać, że ksiądz bywa niekiedy w przykrem położeniu: artysta od 100 rs. ustąpić nie chce, ksiądz wraca do hotelu, a tu już na schodach dostaje ofertę innego artysty, który gotów wykonać obstalunek za 80 rs., na stole zaś w hotelu leży list, w którym inny jeszcze artysta wymaga już tylko 50 rs.! Dla wiejskiego proboszcza, nieświadomego stosunków artystycznych, taka licytacya *in minus* bywa pokusą nieprzepartą. Wreszcie umowa zawarta, „zadatek” dany, termin wyznaczony. Jakoż przychodzi obraz „wytwornego pędzla” i budzi naiwny podziw parafian. Artysta odpowiedział wymaganiom, i dzieło jego tryumfalnie wstawiają w ołtarz, usuwając na strych (czyli niszcząc) obraz dawny, zczerniały, dzieło prawdziwej niekiedy wartości.

Przyglądając się sztuce naszej i jej p o p i e r a n i u, doszedłem do przekonania, iż po za lekcyami i portretem jedynie jeszcze obraz „kościelny” należy do „dających pieniądze” malarzowi utworów, mówię: „pieniądze”, a nie „dochody” bo dochodem tę powolną likwidacyę samego siebie nazwać trudno! Artysta, chociażby obdarzony talentem i posiadający wyrobienie techniczne, zmuszony zarabiać na chleb „towarem”, który odpowiadać i zaspakajać musi upodobania estetycznie niewykształconych odbiorców, który w dodatku

posiadać musi warunek nieodzowny „taniość, — taki artysta po kilku latach „praktyki" musi się obniżyć, musi stać się „dostawcą", a przestać być twórcą.

Samo zetknięcie się człowieka wyższych niekiedy aspiracyi z „obstalowywującymi", którzy częstokroć z najpoważniejszą miną na pytanie, w jakim stylu jest kościół, odpowiadają, że w „białym" (autentyczne); zetknięcie się z „ideałem", przyniesionym w notatniku, z odbiorcami, którzy mają pojęcie piękna, urobione na bohomazach częstochowskich, zachwiać musi nawet niepowszednią artystyczną duszę. Cóż dopiero, gdy do tego dołączą się „anonimy" zawistnych, ostrzeżenia konkurentów, półsłówka protektorów i inne intrygi? Zazwyczaj jednak „artysta od religijnego malarstwa" nie stoi tak wysoko, by potrzebował walczyć z sobą; rola jego jest bierna. Nabył on cnoty, które cenione są w kołach odbiorców, cnoty te stosuje odpowiednio, ogranicza się do w y t w a r z a n i a towaru. Umiejętność „brania" obstalowywującego, przemawiania do niego językiem zrozumiałym, ta harmonia dusz poziomych, oto uczciwy środek, mówię: uczciwy, bo ileż nieuczciwych trzeba wprowadzić w ruch, by pozyskać „robotę"! Majster pozłotniczy, pozbawiony u nas możności wyrobienia sobie smaku, tradycyjnie zna tylko jeden styl, i to zna go powierzchownie; bywa to zazwyczaj styl barokowy — barocco (inaczej nazwać to trudno). Majster roznosi styl ten wszędzie. Księża i ich owczarnie mają zawsze niezdarne produkty przed oczami; cóż więc dziwnego, że malarstwo nasze religijne tkwi w tym baroku po uszy?

Wspomniałem wyżej, że prawie każdy zakątek prowincyi ma swoich „cudownych" ludzi. Taki „cudowny człowiek" jest to zwykle samouk, umiejący wybornie robić to, na czem jego otoczenie całkiem się nie zna. Otóż malowanie, odnawianie obrazów, snycerstwo należą niestety do sztuk tego rodzaju u nas. Takiemu „samoukowi" chętnie powierzają księża pracę w swych kościołach, bo, czyniąc to, zyskują taniego odnowiciela i p o s ł u s z n e g o wykonawcę swych upodobań estetycznych, a zarazem spełniają o b y w a t e l s k i czyn, p o p i e r a j ą c t a l e n t.

Wielokrotnie przy zwiedzaniu kraju dochodziły mię wieści o takich geniuszach zaściankowych. Niekiedy „geniusz" dochodzi do takiej zarozumiałości, że wysłany do szkoły specyalnej śpiesznie ją porzuca, jako niezdolną nauczyć go czegoś po nad to, co s a m zdobył. W n-rze 232 z 23 sierpnia 1899 „Kuryera Warszawskiego" czytamy:

— Snycerz.

„Piszą do nas z Wilczyna w gub. płockiej:

„W okolicy naszej wzbudza podziw samorodny artysta, 17-letni syn młynarza, Józef Szulczyński. Jest to już dziś niepospolity snycerz, jakkolwiek nigdzie nie uczył się; jego uzdolnienie jest tylko owocem własnej pracy i chwilowej praktyki u wędrownego malarza przy fabryce kościelnej. Szulczyński rzeźbi ambony, ołtarze i maluje freski; obecnie wykonał wspaniałą chrzcielnicę do jednej ze świątyń pod Słupcą; ostatnia odnowa prastarego kościoła w Wilczynie dziełem jest jego ręki. Malował sufit i odświeżył obrazy. Roboty odbyły się pod kierunkiem proboszcza miejscowego, ks. Rokosowskiego."

Podobne wiadomości czytamy zazwyczaj obojętnie i puszczamy mimo uszu, bo, jako naród ubogi, zajęty walką o kawałek chleba, nie możemy pozwolić sobie na chwilkę zastanowienia nad całą okropnością podobnych wzmianek, które, o ile nie są „ironią", są dowodem braku rozwagi w naszych dziennikarzach: oni to, pomieszczając je bez komentarzy, upoważniają i zachęcają niejako księży do szukania właśnie takich „cudownych" odnowicieli, którzy bezczelnie i jakby na urągowisko przyznają, że „nigdy się nic nie uczyli" i że tylko „odbyli praktykę u wędrownego malarza", i to „tylko chwilową", a mimo to „malują freski", „odświeżają obrazy", i dochodzi do tego, że ich zowią „niepospolitymi snycerzami" i powierzają „odnowę prastarego kościoła w Wilczynie".

Przechodzę do sposobów zapobiegania złemu.

Pierwszym najradykalniejszym środkiem byłoby podniesienie estetycznego poziomu duchowieństwa. Napisać łatwo, ale wykonać!?... Jak wdrożyć smak estetyczny ludziom, wyszłym przeważnie z warstw, stojących co do pojęć estetycznych w epoce piastowskiej dopiero, kiedy to „bałwany" pogańskie już minęły, a to, co nastało, jeszcze zżyć się z ludnością nie mogło? Na to nie umiem odpowiedzieć inaczej, jak tylko... negatywnie: wdrożenie takie stać się musi w drodze surowego rozkazu arcybiskupa i współdziałających biskupów. Nie można! oto gorzkie słowo, które stać będzie odtąd na straży tego, co nieświadomi uszanować nie mogą. W następstwie takiego rozporządzenia każda umowa lub projekt nawet przedstawione będą decyzyi dziekana, ten zaś rozejrzy się w spisie i wykazie przedmiotów, jakie dane kościoły posiadają, a więc fresków, obrazów, nagrobków i t. d., i dopiero, upewniwszy się dokładnie, iż świątynia nic godnego i wartościowego nie posiada, zaak-

ceptuje układ z majstrem. Za wszelkie zaś niedokładności odpowiada dziekan własną kieską, to jest, o ile się da, na własny koszt musi szkodę, z jego niedopatrzenia wynikłą, naprawić lub do pierwotnego stanu przywrócić. Decyzyę w tych kwestyach wydawać będą biskupi na zasadzie zdań zawezwanych znawców, t. j. nie pieczeniarzy, lecz ludzi, znanych na polu nauki i sztuki. Środek to radykalny, co prawda, ale też i rana jest wielka! Prócz tego należy podnieść stopień wymagań estetycznych i historyczno-archeologicznych w seminaryach duchownych. Trzeba też w umysły alumnów wpoić zasadę: „tego, czego nie rozumiesz lub na czem się nie znasz, nie tykaj i poradź się dziekana lub biskupa". Ocalimy w ten sposób niejeden zabytek od zagłady. Na każdego proboszcza włożony być ma obowiązek dokładnego spisania przedmiotów kościelnych z podaniem dat lub czytelnych napisów oraz materyału i t. p., wedle szematów, jakie wypracują archeologowie, uproszeni przez biskupów. Szematy takie po wypełnieniu przesłane będą dziekanom i przez nich uzupełniane w razie wątpliwości lub niejasności. W duchowieństwo dalej wdrożone musi być zamiłowanie do dawnych zwyczajów i zabytków, i jedynie przy współdziałaniu tak usposobionych duchownych da się ocalić to, co jeszcze pozostało.

Na pociechę tych, co w moim projekcie dopatrywaliby się ucisku stanu duchownego, zapytam: — Kto w inny sposób, wobec całkowitej swobody proboszcza, wzbroni pozłotnikowi wyżej opisanych praktyk? Kto uchroni proboszcza od całej zgrai „samouków" wioskowych, popieranych i protegowanych przez jednostki, nieświadome rzeczy? Kto nie dopuści do kościoła niedouczonych rozbitków malarskich lub rzeźbiarskich, którzy gotowi za miły, a mały grosz „na chwałę Bożą" malować, polerować, lakierować i lepić, złocić wszystko, co tylko ten grosik zapewnić może? Kto zabroni wszelkiego rodzaju „przedsiębiorcom" knować intrygi w celu pozyskania „roboty"? Kto wreszcie potrafi przekonać księdza, że malarstwo religijne to sztuka poważna, że poświęcać się jej trzeba specyalnie na podstawie wieloletnich studyów, nie polegających na „ściąganiu" z rozmaitych sztychów i całkiem bezsensownego mieszaniu stylów, słowem popełnianiu tego wszystkiego, co nasi „malarze religijni" tak starannie osłaniają, wysyłając wprost z pracowni dzieła swe do odległych kościołów parafialnych?

A czyż potrzeba dowodzić, iż sztuka kościelna to znakomity środek pedagogiczny do uszlachetnienia smaku mas? Wzorowe

urządzenie świątyni działać będzie powoli, lecz stale; dla ludu środek to stokroć skuteczniejszy od galeryi i muzeów (te muszą się koncentrować po wielkich miastach). Wiele także zdziałać może estetycznie ukształcony proboszcz. On oświeci ubogich duchem, on sprostuje upodobanie w jaskrawości i przesadzie, on, nie zacierając charakteru ludu, wpłynie na to, by dobyć strony właśnie najcharakterystyczniejsze a piękne, on będzie je umiał zręcznie podnieść. Lud porzuci powoli dotychczasowe narzucane mu przez kramarzy ideały, porzuci posoką zbryzganych Jezusów o 48 żebrach, Św. Rochów z ranami, cieknącemi ropą i t. d. Może znajdzie się ktoś, kto obmyśli co lepszego,—tymczasem zabytki giną, kościoły świecą tandetą....

Nazwałem tę notatkę „Palącą sprawą": sądzę, że w tytule niema przesady. Sztuka kościelna w upadku, nieposzanowanie zabytków przeszłości i zbrodnie w tym kierunku w samej Warszawie na porządku dziennym — mamże stać wobec tego bezradnie? Wybaczcie, „dotknięci"! nie mogę i nie powinienem!

Maryan Wawrzeniecki.



PONAD SIŁY.*)

POWIEŚĆ.

— Pragnę wrócić do pokoju, odezwała się Marynia, usiąść, odpocząć, czuję znużenie, nogi podemną drżą. Dlaczego nalegałam na niego, żeby przyjął żądanie ojca?.

— Cicho, cicho, wszystko będzie twoje! — pocieszała ją Urszula — gdy zostaniesz jego żoną, sępy przerażenia i strachu od ciebie odlecą. Dziecino moja, przecież ja po matce twej ciebie najwięcej kocham na świecie! I, jeśli nie wierzę w szczęście, nie chcę go dla siebie, kpię sobie nawet z niego na tym świecie, to mam prawo żądać, aby tobie przynajmniej było tu dobrze, abyś mogła swobodnie spełniać zadanie życia, i dlatego żądam, abyś została natychmiast jego żoną!...

Wróciły do kancelaryi; posadziła ją w pleciony biegunowy fotel, otworzyła okna i swoim zwyczajem zaczęła chodzić po pokoju, założywszy ręce po za siebie. Marynia patrzała na ciemne lasy świerkowe, okrywające szczyty gór. Uczucia jej i stan duszy wcielały się w tę zadumaną ciemnię, otoczoną, jak tajemnica, niebieskawą mgłą....

---

*) Ob. „Ateneum“, luty, 1900

— Ciociu, krzyż już stoi! spytała raptownie.

— Siedziałam pod nim!..

— Chodźmy tam, co za widok musi być z pod stóp krzyża, zawołała nerwowo.

— Przepyszny — pójdziemy, lecz niech się raz coś stanie. Nie cierpię niepewności.....

— Ja nienawidzę!..

— Zaczekajmy.

Urszula zatrzymała się przed oknem.

— Wracają, oczekiwanie się skończy. Stary rozpromieniony rozkłada rękami, Tadeusz widocznie szczęśliwy...

Marynia zerwała się i z za ramion ciotki patrzała.

— Coś się stało niezwykłego, szepnęła.

Odeszła od okna, do pokoju wkroczyli, jak zwycięzcy, dyrektor z Tadeuszem. Uroczyste ich miny robiły przygniatające na Maryni wrażenie. Dyrektor rzucił z rozmachem kapelusz i, patrząc na Tadeusza, włożył ręce w kieszenie.

— Czy to ja koniecznie mam mówić? zapytał.

Tadeusz milczeniem poświadczył.

— O, to coś niezwykłego, dodała głośno ciotka.

Dyrektor zbliżył się do Maryni, ujął ją za rękę, pocałował i powiedział:

— Moćdzieju.

— Kiedy zaczyna od przysłowia, przerwała Urszula, to nie wie, co ma mówić.

— Wiem, tylko mnie proszę nie zbijać z tropu. Panno Maryo, ten młody człowiek, którego dziś poznałem, zasługuje na twoje przywiązanie i w nagrodę za swą pracę, naukę, skromność życia, powinien i musi otrzymać twoją rękę.

Marynia słuchała w milczeniu, utkwiwszy w dyrektora wzrok.

— Powinien, powtórzył dyrektor i musi, moćdzieju, ale jeszcze nie dziś?...

— A kiedyż — zawołała Urszula.

— Jeżeli dziś, to odmawiam kredytu — i basta. Ja tu teraz rozkazuję!...

— A to sobie odmawiaj! Mam przeczucie, że, jeżeli się dziś nie pobiorą — to nigdy! Edwardek nie śpi...

— Właśnie, że nie śpi, mógłby odebrać kopalnię i zaprzepaścić kredyt.

— To nie chcemy kredytu, obejdziemy się bez kredytu, szczęście dziecka mej siostry pierwsze przed kredytem.

— Pani nie masz tu głosu — mośdzieju!...

— A któż może mieć większy? Co im po kredycie, co im po kopalni bez uczuć! Wszędzie mogą pracować, tworzyć i dobrze robić...

— Najprzód posłuchajmy dzieci, przerwał dyrektor, niech oni mówią, pan Tadeusz ma głos!...

Marya niebieskie swe oczy przeniosła na Tadeusza i ściągnęła jego wzrok na siebie. Zbliżył się do niej, ujął ją za rękę i, zatrzymując w swej dłoni, mówił:

— Panna Marya powiedziała mi, że, gdy ją wezwę, przyjdzie. Wezwałem — dotrzymała przyrzeczenia. Cześć jej za to, niewiele dziewic świata miałoby hart i siłę woli uczynić to.

— A więc, rzekła spokojnie ciotka, kiedy przyszła, niech zostanie.

— Udało mi się, mówił wzruszony Tadeusz, na początku mego zawodu odnaleźć wielkie pokłady nafty...

— Oddałeś połowę teściowi, oddaj i resztę...

— Właśnie, że nie, zawołał dyrektor! Oddaj szlachcicowi galicyjskiemu tak wielki interes, on wezwie do pomocy Żydów, Żydzi zwołają Niemców, i sprawa skończona! Jeśli pan Tadeusz odnalazł bogactwo, niech je trzyma i rozwija. Wiemy, kto on, i czego chce. Bogactwo, które odnalazł, będzie w jego rękach bogactwem narodowem. Od tej idei nikt go nie odwiedzie i nic,—żadna miłość, choćby tak wielka, jaką ma do tej, która stoi przed nami...

— Rozgrzeszam go i odchodzę, rzekła ze spokojem i głębią w głosie Marynia.

— Hola, nie tak, mośdzieju! Odchodzisz pani dziś, żeby wrócić jutro, za miesiąc, za rok, gdy potęga Tadeusza urośnie dotyla, że będzie się mógł mierzyć z przyszłym teściem, co może już wkrótce nastąpi.

Odetchnął ciężko.

— Nie przyszedłem tu do pioruna rozrywać, lecz łączyć.—Nie przyszedłem psuć, lecz budować, tworzyć. Los się wam uśmiecha, a wy od niego uciekacie!... Posiadanie to jeszcze nie miłość. Miłość to ofiara. W biednym naszym kraju tylko ofiarami idziemy naprzód. I ja z mej strony robię ofiarę, a nawet hazard, nadużycie służbowe, przestępstwo, wykroczenie przeciw regulaminowi, a mimo to nie waham się. Zobaczyłem, co jest, wierzę, co będzie — i idę. Tak! — idę, bo muszę.

Krew buchnęła mu do twarzy, oczy strzeliły ogniem, głos ze wzruszenia wiązł mu w gardle, dalej mówił cicho:

— Stoję na czele instytucyi, która uwięziła prawie wszystkie oszczędności wschodniej Galicyi. Mam gotówki w kasie trzydzieści milionów. Słyszycie, trzydzieści!.. Bieda w kraju, ospałość, zastój, lenistwo, ludziska idą jedni za drugimi utartemi ścieżkami, bieda, że siekierą nie utniesz. A gdy który wyskoczy z utartej ścieżki i zawoła: Patrzcie, pracuję, jeżeli dobrze, pomóżcie mi!—w tej chwili słychać trzask zamków kas wszystkich banków. Dyrektorzy porozumiewają się wzrokiem, jakimś dziwnym węchem, i zabijają przedsiębiorstwo najpewniejsze. Biedak sam opuszczony, bez kredytu, mimo wysiłków pracy bankrutuje i wraca do szeregu na ścieżkę przymierać głodem, jako oficyał lub auskultant... Ci, którzy dziś rządzą, nie lubią samodzielności, ci, którzy dziś rządzą, znoszą tylko w kraju wielką własność i ciemnego chłopa, jako potulnego robotnika.

Otarł czoło chustką, odetchnął i znowu mówił:

— Jak gdyby z pod ziemi, prawie cudem wyskakuje dziś przemysł naftowy we wschodniej Galicyi—i mnie, gospodarza trzydziestu milionów krajowych, ruszyło sumienie. Przyjechałem, zobaczyłem, zrozumiałem młodzieńca — wskazał na Tadeusza, pokochałem go i powiedziałem mu: otwieram ci milion kredytu, bo wart jesteś tego i będziesz miał z czego oddać. Popełniam chwilowo przestępstwo przeciw regulaminowi, lecz wobec tego, że trzeba raz przecie coś robić w kraju, kpię sobie z regulaminów — aby tylko ludzi przebudzić... Dla rozwoju takiej idei wolno i zbrodnię popełnić! Nie waham się, idę do celu śmiało, lecz na mej drodze staje panna Urszula i woła: — wszystko rzucić, wszystko zepsuć, wszystko poszarpać, byleby był romans, byleby było wykradzenie, a ja w imię mego kochanka Rousseau'a mogłabym tryumfować i zemścić się na mężu mej siostry...

— Cicho, krzyknęła Urszula, nie gryź mnie swem szyderstwem, a miej wzgląd na to dziewczę.

—Marynia oprzytomniała podczas mowy dyrektora i nabrała siły.

— Zrozumiałam, rzekła cicho, lecz stanowczo, w biednym tym kraju mogił niema nic, prócz ofiar... Ofiara staje się treścią życia i zwykłym pokarmem, ofiara chlebem powszednim. W imię nie odchodzę dziś i czekać będę — wezwana znowu przyjdę. Na pamięć mej matki przyrzekam, że zawołana wrócę.

— Oto co jest być naszem polskiem dziewczęciem!... Oddaje wszystko, młodość swą i tęsknotę, dumę i siebie. Dyrektor ściskał rękę Maryni wzruszony; Tadeuszowi świeciły oczy łzami, dusił wzruszenie całą siłą swej woli.

— Przysięgam ci, rzekł zdławionym głosem, być podobnym do ciebie, być godnym ciebie, być takim, jaką ciebie tworzą moje marzenia.

— Łatwo ci to przyjdzie, rzekła sucho Urszula, bo nie wiem, co więcej kochasz, marzenia swe, czy Marynię? Komedya skończona, przyznacie, że oryginalna... Młoda, piękna, bogata, wysoko szlachetna dziewczyna przyjeżdża do Adonisa, a Adonis wraz ze starym satyrem mówią jej: wracaj do domu. I ona im odpowiada: idę, lecz tam za górką będę czekała, gdy zawołacie — przyjdę znowu.

Dziewczę wysilało się, aby opanować wzruszenie.

— Jakiem prawem, mówiła dalej stara panna, Edward mógłby wypędzić z kopalni Tadeusza!?

— Takiem, podchwycił dyrektor, że zabroniłby mu dalej kopać! I do tego ma prawo.

— Głupie prawa!.. krzyknęła.

— I my z niemi, dokończył dyrektor, lecz cóż robić, kiedy takie są, a Tadeusz fatalnie zrobił, że się przed niemi nie zabezpieczył.

Tadeusz mówił cicho, lecz serdecznie.

— Zanim poznałem pannę Maryę — — —

— Przysięgłeś przemysłowi wierność, przerwała Urszula. Wiem, że nie dam wam obu rady: stary jest uparty, jak kozioł, młody ambitny, jak Cezar. Ale pamiętajcie, że za tchórzostwo wasze będziecie ukarani! Spadnie na was kara. Bo za co ma cierpieć to dziecko?... Przysięgłam jej matce i pięknie przysięgi dochowuję!?! Ja ją z Tadeuszem poznałam, — ja, wszystko ja!.. Teraz dopiero rozumiem, jakie brzemię nieszczęść zwalę na głowę tego dziecka!..

Zrobiła się cisza, trzy pary oczu spoczęło na ciotce.

— Niemem spojrzeniem pytacie, jakie? Czekajcie, powiem wam.

— Fantazye — szepnął dyrektor.

— Cicho! tupnęła nogą, założyła za siebie ręce i, zmarszczywszy czoło, głosem cichym, lecz silnym, zaczęła:

— Jeżeli ten młody człowiek nie umiał poświęcić paruset beczek ropy dziennie najrozkoszniejszemu uczuciu na świecie, miłości nieskazitelnego dziewczęcia, to ambicya jego jest tak wielka...

— A może i miłość do kraju...

— Może go kochać bez Swobody i musi go kochać, bo inaczej Marynia pogardziłaby nim. Ale on nie ustąpi ze Swobody, bo na niej buduje swoją wielkość, swoje nadzieje, swoje szalone ambicye i nadzwyczajne projekta, które chce prowadzić za zdobyte miliony... Wielkie dzieła roztrąbią imię jego! I będzie sławny, znany, kocha-

ny, potężny, uznany, będzie — nasz!.. Co mu po serdecznem dziewczęciu, przy którem mógłby tylko szlachetnieć i zapominać o sobie! Ambicya rośnie z żarłocznością. Stary daje mu kredytu milion, obydwa będą hulać, nurzając się w wielkich dziełach. Ludzie będą te czyny podziwiać, mówiąc: Oto czyny młodego wynalazcy i starego dyrektora!.. Jeden bez drugiego nic nie znaczą, obydwa są wielcy! Dziewczyna stała na zawadzie, ale, chwała Bogu, odeszła z dumą na czole, z przebaczeniem na ustach, z niezagojoną raną w sercu... Najłatwiejsza sprawa z dziewczynami, wychowanemi przez Słowackiego. Są dumne, pełne szlachetnej rezygnacyi, po za którą kryje się... po....

— Ciociu, przestań, przerwała nerwowo Marynia, kocham go i przez miłość moją widzę go czystym, nieskazitelnym, dobrym, zdolnym do ofiar... Pozostanie jego w Swobodzie musi być koniecznością i ofiarą. Spełnia ją z tą samą miłością, z jakąby mnie zaślubił. W tej chwili nie oddam mu za żadne skarby mej ręki, i już nic nie zmieni mego postanowienia!... Kocham go, ofiarę uważam za objaw jego miłości do mnie, niech się spełni. Odjeżdżam, kochać go nie przestanę i czekać będę, póki mnie nie wezwie.

Zbliżyła się do Tadeusza.

— Wiem, że pan żywi dla mnie uczucie szczere i niezachwiane, lecz również kochasz swoje ideały. Nie chcę ich sobą zasłaniać, a raczej chcę być ich wyrazem. Oto moje ostatnie słowo.

Doprowadziła Tadeusza do okna, szepcząc:

— Czyż w oddaleniu nie będziemy należeć do siebie, nie będziemy się wspierać i żyć jedno dla drugiego? Myśli moje o tobie, pragnienia moje tobie oddaję, a z niemi i nadzieje. Cały duchowy świat mój bierzesz z sobą!.. O ile go będę snuć, tobie będę oddawać, a żyć twą pracą, twoją energią... Bądź wielki tylko przez miłość. My, kobiety, kochamy wielkość, lecz nieskazitelną i niezachwianą, — wielkość, płynącą z miłości do nas!...

Kończyła szeptem.

— Pragnę w tej chwili szerokiego widnokręgu, powietrza, pragnę być sam na sam z tobą — chodźmy pod krzyż. Czuję, że tam myśli nasze ukołyszą się do harmonii, którą chcę zabrać z sobą, jako siłę przyszłych mych dni....

Tadeusz podał jej ramię — wyszli...

Urszula i dyrektor spojrzeli sobie w oczy.

— Młodzi najlepiej się zrozumieją. Interwencya nasza zawsze tylko szkodzi... My ich kłócimy, oni się pocałunkami godzą.

— I zawsze nas za sobą wodzą! Oto i wiersz na twoją racyę, chodźmy za nimi. Powiedz naprawdę krótko, co tu znalazłeś?...

— Skarby! Po uczynionych próbach musimy wierzyć, że cała okolica podminowana ropą. Miejsce to powinno być punktem wyjścia do odrodzenia naszego przemysłu...

— I wierzysz w to?...

— Ba, gdybym wątpił, nie otwierałbym milionowego kredytu, nie rozdzielałbym tej pary.

— Patrz pani, zobaczyli nas i uciekają, aby się skryć w świerkach i całować.

Spojrzał słodko na Urszulę.

— Możebyśmy poszli za ich przykładem?...

— Ej, stary, nie dajesz spokoju nawet czterdziestoośmioletniej kobiecie?!

— Już się skryli, rzekł smutno z żalem i cieniem zazdrości dyrektor.

— Gdyby w dziewczynie grała krew, zostałaby, i jakaż siła zniewoliłaby ją do odejścia?

— Niezawodnie ciepła krew jednej dziewczyny zaprzepaściłaby przemysł nasz na dziesiątki lat!

— Chwała Bogu, że jest taką, jaką jest.

— A przed chwilą byłaś zła i wymyślałaś nam pani.

— Myślę o próżności i dumie Tadeusza.

— Ależ ja go do tego postanowienia prawie siłą i groźbą zmusiłem.

Stanęli przed przecięciem, prowadzącem do krzyża.

— Wyjrzę i podglądnę — szepnął dyrektor.

— Czekaj, ja to zrobię.

— Co za ciekawość!

— Nie — z ciekawości, bo gdy oczy ciotki cośkolwiek dostrzegą, to jej usta będą milczeć.

Wysunęła się i, odpychając gałęzie, patrzała.

— Chodź, chodź, patrz, to córka swej matki, którą znałeś i musiałeś czcić.

Dyrektor się przysunął.

Pod krzyżem siedziała Marynia, przed nią na mchu klęczał Tadeusz, trzymając jej rękę w swych dłoniach:

— Dużobym dała, żebym mogła usłyszeć, co mówią, szepnęła do dyrektora.

— Bardzo łatwo, obejdźmy i stańmy za ich plecami. Zajęci sobą nie usłyszą.

Dyrektor podał rękę Urszuli. Szli cicho po miękkiem posłaniu ze świerkowych igieł. Usłyszeli głosy i, zapierając oddech, stanęli.

Dziewczę mówiło:

— Z oddalenia więcej cię jeszcze będę kochać... Myśli moje, jak ciekawe jaskółki, będą do ciebie lecieć i zaglądać ci w oczy. Listy, spowiedź serca mego, często wlatywać będą do twego domu i mówić ci o mnie... Musisz tęsknić za mną!...

— Tęsknić, odparł Tadeusz, to kochać, wierzyć, czuć — uczucia rozszerzać i wzmacniać... Mnie się nieraz zdaje, że tęsknota to życie. Nie pojmuję, jak mógłbym żyć bez tęsknoty za tobą — i nie wiem, coby się działo ze mną, gdybym cię ciągle miał przy sobie...

— Głupiec, szepnęła Urszula. Dzisiejszych młodych nie rozumiem...

— To może i dobrze, że się rozstajemy, mówiła Marynia, bo, jeżeli tęsknota życiem, to będziemy dalej żyć na falach tęsknoty...

Dyrektor wzruszył litościwie głową.

— Jedno mnie tylko straszy, dodała, to milion kredytu. Kiedy ty sumę tę oddasz? Wieluż to potrzeba wysileń, pracy i czasu. Lecz i temu dasz radę! Tęsknota mimo jej rozkoszy wprowadza mnie w zadumę, tworzy smutek i kładzie go na mem czole, wygląda bojaźnią oczu, obejmuje duszę, ssie ją i pije z niej, aż wypije do dna, do ostatniego tchnienia....

Urszuli zaświeciły łzy w oczach, o mało co nie wybuchnęła płaczem, lecz wstyd podsłuchiwania zatrzymał ją. Cicho odeszła, za nią dyrektor.

— Widzisz to „ona" i ma obok siebie takiego, jak jest sama...

— W ich wieku byłem innym, odrzekł dyrektor.

— Domyślam się - tyś inny i dziś...

Dyrektor się cicho zaśmiał, Urszula stanęła przed nim.

— Wiesz, od czego najwięcej serce się moje ścisnęło?

— Wiem.

— Mów, słucham.

— Od strachu Maryni przed milionową pożyczką.

— Zgadłeś — i cóż ty na to?

— Ja na to, że najtrudniej oddać tysiąc, gdy niema z czego. Łatwiej już sto tysięcy, a najłatwiej milion, bo milion daje się na pewno. Milion miliony rodzi.

— Ale wiele to lat na oddanie potrzeba, a młodość ucieka?

— Pożyczka tysiąca, oddawana ratami kwartalnemi, po dziesięć guldenów, umarza się w dwadzieścia pięć lat. Milion, spłacany kwar-

talnie po sto tysięcy w dziesięciu kwartałach. Tadeusz milion zapłaci w rok, byle więcej nie pożyczał....

— Od ciebie zależy nie dawać.

— Odemnie? Mój Boże, co od człowieka zależy? Robi to, co musi! Pierwsza pani z kobiet, przed którą się rozgaduję o finansach. Wzbudzasz zaufanie, wiarę, żyjesz nie dla siebie i mimo pięćdziesięciu lat....

— Czterdzieści osiem, ale nie kończ, bo odejdę. Szanuj we mnie przyjaciółkę i nie żartuj sobie.

— Szanuję, kocham i milczę. A teraz wejdę na ścieżkę i zawołam zakochanych, czas wracać.

— Pozwól im się wygadać. Bóg wie, kiedy się zobaczą i będą mogli być sami...

— A tymczasem spóźnię się, i jutro kasa bezemnie, jak nienakręcony zegar, stanie. Zwrócił się na przeciętą linię i zawołał:

— Ostatnie słowa „kocham", „będę twoją na wieki", „bądź zdrowa", bądź zdrów"... i chodźcie dzieci do nas. Ja już skończyłem. Powiedziałem pannie Urszuli wszystko, co miałem do powiedzenia — kończcie i wy.... czekamy, wracajcie!...

Dziewczę się zerwało, oparło plecami o krzyż i, jakby zbudzone ze snu, spoglądało zdziwione. Wzrok jej biegł przez wylot ciemnych ścian świerkowych na zielone błonia i wieże kopalń. Z ciszy milczenia, rozpościerającej się dokoła krzyża, dochodziła ich wrzawa pracy ludzkiej i jęk świdrów, rozsadzających ziemię.

Pociągnęła go ku sobie, oparła rękę na jego ramieniu i długo patrzała mu w oczy. On również milczał, bał się wymówić słowa, aby nie spłoszyć widzenia, nie spłoszyć myśli, które odczuwał w głębiach jej oczu...

— Przysięgam, wyszeptała uroczyście, że na każde twe wezwanie przyjdę i stanę obok ciebie. Przysięgam, że sama bez wezwania, gdy będziesz nieszczęśliwy, przyjdę i nigdy cię nie opuszczę .. Tak mi, Boże, dopomóż.

Odetchnęła głęboko i mówiła dalej cicho, lecz silnie.

— Na świadectwo prawdy, mężu mój, pocałuj usta, które wypowiedziały przysięgę, pocałuj oczy, patrzące tylko na ciebie, pocałuj czoło na znak, że myśli moje tobie są oddane.

Pocałował usta, oczy i czoło, jak sakrament.

— Przysięgą tą zawieramy przymierze, i żadna moc nie jest w stanie zniszczyć go. Nie mogę być w tej chwili twoją towarzyszką, to zostanę żoną twego ducha, twych myśli, czynów i prze-

czuć... Nie zdradzisz mnie i nie opuścisz dla żadnej innej nigdy! — wierzę.

— Jesteś pierwszą, którą ukochałem, i z miłością mą do ciebie przejdę przez życie, jako rozkosz, jako dobro i jako jego siła. Odbierz mi miłość twą, w co się obrócę, czem będę? Skorupą, dzwonem bez serca, skrzypcami bez strun, oczyma bez źrenic, nafciarzem bez szerokich celów. Bez twojej miłości świat zmienia mi się w pustkę.

— A więc jedynam dla ciebie!... Twoja miłość jest szczera, a żeś ją poświęcił sprawie, twoja miłość dla sprawy jest wielka Zatrzymała się, dodając cicho i wolno, — jak wielką jest uczciwa ambicya twoja.

— Wszystko razem tworzy mnie, daje moje ja, odrębną całość. Nie jestem bez ambicyi, bo pragnę wielkie dzieła zostawić po sobie...

Raptownie u wylotu wózek się ukazał i stanął.

Marya przyłożyła dłoń do ust Tadeusza, ujęła go pod ramię, zbiegli razem, wsiedli na wózek.

— Gdy tylko ci tęskno będzie — pisz!...

— A gdy wesoło? zapytał:

— Wesołość zabiera czas.

— A ty, dziecino moja, — kiedy będziesz pisać?

— Zawsze. Jam twoja, więc smutki i radości me twoimi — musisz je brać.

— Wielki przemysłowcze, za dużo czasu poświęcasz sercu, wołał z okna kancelaryi dyrektor. Dobrze, że twój zastępca wygotował mi rozkazy, dokąd powysyłać pieniądze.

Tadeusz zeskoczył z wózka, zsadził Marynię, oboje wbiegli do pokoju.

— Cóż ci tak oczy błyszczą, zwróciła się Urszula do Tadeusza, czy z radości, że się pozbywasz dziewczyny?...

— Z radości, że mam taką, jaką jest, odrzekł — i z radości, że nas nic nie rozdzieli.

— O tak, ty się ożenisz z gospodynią, Marynia pójdzie za przeciętnego lwowiaka z wyższych sfer, za to duchy wasze będą się co dzień przy jutrzence całować i grać w ciuciubabkę, bo tęsknota jest rozkoszą poetycznych dusz...

— Przestań nam, droga pani, lać na karki zimną wodę, przerwał dyrektor. Dzieci pani na ołtarzu obowiązku spaliły swe egoizmy, są czyści, jak kryształ, szlachetni i dobrzy. Chwila ta zwycięstwa ich nad sobą sprawia im radość, głęboko odczutą, dlatego oczy im świecą, są w połowie wniebowzięci, uśmiechają się rozkosznie. To

są w życiu rzadkie błyski zwycięstwa ludzkiego pierwiastku, zwycięstwa rzetelnej, natchnionej z lepszego świata miłości. Tylko charaktery Anglików i Angielek mogłyby się na coś podobnego zdobyć, nie z idealizmu, lecz z energii i wytrwałości, które nimi rządzą. Pani, co nigdy nie kochałaś!..

— Nie wiesz tego i cicho bądź, szanuj i moje wspomnienia! A jeśli się gniewam, to dlatego, że się w Tadziu boję ambicyi, która go zje, jak rdza żelazo, a w Maryni jej braku hartu postawienia na swojem — i jeszcze dlatego, że mam smutne przeczucia. W naszem społeczeństwie bratnie dusze często się spotykają, a nigdy nie łączą. „Przeciętni" żenią się z bohaterkami, a bohaterowie z indyczkami. Tu, u tych dzieci, dostrzegam braterstwo, i żal mi ich. Odwróciła się, ocierając oczy chustką.

— Cioteczko, nie lękaj się, wytrwamy, — zawołała Marynia.

— Albo, albo, moja pani, dodał dyrektor. Albo się jest bohaterem, albo przeciętnym filistrem, — jedno, albo drugie. Bohaterstwo zwycięża siebie, a filisterstwo jest zwyciężane w sypialnym pokoju.

Tadeusz szeptał ciotce jakieś zaklęcia, dopóki oblicza jej nie rozpogodził. Ujęła ich ręce, złączyła je, pocałowała im czoła i pobłogosławiła. Dyrektor z Feliksem rozmawiał i odebrane papiery składał i chował....

— Baczność, zawołał — ci, którzy nie będą za pół minuty w powozie, zostaną.

Urszula znała nieodwołalność komendy, rzuciła na siebie szal, wdziała kapelusz, podała ręce młodym ludziom. Za nią wybiegła Marynia i, kryjąc wzruszenie, odbierające jej mowę, wskoczyła na kozioł, ujęła lejce, spojrzała zaszklonemi od łez oczyma na Tadeusza...

— Marsz! Komenderował dyrektor.

Konie, drżąc z niecierpliwości, ruszyły wyciągniętym kłusem. Urszula powiewała chustką, Marynia raz tylko rzuciła w stronę Tadeusza spojrzenie.

— Zwycięstwo! rzekł dyrektor, dzisiejszy dzień dobrze się zapisze na kartach mego życia! Może to trzeci, — pierwszy był na Węgrzech pod Budą, miałem wtedy lat dwadzieścia cztery. Trzeba było widzieć, lecieliśmy, jak wyciągnięta struna, a działa austryackie grały wesoło, — aż radość.

— A drugi? spytała Urszula.

— O drugim powiem pani kiedyś... Dziś trzeci, narodziny przemysłu we wschodniej Galicyi. Stanowisko moje, jako dyrektora, pierwszy raz się zaznacza potężnie i doniośle.

— A jak milion ten przepadnie?

— Pod Budą nie zadawałem sobie pytania. Co będzie, gdy kula armatnia łeb mi rozwali?... Szedłem naprzód, bo musiałem i chciałem! I dziś znowu idę naprzód, nie patrząc na świstające kule — idę, bo muszę i chcę! Stracę, to znaczy, że kula urwie łeb! Zwyciężę, to znaczy, że stworzę przemysł. Jeżelibyśmy w wielkich chwilach życia zadawali sobie podobne pytania — zawsze stchórzymy! Co Anglików wpakowało na czoło przemysłu europejskiego? — odwaga! Bankructwa leciały, jak kule armatnie, — oni naprzód!...

— Wiesz, stary, szepnęła Urszula — więcej cię jeszcze cenię i szanuję. Patrz — spojrzała na Marynię.

— Dzielne dzieci, powiedział cicho, oddali więcej, niż miliony, bo siebie samych, — a może i życie. Dziewczyna ani drgnie, powozi, jak z nut, jak gdyby była wychowana w Anglii.

— Daj pokój z tą Anglią! I u nas są ludzie, choćby ja i ty, Marynia i Tadeusz!..

Po odjeździe kobiet i dyrektora dwóch młodych ludzi stanęło naprzeciw siebie!

— Gdyby nie szlachcic, co nam zabiera połowę dochodu, rzekł Feliks, kredyt byłby dobrodziejstwem.

— Zawsze jest dobrodziejstwem, przecie pieniędzy tych nie roztrwonimy.

— Panna Marynia z wyrzutów sumienia, że cię, namówiła, na zgodę kontraktu z ojcem, przyjechała tu i chciała cię biedaczka ratować, gdy fatalizm sprowadził starego dyrektora.

— Raczej uśmiech losu.

— Powtarzam, mój drogi, że fatalizm. Gdyby przyjechała sama, zostałaby, i stosunki z ojcem musiałyby się ułożyć. Onby prowadził nasze interesa, czwanio, jak go nazywa Urszula, ma do tego talent. Dopiero niechby wtedy przyjechał dyrektor, pomyśl tylko, coby było.

— Wtenczas dyrektor nie miałby po co przyjeżdzać. Teść uniesiony gniewem — —

— Nie mógłby cię wygnać z kopalni bez sądowego wyroku Mazury, a teraz i Rusini oddani ci ciałem i duszą. Ojciecby się sier-

dził, a ty budowałbyś rurociągi i żelazny zbiornik na sto wagonów ropy.

— Marzysz, — dyrektor nie mógłby wspierać kredytem kopalni, będącej w procesie.

— A teraz może, gdy wie, że połowa kopalni nie twoja?! Robi, bo uważa to za swą służbę, za obowiązek. Żołnierze są arbitralni, a ten z pod Budy, oprócz swego sumienia, nikogo się nie boi i nikogo nie uznaje.

— Uznaje komendę!

— Jaką, kiedy on sam jest komendantem!..

— A więc, chwała Bogu! Dobrze się wszystko układa... I znowu dziewczę otworzyło mi skarby swego serca i skarby tajników swej duszy...

— Gdybym ja był na jej miejscu, rzekł z utajonym gniewem Feliks....

— Cobyś zrobił?...

— Oddalony nie wróciłbym nigdy.

— Za to właśnie Marynia budzi we mnie cześć, że chce wrócić.

— No, no — „*on ne badine pas avec l'amour*"...

— Pleciesz! Któż tu żartuje? Widocznie za stary jesteś, aby odczuć w tem siłę i potęgę.

— Siła ta i potęga, kochanku, odrzekł z uśmiechem Feliks, to nasza stara ambicya — i ona postawiła pytanie, narzeczona albo kopalnia?

— Nie rozumiesz nas obojga, zawołał Tadeusz.

— Kochany Tadziu, ambicya siedzi tak głęboko w sercach lub mózgach ukryta, że nam samym trudno się tego domyślić. Najczęściej pokazuje się w odbiciu naszych zamiarów i czynów.

ROZDZIAŁ XI.

Pan Edward w wybornym humorze wracał z Wiednia. Interesy załatwił dobrze, a przyjaciele powiedzieli mu, że, ponieważ fortuna mu się uśmiecha, musi zasiąść w kole polskiem, jako przedstawiciel przemysłu narodowego, odpocząć sobie i zabawić się. Miasteczko, jak nazywał Wiedeń, lubił namiętnie i czuł się w niem, jak u siebie w domu. Był tam szanowany, tytułowany grafem polskim, o co się nie gniewał. Tonem protekcyi i pańskiej poufałości traktował wszystkich. Damy z półświatka strzelały za nim oczyma, co go wbijało w dumę na rachunek swej piękności i zamożności...

O godzinie dziewiątej minut dwadzieścia zajechał we Lwowie przed własny dom. W mieszkaniu było ciemno, niespokojny zadwonił gwałtownie.

Wystraszona służba otworzyła.

— Dlaczego ciemno?

— Niema nikogo. Panienka wyjechała z panną Urszulą.

— Dokąd? krzyknął.

— Nie wiem, jaśnie panie — wyjechała o 7-mej rano.

— Właśnie na pociąg do Kołomyi — pomyślał — i poszedł wprost ze świecą w ręku do pokoju córki.

Spojrzał na biurko, szukając listów. Prócz książek i papieru do pisania nic nie znalazł. Próbował otworzyć szufladę — zamknięta. Szafa wyładowana sukniami.

— Gdyby uciekła, zabrałaby portret matki i pamiątki po niej. Wszystko na swojem miejscu! Majaczy ci się, głupcze, a wystraszona fantazya tworzy nieprawdopodobieństwa.

Stanął na środku pokoju, nowa myśl błysnęła mu w mózgu.

— Czy z Urszulą nie pojechała do Swobody?

Nie, żeby uciekać, lecz tam być, choćby z parę godzin. Możliwe na nie obie. Wyszedł szybko z pokoju, kazał sprowadzić powóz, pojechał na pocztę i zatelegrafował do swego szpiega w Kołomyi — zapowiadając telegrafiście, że po odpowiedź sam za godzinę przyjedzie.

Godzinę przesiedział w klubie, grał trochę, wygrał trzy stówki, które mu opłaciły sowicie koszta podróży i wprowadziły go w dobry humor.

Odpowiedź z Kołomyi brzmiała:

„Córka pańska, dyrektor kasy i jakaś okazała dama przejeżdżali w południe do Swobody, wieczorem wracali".

— Dyrektor — przyjaciel Urszuli, Tadeusz, jako Anglik, wziął starego Anglika na angielski język, olśnił go fantazyą i wymową, sypiąc milionami, jak z rękawa. Marynia czarowała starego, Urszula deklamowała o wielkich obowiązkach i ideach!.. Stary kasę otworzy, złoto popłynie — rurociągi, rezerwoary, może kolej żelazna!.. Koncesyę mam w kieszeni i odstąpię ją za sto tysięcy gotówką.....

Wracał do siebie.

— Piękność, młodość, miłość, fantazya, wymowa, angielszczyzna, deklamacye starej panny, wszystko mi razem służy, jakby zawarły ze mną przymierze! O ileż moje dochody urosną, jeżeli dyrektor pożyczy choćby parę kroć sto tysięcy, a długi te nic mnie nie będą obchodzić — nic, a nic!

Stanął, pomyślał, i roześmiał się głośno.

— A teraz niech mi kto powie, zawołał, że szlachcic polski nie ma talentu do przemysłu, do wielkich interesów, albo że nie jest urodzonym dyplomatą?!. I sprawiedliwie przyjaciele i koledzy każą mi reprezentować w radzie państwa wielkie interesy przemysłu galicyjskiego i monarchii...

W jadalnym pokoju czekała na niego wystraszona Koczalska.

— Dobry wieczór pani, — przywitał ją uprzejmie. Dawno Marynia wróciła?

— Nie całą godzinkę.

— Gdzież bawiła tak długo?

— Na egzaminach szkółek ludowych, których jest opiekunką.

— Powiedz, droga pani, potrzebne to męczyć się i po co? Ona jest taką egzaminatorką, jak ja baletnikiem!...

— Wszystkie panie z dobrego świata coś robią.

— Bawią się, a udają, że świat zbawiają.

— Niezawodnie, pochwyciła Koczalska, rada z łaskawej rozmowy domowego tyrana.

— Niechże się przynajmniej bawią w mieście.

— Panna Marya złote dziecko.

— Lecz fantazya górą, którą rozdmuchuje Urszula.

Przysunął się i kończył cicho.

— Dużobym dał za to, gdybym mógł córkę moją uwolnić od tej starej panny, źle wychowanej, ordynarnej, z przewróconą głową.

— Rodzona siostra nieboszki pani!..

— Rodzona, stryjeczna, cioteczna..... cała szlachta skuzynowana! Tym sposobem to i pani jesteś moją krewną!.. Nie zauważyłaś, że córka moja w towarzystwie tej kobiety robi się nieprzyjemnie zuchowata, pewna siebie, sypie dowcipy i impertynencye młodzieży, jak z rękawa. Wszyscy dla niej głupcy. Niedługo głupcem będzie własny ojciec!... Ma się za wybrankę losu, jakąś śmieszną bohaterkę — czego?... Jednem słowem, wzoruje się na Urszulę, przejmuje jej manierę i ordynarnieje.

— Marynia w moich oczach jest tak łagodna i dystyngowana, że mogłabym ją nazwać chodzącą dystynkcyą.

— W oczach pani, ale trzeba, żeby to uznał i ten lepszy świat. Dość, że mi Urszula obrzydła....

Zbliżył się, szepcząc do ucha Koczalskiej:

— Czy pani chcesz zrobić dobry interes?..

Kobieta rozwarła wystraszone oczy, bojąc się napaści. Pan Edward zobaczył i uśmiechnął się.

— Czy pani chcesz zarobić, prócz pensyi, tysiąc guldenów?....

— Wystarcza mi to, co mam, odpowiedziała przerażona.

— Nie o to idzie, nikt nie chce pani uwodzić, tembardziej ja! Tysiąc papierków dostaniesz, jeśli odsuniesz Marynię od Urszuli.

— Panna Urszula cieszy się wielkiem poważaniem w mieście.

— Właśnie, podchwycił zirytowany, — u handlarzy, piwowarów, kupców, adwokatów, doktorów, dziennikarzy i tem podobnej hołoty — i w te stosunki pcha moją córkę!... Merci!.. I gdy moja córka wchodzi w lepszy świat — to ludzie widzą u niej wpływ mieszczaństwa... Zrobiła mi tę uwagę stara hrabina Wielobycka, która w mieście jest wyrocznią dobrego tonu. Całą sprawę oddaję sprytowi pani!... Byleby ją rozdzielić i pogniewać. Myśl, miarkuj, a tysiąc papierków masz w kieszeni. Nic tak nie działa na kobiety, jak plotka — pomyśl tylko. Dobranoc pani.

Koczalska struta, chwiejącym krokiem poszła do swego pokoju.

Nazajutrz rano pan Edward przywitał córkę przy śniadaniu. Był w wyśmienitym humorze, opowiadał o Wiedniu, o przedstawieniu Lohengrina w operze, powtarzał koncepta z „Kikiriki"....

— Nie chciałaś ze mną jechać, wolałaś się bawić w egzamin.

Marynia, aby nie kłamać, milczała.

— Z czegoż ty mogłaś egzaminować? Czy wiesz przynajmniej, wiele jest grzechów głównych?

— Pierwsza pycha, drugi gniew, trzecie lenistwo...

— Dobrze, dobrze, i cóż z tego?

— Przed każdą czynnością ludzką — odparła spokojnie, można zadać pytanie — i cóż z tego? i nie znaleźć odpowiedzi lub znaleść ich tysiąc. To zależy od wykształcenia i poczuć osobistych oraz szerokości widnokręgu myśli odpowiadającego.

— Dziękuję ci za widnokręgową naukę.

— Odpowiedziałam tylko szczerze na pytanie.

Pan Edward spojrzał na Koczalską. Wystraszona kobiecina zarumieniła się i oczy zasłoniła rzęsami. Bała się, aby Marynia nie dostrzegła wymownych spojrzeń ojca. Paliły jej twarz wstyd i upokorzenie.

— Moje dziecko, zwrócił się do córki, od pewnego czasu spostrzegam w tobie wybuchający jakiś niezdrowy radykalizm, jakąś szorstką szczerość. Za dużo i za wyraźnie mówisz to, co czujesz, co czasem wygląda na impertynencyę. Prawdomówność w ustach dziewczyny, należącej, jak mówi Koczalska, do lepszego świata, wy-

gląda oschło, szorstko, nieprzyjemnie, a nawet nieraz ordynarnie. Coraz większy czuć na tobie wpływ Urszuli.

Po tym strzale wyszedł, zostawiając Koczalskiej prowadzenie wojny — on batalię rozpoczął. Lecz Koczalska nie była zdolna do bitew; przyrzeczony tysiąc nie zrobił na niej żadnego wrażenia, przeciwnie oburzył ją.

Drzwi się zamknęły, kobiety patrzały na siebie, nareszcie Koczalska buchnęła serdecznym płaczem, tuląc się w objęciach Maryni.

— On mnie wypędzi, szeptała, łkając — i gdzie się teraz na starość podzieję i jak wyżyję bez ciebie, moje dziecko! Kocham cię, jak królowę, ideał, jak własną córkę. Gdy cię nie widzę dzień jeden, smutno mi, że patrzeć na świat nie chcę. Moja miłość do ciebie to całe moje szczęście, cały mój skarb!..

— Co się stało? szeptała zdziwiona Marynia.

— Kazał mi intrygami pogniewać cię z panną Urszulą. Urszulę czczę — ciebie kocham! Obiecał mi, jeśli to zrobię, tysiąc guldenów. Za kogo twój ojciec mnie ma. Ponieważ tego nie chcę zrobić i nie zrobię, wypędzi mnie!

— Nie wypędzi, a gdy wypędzi, wyjdziemy razem i zamieszkamy u ciotki Urszuli.

— Jakby to było dobrze! mówiła, wzdychając, Koczalska.

— Wiesz, nie byłam w Zimnej wodzie, tylko z ciotką w kopalni u narzeczonego ..

— Cicho, dziecko, na Boga, cicho, szeptała wystraszona Koczalska, oglądając się. Ojciec twój gra teraz rolę wielkiego pana i czuje, że nim jest, myśli tylko o lepszym świecie i w nim szuka dla siebie zięcia.

— Dla siebie, ale nie dla mnie. Ojciec zostanie ze swym zięciem, a ja ze swym mężem.

— Mówiłaś mi już o tem, ale czy się to może stać?..

— Musi się stać! Jest moim narzeczonym, to i mężem zostanie. Nie znasz jeszcze mej energii i siły, jeśli idę do uczciwego celu.

Głaskała Koczalską po twarzy...

Usiadły obok siebie. Uspokojona kobiecina trzymała rękę Maryi w swych dłoniach.

— Kto wie, czy się ojciec nie domyśla, że byłam w Swobodzie?

— Z pewnością. Wyjeżdział wczoraj wieczór telegrafować, Piotr go woził.

— Ma swego ajenta w Kołomyi.

— A widzisz!

— Trzeba sprawdzić, do kogo telegrafował.

— Jakimże sposobem?

— Ciotka to zrobi. Ma wielkie stosunki w mieście, da sobie radę. Musimy wiedzieć koniecznie. Wyjdziemy razem do ciotki. Wiedzieć to znaczy módz się bronić.

— Dobrze, byle ojciec twój nie zobaczył.

— Boisz się go, jak Nerona.

— Więcej jeszcze, bo Neron mógłby tylko zabić, a ojciec może od ciebie odpędzić.

W pokoju swym pan Edward, uważając się za zdecydowanego dyplomatę, rozważał sytuacyę i nakreślał plan dalszej kampanii. Urszula i Marynia zrobiły swoje, stary satyr daje pieniądze, Tadeusz, długiem kasy przykuty do kopalni, nie myśli o wycofaniu się ani o ożenieniu, tem mniej o wykradzeniu, a potrzebny mi. Pracować będzie wszakże dla przyszłego teścia i jego córki.

Zapalił cygaro, chodził po pokoju.

— Niech pracuje, to jego obowiązek. Bo co on ma lepszego w życiu do roboty?. Praca to jego obowiązek.. Bo dla kogoż ma on pracować, jeśli nie dla tej, którą kocha?.. A że kocha Marynię, to nie dziwota, jeśli w niej zakochany siostrzeniec księżny. Bezinteresowna miłość jest najszlachetniejszą!.. Powinnością drobnej szlachty służyć nam, panom! Tak bywało za czasów Rzeczypospolitej i dobrze się działo, — to samo powinno być i teraz, jeśli się również ma dobrze dziać pod naszymi w Galicyi rządami.

Pociągnął parę razy dym z cygara i, z rozkoszą zaciągnąwszy się, wypuścił go przez zwinięte w trąbkę usta, rad ze znajomości historyi i swych porównań.... Lecz jakaś dzika myśl ukłuła go raptownie w samo serce, bo aż siadł na fotel, sapnął i westchnął.

— Marynia, demoralizowana przez radykała w spódnicy, oddana Tadeuszowi, lekceważy siostrzeńca księżny i lata do mego oficyalisty, jak sprawiedliwie nazwał go mój Żyd!.. Niechże się o tem dowiedzą w moim, lepszym świecie — będzie bal!...

Wstał i nerwowo chodził po pokoju.

— Tu jest szkopuł, zawikłanie dyplomatyczne, węzeł gordyjski! Przeciąć go nie można, czuję to. Marynia podobna do matki, złamać ją można, nagiąć nigdy... Padnie w walce, a nie podda się! Taką mi dał Pan Bóg córkę, czy dla wypróbowania mego rozumu i cierpliwości, czy miłości ojcowskiej. A może dla przekonania się, o ile dyplomatycznego talentu, którym mnie obdarzył, nie zakopią w ziemię.

— Nie, nie zakopią, zawołał, należy tylko szerokie koło zatoczyć. Pójść do rady państwa, zamieszkać w Wiedniu! Rozumie

się, córki nie zostawię we Lwowie. Słabowita i dla tego w zimie Riviera, w maju Paryż, w lecie Szwajcarya!... Po roku wywietrzeją jej wszystkie kopalnie, bohaterowie w niebieskich bluzach, oficyaliści deklamujący.... Będzie się z nich śmiała, jak ja się dziś śmieję. W Paryżu olśni ją wielki świat, dostaniemy się do niego przez księżnę — i reszta pójdzie już własnym rozpędem!.. Byle do rady państwa!.. Łatwiejby mi było wejść wśród swoich z wielkiej własności, bo z małej bratać się z chłopstwem, kłaniać się starostom, płacić, zjednywać żandarmów, z księżmi się całować i pić.... Na to wszystko jestem już dziś za wielki pan, i może mnie od tego krzyża Pan Bóg uwolni.....

Westchnął głęboko i szczerze.

— A teraz ten głupi kraj gotów mówić, że my się nie poświęcamy! Ta wściekła prasa niby to trzeci rząd, a raczej powinien być czwarty, jeśli Bóg jest pierwszy, władza druga, my trzeci, to dopiero na nią kolej!..... Jabym ją nauczył, jak nie powstawać, a raczej szanować władzę i słuchać jej!....

Pogroził!...

— Ja się nie zlęknę ani ciebie, ani twej armii — opinii. Co to opinia?.. garść urzędników, studentów i głupich mieszczan, czytająca dzienniki w wiedeńskiej kawiarni! I ja mam się bać mieszczan, słuchać ich, liczyć się z nimi?... Zamknąć kawiarnie i czwarty rząd znika, jak kamfora, urzędnicy siedzą w biurach, a mieszczany w warsztatach lub za ladą — spokój!...

Czuł, że jest, wzburzony, cygaro mu zgasło. Roześmiał się, zapalił nowe, wrócił do fotelu, rozsiadł się i szeptał półgłosem.

— Już się roznamiętniam, a cechą dyplomaty spokój. Roznamiętniam się, jak gdybym czytał przeciwko sobie wymierzony artykuł w „Kuryerze lwowskim”, bo reszta „siak czy owak”, to nasi, krzywdy mi nie zrobią!.. Kruk krukowi — zaczął się cicho śmiać. Reszta to poczciwi oficyaliści, którzy udają, że im wolno czasem hardo się stawiać swym panom.... Ten trzeci, a podług mnie, czwarty rząd nie taki straszny, jak go malują. To także armia, którą trzeba trzymać na żołdzie i basta.....

Spojrzał na zegarek i zerwał się na równe nogi.

— Ty tu romansujesz z sobą samym, a interesy nie czekają. Sprzedaję okowitę, czekam na kursa, trzeba lecieć do czarnej giełdy, potem do telefonu i przy telegrafie pracować....

Pracować, pracować, szeptał, gdy w tej chwili błyskawiczna myśl oświeciła mu mózg....

— Gdzie jest panienka!?...

— W swoim pokoju, odpowiedział służący, przechodząc w tej chwili przez pokój.

— Sama?

— Panna Józia mówiła, że ją dziś czesze pani Koczalska.

— Konie natychmiast!

— Jaśnie panienka o tym samym czasie zawsze.....

— Jak śmiesz się odzywać? — kto tu jest panem i kto rozkazuje?..

— Bo, proszę jaśnie pana, książę, u którego służyłem, miał swój powóz, księżna pani swój, jasna księżniczka swój.

— Konie! powtórzył, wskazując ręką służącemu drzwi.

— No i taki kiep dał mi lekcyę życia. Stać i mnie, aby moja córka miała swój ekwipaż, i ja swój. Tłuc się po mieście jednym, zawsze jednym, to nawet wstyd wobec ulicy i Żydów. Książęta umieją żyć, a ich lokaje przypominają nam, szlachcie, jak się żyć powinno. Dziś zatelegrafuję po powozik do Wiednia, a parę gniadych każę sprowadzić z Otocka. Będzie to prezent dla Maryni za sprowadzenie dyrektora do Swobody i wydobycie od niego kredytu. Zręcznie się znalazła! Miłość tworzy cuda. Naprawdę, wydobyć kredyt w Galicyi dla kopalń, dla przemysłu lub handlu należy do cudów. I za ten cud dostanie cudo powozik i parę ślicznych szkap. Nie powiedzą, że jestem złym ojcem i człowiekiem, nie umiejącym żyć.

— Proszę jaśnie pana, zajechał! wygłosił były lokaj książęcy.

— Do pracy, do pracy, zawołał w duchu, nie śmiejąc przed książęcym lokajem zdradzać się, że pracuje, albowiem i on razem z całą szlachtą Galicyi wschodniej był pod wpływem przesądu, że praca należy do upadlających czynności człowieka. Tylko wobec mieszczan lub wobec nieoznaczonej warstwy, zwanej inteligencyą, deklamował o pracy, jako wielkim kapitale narodu. On zaś we własnem pojęciu naród utożsamiał z motłochem, — on, szlachcic ze wschodu, szybko urastający w pana, którego zadaniem brać i zużywać rezultaty prac narodu, jako moralna lub faktyczna tego narodu władza.

Takie pojęcia majaczyły mu po głowie. Nie umiał jeszcze tego jasno sformułować, lecz czuł, że niedługo samo się to ułoży w trwałą zasadę.

Otworzył drzwi do pokoju córki, stanął w progu. Koczalska czesała Marynię.

— Kto wie, pomyślał, czy już nie zaczyna pracować nad zdobyciem tysiąca guldenów?

— Dzień dobry pannie Maryi, dzień dobry pani Koczalskiej. Przepraszam, że ci zabieram powóz, lecz pożycz mi go, dopóki nie sprowadzę sobie własnego.

— Ojczulku, osobnego zupełnie mi nie potrzeba, wystarczy nam jeden.

— Nie chcę ci robić przykrości, jak również sam nie chcę być krępowanym. Do widzenia, wracam o czwartej na obiad. Pani Koczalska, do widzenia.

Wyszedł.

— Grzeczność twego ojca przeraża mnie, jest pewny, że, czesząc cię, układam intrygę.

— Zostawmy go w tem mniemaniu. Wszystko to robi dla mego dobra — biedna ofiara własnych uprzedzeń...

Koczalska westchnęla.

ROŻDZIAŁ XII.

Mój drogi biedaku!

„Ojciec wie o mej wyprawie do Swobody. Doniósł mu o tem wynajęty przez niego detektyw, młody urzędnik pocztowy w Kołomyi. Ciotka Urszula dostała kopię ich telegramów. Mimo to ojczulek jest uprzedzająco grzeczny dla mnie. Kupił mi w prezencie elegancki powozik i parę gniadoszów sprowadził z Otocka. A widząc księżniczkę Windischgrätz, powożącą się z tilbury, kupił mi prześliczną amerykankę. Używam jej często, czasem wożę ojca, częściej ciocię Urszulę. Pędzę do parku stryjskiego, przecinamy przyszły plac wystawy, za miastem wysiadamy i, idąc piechotą, rozmawiamy o tobie, o twej przyszłości, raczej o naszej przyszłości. Dyrektor, aby usprawiedliwić wielki kredyt, jaki ci daje, cuda opowiada o twej mądrości i przyszłych bogactwach, o całych pociągach, przewożących rury żelazne dla ciebie. Towarzystwo techniczne wybiera się zwiedzić twoją kopalnię i rurociągi.... Za twą abnegacyę, za poświęcenie mnie i ciebie sława twoja rośnie szeroko. Znają cię i mówią o tobie! Czuję, że ci o to nie idzie, lecz uznanie ludzi i ich sprawiedliwość sprawia nam zasłużoną rozkosz.

„Czasem przychodzi mi na myśl, że może ojciec dziś nie bardzoby się gniewał, gdybyś go poprosił o moją rękę! Ciotka Urszula jednak utrzymuje, że właśnie teraz za nic w świecie nie zgodziłby

się na to — i przeszkadzałby wszelkiemi siłami. A że jest sprytny i zręczny, nie radzi odkrywać przed nim naszych kart.

„Ciotka utrzymuje, że myśli o zięciu dla siebie i szuka go pośród wielkich rodow. Co za rozpacz, że nasi ojcowie chodzą zawsze jednym i tym samym szablonem. Zbiera, pracuje i trud całego życia oddaje w ręce ukoronowanego głupca, którego zadaniem i trudem roztrwonienie pracy ojca.

„Dreszcz mnie przechodzi na to frymarczenie moją osobą, — szczęściem mam dosyć hartu, aby się bronić... Jestem twoją, złączoną z tobą na wieki — twoją — jedynie — i to daje mi siłę!...

„Nieraz się siebie pytam, dlaczego muszę cię kochać?! Kto mi kazał i zmusza do tego? Rozmyślania te są dla mnie upojeniem cichych nocy.

„Dlaczego cię kocham?... Dlatego, że słońce w czarne szczeliny jodeł rzuca srebrne promienie, na zieloną murawę, brązowe igły na ziemi i pieści je, — dlatego i ja cię kocham i kochać muszę, jak czarne jodły i zielona murawa kochają słońce.

„Na zachodzie niebo, rozlane krwią, białe chmurki od wschodu płyną do oceanu purpury, cisza zalega świat, ptactwo, zapatrzone w cud, milczy. I ja wtedy milczę, bo czuję, że dusza moja, jak biała oróżowiona chmurka, spływa ku tobie. I za to, że odczuwam piękność przyrody i duszę mą, idącą ku słońcu — kocham cię!...

„I kocham cię, boś mnie stworzył, dając mi odczucie duszy i myśli wiecznej przez miłość. Dałeś mi pragnienia lepszego bytu i możność szukania go w czynach.

„Kocham cię tem wszystkiem i wierzę, że już żadna siła nie oderwie mnie od ciebie!

„Jeśli cię kocham pięknością dnia i ciemną nocą wśród wyiskrzonych gwiazd, jeśli cię kocham wiejską piosnką, płynącą po rosie, jeśli cię kocham dobrą myślą moją i uśmiechem zadowolenia z dobrego czynu...

„Nie kochać cię—to nicość, pustka,—świat zamiera w myślach mych, w uczuciach, i duch mój zamiera we mnie.

„Kochać, jak ja cię kocham, to przecież radość serca, to wiosna życia. Miłość dla ciebie to podróż moja do nieśmiertelności...

„W uniesieniu kiedyś pytałeś się o mnie: Ktoś ty?!.... Gdy ty, biedaku, zapracowany nurzasz się w powszedniej walce z żywiołami, biorę ducha twego i upajam go purpurą zachodzącego słońca, nocą gwiaździstą i piosnką, płynącą po rosie. Oddałeś mi go, a ja z nim idę na błękity „do tej jedynej i do tej kochanki”...

„Taką jestem, i taki jest mój byt przy tobie, takie posłannictwo mej miłości. Czyż mogę odejść i rzucić cię? Czyż jest siła, któraby mogła nas rozdzielić?... Dlatego patrzę spokojnie w przyszłość. Krąg mego żywota już jest zaznaczony, i nikt i nic drogi jego nie zmieni, bo zmienić nie może...

„Żal mi ojca, lecz ponad jego wolę jest prawo wyższe, prawo wszechmocy świata, stwarzające indywidualizmy, więcej przystosowane do siebie, podług jego woli i ogromu świata.

„Piszę ci liryczną spowiedź własnej duszy, oczekiwań i tęsknot, gdy ty walczysz, pracujesz, zaledwo mając czas otrzeć zroszone potem czoło. Marzenia moje wobec twej energiii rozpływają się, jak mgławice, i giną wobec twej siły i gorąca czynu.

„Wierzę, że tęsknota moja łagodzi twoją nerwową wrażliwość i budzi twój umysł do szlachetnych uniesień. Nie sądź jednak, żebym i ja nie była zdolną do pracy. Czekam z niecierpliwością chwili, aby stanąć obok ciebie i żyć własną dzielnością.

„Nie myśl, żebym i ja nie miała ciepłej krwi, płynącej w mych żyłach. Nie zapominaj, że jestem nie tylko córką mej matki, lecz i córką mego ojca. Stać mnie nie tylko na siłę i wytrwałość matki, lecz i na zręczność, spryt i przebiegłość — jeśli niemi będę musiała iść do celu i zrobić to, czego pragnie dusza moja. Nie znasz mnie, jeśli myślisz inaczej...

„Koczalska już trzeci raz stuka do drzwi. Spadam z obłoków do prozy życia — raut u księżny ma się skończyć o jedenastej, a potem bal w dwanaście par. Jesteśmy na bal zaproszeni, ojciec w wybornym humorze, już trzeci raz prosi mnie, abym dziś była czarująca i wystąpiła w dystynkcyi angielskiej, albowiem dystynkcya angielska jest dziś najmodniejsza, a hrabia Rudolf zna się na tem, jako grający rolę Anglika??!

„I znowu Koczalska zastukała. Czuję w jej nerwowych uderzeniach przestrach.

„Twoje listy, wiesz, czem są dla mnie? Życiem mej duszy. A dusza moja.....

Twoją

Maryą.

Swoboda.....

Ukochana!

„Jeśli kiedy nie odpiszę natychmiast, to znaczy, że mnie niema w kopalni, że dzień i noc stoję na gościńcu przy pracy. Lecz nigdy nie jestem tak zmęczony, abym nie mógł pióra utrzymać, a gdy je biorę, chcąc pisać do ciebie, zmęczenie cichnie, sen odbiega, siły mych myśli i uczuć działają...

„Różo biała, zarumieniona tęsknotą, teraz dopiero oceniam wielkość mej ofiary, jakiej zażądano odemnie.

„Gdybym cię miał przy sobie, gdybym słyszał bicie twego serca, czuł gorący twój oddech, to, zdaje mi się, widziałbym i bieg twych myśli w głębiach twych oczu.

„Gdybym cię miał przy sobie!... Nieraz po tem powiedzeniu palce zagłębiam we włosy i targam je, wyzywam los, a Rusini pracujący żegnają się, gdy nie patrzę, i szepczą zaklęcia, aby złe odeszło odemnie...

„Przeklinam siebie samego za słabość moją, bo ty jesteś dla mnie siłą i pożądaniem, żyję dla ciebie i kocham świat przez ciebie!

— „Dlaczego dziś nie jesteś moją? czuję, że to wina moja, lecz i wina otoczenia, ludzi, losu i jego brzydoty!.. Dlaczego nie jesteś moją — dlaczego?... Byłem słaby, godząc się, abyś wracała, — a jednak — a jednak!...

Żebyś widziała, jak tu praca i energia ludzka wre, z jaką siłą wybucha, jak się rozwija wytrwale... Jak ci ludziska, mogąc zapracować na kawał chleba i jeszcze go schować dla żony i dzieci na kupno gruntu lub warsztatu, jak ci ludziska wodzą za mną powłóczystym wzrokiem pragnień, abym żył z nimi jak najdłużej... Gdybyś czytała w ich oczach radość, zmieszaną z podziwem dla mnie i wiarą we własne ich siły?! Gdybyś widziała Rusinów i słyszała miękkie ich „sława Bohu" i w tej miękkości odczuła rzewność, wdzięczność, położyłabyś mi rękę na ramieniu i powiedziała:

— Może i dobrze się stało, że jeszcze wróciłam do domu.

„Dawniej praca występowała, jako przekleństwo ludzkości, dziś w innych warunkach podejmowana zmienia się w jej dobrodziejstwo. Ludzie moi z rozkoszą wyładowywują swoją energię, bo czują za zgiętymi karkami rezultaty, wierzą, że nie są wyzyskiwani. To wielka pociecha dla zeznojonego czoła.

„Czemuż nie jesteś przy mnie i nie patrzysz? Przekleństwo „w pocie czoła pracować będziesz" zmienia się w życie, siłę, dzielność, a stan błogosławionego raju, próżniactwo — w nędzę i śmierć. Bóg, przeklinając, jednocześnie błogosławi. Taką jest jego wszechmocność... Przeklęci wyrastają na bohaterów!...

„Czemuż nie jesteś przy mnie?!..

„W moich oczach wysilenia ludzkie, zdobycze wiedzy, zręczność, wprawa, spryt tworzą cuda! Kopalnia zmieniona w mrowisko. Wszyscy pracują razem, a każdy zosobna... Całość, pełna wrzawy, ma swą muzyczną harmonię. Ludziska ocierają pot z czoła i uśmiechają się szczerze, serdecznie, pokazując z poza spalonych warg szeregi białych zębów, gotowych jeść, aby znowu pracować. Dawniej z zaciśniętemi ustami, głodnemi oczyma patrzeli w przestrzeń, zaciskając pięści na tych, którzy im pracy nie dawali...

„Czemuż cię przy mnie niema? Tysiące interesów się krzyżuje, rozbiega, jak promienie, i skupia do ogniska. Tem ogniskiem, przy którem się ludziska grzeją, ja jestem... Zwracają się ku mnie, a czasem i modlą. Cóżem im dał!?..

„Dałem im możność wyładowywania swej siły. Dałem im możność zmiany ich energii na kawał chleba. Dawniej szukali tej możności, opuszczali swe siedziby, kościoły, swe łany i szli za morza, aby energią swą wytwarzać obcym miliony.

„Czemuż cię przy mnie niema?! Lecz, jeżelibyś zostaniem swem wstrzymała ten rozwój, to tej jedynej rany nie zasłoniłabyś rękoma obiema — tej jedynej, że jej niema!"...

„Tęsknię, pragnę, modlę się, czekam....

„Za tydzień skończę rurociągi! Kosztowały trzykroć sto tysięcy... Wieleż to potrzeba milionów przez nie przeciągnąć, aby się procentami zapłaciły. Mniejsza o miliony: jeżeli tylko są środki, to wydobycie ich leży w naszej mocy.

„Za tydzień jestem we Lwowie, za tydzień zobaczę cię strojną, czarującą, wielką damę, ale i moją jedyną — jedyną...

Tadeusz.

PS. Wielkie myśli przebiegają mi mózg błyskawicami. W tem oświetleniu widzę wielkie horyzonty ratunku na „galicyjską nędzę”... Po co my pchamy naszą ropę de Wiednia, a potem naftę stamtąd ściągamy, płacąc haracz Niemcom?!.. Możemy przecież im gotową, czystą naftę posyłać!

„Gdy burza w umyśle wre, o błyskawice dobrych myśli nie trudno!

„Czemuż cię przy mnie niema, jedyny przewodniku błyskawic w mym umyśle —- kocham cię.

Tadeusz.

XXX.

Pan Edward przebiegał przez kopalnię podniecony, rozgorączkowany. Więcej grał, niż było w rzeczywistości, lecz grał dobrze i zręcznie, jak wytresowany życiem „czwany”. Zobaczył zdaleka Tadeusza, przyzywał go, wymachując chustką, trzymaną w ręku, idąc naprzeciw niego, roztwierał ramiona...

— Nareszcie mam cię, kochany Tadziuniu. Bałem się, czy cię zastanę. Widzę cię, chwała Bogu, reszta pójdzie dobrze. Jesteś słońcem, koło którego nafta się obraca...

Tadeusz odetchnął głęboko.

— Myślałem, rzekł, że nieszczęście się stało, że... Lecz, aby mi powiedzieć, żejestem słońcem, przyświecającem nafcie, to szkoda zbytniego wysiłku ze strony pańskiej.

— Słońce to tylko piękna apostrofa do tego, co chcę powiedzieć. Wyobraź sobie — karawany — przysięgam, że karawany ciągną z zachodu do Swobody, aby opanować tereny naftowe, zdmuchnąć nam je z przed nosa, zamknąć nas na dwustu naszych morgach... Mało zamknąć, zatarasować, okopać, uwięzić i zniszczyć!... Żorż, hotel Europejski, hotel francuski, pełno cudzoziemców, Holendrów, Amerykanów, a najwięcej Francuzów. Kłócą się bestye z sobą, ale, gdy przyjdzie działać przeciwko nam, pogodzą się. Taki to już naród...

Przestał, łapiąc gwałtownie z wysiłku wymowy powietrze.

Tadeusz wpatrywał się w niego melancholijnie.

— I cóż ty na to? zawołał.

— Dwieście morgów, zaczął cicho Tadeusz, to choćby dziesięć szybów na morgę — mamy dwa tysiące szybów.

— A powinniśmy mieć dziesięć tysięcy.

— Jeżeli nie można więcej, to musi wystarczyć dwa tysiące.

— Właśnie, że można mieć więcej, zawołał pan Edward, i możność ta powinna być dla nas prawem, a prawo przykazaniem! Chyba nie kochasz kraju?...

Tadeusz wzruszył głową...

— Pozwalam go kochać i innym. Czemuż inni nie przyszli i nie zabierali gruntów przed cudzoziemcami?

— Może nie umieli wziąć się do rzeczy!? Francuzi otwierają im oczy. Ja sam byłem głupi!... No i ty, Tadziu, pobłądziłeś, należało zabrać odrazu tysiąc morgów terenu... Ja sam myślałem, że się to niedługo zrobi. Lecz cóż, Żydzi nas zdenuncyowali Niemcom, Niemcy całemu światu, no i dziś masz wędrówkę narodów po złote runo...

— Stało się, cóż poradzimy?

— Co poradzimy? Ostrzydz owce samym, zanim przyjdą postrzygacze, to jedyna rada, jedyna możność, jedyny argument, jedyna polityka.

Tadeuszowi błysnęła myśl...

— Zrób pan wielkie towarzystwo akcyjne — zawołał!

— A tymczasem wędrówka narodów zakupi wszystkie grunta od chłopów i ziemie gminne. Zapóźno, mój drogi, trzeba się śpieszyć. Jeśli dziś nie kupimy, jutro nas zamkną na dwustu morgach.

Obejrzał się, wskazując ręką. Zdaleka stał barczysty arendarz Swobody, gładził ręką brodę.

— Widzisz, to nasz denuncyant, ale i zbawca, pośrednik, obrońca. To on razem z Żydami z Kołomyi powiedział Niemcom o naszych bogactwach i on jeden może nas uratować i dać fortunę — on Żyd, a my bez Żyda, jak bez ręki. Żyd jest naszem przekleństwem, lecz w każdem przekleństwie Bóg daje pociechę — i Żyd jest naszą pociechą... Wyobraź sobie, Żyd przygotował całą akcyę, namówił chłopów, zgodził ich, wszystko zrobił i wszystko ma w swych rękach, a dla siebie żąda tylko dziesięć tysięcy guldenów.

Pan Edward nachylił się, kończąc cicho.

— Nie wie jeszcze o wędrówce narodów do Swobody, boby zaśpiewał sto tysięcy. I tak będzie pejsy targał ze złości, gdy się dowie.

— Bierz pan ten interes, rzekł Tadeusz.

— A ty nie? Ty mój wspólnik, ciebie nic nie obchodzi, że cię otoczą cudzoziemcy, że będą pompować złoto z twej ziemi i wywozić, a tu bieda w kraju, aż strach!

Chwycił się za głowę rękoma.

— Bieda, że ją siekierą można ciąć, a tu młodzieniec, przyszły wielki człowiek, nadzieja kraju, patrzy na wywożenie własnego złota przez obcych z założonemi rękoma. Człowieku, obudź się!...

— Ależ nie śpię, tylko na to poradzić nie mogę.

— Dlaczego, zawołał pan Edward, nie mielibyśmy takich, jak ta, założyć dziesięć kopalń w dziesięciu miejscach, jeżeli będziemy mieli odpowiednie tereny? Odpowiedz mi, dlaczego?!..

— Nie mamy odpowiedniego kapitału, a procent, który pan bierze, jest za wysoki.

— Mogę wziąć mniejszy i część mego procentu składać na kapitał nakładowy...

— W razie pańskich ustępstw akcya może się zacząć.

— A widzisz, znalazła się racya, znalazła się prawda, znalazł się rozum stanu... Nie chcesz brać ze mną, ja wezmę grunta, ja potrafię handlować, ja, szlachcic ze wschodu, znam się na tem, to moje rzemiosło! Ale ty mój wspólnik, musisz mi pomódz. I pomożesz, dlaczego nie miałbyś pomódz, gdy to jest twój obowiązek, a cel wysoce patryotyczny? Przed obowiązkiem i patryotyzmem nie cofasz się nigdy!... Znam cię — nigdy! wielkie słowo!

Tadeusz się uśmiechnął.

— Przysięgnę, że się nie cofniesz.

— A więc?

— A więc, powiem ci: na interes, który ci przedstawiam, potrzebuję pieniędzy, a nie mam ich. Za gotówkę, wziętą od ciebie, kupiłem prześliczny majątek za bezcen. Tysiąc morgów starego lasu i tysiąc morgów ornych, z których rocznie sprzedaje się trzy tysiące korcy pszenicy, nie licząc żyta, owsa i jęczmienia... Dalej gorzelnia, młyny, karczmy, tartak... Chcąc uprzedzić cudzoziemców, którzy gotowi jutro tu być, potrzebuję za parę dni grubej gotówki. Mam przy sobie pięćdziesiąt tysięcy na zadatki, lecz jutro muszę mieć pięćkroć, które pojutrze będą warte milion, a za miesiąc—dwa! Tak się, Tadziuniu, interesa robią, jeśli chcemy, żeby wielki przemysł kwitł.

Tadeusz rozwarł szeroko oczy.

— Raczej wielki geszeft — rzekł.

— Wszystko jedno, bo wielki przemysł rodzi wielki geszeft i odwrotnie, pamiętaj to sobie...

Pan Edward ruchem kaznodziei podniósł rękę i palec wyciągnął....

— Dwie rzeczy tak różne...

— Ale się łączą, przerwał wschodni szlachcic. Chcę z tobą zrobić interes i proponuję ci, że, jeżeli dasz mi na przyszłą ropę zaliczki pół miliona, to oprócz tego, że, będę płacił od niej cztery procenta czyli dwadzieścia tysięcy rocznie, póki ty jej nie spłacisz, lecz jeszcze odstąpię ci pięć procentów ropy, i będziesz brał dla siebie pięćdziesiąt pięć, a ja tylko czterdzieści pięć.

— Nie mam kapitału.

— Ale masz kredyt. I, gdy ja chcę pożyczyć pół miliona, musiałbym stracić pół roku czasu: ty wystawisz dziś weksle lub dasz skrypt i jutro masz pieniądze. Ty jesteś przemysłowiec, ja rolnik, hreczkosiej, szlagon, co chcesz... Mnie nie ufają na tysiąc papierków, a tobie wierzą na milion, chociaż obydwa jesteśmy jednako uczciwi i wypłacalni ludzie. Tylko ty jesteś wielki twórczy umysł, bierzesz miliony i dajesz miliony, ja mogę brać miliony, jeśli mi dadzą, lecz oddawać tylko tysiącami! Tadziuniu, dajesz zaliczkę?! Dasz, jeśli nie chcesz być jutro osaczonym przez inne narody, jak dzik w kniei... Dasz, bo kochasz kraj, dasz, bo rozumiesz interes, dasz, bo czujesz, że ja tego nie zabiorę dla siebie — nic — nic. Wszystko weźmiecie!... Marynia wierzy, że mnie nie zostawisz samego, nie opuścisz!...

Tadeuszowi zdawało się, że pan Edward wyciąga do niego ramiona, oddaje mu córkę, chce go uściskać, jako zięcia. Rad był wpaść w jego objęcia, tylko, że chwilę uważał za niewłaściwą. Wyglądałoby, że żąda ręki córki, jako zapłatę za półmilionowy kredyt. Zatrzymał się w porę i, licząc w pamięci, powiedział:

— Pół milionowy kredyt można spłacić wykopaną ropą, licząc na udział pański tysiąc guldenów dziennie, za półtora roku.

— A widzisz, za nędzne półtora roku. Jestem zdrów, silny, nie mam jeszcze pięćdziesięciu lat, przeżyję półtora roku. A gdy mnie nie stanie, ty mnie zastąpisz i dalej będziesz pompował i płacił. Co znaczy w życiu człowieka półtora roku? jedna zima i dwie wiosny.

— Nie wiem, czy dyrektor kasy zgodzi się wypłacić tak wielką sumę.

— Na twój podpis z radością, bo będzie przekonany, że pożycza na wzrost przemysłu, a wiesz, jak on kocha nasz przemysł, nasz biedny krajowy przemysł i jak pragnie jego wzrostu. Ty go dźwigasz, a on ci wierzy i daje tobie.

Zamilkł, patrząc w oczy Tadeuszowi z czułością starego lisa.

— No cóż, Tadziuniu, ratujesz przemysł, ratujesz siebie samego? ratujesz kraj... Milczysz, boisz się — czego? Ty miałbyś być tchó-

rzem, ty, co po drugim szybie zbudowałeś rurociągi za trzykroć stotysięcy guldenów?!...

Tadeusza denerwowała wymowa „czwania", odczuwał jej jałowość, jej frazes, chciał od niej uciec, przerwać ją, skończyć.

— Jeśli dyrektor da pół milioua zaliczki na ropę, to ja ze swej strony nic nie mam przeciw temu. Tylko pożyczki w kasie, które ja biorę, są oprocentowane nie na cztery, lecz na sześć procentów.

„Czwanio" ciężko westchnął robionem westchnieniem i odszedł.

— Dla świętej sprawy, choćbym miał być podbankrutowanym, i ja dam sześć. Cóż robić, kiedy...

Tadeusz przeląkł się dalszej deklamacyi i przerwał.

— Chodźmy, napiszę panu skrypt, musisz pewno zaraz wracać do Lwowa.

— Natychmiast!

Poszli szybko, Tadeusz po drodze umyślnie, aby nie słyszeć wymowy pana Edwarda, wydawał rozkazy i zaczepiał robotników. Panu Edwardowi radość rozrywała serce. Drżał cały, chciał podskoczyć i zawołać — wiwat! a musiał panować nad sobą.

— Oto skrypt, rzekł Tadeusz, podając w kancelaryi papier Edwardowi.

— Tadziuniu, tak szybko, tak odrazu, całe pół miliona, zdaje mi się, że śnię. Nie dziw się, szlachcic polski, nie przyzwyczajony do wielkich interesów, głupieje. Czekajże, ja ci znowu napiszę skrypt.

— Sześciu procentów, to już u dyrektora.

— A to, że ci oddaję pięć procentów mego udziału. Wziął pióro i pisał, Tadeusz stał przy oknie, patrząc na fabryczny ruch, jako na swe dzieło...

— Biedacy, szeptał, wy przynajmniej głodu nie będziecie przy mnie cierpieć. Dla was to pracuję i oddaję młodość mą...

— A oto mój skrypt, rzekł Edward, kładąc papier. Bądź zdrów, niech ci Bóg da zdrowie. Pamiętaj, że noga nogę — ręka rękę. Adieu, mon cher.

Wybiegł z kancelaryi, pędząc do Żyda, siedzącego na belkach drzewa.

Aron się zerwał i również biegł przeciw niemu.

— Dał? spytał nerwowo.

— Dał.

— Całe pół miliona?

— Całe.

— I tak na wiatr, bez niczego?...

— Co ty sobie myślisz, płacę sześć procentów...

— Jabym dał dziesięć, a może piętnaście i jeszczebym mu nogi całował... Nie chciał spółki?

— Nie!...

— To ja teraz mówię, że on głupi jest.

— Głupi, jak ty śmiesz to mówić wobec mnie na mego dyrektora.

— Bo myszlę, że on głupi, w tej chwili stracił pół milionowy zarobek.

— Zobaczymy, co ja sam zarobię.

— A może on ma inne plany i dlatego tak ustępuje, bo przecie on ma głowę na karku...

— Jakie plany?

Aron zniżył głos.

— Może on z przeproszeniem jasnego pana ma na swem oku pannę Marynię i ustępuje ojcu.

— Jak śmiesz mi podobne brednie gadać?

— O tych bredniach to i wróble na dachach świergocą. Jasna panna, pańska córka przywiozła tu ciotkę i dyrektora i od tego czasu zrobił się w Swobodzie wielki ruch, pieniądze płyną, jak woda...

— A niech sobie ma na oku, kogo chce. Wolno mu mieć na oku i królewnę angielską.

— To trochę za daleko.

— Moja córka jeszcze dalej dla niego — rozumiesz?!

— Rozumiem.

— On wie, że za wysokie progi.

— Rozumiem i teraz wychodzi na moje, że on dwa razy głupi.

Aron był oburzony na głupotę Tadeusza, bo i z nim chciał zrobić interes i zarobić. Edward był za twardy, za sprytny, za chciwy. Tadeusz wielki pan i wielki dżentlemen nie liczył się z drobnemi sumami i dlatego pozyskał serce Arona.

Pan Edward stanął.

— Aron, co ty śmiesz mówić?!

— Nic, tylko, że on dwa razy głupi, a jasny pan dwa razy mądry.

— Mówisz tak, jak gdybyś go żałował.

— Głupich nie żałuję, i cóż dopiero dwa razy.

— Mówiłeś mi sam, że to mój oficyalista.

— Mówiłem, dlaczego nie miałem mówić, tylko, że on jest z tych oficyalistów, co to swoim panom za jednym podpisem dają

pół miliona do garści, a jasnym trudno wydobyć odrazu pięćdziesiąt tysiąców.

— Pożycza.

— To, jakby darował, bo, jak ropy zabraknie, to on zapłaci całe pół, a to znaczy pięć razy po sto tysięcy!... Za jedno sto tysięcy można mieć śliczną wioskę i być jasnym panem.

— Ty mi zazdrościsz.

— Może, że i zazdroszczę, jasny pan nadto szczęśliwy.

— Bo mam rozum.

— Ludzie mówią, że lepszy łut szczęścia od funta rozumu.

— Więc cóż?

— Jasny pan słyszy, jak trawa rośnie — to rozum. I jasny pan trafi, kiedy ją ściąć, to szczęście.

Pan Edward siadł do powozu, Aron na przedniem siedzeniu.

— Dokąd jedziemy?

— Do karczmy, jaśnie panie, wydać dwadzieścia tysięcy chłopom nd zadatki. Wójtowi pięćset papierków, podwójciemu dwieście, radzie po stówce, Aronowi, co łaska.

— A dziesięć tysięcy, które ci muszę zapłacić?

— Kiedy jasny pan tak łatwo zdobył pół miliona, to Aron powinien dostać pięćdziesiąt tysiąców.

— Wytłómacz mi naprzód, za co ja ci płacę.

— Ja powiem. Za to, że ja daję jasnemu panu pół miliona zarobku.

— Ty mnie?!..

— Ja, nikt inny, tylko ja. Ja i on, ten oficyalista, i obaj jesteśmy głupcy! On, że nie idzie do spółki, ja, że biorę parszywe dziesięć tysięcy. I dlatego mówię, że lepszy łut szczęścia od funta rozumu.

Wjechali w wieś — daleka wrzawa, jak rój pszczół, wypełniły powietrze.

— Kazałem na rachunek jasnego pana wydać miodu, piwa i wódki za pięćdziesiąt papierków.

— Za dużo — popiją się...

— Oni się powinni popić, oni się muszą popić, żeby nie wiedzieli, co robią, odezwał się ze źle ukrytem rozdrażnieniem Aron.

Zajechali. Żyd wyskoczył, pan Edward stanął w powozie. zdjął kapelusz i rzekł z powagą proroka.

— Sława Bohu!...

— Na wiki wików, zahuczała gromada, zdejmując baranie czapki.

— Niech jasny pan wysiądzie, szepnął po niemiecku Aron, pójdzie do alkierza i tam zaczeka. Jak mnie nie było, jakiś dyabeł wodę zamącił i znowu trzeba od początku zaczynać. Jaśnie pan się pyta, za co ja biorę głupie dziesięć tysięcy.

Pan Edward chodził po alkierzu Arona. Dolatywała go rozhukana wrzawa gromady i donośny głos żyda. Walka szła na ostro, a tymczasem lał się miód obficie.

— Za wasze zdrowie! ja stawiam! wołał Aron.

— Ty, Żydzie, nie masz tu nic do stawiania, ja, naczelnik, częstuję radę i gromadę — przerwał mu, zdaje się, wójt.

— Kiedy pan naczelnik taki pan, dlaczego nie, owszem, proszę — wiele?

— Dziesięć flaszek miodu — na zdrowie hromady.

— Hura! zatrzęsło karczmą.

Pan Edward stanął, słuchał i zły na siebie zawołał.

— Puściłem wodzę radości i niepotrzebnie wygadałem się przed Żydem o wydobytym pół milionie.

Tupnął nogą.

— Jak mogłem Żyda przypuszczać do takiej konfidencyi? ja, ja, dyplomata, może przyszły minister, pan, milioner!? Radość mną zawładła, i straciłem równowagę. Jestem skończony głupiec i za głupotę swoją będę musiał Żydowi dopłacić kilka tysięcy!... W naszym kraju trzeba zawsze i za wszystko opłacać się Żydom! Nieszczęśliwy kraj, w którym nie można zrobić interesu bez Żyda — wszędzie Żyd. Boże! — Boże, uwolnij nas od tej plagi!...

Wpadł Aron z roziskrzonemi oczyma. Zmęczony siadł, nogi wyciągnął, czapkę rzucił, jarmułkę nasadził na czoło.

— Źle, rzekł sucho, przeciwnik mój, niech go paraliż weźmie, zbuntował gromadę przeciwko mnie i ciągnie ją do siebie.

— Uciszyć go, zawołał pan Edward. Mój Aronku, ucisz go, błagam cię. Ty jeden to potrafisz.

— Udusić, to się go uciszy.

— Uduś, uduś, Aronku, ty jeden to możesz zrobić.

— Udusić i jutro iść do kryminału, dziękuję jasnemu panu. Trzymamy spółkę, to go obydwa duśmy!

Aron się zaśmiał, wysuwając z poza grubych warg wilcze zęby.

— Ja muchy nie mogę zabić, rzekł pan Edward.

— I ja jej nie zabijam. Co robić?!...

— Zatkać mu gębę.

— Czem?

— Setką — dwiema setkami!

— Kto wie, czy da sobie zatkać dziesięcioma.

— Tysiąc! ty zaraz na tysiące. U ciebie tysiąc to tyle, co u mnie gulden...

— Dobrze, niech mu jasny pan zatyka gębę stówką, ja go przyprowadzę. Tylko, że to żaden łapserdak, rozumie interes. I za to, że go jasny pan będzie oglądał, zapłaci mu na rękę pięć tysiąców.

— Nie chcę go widzieć.

— To płacić zaraz, niech idzie do dyabła.

— Ale nie tysiąc. Wy nas drzecie ze skóry. Z wami się wdać to znaczy tyle, co z torbami pójść.

— Żeby jasny pan był tak zdrów! My wam, panowie, pchamy milionowe do garści interesa za głupie parę tysiąców, a wy po zrobieniu interesu zaczynacie się brzydzić Żydem!... Wy nic bez Żyda. Nie kupicie biednej wioski, kulawego konia. Żyd to wasze szczęście, wasz majątek, ale, kiedy go nie potrzebujecie, huzia na żyda!..

— Aronku, jak ty śmiesz coś podobnego mówić?

— Śmiem — my mamy swoje oko i swój rozum.

Wstał nerwowo.

— Czy to miło uganiać się z chłopstwem cały dzień i całą noc? Czybym ja nie wolał siedzieć sobie w ciepłej izbie i czytać talmud albo księgi?!.. No, ale niema czasu na gadanie, wyciągaj jasny pan dziesięć stówek.

— Za dużo!

— Daj mu jasny pan sam! Ja wypcham go za drzwi od siebie tysiącem!

— Masz dziesięć stówek, daj mi święty pokój, śpiesz się, czas leci!...

Aron zagarnął pieniądze i wyszedł.

— Przekleństwo, szeptał pan Edward, łatwe szczęście ogłupiło Napoleona, a cóż dopiero mnie, szlachcica wschodniej Galicyi? Napoleon za swe ogłupienie przypłacił Ś-tą Heleną, ja jak dotąd tysiącem guldenów... Trudno, człowiek ma serce i dlatego czasem się zapomina!... Naprzykład, pchany wybuchami serca zawołałem do Tadeusza: dzieci, to wszystko wasze! Dopiero, gdym powiedział, zadławiło mnie w gardle. Myślałem, że młodzieniec rzuci się w moje objęcia i zawoła: Ojcze!— teściu! Padłbym na prawdę i może ducha wyzionął. Bałem się w tej chwili albo apopleksyi, albo paraliżu serca. Chwała Bogu, nie skorzystał z chwili. Za głupi, albo za wielki pan, za dumny — dlatego ja nie dostałem paraliżu serca ani apopleksyi...

Tak to, mając serce, jesteśmy często jego sługami. Już ja mu teraz wybiję z głowy chwilowe uniesienie się moje. To mój święty obowiązek wybić mu z głowy wszelkie zachcianki w tym kierunku. Nie na to pracuję od świtu do nocy, aby jedynaczkę wydawać za... Obejrzał się, wstydził się Żyda, spojrzał, czy nie podsłuchuje, i powiedział głośno, wyraźnie, rozdzielając każdą sylabę: o-fi-cy-a-li-stę. Gdy się wdrapię przez moją jedynaczkę na najwyższy szczebel hierarchii społecznej, — pójdę tam, gdzie oddawna powinienem był być, i basta... Oficyaliści z drogi! Ha — ha!..

A jaki dumny, jak gdyby był urodzonym hrabią! ani słowa nie wspominał o współce. Dał pół miliona zaliczki, jak król albo jak Rotszyld londyński... I dobrze zrobił, boby spółki nie zyskał... Tylko mówię do tego, że taki człowiek, taki pan ma prowadzić wielkie interesa lub brać spuściznę po mnie — brrr... Apage satanas.

Aron drzwi na rozcież otworzył i zastawił je stołem. Ucisz szyło się.

— A teraz gromada, rzekł głośno, niech idzie brać swoje pieniądze!...

— Nasze, nasze, rozległ się przytłumiony szmer.

— Wasze, zawołał pan Edward.

W kancelaryi swobodzkiej kopalni panowała cisza przed burzą.

— Obciążyłeś znowu kopalnię o pół miliona? rzekł Feliks sucho.

— Na półtora roku. W tym czasie dług ten spłaci się sam połową dochodu z kopalni.

— A jeśli się nie spłaci?

— Powinien, a więc musi, i dyskusya upada, odparł spokojnie, jak wyrocznia, Tadeusz.

— Właśnie, że się otwiera. Bo przypuśćmy, że ropa będzie płynąć w tej samej obfitości i ceny nie zmieni, — to nie zawsze będzie można gotówką, stąd otrzymaną, spłacić ten dług. Będą pilniejsze wydatki.

— Pan Edward nie czekałby z odbiorem swych dochodów.

— Widzisz, onby nie czekał i brałby je, lecz dług w kasie może czekać i będzie czekał, a to nas może zabić. Bo, czekając, będzie rósł...

— Trudno, inaczej nie mogłem — prosił, zaklinał, miał ochotę płakać....

— I dla jego niedoszłych łez obciążyłeś kopalnię nowym półmilionowym długiem? Dlaczego przynajmniej, robiąc mu takie dobrodziejstwo kredytem, nie poszedłeś z nim do spółki — co? Straciłeś drugie półmiliona!...

— Nie jestem handlarzem, odparł Tadeusz, mam wstręt do tego rzemiosła. Nie umiem kupować, sprzedawać, targować się — to nie mój biznes. Lecz za to potrafię matce ziemi wykradać jej tajemnice i bogactwa. To dosyć dla mnie!..

— Za wielkiś pan, aby się własnemi rękami dotykać nędz świata, jego walk, podejść, małych brudów, a wielkiej chciwości — i dlatego padniesz.

— Być może, odrzekł cicho, lecz, zanim padnę, dźwignę tysiąc i dam im możność oderwania gąb od trawy i choć na chwilę spojrzenia w niebo.

— Gęby Edwarda nie oderwiesz, chociaż w nią pchasz miliony.

— Nie staram się o to.

— A teraz powiedz, o wiele więcej gąb oderwałbyś od trawy, gdybyś zrobił spółkę z Edwardem?

— Być może, powtórzył, ale to nad moje siły, nad moją możność. I Bóg mnie z tego rozgrzeszy... Przyniosłem z sobą na świat ufność w ludzi, ufność w dobro i piękno, — nie mogę bez tej ufności żyć, działać, pracować! Nie mogę nie wierzyć ludziom, którzy się do mnie zbliżają, jak nie mogę podawać ręki tym, którychbym podejrzywał... Niezawodnie są to wielkie wady u przemysłowca, lecz ja przemysłowcem nie jestem, a pragnę być tylko pracownikiem winnicy pańskiej, niczem innem, tylko jej pracownikiem..... Ja tworzę, dźwigam, buduję, a jeśli padnę, to mój budynek będzie stał. Coż więc upadek mój może mnie obchodzić?...

— I dużo, Tadziuniu, będzie cię obchodził, zawołał Feliks. Ciągle ci się zdaje i będzie do końca zdawać, że jesteś u początku dzieła, przy zaczęciu budowy... Zachwianie wytwarza myśli o zmarnowaniu życia... Uczucie to jest straszne, od tego strachu włosy bieleją, i serce pęka!... Gdybyś był biznesistą, nie byłbyś człowiekiem idei, nie byłbyś twórcą, robotnikiem w winnicy, nie szedłbyś na szczyty, tysiąca gąb nie odrywałbyś od trawy, nie kazałbyś im wznosić głów w górę i patrzeć w niebo..... Gdybyś był Edwardem, nie byłbyś naszym Tadeuszem. Obydwoma być nie można — rozumiem to i dlatego cię kocham!

— Nie można, nie można, powtarzał cicho Tadeusz.

Feliks, wybuchając serdecznością, pochwycił go w pół i uniósł w górę.

ROŹDZIAŁ XIII.

Godzina ósma rano. Lwów się obudził i zaczynał żyć. Ulica Trzeciego Maja czysta, strojna, cicha, obudowana pałacami i częścią gmachu sejmowego, wyglądała, jak wielka dama w strojnym negliżu.

Tadeusz wyszedł z hotelu „Impérial" — stanął i patrzał wzrokiem zdziwienia i pewnego zachwytu. Przez myśl jego przesunął się Paryż z frontami ministeryów, — Wiedeń... kultura i cywilizacya. Rad był z tego objawu.

— Jesteśmy na dobrej drodze, myślał, szukając wzrokiem cukierni. Rozwijamy się.... Tuż przed wzrokiem jego powoli przesuwał się wóz — zaprzężony parą drobnych szkapiąt. Na wozie klęczał rosły, chudy, kościsty chłop w czarnej koszuli z narzuconym na plecy kożuchem. Za nim kobieta, okryta szarawem płótnem. Chłop zdjął baranią czapkę, — długie, spłowiałe włosy powiewały mu nad karkiem. Patrzał wystraszonym wzrokiem przed siebie. W rękach trzymał bat i nim wywijał. Na wozie i zaprzęgu nie było ani kawałka żelaza, ani skrawka skóry — parć i drzewo. I koła gięte z jednej sztuki brzeziny....

— Przed tysiącem lat pierwotny mieszkaniec tych stron tak samo wyglądał, przesuwając się w tem samem miejscu, przez moczary leśne i wzgórza. Tysiąc lat przepłynęło nad głowami tubylców, bez żadnego śladu kultury!.. A my?.. zapytał siebie samego. Czy kultura nasza nie kończy się za bramami miasta? Cóżeśmy zrobili dla cywilizacyi tego ludu, który nam oddaje swoją pracę i wyciąga do nas ręce?...

Wzrok wystraszonego Rusina spotkał się z łagodnem spojrzeniem Tadeusza. Uśmiechnął się do biedaka, lecz tego chłop nie odczuł, nie zrozumiał, świsnął batem, chude konięta pchały się jedno na drugie, przebierały drobniutko nogami, kobieta patrzała bezmyślnie przed siebie, w białej chustce na głowie, szarawej płachcie na ramionach.

— Tysiąc lat, powtarzał w duchu, tysiąc lat przesunęło się, jak jeden dzień, a chłop, wóz, kobieta i konie ci sami.

— Tadziu, zawołał na pół cicho, dyskretnie młody człowiek, ubrany podług ostatniej mody. Tadziu, tyżeś to?

Tadeusz, zbudzony z przed tysiącletniej epoki, obrócił się i wyciągnął rękę.

— Nie poznajesz mnie?...

— Trudno, rzekł, tylu ludzi przesunęło się przed memi oczyma.

— Bronek Durowski, kolegowaliśmy w gimnazyum.

— Bronek, powtórzył i rozśmiał się serdecznie. Byłeś prymusem przez cały czas, a ja zapomniałem prymusa — przebacz!...

— A ja cię odrazu poznałem po wypukłem czole, głęboko osadzonych oczach i tej zadumie, z której nieraz budziłem cię, jako prymus.

— Widziałeś Rusina, wiozącego żonę na swoim wózku?

— Widziałem, przejeżdżają tędy z Wydziału krajowego i banku.

— Stanęła mi na myśli Ruś z przed tysiąca lat taka sama dziś, i stąd to zamyślenie.

— A ja sądziłem, że obliczasz procenta od swych kapitałów albo korzyści w niedalekiej przyszłości.

— Kapitałów jeszcze nie mam....

— Jakto jeszcze nie?.. Dzienniki głoszą twoją chwałę, obliczają na tysiące dzienny twój dochód.

— Ale nie obliczają wydatków!...

— Rurociągi kosztowały trzykroć sto tysięcy, i o tem czytałem!... Dość, że jesteś sławnym, uznanym, głośnym, i to na tle bogactwa, co u nas najwięcej popłaca. Gdybyś napisał lepszą od Homera Iliadę, a namalował obraz piękniejszy od Grünwaldu, miałbyś we Lwowie uznanie zwykłego literata lub malarza, gorszego od Styki! Trzeba znać nasze miasteczko!... Kiedy przyjechałeś?

— Wczoraj wieczór, a pragnę w tej chwili napić się herbaty.

Były prymus spojrzał na zegarek.

— Mogę ci ofiarować dwadzieścia minut bez szkody dla instytucyi, której służę.

— Służysz, biedaku?

— A cóżeś chciał, czyż mogę, czy mi wolno coś innego robić? Czyż można żyć w Galicyi bez służby? Wioski kupić nie miałem za co, a trzeba jeść, spać i ubrać się. Skądże wziąć na to wszystko, jeżeli nie dobrą, trzeźwą służbą.... Gdybyś nie miał własnego lub nie znalazł cudem kapitału na kopanie nafty, czemżebyś tu mógł być?.. Nauczycielem prywatnym języka angielskiego, a może przy szczególnej protekcyi dyurnistą wydziału krajowego!..

Zasiedli przy stoliku sami w pustym pokoju cukierni.

— Ja, mój drogi, mówił dalej Bronisław, jako celujący po zdaniu egzaminu z odznaczeniem na politechnice z inżynieryi, przy usilnych protekcyach dostałem się do Namiestnictwa na praktykanta bezpłatnego, a żyłem z lekcyi matematyki. Z czasem wiernością i uległością wybiłem się na płatnego. Dziś jestem konceptowym praktykantem. To jest szablonowe koncepta mych naczelników lub podług utartego szablonu przysłane z Wiednia przerabiam i dopasowuję. To samo robi, a lepiej potrafi, mój starszy kolega, który ukończył sześć realnych.

— Przecież są koleje, fabryki, mosty, prowadzone przez prywatnych...

— Niemców przeważnie, którzy mają swoich ludzi lub szablon niemiecki.

— A wy wszyscy?....

— My wszyscy jesteśmy biurokratami, żyjemy z pensyi i dla pensyi. Odbierz pensyę, a umrzemy z głodu, umrzemy, przysięgam ci, bo nawet nie mielibyśmy sił i energii rozbijać!...

— Żadnej samodzielności?

— Żadnej! Te chmary snującej się po ulicach młodzieży to przyszli urzędnicy, którzy już dziś się boją najmniejszej samodzielności, bo ta mogłaby im zaszkodzić w karyerze....

— Bronku, ty byłeś zawsze pesymistą!

— Znajdź i pokaż mi optymizm, a padnę w twoje objęcia i zapłaczę na twoich piersiach.

— Rzuć Namiestnictwo i chodź do mnie, dam ci rocznie pensyi trzy tysiące guldenów na początek. Odżyjesz, twoja samodzielność, twój talent znajdą zastosowanie.

— Zapóźno, mój drogi — dziś już jestem tylko biurokratą!.. Wstaję o ósmej, piję kawę, golę się, ubieram, i same nogi prowadzą mnie do biura, — a tam same ręce rysują, rachują, piszą. O trzeciej idę na obiad, potem drzemka, spacer i gazety, nareszcie partya w kole artystycznem, bo jestem artystą, o ile gram w karty. Śpię o jedenastej.... I tak dzień w dzień i tak zawsze aż do śmierci. Gdy zmienię porządek rzeczy, jestem chory, głowa mnie boli, niedołężny, zdenerwowany!.. Możebyś mi kazał nie sypiać po nocach, pilnować, tworzyć nowe plany? — zapóźno! Wolę ja swoje pewne tysiąc pięćset rocznie i nadzieję awansu, niż twoje trzy tysiące na dwa, pięć, a choćby na dziesięć lat.

— Dam ci cztery tysięce, zawołał Tadeusz.

— Zapóźno, mój drogi, już jestem zbyt starym biurokratą, szablonem, szematem, co chcesz, tylko nie energią i twórczością!...

— Powiedz mi, co się dzieje z naszym indywidualizmem, którym rozbijaliśmy nasze państwo?

— W Galicyi zamordowany biurokratyzmem i nędzą — śpi, może na wieki!..

— A przecież to nasza siła, nasza wielkość, nasz temperament, byle tylko dobrze pokierowany. Nim się wyróżniamy, w nim czujemy przyszłość, nadzieję, odrodzenie.

— Może się odezwie we wnukach naszych. Dziś płacić podatki i dostawiać rekruta to jedyna nasza powinność, jedyny obowiązek, jedyny patryotyzm, nazwany z katedry i dzieł naszych dygnitarzy.

Spojrzał na zegarek, zerwał się.

— Muszę lecieć, a nawet pojadę, bo mój szef, jeśliby wcześniej przyszedł przedemną do biura chociaż raz, nie przebaczyłby mi tego przy awansie. Zobaczymy się przecie.

— Do widzenia!

Rozstali się. Tadeusz wypił duszkiem herbatę i wybiegł. Tańczyły przed nim trzy czarownice, trzy zmory, trzy blade, żarłoczne, a głodne postacie: biurokratyzm, szablon i serwilizm. Zdało mu się, że chwytają go za gardło i duszą.

Dopadł na schody, przesadzał po trzy stopnie odrazu, stanął na piętrze, odetchnął, zameldował się do dyrektora — wszedł.

— Bywaj, witaj, moćdzieju! Nie mogłem być na uroczystości otwarcia rurociągów. Twój przyszły teść chciał jeść owoce twej sławy, ale mu się nie udało, mimo że szampanem lał...

— Rurociągi drobnostka, zapomniałem o nich...

— Już?

— Idyoci jesteśmy, że ich nie było od początku.

Zbliżył się do dyrektora, ujął go za ręce i patrzał w bladą, na pół mistyczną twarz starca, z którego oczu tryskały ognie zapału, siły i żołnierskiej odwagi.

— Indywidualizm, mówił wzruszony Tadeusz, który jest jedyną siłą i energią narodów i ich przyszłością — zamiera w nas! Zjadają go biurokratyzm i serwilizm....

W oczach starego zapaliły się żółte płomyki, ręce mu zadrżały.

— Widzę to od dwudziestu lat, a tyś dopiero dziś zobaczył... Oni tylko chcą być jednostkami w narodzie, reszta to glina do lepienia przez nich c. k. figurek.

— I dlatego padamy, giniemy, rozkładamy się w szablonie, banalności i serwilizmie... Są urzędnicy Wydziału krajowego, Namiestnictwa, towarzystw zaliczkowych, banków....

– Ale ludzi niema! krzyknął nerwowo dyrektor.

— W nowem pokoleniu wymiera indywidualizm.

— Zabijają go ci, co chcą panować nad głupim tłumem bez jednostek, bez ludzi....

— Ratujmy Galicyę!

— Czem?

— Wielkiemi pracami, w którychby wyrabiały się indywidualizmy. To jedyna droga, inaczej śmierć!

— Śmierć, śmierć, szeptał stary, śmierć, a my przecie żyjemy, mamy możność ratunku i nic nie robimy.. Cała moja społeczna czynność wieczorami „pod Gruszką" rozprawiać z rutynistami i szablonowcami dziennikarskimi o biedzie w kraju lub psy wieszać na politycznych przeciwnikach, takich samych szablonowcach, jak my.....

— Obydwaj czujemy, mówił cicho Tadeusz, konieczność pracy, konieczność roboty — pracujmy, róbmy!...

— Prawda, poświadczył dyrektor, oglądając się z przyzwyczajenia konspiratorskiego. Pięć nowych rygów *), rurociągi, maszyna do nich, wielki żelazny zbiornik na ropę — kredyt na ropę, której nie chcesz teraz sprzedawać, wiesz, wiele pochłonęło? — okrągły milion!....

Rozłożył księgę, Tadeusz rzucił na nią wzrokiem i obojętnie ramionami wzruszył.

— Gdyby milion funtów, nie wielka byłaby to suma, a cóż dopiero milion guldenów! Kopalnia, gdy wszystkie szyby dadzą ropę, zapłaci ten nędzny milion w pół roku.

— Wierzę ci, rzekł uspokojony dyrektor. Wymowa Tadeusza, jego spokój i pewność działały magicznie na dyrektora. Wierzę ci, odrzekł miękko, inaczej nie rzucałbym miliona w jedną kopalnię. Gdym jednak radzie nadzorczej przedłożył bilans, stanęła słupem przed milionem kredytu—dla ciebie, oniemiała, wytrzeszczając oczy szeroko. Poczciwi ci ludzie mają takie pojęcie o wielkim przemyśle, o rzucaniu milionów i wielkich sprawach krajowych, jak ja na przykład, moćdzieju, o budowaniu okrętów!?!..

— I cóż się stało?

— Zaledwo wydusiłem od nich absolutoryum, lecz mi nie wolno pożyczyć ci centa więcej, póki nie oddasz wszystkiego!

---

*) Rygiem nazywa się całe urządzenie, potrzebne do wykopania jednego naftowego szybu.

— Ta—a—k, a tu wypadki nie czekają! Jeden miesiąc spóźnienia zabija często całe przedsiębiorstwo.

— Nową masz ideę?

— Dziesięć, sto, niekończący się łańcuch. W Anglii jedna fabryka tworzy trzy, te — dziesięć.

— Prawda, jesteśmy zepsuci Anglią, rzekł dyrektor.

— A powinniśmy być nauczeni. Tam niema biurokratyzmu, niema więc i szablonu, — są indywidualizmy, dlatego jest i kredyt. Nie pytają komu, tylko na co?

— Tak, tylko na co — powtórzył, zapalając się starzec. Kiedy pracowałem w papierni, pryncypał mój pojechał do Manchester z projektem i gotowymi planami rozszerzenia fabryki i wieczorem przywiózł trzydzieści tysięcy funtów. A u nas zjadłby licha, jeśliby wydobył trzy tysiące guldenów.

— Ratujmy kraj od zagłady, ratujmy wielki, oryginalny nasz narodowy przymiot — indywidualizm, który, nie skrystalizowany w kaście, nie rozsadza państwa, lecz je rozszerza, bo daje społeczeństwu ludzi, nie manekiny serwilistyczne i niedołęgów biurokratycznych. Galicyę trzeba ludźmi zaroić. Ludzi dać, a oni stworzą, co jej potrzeba, myśleć o sobie. U nas w Galicyi za dziewięć dziesiątych inteligencyi myśli rząd. Ta myśl rządowa okrada społeczeństwo z jego myśli. Społeczeństwo w swej rozumnej warstwie przestaje myśleć, bo rząd za nie myśli. Uleczmy społeczeństwo na anemię myśli wielkim przemysłem: to wszystko, co mu dać możemy.

— Trudno to zrobić, mówił smutno dyrektor, we dwóch. Lecz o czem myślisz naprawdę?

— Dziś myślę, pragnę, chcę wielkiej dystylarni ropy na naftę, oleje i parafinę. Ciekłą parafinę gwałtownie oziębiać, oziębioną ściskać i robić ciało, stałe i twarde, jak stearyna! Musimy założyć wielką dystylarnię, którąby mogła wszystką ropę z całej wschodniej Galicyi pomieścić i oczyszczać! Dystylarnia ta byłaby początkiem bogactwa narodowego, i dalej możnaby iść, nie oglądając się na nikogo....

— Jakto?....

— Mamy własną ropę, a będziemy mieć własną naftę, oleje, smarowidła, parafinę. A że produkty te są drogie i pożądane w Austryi i na całym świecie, będziemy mieć za nie miliony. Ja dla siebie milionów nie potrzebuję. Dla mnie wystarcza na dzień funt mięsa i kawałek chleba. Uważałbym za zbrodnię, gdybym dzieciom moim zostawił majątek i robił z nich zjadaczy przezemnie

zapracowanego chleba. A przecież będziemy mieć milionowe dochody! Zaraz ci je, dyrektorze, obliczę.

— Nie obliczaj, na fabrykacyi się nie znam, a więc i cyfr nie mogę skontrolować. Wierzę ci na słowo. Wieleż będzie kosztować wielka rafinerya?!

— Około pół miliona.

— Chwała Bogu, już półtora.

— Choćby dwa. Lecz cóż znaczą dwa miliony wobec możliwych dwu milionów czystych zysków rocznie? Zaraz ci to na cyfrach dowiodę.

— Nie dowódź, wierzę ci! Czy tak jesteś pewny swego, że przysięgniesz?

— Wierzę, jak w prawdę.

Zamilkli, patrząc sobie w oczy. Wzrok Tadeusza melancholijny, powłóczysty padał z wielkich, niebieskich oczu na ostre, szlachetne rysy i niespokojne spojrzenie starca. Wargi jego poruszały się szybko, nie wydając głosu. Pod wzrokiem Tadeusza ostrość rysów miękła, na bladą twarz wystąpiły różowawe rumieńce, niespokojność spojrzenia łagodniała. Zaczął chodzić po pokoju i mówić głośno po angielsku.

— Czem ja tu jestem?! Jestem brytanem, uwiązanym do trzydziestu milionów. Leżę na nich, przykuty na łańcuchu, aby spały spokojnie. Pożyczam mieszczanom na domy, podbankrutowanym szlachcicom na drugie i trzecie hypoteki i dobijam ich powoli, — oto moja rola. Kundlem jestem idyotów, którzy kładą tu pieniądze, zamiast nimi pracować. Niech kładą biedacy, póki nie uskładają tysiąca, aby nim módź zacząć robić.

Zniżył głos.

— Ale tu śpią w jednej paczce, po pół miliona i milionie... a wieleż ludzi wyciąga ręce i woła: środków do pracy, środków do rozwoju!.. Ja im na to odpowiadam szczekaniem i brzękiem łańcucha, jako narodowy kundel, strzegący milionów leniów i tchórzów... Jeżeli nie będę szczekał i warczał, areopag rady zawoła: Psie, nie pilnujesz, nie słyszymy, śpiąc, twego ujadania — pójdziesz precz! Oto moja rola! Pożyczyłem ci jeden głupi milion, i mało co mnie nie wygnali, pożyczę jeszcze sto tysięcy — wypędzą.

— A więc niema rady, trzeba ściągać obce kapitały. Lecz za obcymi kapitałami przyjdą i obcy ludzie i zagarną nasze bogactwa dla siebie. To nasza przyszłość, to nasza rola... Dlaczego nie powstaje bank wielkich inwestycyi i wielkiego przemysłu?

— Zabawny jesteś!.. Mówić w naszem społeczeństwie o inwestycyjnym banku i o wielkim przemyśle, gdy zaledwo dziesięciu ludzi rozumie, co to jest — i ci dziesięciu — są goli?! Idź, rozmawiaj z tymi, którzy mają miliony, przekonasz się, że oni umieją tylko grać na giełdzie i zgrywać się, ograbiani przez Niemców.

— A więc śmierć, — co znaczy, że trzeba czekać jeszcze sto lat, zanim nasi milionerzy przyjdą do rozumu, a i to wątpliwe.....

— Czekaj, szepnął, czekaj.. Potrzebuję nabrać oddechu, aby powiedzieć, co pragnę.

Podszedł do Tadeusza i położył mu rękę na ramieniu i patrzał mu w oczy serdecznie....

— Widzisz, ja żołnierz jestem, mówił wzruszony, — umiem dwie rzeczy: słuchać i rozkazywać. Jeśli słucham, milczę, lecz, gdy rozkazuję, nie znoszę władzy nad sobą. Gdy rozkazuję — jam wódz — rozumiesz!?!..

— Jest to tak — sprawiedliwe?

— A zatem nie znoszę wtedy nad sobą władzy, gdy sam mam prawo rozkazywania, nie znoszę parlamentaryzmu, gdzie działać potrzeba, rozumiesz mnie?...

— Rozumiem, bo i ja mam to samo w sobie, jak zresztą wszyscy ludzie czynu.

— Społeczeństwo dzieli się na gadaczy i robiących. Na stu — dziewięćdziesiąt gada, dziesięciu działa! Na tych dziesięciu opiera się przyszłość, i dlatego na nich spada wielka odpowiedzialność....

Patrzał w oczy Tadeuszowi, jak gdyby pragnął go przekonać, jak gdyby chciał go zjednać i usprawiedliwić się. Tadeusz odczuł własny wpływ na starca i pragnął mu wlać wzrokiem całą swą siłę woli...

— Mogą być pieniądze, szeptał dyrektor, jest sposób, ale wtedy tylko, gdy ci otworzę tajny kredyt!.. Ja, ty, rachmistrz trzeci, i nikt więcej. Możemy w ten sposób iść kilka lat, zanim nie przyjdziesz do własnych milionów i zebranych pieniędzy nie położymy tam, skąd się je wzięło.

Tadeusz ściskał nerwowo ręce starca.

— Nie dziękuj, robię to, co powinienem. Ty oddałeś młodość swą, życie, mózg, narzeczoną, przyszłość, pozwól i mnie staremu oddać to, co mogę. A gdy się nie uda.....

— To niepodobna, szepnął Tadeusz.

— Daj pokój, moćdzieju, wszystko u nas podobne, ale na to mam sposób....

Podniósł papier z rogu biurka. Tadeusz zobaczył w słoniową kość oprawny rewolwer.

— Jeśli się nie uda!.. Przeżyłem sześćdziesiąt dwa lat uczciwie, dwadzieścia lat pełnię służbę psa na łańcuchu... Jeszcze dziesięć i koniec. Cóżem zrobił — nic!.. Kilkudziesięciu mieszczanom dałem do ręki majątek, kilkudziesięciu uratowałem od nędzy!.. Ale to są moje osobiste sprawy... Co zrobiłem dla kraju?.. Spałem wraz z radą, na — trzydziestu milionach. Obudziłeś mnie!... Nie mogąc służyć głośno, pragnę służyć cicho — nie mogąc dać głośno, pożyczam cicho. Pożyczać cudze bez pewnej rękojmi oddania to tyle, co kraść.... Widzisz, że mogę tak skończyć — ujął rewolwer w rękę. Lecz ty będziesz moim Halbanem — i powiesz, że starzec ten, nie mogąc inaczej służyć krajowi, — kradł... i to był tragizm jego życia... Skończył, jako złodziej, samobójstwem, lecz patrzcie, co zrobił?.. Opowiesz to i hańbę mordu zmyjesz z mej pamięci.

I starzec żołnierz nie mógł więcej mówić, odwrócił się, dwie łzy spadły na jego białe wąsy.

— Pod taką grozą nie przyjmuję tajnego kredytu, zawołał Tadeusz.

— Ha, to oddaj, co wziąłeś! Nie masz, a więc idźmy dalej. Zdaje mi się, że do przyszłego zebrania wielkiej rady naszej kasy miliona nie oddasz — pożyczę ci więc pół miliona, i oddam go za ciebie. Jeśli robić, moćdzieju, to już wielkie rzeczy, jeśli wisieć, to za obie nogi.

Roześmiał się i pochylił nad bladym, oniemiałym Tadeuszem, całując go w czoło.

— Hańbiąca śmierć starca wzruszyła cię. Wierzę ci, że dołożysz wszystkich sił, aby mnie od niej obronić... Wierzę, że nie wydasz grosza napróżno. Nie dla siebie, to fraszka, nie jesteś głupcem lub nikczemnikiem... Ale wierzę, że grosza nie zmarnujesz na rzeczy wątpliwe....

Tadeusz chciał mówić, głos zamierał mu w gardle.

— No, no, pochwyciłeś mnie w swe szpony, opętałeś szlachetnością do tyla, że nawet popełnić dla idei zbrodnię uważam za powinność. Czuję nawet pewną rozkosz w jej spełnieniu... Skończyłem.

Spojrzał na zegarek.

— Dwie godziny przegadaliśmy, a tam pewno pełna sala interesantów. Odchylił drzwi do salonu, zadzwonił, wbiegł służący...

— Proś po kolei. Zwrócił się do Tadeusza, wyciągając do niego rękę na pożegnanie.

— Bądźmy dobrej myśli. Jeśli twoje cyfry nie zawiodą, wyjdziemy czyści, a zawsze coś przecie zrobimy — zawsze to wielkie słowo. Tego się spodziewam! Bądź zdrów, mój drogi. Przychodź codzień, póki tu jesteś, krzepić mnie, ale raniutko. Żołnierz i stary robotnik stają na posterunku od siódmej rano.

ROŹDZIAŁ XIV.

Tadeusz skoczył do powozu i kazał pędzić do mieszkania Urszuli. Zdyszany zadzwonił gwałtownie, otworzyła mu Urszula. Marynia czekała na niego w salonie.

— Nareszcie! zawołały obie.....

Całował im ręce rozpromieniony, wzruszony, szczęśliwy.

— Moja ubóstwiona zmęczona. Czytam to w jej oczach i smutnym uśmiechu.

— Chciałeś inaczej, niewdzięczniku? rzekła Urszula.

Marynia nie śmiała patrzeć mu w oczy.

— Inaczej, zawołał — inaczej!... „Cierpienia moje i męki serdeczne" skończę nareszcie....

— Skończysz? powtórzyły obie zaciekawione.

— Upiję się czynem, mówił cicho, prawie szeptem ze wzruszenia i entuzyazmu. Moje usta, spalone gorączką, dorwały się krynicy — i piją, piją, piją... Moje nadzieje zmieniają się w czyn, moje marzenia oblekają się w ciało!.....

— Mów — przerwała Marynia.

Urszula wpatrywała się w niego uważnie.

— Tworzę — czy wy, moje panie, czujecie rozkosz tworzenia czynem? Myśli zmieniają się w skrystalizowane ciała i padają mi u stóp......

— Dalej, szepnęła Urszula.

— Mamy tyle ropy z naszych kopalń, że wolno nam ją przerabiać na naftę. Budujemy największą w Austryi dystylarnię. Naftą, olejami, parafiną zalejemy rynki Europy! Anglia ich najwięcej potrzebuje.

— Pieniądze? — spytała Urszula.

— Mam, znalazłem ludzi...

— Czy ojciec mój jest w tej spółce?

— O nie!... Pan Edward nie do takiego przedsięwzięcia, gdzie trzeba ryzykować i walczyć!

— A ty?

— Opowiem!

Przysunął się do Maryni, ciotkę Urszulę wezwał ruchem głowy i zaczął cichutko.

— W okolicy Kołomyi jest węgiel podobno płytko, a gruby na dwa metry!... Węgiel to przemysł, węgiel to bogactwo, węgiel to siła, para, elektryczność... Jutro tam jadę, zobaczę, obliczę. Dwa rygi przenoszę pod Kołomyję do szukania pokładów węgla i puszczam je w ruch. Gdy tylko go znajdę, buduję kolej. Obok węgla często bywa żelazo!.. Na węglu i żelazie stanęła Anglia i Belgia.....

Marynia słuchała z upojeniem.

— On jeden to może zrobić, myślała, i ten jeden należy do mnie, będzie moim mężem, ja z nim i przy nim. Zostanę jego dobrym duchem, jego siłą, jego twórczością, jego ukochaną, jego żoną. Spracowane wielkiemi myślami czoło będzie kładł na mojem ramieniu. Ja go będę tulić do snu i szeptać mu do ucha: „Ukochałeś ludzi miliony, bo za miliony myślisz i pracujesz"... Patrzała na niego serdecznie i ciepło. W tem cieple było tyle miłości i poddania, że aż ciotkę oblał rumieniec, lecz tego nie widział Tadeusz... Powoli, nieśmiało dziewczę przyłożyło palce do jego ust. Ocucony całował je.

Urszula posmutniała.

— Mów jeszcze, mów — szeptała do niego Marya.

Spojrzał na zegarek.

— Zostałbym tu wieczność, rzekł — ale — — —

— Wątpię — powiedziała ostro ciotka i odrazu oblała zimną wodą oboje.

Tadeusz wyjął kartę wizytową i podał ją Maryi...

— Marszałek sejmu, czytając, mówiła, prosi go do siebie na pierwszą godzinę...

— Musimy brać to, co jest, i z tego zacząć budować, tłómaczył Tadeusz.

— Nie przeczę, odrzekła łagodnie Urszula.

— A zatem jestem wytłómaczony. I proszę cioci o odwołanie wątpliwości.

— Nie odwołuję.

Tadeusz powstał.

— Ale ja za ciocię odwołuję, usprawiedliwiam go i uniewinniam.

Podała mu obie ręce. Położył dłonie jej na swej twarzy.

— Spiesz się, dżentlemeni się nie spóźniają.

— Prawda, szepnął, pochwycił kapelusz, wybiegł do przedpokoju, Urszula wyszła za nim.

— Kredyt daje ci stary, szepnęła.

— Tajemnica.

— Tem gorzej. Stary długo się trzyma, lecz, jak raz stoczy się w jedną stronę, nie zatrzymuje się. Jak raz uwierzy w ideę, idzie do ostateczności.

— A więc cóż, cioteczko, mam robić!?! Cofać się?

— Zawojowałeś go, urzekłeś, a jak dziś mówią, zasugestyonowałeś, i boję się o was. Losy starca i jego przyszłość trzymasz w swych ręku.

— Ciociu!...

— Masz wielką odpowiedzialność.

— Oceniam ją i rozumiem.....

— Nie znam ciebie w tym kierunku i dlatego ostrzegam. Starzec sześćdziesiąt dwa lat przeżył w nieskazitelności. Pomyśl nad tem.

— Dbam o niego tyle, co o siebie.

Wyszedł do sieni, Urszula za nim.

— Zdaje mi się, że ty węgiel pod Kołomyją więcej dziś kochasz, aniżeli Marynię — i dlatego powiedziałam: „wątpię".

— Cioteczko, czyż można porównywać?

— Można — do widzenia.

Urszula wróciła do salonu, Marynia ze splecionemi rękoma stała, zapatrzona w przestrzeń.

— Zamało był czuły, jak na narzeczonego, któremu odebrano ubóstwioną, a dziś ją odnalazł.

— Nie kochałabym go, gdyby nic i nikogo nie kochał, prócz mnie. Niech kocha cały świat.

— Ale w tobie i przez ciebie.

— Kochać we mnie kopalnie nafty, dystylarnię, szybkie oziębienie parafiny i węgiel! Ciociu, ależ ja tego nie chcę!

— Wszystko dla ciebie, przez ciebie i w tobie! To jest miłość! Inaczej jesteś przyczepioną do górnika i fabrykanta.

— Nic nie szkodzi, lecz ten górnik i fabrykant jest mój, to dosyć dla kobiety, która kocha nie tylko człowieka, ale i jego czyny i chce być z nich dumną. Kobieta, która nie jest zdolną kochać czynów swego męża, czemże jest? kochanką jego — metresą?!

Ciotko, wybujałym romantyzmem nie upokarzaj mnie. Jestem jego żoną, chociaż los rozdziela nas! I dlatego, że mogę kochać w nim całą skalę jego pragnień i czynów, — kocham go!

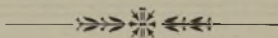
Ciotka pochwyciła ją w objęcia.

— Dziecko, ty jesteś jakieś odmienne i dlatego szczęśliwe, że los dał ci człowieka, którego czyny możesz cenić. Jeśli cię nawet przestanie kochać, ty go odnajdziesz w jego dziełach!... Coby matka twoja dała, gdyby była na twojem miejscu. Lecz dlaczego on cię ma przestać czcić i uwielbiać!?... Po wybuchach uczuć do węgla i dystylarni, które nie są niebezpieczne, wróci do ciebie.

— Cιociu, choć jestem młoda, już przeżyłam romantyzm, po nim pozytywizm — i wróciłam do tego naszego racyonalnego idealizmu — wiary w lepszą przyszłość. Będę czekać na niego. Wróci, zastanie mnie, zawsze tą samą. I wtedy powie, że po za węglem i dystylarnią, po za całym światem walk, czynów, szamotań się jest jedno serce, bijące dla niego, jedno uczucie oddane mu, jedno ramię, na którem głowę może złożyć — po zwycięstwie lub przegranej. We mnie będzie miał sędziego nie czynów, lecz zamiarów, pobudek, chęci, pragnień... Czyż może odemnie odejść, jeżeli ukochał duszę moją?!..

(*D. c. n.*) *Sewer.*





Wspólna własność ziemska

W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ. *)

VII.

Przegląd przepisów prawa obowiązującego, dotyczącego gminy wiejskiej wielkorosyjskiej, byłby niekompletny, gdybyśmy choć w streszczeniu nie podali zasad organizacyi władz miejscowych do spraw włościanskich; atrybucye tych władz wskażą nam istotne granice samorządu gminnego.

Wspomnieliśmy już na początku naszej pracy, że władze te dwukrotnej ulegały reorganizacyi. Przy reformie 1861 kamieniem węgielnym tej organizacyi był urząd pośredników pokoju (*Pośrednikow mirowych*), których zadaniem było usuwanie nieporozumień i sporów, mogących wyniknąć z obowiązkowych stosunków pomiędzy obywatelami a czasowo zobowiązanymi włościanami (zatem z wypłat czynszu i odbywania pańszczyzny), zawiadywanie specyalnemi sprawami włościanskiemi, wskazanemi w ogólnych i miejscowych przepisach o włościanach, uwolnionych z poddaństwa, kierowanie pierwszymi krokami gmin wiejskich i dozór nad spełnianiem przez włościan ich zobowiązań wobec skarbu i b. właściciela. Na urzędy te powoływano tylko rodową szlachtę, posiadającą własność ziemską

*) Ob. „Ateneum", luty, 1900.

w gubernii. Z list, układanych przez marszałka szlachty, wybierał gubernator, zatwierdzał Senat. Urząd mirowego pośrednika był honorowym, nie było doń przywiązanych ani rangi, ani pensyi. Wyjątek stanowiły urzędy pośrednikow mirowych w 9-ciu guberniach zachodnich, w których od roku 1863 byli oni zwykłymi urzędnikami przez rząd nominowanymi, (§ 21, uwaga 4, 22 uw. 4).

Do spraw, podlegających władzy pośrednika mirowego, prawo zalicza:

1) spory pomiędzy włościanami a obywatelami, wynikające z kwestyi czynszów i pańszczyzny (ze stosunków czasowych zobowiązań), a także skargi włościan i gmin wiejskich na postanowienia Zebrań Włości i władze gminne wsi i włości;

2) poświadczenie umów, zawieranych między włościanami a obywatelami;

3) wydawanie rozporządzeń, specyalnie wskazanych w Przepisach o włościanach, zwolnionych od poddaństwa, i

4) niektóre specyalnie wskazane w prawie czynności charakteru policyjno-sądowego. Wśród spraw, ulegających decyzyi pośrednika (przeważnie sporów między włościanami a obywatelem) prawo w p. 6 wymienia rozstrzyganie skarg na postanowienia zebrań gminnych wiejskich co do działów rodzinnych (§ 24). Skarg na decyzye Zebrania Włości i na Władze Włości — pośrednik sam nie rozstrzyga, ale wnosi je ze swą opinią na posiedzenia Zjazdu Pośredników. Do czynności jego wykonawczych należą sprawy o uwolnieniu włościan z gminy, sprawy zatwierdzania Naczelnika Włości, wybory władz w gminie wiejskiej i we włości, nakładanie kar dyscyplinarnych na osoby, pełniące te urzędy, i sprawy o usunięcie z gminy ich członków (§ 26 i 27). Pośrednik własną decyzyą miał prawo nakładać kary na władze wiejskie do wysokości 5 rubli i 7 dni aresztu. — Starszego wsi i pomocników Naczelnika Włości w wypadkach poważnego nadużycia władzy miał prawo zupełnie usunąć; — Naczelnika Włości mógł usunąć czasowo, a ostatecznie tylko za zgodą gubernatora. W gminach, które zalegały w pełnieniu zobowiązań względem obywatela, pośrednik mógł na żądanie tegoż obywatela usunąć całkiem władze gminne wiejskie i na ich miejsce wyznaczyć nowe osoby.

Instancyę wyższą do spraw włościańskich stanowiły Powiatowe Zjazdy Pośredników, w których przezydował powiatowy marszałek szlachty, — rząd zaś miał swego przedstawiciela osobnego, specyalnie do tych zjazdów delegowanego.

Najwyższą instancyą miejscową były Urzędy Gubernialne do spraw włościańskich, w których prezydował gubernator, a do składu których wchodzili: gubernialny marszałek szlachty, zarządzający dobrami państwa, prokurator, dwu obywateli szlachty, nominowanych przez ministra spraw wewnętrznych na przedstawienie gubernatora, i dwu obywateli szlachty, wybranych przez zgromadzenie szlacheckie. Kompetencyą Urzędu dotyczyła głównie wprowadzenia w życie reformy, określenia przestrzeni nadawanych gruntów, wysokości czynszów, pańszczyzn i wykupu, ale obejmowała także rozpatrywanie skarg na czynności pośredników i Zjazdów, — a także i zatwierdzenie postanowień zebrań gminnych o usunięciu z gminy jej członków. Gubernator miał prawo, pod osobistą odpowiedzialnością, wstrzymać wykonanie postanowienia Urzędu i przedstawić ich drugiemu Departamentowi Senatu z jednoczesnem doniesieniem o tem ministrowi spraw wewnętrznych.

Organizacya władz miejscowych, która istniała w Cesarstwie pomiędzy zniesieniem Pośredników, a ustanowieniem Naczelników ziemskich mało przedstawia interesu. Był to stopień przejściowy, w którym do składu Urzędu powiatowego wchodzili: powiatowy marszałek szlachty, jako prezes — delegat rządu w charakterze członka stałego (*Niepremiennyj Czlen*), naczelnik powiatu (*Isprawnik*), prezes zarządu ziemstwa powiatowego i 1 sędzia pokoju honorowy, nominowany przez ministeryum sprawiedliwości.

Członka stałego, pełniącego niektóre z dawnych funkcyi pośrednika, nominował minister spraw wewnętrznych na przedstawienie gubernatora, który wybierał 2 kandydatów z listy szlachty, posiadaczy ziemi w gubernii, listy, ułożonej przez sam Urząd powiatowy do spraw włościańskich.

Członkowie stali mieli rangę, pensyę i dodatki na wyjazdy i kancelaryę, a wydatek ten pokrywały budżety ziemstw. Kompetencyi Urzędu powiatowego do spraw włościańskich ulegały wszystkie te sprawy, które decydował poprzednio Zjazd pośredników — a prócz tego z atrybucyi dawnych pośredników — dodano im: 1) zatwierdzenie Naczelników włości i odbieranie od nich przysięgi; 2) nakładanie kar i oddawanie pod sąd władz gminnych; 3) usuwanie z urzędu nie zasługujących na zaufanie pisarzy włości; 4) rozpatrywanie skarg na nieprawidłowości przy wyborach gminnych; 5) kwestye łączenia kilku gmin wiejskich w jedną; 6) nadzór nad bankami włościańskimi w dobrach należących niegdyś do osób rodziny panującej; 7) rozpatrywanie skarg obywateli, włościan i osób trzecich na władze gminne; 8) rozpatrywanie skarg na opiekunów mało-

letnich i opiekę gminy nad małoletnimi; 9) sprawy o wyłączenie z gminy szkodliwych jej członków; 10) zatwierdzenie postanowień gminy o oddanie zalegającego w podatku na zarobki do innej gminy i t. d.

Jednocześnie § 153 włożył na naczelnika powiatu (*Ujezdnawo Isprawnika*) obowiązki nadzoru nad regularnym wpływem od włościan podatków i sum wykupowych, i przedsiębranie wskazanych prawem środków ściągania ich; ściąganie na rzecz obywatela przyznanych przez włościan czynszów, powinności i wykupu i t. d. (nominacye polnych stróży — areszt usuwanych z gminy), przyczem prawo poleciło mu (§ 154), aby przy wyborze środka ściągania podatków brał pod uwagę opinię Naczelnika włości, — a sprzedaży ruchomości i czasowego odebrania gruntów dokonywał tylko z decyzyi urzędu powiatowego, na ostateczne zaś odebranie włościanom gruntu wyjednywał pozwolenie urzędu gubernialnego.

Najważniejszym dla nas jest dodatek III[1], określający organizacyę władz miejscowych tam, gdzie zaprawdzono urzędy okręgowych naczelników ziemskich, powracając w ten sposób do władzy osobistej, ale mającej charakter bardziej rządowy, niż władza byłych pośredników. Naczelnikiem ziemskim — w zasadzie mogą być tylko: 1) osoby, które były przez lat 3 w gubernii marszałkami szlachty; 2) należące do szlachty rodowej, mające lat 25 i posiadające świadectwa z ukończenia wyższego zakładu naukowego; 3) osoby, które pełniły w gubernii przez lat 3 urzędy mirowego pośrednika, sędziego pokoju, członka stałego urzędu powiatowego do spraw włościańskich, i albo same, albo żony ich, albo rodzice posiadają w gubernii przestrzeń ziemi, wynoszącą $1/2$ tej przestrzeni, jaka daje prawo być wybranym na członka ziemstwa, albo też nieruchomość, ocenioną do podatku na 7500 rubli. W razie braku w gubernii osób, odpowiadających tym warunkom mogą być mianowane osoby pochodzenia szlacheckiego z mniejszym cenzem majątkowym.

Nominacyi na 3 lata udziela minister spraw wewnętrznych — na przedstawienie gubernatora z dołączeniem opinii marszałka szlachty. W razie braku osób, któreby posiadały świadectwa z ukończenia wyższych lub średnich zakładów naukowych, minister spraw wewnętrznych może nominować osoby, o których posiada wiadomość, że są godne zająć ten urząd.

Paragraf 22 powierza Naczelnikowi Ziemskiemu wszystkie te czynności, które reforma z 1861 r. powierzała mirowemu pośrednikowi, a w szczególności te czynności, które są wymienione w §§ 23—46.

Przedewszystkiem do niego należy nadzór nad wszystkiemi władzami gmin włościańskich i dokonywanie rewizyi tych władz zarówno z polecenia gubernatora, jak z własnej inicyatywy. W czasie nieobecności naczelnika powiatu — naczelnik ziemski ma dozór nad policyjno-administracyjną działalnością władz gminnych. Ma on prawo: wnosić na zebrania gminne sprawy, których decyzye uważa za potrzebne, decydować prośby o uwolnienie od obowiązków osób, wybranych na urzędy gminne; on donosi naczelnikowi powiatu o osobach, wybranych na Naczelników włości, decyduje sam skargi podane na władze gminne, ma prawo usuwać niegodnych zaufania pisarzy gminnych, rozpatrywać wszystkie postanowienia, zapadłe na zebraniach gminnych, i jeśli się przekona, że postanowienia te są prawu przeciwne, dążą do jawnej szkody lub naruszenia praw czy to pojedyńczych członków gminy, czy to osób, zapisanych do włości, to powinien wstrzymać wykonanie takiego postanowienia i przedstawić je, z opinią swoją do decyzyi zjazdu naczelników ziemskich. Obowiązkiem też jego jest przedstawiać na zatwierdzenie tego zjazdu wszystkie postanowienia zebrań gminnych dotyczące: 1) ustanowienia lub zmian w sposobie pobierania i przechowywania sum podatkowych skarbowych, ziemskich i gminnych, lub też dotyczące sposobu prowadzenia kontroli nad władzami gminnemi co do wyżej wymienionych funduszów, i 2) połączenia gmin drobnych w jedną gminę. On także przedstawia na zatwierdzenie urzędów gubernialnych do spraw włościańskich postanowienia zebrań gminnych co do 1) sprzedaży majątku ruchomego i nieruchomego nieletnich — i zamiany nadziału należnego nieletnim; 2) skargi na postanowienia zebrań gminnych w tych kwestyach; 3) usunięcia z gminy szkodliwych jej członków i 4) nieprzyjęcia nowych członków (sądownie karanych), a usuwanych oddaje do aresztu. Dalej do naczelnika ziemskiego należy: *a)* nadzór nad kapitałami gmin, zatwierdzenie postanowień zebrań gminnych co do wydatkowania z tych kapitałów, a jeśli z temi postanowieniami zgodzić się nie może, przedstawienie ich do decyzyi zjazdu nacz. ziemskich; *b)* nadzór nad kasami oszczędnościowo-pożyczkowemi, kasami pomocy, bankami wiejskiemi i wszelkiemi instytucyami kredytu włościańskiego, *c)* nadzór nad prowadzeniem interesów przez opiekunów nieletnich i rozstrzyganie skarg na postępowanie opiekunów. W końcu obowiązany jest dbać o ekonomiczny dobrobyt i moralny rozwój włościan swego okręgu. On wykonywa postanowienia urzędu gubernialnego do spraw włościańskich, wydaje opinie co do planów urządzenia wsi i rozstrzyga spory, wynikające przy przebudowie wsi;

on otwiera zebrania gminne, na których mają być dopełniane wybory władz gminnych, zatwierdza przewodniczących na tych zebraniach i rozstrzyga spory, zaszłe przy wyborach, przyjmuje udział w komisyach, rozkładających sumy wykupowe od b. włościan skarbowych na pojedyńcze gminy wiejskie, i spełnia w ogóle te obowiązki, które prawo kładło na stałego członka urzędów powiatowych.

Dalej ma on władzę sądową w sprawach cywilnych i kryminalnych równą z sędziami miejskimi. Ma prawo karać 3 dniami aresztu i 6-ma rublami kary za niewypełnienie jego rozporządzeń — a urzędników gminnych karać do 5 rubli i aresztem do dni 7 i czasowo usuwać od pełnienia obowiązków. W razie wykrycia roztrwonienia sum gminnych naczelnik ziemski obowiązany jest zabezpieczyć osoby i majątek winnych i zawiadomić sędziego śledczego. Postanowienia naczelnika ziemskiego w kwestyach: spraw, decydujących się na Zebraniu gminem, usunięcia pisarzów gminnych, oddania pod areszt wydalonych z gminy jej członków, i kar nakładanych z mocy §§ 61 i 62, co do zatwierdzenia naczelnika włości, oddania zaległego w podatkach włościanina na zarobki w granicach gubernii i zatwierdzenia i uwolnienia stróżów polnych są ostateczne — wszystkie inne ulegają apelacyi, która podaje się do zjazdu naczelników lub do urzędu gubernialnego do spr. wł. stosownie do ważności sprawy.

Gubernator i urzędy gubernialne do spraw włościańskich mają bliższy nadzór nad czynnościami naczelników ziemskich, dają im wskazówki postępowania i zarządzają rewizyę ich kancelaryi i postępowania. Naczelnik ziemski składa coroczne sprawozdanie swych czynności Zjazdowi.

W zjazdach powiatowych przewodniczy powiatowy marszałek szlachty — a zasiadają wszyscy naczelnicy ziemscy powiatu — naczelnik powiatu (*Isprawnik*) i prezes Zarządu powiatowego Ziemstwa; przy sądzeniu zaś spraw cywilnych i kryminalnych zasiadają jeszcze sędziowie miejscy, członek sądu okręgowego, honorowi sędziowie pokoju i prokurator. Władza zjazdu w sprawach administracyjnych jest ta sama, co władza zjazdów mirowych pośrednikow.

Marszałek szlachty powiatu lub osoba pełniąca obowiązki prezesa zjazdu naczelników ziemskich ma prawo rewidować kancelaryę naczelników ziemskich, urzędy gminne i włości — i o rezultatach rewizyi donosić urzędowi gubernialnemu do spraw włościańskich. Gubernator zaś ma prawo zarządzić rewizyę kancela-

ryi i korespondencyi zjazdu, dawać zjazdom instrukcyę celem jednakowego stosowania prawa, a o rezultatach rewizyi komunikuje urzędowi gub. do spraw włościańskich.

Jako władza administracyjna Urząd Gubernialny pełni te same funkcye, co i poprzednio ze zmianami, wyłożonemi w § 113—122. Ma on nadzór nad czynnościami naczelników ziemskich i ich zjazdów i obowiązek rewidowania ich działań. Urząd gubernialny decyduje kwestye: 1) usunięcia z gminy i nieprzyjęcia do gminy jej członków; 2) sprzedaży ruchomego i nieruchomego majątku nieletnich i nieprzyjęcia przez nich nadziału gruntów; 3) apelacyi wnoszonych na postanowienia gmin w tych kwestyach; 4) usunięcia na żądanie gubernatora urzędników gminnych — i oddania ich pod sąd; 5) zatwierdzenia decyzyi zebrań gminnych co do przemianowania wsi na miasto; 6) zatwierdza przedstawione przez zjazd powiatowy instrukcye dla gmin wiejskich i włości i dla urzędników gminnych odnośnie do sposobu wypełniania przez nich obowązków, przez prawo na nich włożonych; 7) daje instrukcye co do prowadzenia spraw w zjazdach i dąży do jednakowego stosowania prawa w zjazdach; 8) decyduje kwestye, dotyczące reorganizacyi gruntowej włościan (*poziemielnom ustrojstwie sielskich obywatielej*), 9) odpowiedzialności naczelników ziemskich, etc. etc. etc.

Apelacye od decyzyi urzędu gubernialnego decyduje II Dep. Rządzącego Senatu.

Paragraf 128 stanowi: Jeśli ze względu na szczególnie ważne okoliczności gubernator będzie uważał za niewłaściwe dopuścić wykonania jakiego postanowienia urzędu gubernialnego w kwestyi administracyjnej, to może na osobistą swą odpowiedzialność powstrzymać jego wykonanie i przedstawić sprawę ministrowi spraw wewnętrznych na jego decyzyę. Jeśli zaś, mówi następny § 129 minister spraw wewnętrznych, na zasadzie otrzymanych wiadomości, albo skarg, przekona się, że urząd gubernialny dopuścił się w sferze administracyjnej nieprawidłowości (*nieprawilnostej*), to przedsięweźmie środki dla przywrócenia prawidłowego biegu spraw i, jeśli tego zajdzie potrzeba, wnosi do Senatu żądanie zmienienia nieprawidłowego postanowienia czy też rozporządzenia. Po zniesieniu decyzyi sprawa powraca powtórnie do decyzyi urzędu gubernialnego.

* * *

Pierwotny projekt prawa (złożony do Rady Państwa w 1887 r.) upoważniał ministra spraw wewnętrznych do wydania specyalnej

instrukcyi dla naczelników ziemskich. Przy zatwierdzeniu prawa odpowiedni paragraf opuszczono — powołując się na prawo ogólne ministra wydawania instrukcyi podwładnym. Projekt takiej instrukcyi w niedalekiej przyszłości ma być drogą prawodawczą wydany, i publicystyka rosyjska zajmuje się żywo jego treścią. Nie będziemy tu przytaczać jego osnowy, wskażemy tylko na kilka charakterystycznych szczegółów.

Instrukcya rozróżnia zebrania gminne i włości na 2 gatunki: takie, przy których naczelnik ziemski powinien być obecny, i takie przy których może być obecnym, jeśli to uzna za właściwe. O ile jest obecnym na zebraniu — naczelnik ziemski ma obowiązek sprawdzić czy zebranie składa się z osób mających prawo być na niem, objaśnia zebranym, jakie są ich prawa i obowiązki — i oddala się, aby nie być obecnym ani przy rozprawach, ani przy wyborach.— Sprawozdania rachunkowe gmin i włości powinny być sprawdzone przez naczelnika ziemskiego wprzód, nim będą przedstawione na zatwierdzenie właściwych zebrań. Wszystkie ważniejsze postanowienia zebrań gminnych i włości mają być sprawdzone przez naczelnika, nawet wtedy, kiedy nikt przeciw nim opozycyi nie zakłada. Sprawdzenie odbywa się przez badanie (*opros*) członków zebrania, i w wielu wypadkach instrukcya nakazuje badanie $^2/_3$ osób, obecnych na zebraniu. W niektórych wypadkach badanie takie może być wykonane przez Naczelnika Włości. Naczelnik ziemski ma prawo polecić sądowi włości rozpatrzyć pewną sprawę w skróconym terminie (*wnie oczeredi*) i wskazać sądowi odnośne do tej sprawy przepisy prawa, — a § 14 poleca mu treść wyroków pozostawić sumieniu sędziów i nie wywierać na nich w tym względzie żadnego nacisku. Naczelnik ziemski może zatwierdzać na urzędzie osoby, którym dano na wyborach nie największą liczbę głosów, ale musi zatwierdzenie to przedstawić z odpowiednimi motywami zjazdowi naczelników ziemskich [1]).

VII.

Jak to już raz wspomnieliśmy — wyłożone poprzednio przepisy o pobieraniu i egzekwowaniu podatków i sum wykupowych z włościan uległy zmianie od dnia 1 stycznia 1900 r.

[1]) St. Petersburgskie Wiedomosti. R. 1899, №№ 294, 6, 8 i nast.

Nowe prawo — z dnia 23 czerwca r. p. — odnosi się do: państwowego podatku gruntowego, sum wykupowych i poborów ziemskich. Wszystkie opłaty, należne z tych 3 tytułów skarbowi państwa i kasom ziemstw, wpisywane będą w Izbie Skarbowej na jeden wykaz podatkowy oddzielny dla każdej wsi lub części wsi, jeśli ta część posiada ziemię, oddzielnie. Wsie, posiadające wspólną ziemię, obowiązano przed 1 listopada st. st. 1900 dokonać rozdziału ciążących na nich podatków, w przeciwnym bowiem razie podziału tego dokona Izba Skarbowa na podstawie danych o ostatniej repartycyi podatków na wsie, przez gminę zrobionej. Ustanowiony przez zebranie wiejskie podział mieć będzie moc obowiązującą na lat 6 i winien być zatwierdzony przez naczelnika ziemskiego i Inspektora podatkowego. Termina dostarczenia wykazów podatkowych włościanom i wsiom są w prawie ściśle określone.

Zebranie wiejskie, sielskie, obowiązane jest w ciągu 2 tygodni po otrzymaniu wykazu podatkowego dokonać repartycyi podatków — a tam, gdzie gmina użytkuje z ziemi wspólnie — i sum wykupowych — na pojedyńczych gospodarzy. We wsiach, w których przy uwłaszczeniu gospodarze wykupywali ziemię osobiście, sumy wykupowe nie ulegają repartycyi, ale wysokość należności od każdego gospodarza określa się podług list imiennych gospodarzy, dołączonych do akt wykupu. Naczelnik włości obowiązany jest prowadzić imienne listy gospodarzy, zapisywać w nich wszelkie zmiany, zaszłe w posiadaniu gruntów, i obliczać należności podatkowe od pojedyńczych gospodarzy.

Zasada solidarnej odpowiedzialności za podatki i sumy wykupowe tam, gdzie istnieje wspólne władanie ziemią, pozostała więc bez zmiany; bez zmiany też pozostały przepisy, dotyczące samej repartycyi. Powinna ona opierać się na jednakowej zasadzie dla wszystkich gospodarzy we wsi i przedewszystkiem uwzględnić ilość, jakość i położenie gruntów. W razie potrzeby i stosownie do zwyczajów miejscowych za podstawę do repartycyi mogą być przyjęte i inne wskazówki zdolności płatniczej, a mianowicie ilość robotników, ilość inwentarza, zarobki poboczne, nierolne i t. p. Nie wolno jest tylko przy rozkładzie podatku uwzględniać ani własności ziemi, nabytej po za nadziałem, ani też inwentarza, należącego do tej ziemi. Zebranie wiejskie może — o ile to uzna za właściwe — gospodarzom, znajdującym się w wyjątkowo nieszczęśliwych warunkach, obniżać należność, a nawet uwalniać ich zupełnie od wnoszenia podatków i sum wykupowych, rozkładając należność tę na po-

zostałych. Postanowienia zebrań o repartycyi podatków muszą być zapisane do księgi postanowień i winny wymieniać zarówno zasady repartycyi, jak i motywy ulg, przyznanych pojedyńczym gospodarzom. Kopie z tych protokółów komunikują się przez urząd włości naczelnikowi ziemskiemu i inspektorowi podatkowemu, którzy — jeśli znajdą w postanowieniu zebrania coś prawu przeciwnego — winni żądać zniesienia tego postanowienia przez zjazd naczelników ziemskich. Naczelnik ziemski mocen jest zawiesić wykonanie tych postanowień.

Zebrania wiejskie same określają termina wnoszenia podatków do kasy wiejskiej, które prawo nazywa terminami częściowymi. Terminów tych nie może być więcej, jak dwa, i ostatni nie może być późniejszym od 1 grudnia. Postanowienia zebrań w tym przedmiocie mają być zatwierdzane przez zjazdy naczelników ziemskich, które mogą zamiast terminów, przez gminy wyznaczonych — ustanowić inne, zgodniejsze ze zdolnością płatniczą włościan. — Zebranie gminy może prosić zjazd o wyznaczenie innych terminów, a w razie odmowy odwołać się do urzędu gubernialnego. Raty podatkowe, wnoszone w terminach częściowych, mogą być nierówne.

Nie zmniejszając obowiązków i praw gubernatora w sprawie poboru podatków — nowe prawo rozszerza znacznie wpływ przedstawicieli ministeryum finansów: zarządzających izbami skarbowemi i inspektorów podatkowych. Zarządzający winien mieć ogólny nadzór nad wpływem podatków od włościan i obowiązany jest przedsiębrać wszelkie zależne od niego środki dla niedopuszczenia zaległości, a w razie dostrzeżonych nadużyć i niedokładności zawiadamiać natychmiast naczelników ziemskich i gubernatora. Poboru dokonywają władze wiejskie i władze włości pod kierunkiem naczelnika ziemskiego i inspektora podatkowego. Inspektor winien jest doglądać, aby podatki wpływały w swoim czasie do kas wiejskich i kas włości i w razie opóźnienia w tych wpływach donosi zarządzającemu Izbą skarbową. O dostrzeżonych nadużyciach i niedbalstwie władz wiejskich przy poborze podatków inspektor donosi naczelnikowi ziemskiemu, a gdyby ten nie przedsięwziął należytych środków — zarządzającemu Izbą skarbową. Inspektor też ma mieć nadzór nad prawidłowością rachunkowości podatkowej we wsi i włości.

Przy gminnem władaniu ziemią, mówi § 36, każda wieś lub część wsi, otrzymująca jeden wykaz podatkowy, odpowiada soli-

darnie za terminową wypłatę podatków — o tyle, o ile ta wieś lub część wsi otrzymała przy uwłaszczeniu grunta na więcej niż 60 dusz rewizyjnych [1]). Jeśli wydzielono jej mniej, to wypłata podatków i sum wykupowych leży na odpowiedzialności każdego gospodarza zosobna, tak samo, jak i we wsiach, które użytkują dziedzicznie z ziemi. We wsiach, w których gospodarze posiadają część ziemi we wspólnem użytkowaniu, a drugą część ziemi w posiadaniu dziedzicznem — odpowiadają oni solidarnie za podatki (i sumy wykupowe), tylko z tej części, z której użytkują wspólnie z innymi. Gospodarzom, posiadającym ziemię w użytkowaniu dziedzicznem, wolno łączyć się w stowarzyszenia dla solidarnej odpowiedzialności za podatki. Połączenie takie winno być wyrażone w protokóle zebrania wiejskiego, który ma być zakomunikowany naczelnikowi ziemskiemu i inspektorowi podatkowemu.

Niewątpliwie najważniejszym ustępem nowego prawa są przepisy o ściąganiu niedoborów, w których prawo odróżnia sumy nie wniesione w terminie do kas wiejskich — i sumy nie wniesione w terminie do kas państwowych. Pierwsze nazywa prawo niedoborami — drugie zaległościami (*niedoimka*). Dla ściągnięcia niedoborów zebrania wiejskie lub zebrania wsi (*sielskij schod* i *sielennyj schod*), a tam, gdzie solidarność podatkowa nie stosuje się, albo gdzie zebranie wiejskie po upływie tygodnia od daty terminu częściowego nic w tej materyi niepostanowiło — władze włości mają prawo zastosować do zalegających gospodarzy następujące środki (§ 50):

1) zająć na pokrycie niedoboru dochód dłużnika z majątku nieruchomego;

2) (zamiast dawnego przepisu o oddaniu na zarobki) nałożyć areszt na zarobek niepłacącego gospodarza, albo na zarobki członków jego rodziny (z wyj. kobiet i nieletnich), a także nałożyć areszt na wszelkie należne mu sumy pieniężne;

3) naznaczyć zalegającemu gospodarzowi opiekuna lub też wyznaczyć głową rodziny innego jej członka;

4) sprzedać taką część ruchomości jaka potrzebną jest na zapłacenie podatku.

Aresztowi za podatki nie ulegają: zapomogi żywnościowe i na zasiew, wynagrodzenia asekuracyjne za spalone budynki,

---

[1]) Prawo dotychczasowe zwalniało od solidarnej odpowiedzialności tylko wsie, liczące w 1861 r. mniej, niż 40 dusz, i tylko co do podatków a nie co do sum wykupowych.

pensye emerytalne, zapomogi na pogrzeby i zapomoga, dawana byłym żołnierzom (3 rs. na miesiąc). Przy aresztach na zarobki zatrzymaną być może tylko kawalerom — $^1/_3$, a żonatym lub dzietnym wdowcom $^1/_4$ część zarobku.

Z ruchomości — nie mogą być sprzedane na pokrycie niedoborów:

1) obrazy święte, przedmioty religijne, i środki naukowe;

2) znaki honorowe i honorowe kaftany;

3) odzież codzienna i naczynia koniecznie potrzebne;

4) ziarno i owoce — potrzebne na wyżywienie rodziny w ciągu 3 miesięy;

5) jedna krowa, albo 2 kozy lub owce, i żywność dla nich konieczna;

6) opał na 3 miesiące;

7) inwentarz roboczy i narzędzia rolnicze i nierolnicze konieczne bezwarunkowo do prowadzenia gospodarstwa na ziemi nabytej przy uwłaszczeniu, a także żywność konieczna dla tegoż inwentarza;

8) nasiona potrzebne do uprawy gruntów nabytych przy uwłaszczeniu.

Wyżej przytoczony spis może ulegać zmianom po porozumieniu się ministrów spraw wewnętrznych, finansów i sprawiedliwości.

Na podstawie opisu i oszacowania, zatwierdzonego przez naczelnika ziemskiego, sprzedaży dokonywa naczelnik włości — po zrobieniu przepisanych prawem ogłoszeń, a w razie niedojścia licytacyi do skutku w pierwszym terminie wyznaczony zostaje termin drugi, w którym zajęte ruchomości mogą być sprzedane niżej oszacowania.

Gdyby po dzień 1 grudnia suma podatków ziemskich i państwowych nie była wniesiona do kasy gminy całkowicie, to zebrania tych wsi, które płacą podatki pod solidarną odpowiedzialnością, mogą jeszcze zastosować do zalegających gospodarzy następujące 3 środki: 1) oddać część ich gruntów w dzierżawę na trzy lata (które następnie mogą być przedłużone); 2) odebrać część gruntów lub wszystkie grunta i 3) sprzedać budynki, niekonieczne do prowadzenia gospodarstwa.

Oddanie w dzierzawę i sprzedaż odbywają się przez licytacyę. Do sprzedaży budynków wymaganemi są: zgoda naczelnika ziemskiego i zatwierdzenie opisu i szacunku budynków przez inspektora podatkowego.

Jeśli mimo użycia tych środków podatki nie zostały wniesione do kasy gminej w całości w ciągu miesiąca grudnia — to nie później, jak 1 stycznia roku następnego, zebranie wiejskie powinno rozłożyć brakującą sumę na wszystkich gospodarzy, a kopię postanowienia zakomunikować inspektorowi podatkowemu. W protokóle powinny być wyraźnie wskazane sumy, włożone na każdego z gospodarzy, a termin ich wniesienia nie może być późniejszym od 1 lutego.

Suma podatkowa, nie wniesiona do kas rządowych na 1 lutego nazywa się zaległością (*niedoimka*). W ciągu 7 dni od d. 1 lutego kasa powiatowa komunikuje inspektorowi podatkowemu wykaz wsi, zalegających z wykazaniem sum, od nich należnych z tytułu podatków. Prawo ustanawia osobne przepisy egzekucyi podatków dla wsi, płacących je pod solidarną odpowiedzialnością gospodarzy, i dla wsi, nie ulegających solidarnej odpowiedzialności, t. j. nie posiadających ziemi we wspólnem użytkowaniu. Przedewszystkiem inspektor winien porozumieć się z naczelnikiem ziemskim, o ile zaległość nie dałaby się pokryć z funduszów i kapitałów gminnych. Jeśli zaległość nie stanowi więcej niż 5% całej sumy podatku rocznego, inspektor może zarządzić zaliczenie zaległości do sumy podatkowej następnego roku. W przeciwnym razie listy niezapłaconych podatków wraz z kopiami postanowień o repartycyi zaległości komunikuje on Naczelnikowi powiatowemu dla egzekucyi. Naczelnik powiatu zarządza opis i oszacowanie ruchomości zalegających w opłacie gospodarzy i sprzedaż tych ruchomości stosownie do wykazu, sporządzonego przy rozkładzie podatków, stosując do nich przepisy p. 4 § 50 i p. 3 § 64 t. j. Opis i oszacowanie komunikują się inspektorowi, który — po porozumieniu się z Naczelnikiem Ziemskim wskazuje, jakie mianowicie przedmioty mają być sprzedane. Jeśli zaleganie włościan pochodzi od ich niechęci do uprawiania nadanych im gruntów (*od ukłonienia ich ot obrabotki*), to zjazd powiatowy na przedstawienie inspektora i naczelnika ziemskiego — po zatwierdzeniu przez Urząd gubernialny do spraw włościańskich — może zarządzić oddanie nieuprawianej ziemi gminnej w dzierżawę przez licytacyę — na lat 6.

Gdyby mimo zastosowania powyższych środków zaległość podatkowa nie została w całości wniesiona, to zaległość ta może być za zgodą inspektora podatkowego i naczelnika ziemskiego doliczona do podatków za lata następne. Zarządzający Izbą skarbową ma prawo zaległości takie — bez ograniczenia sumy — umarzać.

Gdyby inspektor podatkowy nie zgodził się na repartycyę niedoborów, ustanowioną na zebraniu wiejskiem, albo gdyby zebranie wiejskie repartycyi tej nie zrobiło całkiem — to winien się on osobiście udać na miejsce i sam repartycyi dokonać. Egzekucya zaległości wykonywa się wtedy stosownie do repartycyi Inspektora.

Prawo wskazuje dalej przepisy, odnoszące się do wsi, użytkujących z gruntów dziedzicznie — a zatem płacących wykup bez solidarnej odpowiedzialności — które pomijamy — a wkońcu zawiera zasady, dotyczące ulg w wypłacie zaległości.

Gdyby niektórzy z gospodarzy we wsi znajdowali się w ciężkiem położeniu przy zapłacie niedoborów — to naczelnik ziemski na ich prośbę, — i po porozumieniu się z inspektorem podatkowym — może wstrzymać egzekucyę niedoboru do jednego z następnych terminów częściowych w granicach danego roku podatkowego — ale suma tak odłożonych we wsi zaległości nie powinna przewyższać $^1/_6$ części rocznej sumy podatkowej ze wsi całej, gdyby zaś wynosiła więcej, to wniesienie takiego niedoboru może odroczyć tylko Izba skarbowa. W wypadkach klęsk (pożaru, nieurodzaju, upadku bydła i t. p.), które dotknęły wsie całe — zarządzający Izbą skarbową może na zasadzie przedstawienia naczelnika ziemskiego odroczyć wypłatę podatku ze wsi całej na lata następne; może też w tych wypadkach wydać rozporządzenie o wstrzymaniu egzekucyi — a po porozumieniu się z gubernatorem — odłożyć i rozłożyć wypłatę $^1/_2$ raty sum wykupowych na 3 następne lata. W razie braku zgody w tym przedmiocie między gubernatorem a zarządzającym Izbą skarbową — a także w wypadkach, w których idzie o odroczenie sum większych, na terminy dłuższe, sprawa decydowaną będzie w drodze porozumienia się ministra finansów z ministrem spraw wewnętrznych.

Przepisy o wprowadzeniu powyższego prawa w życie zawierają w sobie jeszcze kilka rozporządzeń, o których wspomnieć wypada. Ustanawiają one nowy, trzeci gatunek „*miru*" t. z. zebrania wsi (*sielennyje schody*), złożone z gospodarzy wsi, zwoływane przez starostę, który jest też ich przewodniczącym. Dalej prawo wkłada na naczelnika ziemskiego obowiązek baczenia, aby podatki i opłaty gminne — ustanowione przez zebrania wiejskie i włości, nie obciążały zbytecznie obywateli wiejskich i odpowiadały rzeczywistym ich potrzebom. Inspektor podatkowy, jeśli uzna, że pobory te są nieodpowiednie, może żądać od naczelnika ziemskiego albo zarzą-

dzenia odpowiednich środków, albo przedstawienia tej sprawy na decyzyę zjazdu naczelników ziemskich.

Jeśli w zjeździe, przy decydowaniu sprawy dotyczącej podatków, inspektor podatkowy nie zgodzi się z postanowieniem zjazdu — to sprawa ta musi być przedstawioną gubernatorowi, który po zasięgnięciu opinii Izby skarbowej — albo sprawę wnosi na posiedzenie Urzędu gubernialnego do spraw włościańskich — albo zawiadamia zjazd o pozostawieniu protestu inspektora bez skutku.

Nakoniec prawo poleca:

1) Ministrowi spraw wewnętrznych, aby w porozumieniu się z ministrem finansów zbadał kwestyę zastosowania przepisów obecnego prawa do poborów gminnych, ustanowionych przez wsie i włości, i kwestyę zmian, jakieby należało zrobić w przepisach o poborach gminnych;

2) Ministrowi finansów polecono, aby po upływie roku od daty wprowadzenia obecnego prawa zajął się kwestyą możliwości zniesienia solidarnej odpowiedzialności włościan przy wypłacie podatków bezpośrednich i projekt swój, tego przedmiotu dotyczący, drogą, przez prawo wskazaną, wniósł do władz prawodawczych.

Czy losy „solidarnej odpowiedzialności włościan za podatki" — są już w zasadzie zdecydowane, o tem trudno przesądzać. Dawne przepisy o egzekucyi podatków z chłopa, przepisy, o których organ półurzędowy [1]) powiada, że złą pamięć po sobie zostawiły, przeszły już do historyi — i zasada „solidarnej odpowiedzialności" w każdym razie uległa silnemu ograniczeniu. Nowe prawo rozbiło solidarną odpowiedzialność wsi złączonych ustawnymi gramotami w jedną całość; gminy te stanowiły w guberniach północnych nieraz komplex kilkudziesięciu wsi (wyjątkowo w gub. Jarosławskiej 192 wsi); ograniczyły one tę odpowiedzialność do wsi, posiadających gruntu więcej, niż na 60 dusz męskich — a w końcu, ustanowiwszy ściśle przepisy repartycyi niedoborów podatkowych w gminie — ograniczyły egzekucyę podatków we wsi do tych tylko włościan, którzy nie uiścili się z podatku przy repartycyi, na nich nałożonego.

Zamykając tę część naszej pracy, pozwolimy sobie przytoczyć następującą opinię jednego z najlepszych znawców spraw

---

[1]) Russki Przegląd Ekonomiczny 1899 r. — Lipiec. Str. 116.

włościańskich w państwie — M. Nowikowa, b. naczelnika ziemskiego powiatu Kozłowskiego gub. Tambowskiej:

„Przepisy, dotyczące włościan, są do tego stopnia niejasne, porozrzucane w różnych prawach, ustawach, przepisach czasowych i trwałych, z najróżniejszemi odwoływaniami się na prawa, poprzednio wydane, że dojść w nich do ładu stanowczo niema sposobu [1]."

St. Piotrowski.



[1]) „Zapiski Ziemskawo Naczalnika" str. 58.

Najwyżej zatwierdzona w d. 10/22 grudnia 1899 r. opinia Komitetu Ministrów stanowi jeszcze w tej materyi:

1) że w ciągu r. 1900 żadne zaległości podatkowe za lata poprzednie z włościan — na których rozciąga się prawo 23 czerwca 1899 r. — ściągane nie będą;

2) ustanawia sposób podziału, między Skarbem i Ziemstwami sum, jakie wpłyną w 1900 r. od włościan;

3) poleca Ziemstwom opracować w ciągu 1900 r. projekt umorzenia części zaległości, jaka się Ziemstwom od włościan należy.

Zaległość ta stanowi obecnie około 19 milionów rubli.

Z ŻYCIA POETY.

Prof. Józef Kallenbach. „Wybór listów Adama Mickiewicza“. Kraków, Spółka wydawnicza polska, 1899, str. VIII + 290.

Celniejsi nasi przedstawiciele tegoczesnej krytyki literackiej, Chmielowski, Nehring, Spasowicz, Tarnowski wyzbierali już z korespondencyi Mickiewicza główne wskazówki i zaznaczenia, dotyczące warunków, w jakich się rozwijała jego twórczość, i wpływów literackich lub filozoficznych, jakim poeta podlegał. Pod tym względem sto kilkadziesiąt listów zbiorku, sporządzonego i ogłoszonego niedawno przez prof. uniwersytetu fryburskiego, Józefa Kallenbacha, nowych widoków przed nami nie odsłaniają i obfitszego żniwa recenzentowi nie obiecują. Należycie znamy dziś z pierwszych zaraz wynurzeń Mickiewicza przed przyjaciółmi i kolegami z czasów wileńskich, Malewskim, Zanem, Czeczottem, Odyńcem, poglądy jego i zdania o filozofii Szellinga, w której niema „nic niezrozumiałego, a nawet bardzo głowę łamiącego“, o Kancie, który, według Śniadeckiego, „wiele głów zawrócił“, o Bajronie, „tym największym poecie“, który jednak „może nie wypędzi z kieszeni Szyllera”, o Szekspirze, przez którego Mickiewicz cisnął się „z dykcyonarzem w ręku, jak

bogacz ewangeliczny do nieba przez uszko od igiełki". To samo stosuje się do okresu podróży poety po Rosyi, kiedy powstały Sonety krymskie i „Wallenrod", to samo po wyjeździe za granicę, kiedy na świat przyszły „Dziady" (część trzecia) i „Pan Tadeusz", to samo do epoki kursów z literatury słowiańskiej i towiańszczyzny. Wszędzie tu korespondencya Mickiewicza obok innych świadectw oddawna i do ostatka wysypała swą zasobność.

Wynik erudycyjnych tych poszukiwań i zestawień niezupełnie odpowiedział pokładanym w nich pierwotnie oczekiwaniom. Wypłynęło to w części z wadliwości metody użytej, w części z natury samego przedmiotu. Z pochodzenia swego każdy szczegół biograficzny lub nawet autobiograficzny rzadko kiedy przystaje do mniej lub więcej współrzędnie z nim idącego objawu twórczości, częściej tę twórczość przesłania i zaciemnia, niźli tłómaczy i objaśnia. Analogia daleka—ton całkiem inny. W zbiorku prof. Kallenbacha znajduje się np. list Mickiewicza z Wilna z r. 1822 (lub 1823), „do pani Maryi Puttkamerowej". „Dowiadujemy się, pisze poeta, iż po naszym odjeździe Pani byłaś nieco chorą. Powtórzyliśmy z tej okoliczności litanię tylekroć śpiewaną w Bolciennikach, iż należałoby więcej szanować zdrowie, drogie tylu osobom... Muszę wytłómaczyć się z nierzetelności, za którą tak prędko zostałem ukarany, nie poczuwając się do winy. Ballady moje już dawno byłyby w Bolciennikach, ale dziś ledwo uzyskałem bilet z cenzury. Posyłam tymczasem egzemplarz, jaki się nawinął... Przepraszam za nudy, których byłem przyczyną, nie dobrze wybrawszy książkę do lektury... Chciałbym mieć wkrótce napowrót *Revue enciclopédique* i numer dziennika. Darujesz pani, że ją nudzę księgarskiemi fraszkami, nie mając nic lepszego do doniesienia. Życzę pani dobrego zdrowia i wesołości"... Napróżno obracamy, odwracamy, przeczytujemy i odczytujemy grzeczną tę wiązankę rzeczy powszednich, pragnąc w niej znaleźć chociażby drobne jakie światełko, ubożuchny komentarz, stwierdzający teoretyczny pewnik, że poetyczne nasze myśli, uczucia, natchnienia,—jako kwiaty, wyrastają na glebie codziennego naszego życia i otoczenia. Gleba roztacza się sobie w jedną stronę, kwiaty falują, szumią i wioną swe aromaty w stronę drugą: „Maryo, siostro moja! Nie krewnym łańcuchem, aleśmy pobratani umysłem i duchem; gdy mi dziwactwo losu i twój wyrok wzbrania; równie święte a milsze powtarzać nazwania: choć innem spojrzyj okiem w przeminione lata; i pamiątki kochanka przyjmij z ręki brata"... W liście—konwenans, w poezyi—prawda; jakże tu jedno z drugiem zczepić, jedno przy drugiem postawić? Zapewne, w potocznych przygodach istnienia

nie wszystko stoi pozorem, sztukuje się utartemi formułkami przyzwoitości; szczerość, rzetelność, głębia duszy nieraz się wychyla po nad poziom płytkiego biegu spraw i stosunków towarzyskich. W lat niespełna dziesięć po dedykacyi drugiego tomiku poezyi Mickiewicz w poufnem wyznaniu przed Domeyką z Rzymu (2 stycznia 1832 r.) pisał: „Twój list dawny smutny odebrałem. Było tam kilka słów Maryi. Widok jej ręki tak mnie upoił, że płakałem, jak dziecko. Pierwszy to był płacz od pożegnania się z Czeczottem i Zanem. Nie będziemy już nigdy widzieć się z sobą. Ale powiedz jej, że ona zawsze ma w sercu mojem miejsce, z którego nigdy nikt jej nie usunął i gdzie jej nikt nie zastąpi“... Doskonały dokument, nic on jednak nie dodaje lub bardzo mało do tego, co już wiemy z poezyi, niczem się nie przyczynia do uwydatnienia nieśmiertelnej, w wierszyku złożonej pewności i wiarogodności uczuć, przeciwnie, proza dokumentu od tej poezyi potrzebuje zaświadczenia i rękojmi, nie zaś odwrotnie. „Nikt“, „nigdy“—w przeszłości, w przyszłości—„nie usunął“, „nie zastąpi“ Marylki, w r. 1832 brzmiałoby to nawet, wyznać trzeba, nieco podejrzanie wobec świeżo wtedy rozchwianego stosunku z Ankwiczami, gdyby nie wszechrozstrzygająca i wszerozgrzeszająca odsiecz natchnionej strofki z r. 1823, w której „milsze nazwania” tak stanowczo ustąpiły swych praw boskich na rzecz „równie świętych“ uczuć braterstwa...

Inny przykład. Po rozstaniu się z Ankwiczówną Mickiewicz szybko zastosował się do aforyzmu, przesłanego w tymże czasie bratu Franciszkowi, narzekającemu w Poznańskiem na „psie czasy“ i „dolę“... niełaskawą: „żal po niewczasie na nic się nie przyda, lepiej biedzie wesoło w oczy zajrzeć”. Przeniósł się do Paryża, osiadł w nim na stalsze i napisał do Malewskich w Petersburgu, żeby mu Cesię Szymanowską przysłali na żonę, gdyż, ostatecznie (powiadał z innego cokolwiek powodu) „nie lubię grać w liczmany i puste orzechy”. Oczekując narzeczonej, o której niebawem (29 sierpnia 1834 r.) lakonicznie wyrazi się w liście do Malewskich: „mąż Celiny, po miesięcznem z nią pożyciu, dziękuje wam za nią“, poeta zabrał się tymczasem do „Pana Tadeusza“. „Ukropił“ doń wkrótce cztery pierwsze pieśni, sprzedał rękopism „nowego poematu” (list z 9 czerwca 1833 r. do Franciszka Mickiewicza) za 4000 franków, długi z tej kwoty pokrył i „miał znowu na rok kapitał”... Naraz, jak się to częściej jeszcze zdarza w świecie rzeczywistym, niż w urojonym, klęska obala całe to rusztowanie przezorności i pracy zabezpieczonej. Z Drezna nadbiega wiadomość o chorobie Stefana Garczyńskiego. Mickiewicz zwija gospodarczy swój namiot, zawiesza na warsztacie „Tadeusza”, zabiera pieniądze i jedzie na spotkanie przyjaciela, zmuszonego szukać ratunku w klimacie stref pod-

alpejskich. Ze Szwajcaryi wiezie go na południe Francyi, stąd wybiera się do Włoch, opiekuje się chorym, pielęgnuje go, wydaje dlań ostatni grosz. Szczęście jeszcze, że w drodze bogi łaskawe zsyłają mu pomoc pod „anielską" postacią Klaudyny Potockiej, tudzież w osobie niejakiego Pągowskiego, dawnego znajomego Garczyńskiego, „człowieka zacnego", który zawraca ze swojej drogi, goni, upędza się za strapionymi i znękanymi poetami, jakgdyby za rozkoszą jaką, lub też—że tu czasy i ludzi zmierzymy łokciem tegoczesnym — jakgdyby za dobrym i łatwym zarobkiem. Stracone zachody, stracone kłopoty, koszta, udręczenia bez liku. Garczyński umiera 20 września 1833 r. w Avignonie. „Jestem podobny teraz—pisze Mickiewicz 22 września — do Francuza, wracającego z 1812 r.; zdemoralizowany, słaby, obdartus zupełny, bez butów prawie... O niczem myśleć dotąd nie mogę, ale z czasem wypocznę i zdrowie, mam nadzieję, że wróci. Pągowski po tygodniu stracił apetyt i sen, a ja byłem dwa miesiące w takiem położeniu... Uważam za łaskę Nieba przybycie tu Pągowskiego i Potockiej: bez ich pomocy możebym padł na łóżko"... Wstrząśnienie i wyczerpanie było istotnie wielkie; większego nie doznawał może poeta w swem życiu. Napróżnoby jednak czytelnik usiłował pochwycić chociażby jeden cień lekki najlżejszy tych wzruszeń na granicy IV-ej i V-ej księgi „Pana Tadeusza",—w barwie, układzie, humorze, nastroju poematu. Dopiero gdzieś aż pod sam koniec księgi X-ej, jakiś rys nikły, jakiś szczegół zupełnie podrzędny ze wspomnień o zgonie Garczyńskiego wpadnie do komnaty dogasającego Jacka Soplicy, jak strzałka brylantowa odbije się na łożu o chorego głowę.

Każde, najwspanialsze nawet dzieło sztuki jest niewątpliwie pewnym agregatem życiowych doświadczeń twórcy,—ale doświadczeń, ściągniętych z tylu najrozmaitszych zakątków duszy i zcalonych według tak misternych, a chybkich, norm kompozycyi psychologicznej i estetycznej, że związek tych odwzorów, wyrównanych i spotęgowanych artystycznie, z pierwowzorami wrażeń i wyobrażeń realnych ginie dla nas w pomroce niezbadanych tajemnic obcowania jaźni z otoczeniem. To, co poeta zgromadził z zewnątrz do ogniska swej podmiotowości w chwili tworzenia, istnieje i trwa w dziele, jako kunsztowny zlewek pierwiastków, oddawna w rzeczywistości przebrzmiałych i rozproszonych; gdyż zaledwie tu i ówdzie ocalała z zatraconego tego podłoża jakaś poszlaka luźna, —łąka, pagórek, las, kamień, pierścionek, liść zasuszony w kajecie, list przechowany na sercu przyjaciela lub kochanki... Drogie, nieocenione szczątki! Nie przez to jednak wyłącznie drogie, że na nich spoczęła

niegdyś na chwilę rosa twórczości wielkiego człowieka,—lecz, że w nich podziśdzień tkwi, odźwierciadla się umysłowość całego w ogólności człowieka,—i, jako mistrza, i, jako jednostki pospolitej, typowej, oddychającej tem samem, co my, powietrzem i uprawiającej tę samą, co i my, glebę bytu i niedoli. Z tego punktu widzenia korespondencya Mickiewicza istotnie jest dla nas i na długo pozostanie źródłem nietylko rozkoszy estetycznej, lecz i dochodzeń owocnych, ciekawych, budujących. Zniewala i pociąga tu nas ku sobie rzecz najbłahsza, podoba się nam bez mała wszystko. Podoba się przedewszystkiem sam Mickiewicz,—jego takt, rozwaga, oględność, umiarkowanie,—nawet jego rozum praktyczny. Tak jest, niezaprzeczenie, genialny twórca „Dziadów" był praktycznym: umiał, gdzie trzeba, ilekroć zwłaszcza bieda przyparła, dbać o swe interesa materyalne,—ba! czynić nawet gorliwe zabiegi o poczytność, rozpowszechnienie swych pism. Niepodobna oprzeć się uczuciu podziwu, środkującego między uwielbieniem a odcieniem dobrodusznej ironii, gdy się odczytuje jego instrukcyę z Moskwy, udzieloną Odyńcowi, 6 października 1826: „Zająłem się żywiej uporządkowaniem moich rękopisów, z których i tomik trzeci należy wkrótce wydać. Dobrze byłoby, abyś pomówił o tem z Glücksbergiem. Ja chcę się odnieść do Zawadzkiego, ale, jeżeli on będzie zbyt skąpy lub trudny, gotów jestem gdzieindziej się obrócić. W układach z księgarzami następujące rzeczy miej na uwadze: tomik trzeci będzie tej objętości, co pierwszy, ułożony cały z poezyi drobnych, i stąd, jeśliby cenzura (czego się nie spodziewam) uznała jakąś sztuczkę za niewartą druku, żadnejby to nie mogło sprawić mitręgi. Zapytaj się tedy, ile mnie dadzą gotowymi pieniędzmi,—ma się rozumieć, za jedno wydanie w umówionej liczbie egzemplarzy... Zawadzki życzył przedrukować wszystko na nowo... Spytaj, coby mnie w Warszawie za taką całkowitą edycyę ofiarowano?" (str. 22). Mickiewicz nie lekceważył gotowizny... zapracowanej. Pozwala mu ona wśród przejść najcięższych, najdotkliwszych nieraz nie liczyć na t. zw. życzliwość ludzką. „Pani Potocka—pisał do brata z Genewy 12 sierpnia 1833 r.—przysłała mi była pieniądze do Paryża, ale jej tu zwróciłem; póki mam swoje, cudzych nie chcę" (str. 134). A i ludziom w takich razach wierzy się więcej. Pomimo utrudnionych stosunków z krajem, pomimo niepewności pośrednictwa najzwyklej poufnego, nadużycia zaufania, jak zapewnia poeta—zdarzały się bardzo rzadko. Doradzając Bohdanowi Zaleskiemu jakąś tranzakcyę z wydawcami, Mickiewicz ręczy mu z Lozanny w d. 20 listopada 1839 r., że „oszukaństwa z tamtej strony" nie trzeba się obawiać. „Jeszcze u nas

w kraju nie są tak ucywilizowani, żeby okpiwać poetów... Czasem przehulają ich pieniądze... Ale Poznańczycy regularniejsi" (str. 205). Ale zapiszmy obok tego i cichą skargę z r. 1847 z Paryża przed bratem Franciszkiem na chwiejność sytuacyi literackiej: „Trudny mój tu żywot! trudny on był zawsze i błędny i, jak wiesz, nieszczęśliwy zewnętrznie, lubo nie bez pociech wewnętrznych, a czasem i dni weselszych. Moje stosunki z rządem francuskim zamieszały się. Okazywano mi i przychylność szczerą i względy, i dawano wiele pięknych rzeczy, bylebym się stał człowiekiem rozsądnym, to jest zaczął żyć dla siebie tylko... Było to już dawniej ze mną w Rosyi. I tam mógłbym mieć świetne stanowisko, gdybym wyrzekł się tego, co w duszy noszę, co mnie rusza i żywi i pociesza" (str. 239).

„Gdybym"!...—wyraz to maluczki, ledwie dostrzeżony na powierzchni egzystencyi ludzkiej,—a wszakże, ileż to razy na cienkim tym włosku zawieszoną była alternatywa dalszych kroków i losów Mickiewicza, chwiejących się to na prawo, to na lewo,—w stronę, która go uczyniła tem, czem się stał dla nas faktycznie, w inną jakąś, kędy droga zdawała się pochylać ku najdogodniejszym, na razie może najpożądańszym wyjściom. Jak Napoleona I przez całe niemal życie, tak i jego późniejszego apologetę na katedrze paryskiej, nęcił, ciągnął, porywał w swe objęcia wschód daleki. Po napisaniu sonetów krymskich, po zwiedzeniu Taurydy, „owego Wschodu w miniaturze", młody poeta na seryo wybierał się na Kaukaz, do Persyi, do Indyi może. W Petersburgu w tym celu zaczął się uczyć języków azyatyckich,—ale, jak się wyraża do Lelewela z Moskwy 7 stycznia 1827 r.—„ledwiem zaczął sylabizować, zmuszony zostałem wsieść znowu na sanie" (str. 32). W trzy lata później pisze do Domeyki z Rzymu: „Odyniec bazgrał, widzę, długo o naszych wielkich podróżach na dno krateru... Nie chcę cię nudzić opisem wycieczki do Sycylii,—mało brakło, ażebym nie puścił się za morze. Taż sama przyczyna, która mię do Szwajcaryi ciągnie (Ankwiczówna?) zatrzymała mię w porcie Neapolu. Gdybym wsiadł na okręt, nie prędkobym wrócił"... (str. 82). A Lelewelowi niemal jednocześnie donosił: „Jeśliby się mi udało coś napisać, na czembym mógł oprzeć nadzieje zasilenia finansów, puściłbybym się dalej ku wschodowi" (str. 86). I raz jeszcze do Garczyńskiego w d. 6 maja 1833 r. z Paryża: „Miałem projekta na Wschód: powierzam *tibi soli* i Edwardowi; ale pokoj z Ibrahimem podobno mi odejmie sposobność puszczenia w tamte strony" (str. 122). Doszło to do skutku dopiero przed samym zgonem wieszcza. Tymczasem mocniej, niż

amor lub finanse, trzymali poetę za poły—„swoi". To jest, któż mianowicie?—Litwa. Tylko, że, znowu, nie trzeba tej Litwie zbyt szerokich granic zakreślać. „Masz za złe,—tłómaczy się Domeyce Mickiewicz—że tak czule Litwę wspominam. Uważ, że, kiedy marzę o Litwie, myślę tylko w szczególności o kilku miejscach, o kilku osobach i dla tych serca nigdy nie zmienię; resztę—kocham tylko miłością chrześcijańską i cywilną, jak kraj ojczysty. Gdybym kiedy do Litwy powrócił, nie chciałbym ani jednej nowej znajomości"... Swoją drogą Malewskiego zapewnia w d. 2 lutego 1830 r.: „Nie wiem, dlaczego częściej, niż dawniej, napada mię tęsknota d o k r a j u; przypomniałem słowa owego Rzymianina, który w starości zaczął czuć, co to jest wygnanie". W siedem miesięcy później w liście do tegoż utyskuje, że go dręczą umysłowe kaprysy, nieustające pożądania zmiany: „na Północy tęskniłem do Południa, tu (w Rzymie), tęsknię do śniegów i lasów; nie uwierzysz, z jaką rozkoszą powitałem na stepach wegetacyę północną, zieloną trawę i jodły!" Lata, wypadki, koleje życia nie wiele zaradziły chorobie swojszczyzny. W początkach r. 1840 Mickiewicz przesyła Domeyce za Atlantyk te same żale: „Tęsknota mię teraz ciężka do Litwy napada, i ustawicznie śni się o Nowogródku i o Tuchanowiczach, tobie musi być jeszcze tęskniej" (str. 84, 93, 209). O swoich drugiego stopnia, siedzących tuż zaraz za zachodnią miedzą litewską, Mickiewicz oryginalnie się niekiedy wyraża: „Ruszaj dalej, jeśli ci trudno żyć w c u d z e j z i e m i"—pisze do brata Franciszka, który za plecami Grabowskiego w Poznańskiem czuł się, jak u Pana Boga za piecem. Szczególniejsze to, że w owej cudzej ziemi poeta rozporządza się ze swobodą, jakiejbyśmy dziś we własnym domu nie byli może całkowicie pewni: „puszczaj się w drogę śmiało, — zachęca brata — w każdym dworze gotowe będą dla ciebie konie, chociażby u nieznajomych"...

Prof. Kallenbach przytacza w przedmowie zdanie Domeyki z przed lat trzydziestu, kiedy chodziło o ponowne wydanie korespondencyi Mickiewicza, że „Adam nie lubił pisać listów,—pisał, prawie nie patrząc na pióro, i czemprędzej pieczętował". Antypatyę tę stosować zapewne należy głównie do wymiany myśli z osobami obcemi i postronnemi, gdyż z przyjaciółmi i blizkimi znajomymi poeta był owszem nader wylanym, wielomównym, niezmiernie prostym, szczerym i serdecznym. Nie dbając zbytnio o stylizacyę pierwszych popędów i rzutów swej myśli, stenografował ją błyskawicznie, bez oglądania się na to, czy jakieś jego „wyrażenie krótkie, półwyrazowe, da pochop gadułom do z i m n y c h domysłów i tłómaczeń", — czego się właśnie Domeyko obawiał. Pewna ilość słówek nieoględ-

nych, rzuconych pod wpływem doraźnego rozczarowania lub goryczy, utkwiła istotnie w korespondencyi wieszcza. Szkopuły te usiłowano wyrugować w „wyborze listów", ale pomimo to zostało z nich kilka. Czy list do pani Konstancyi Wodpol (18 maja 1855), opisujący ostatnie chwile biednej Celiny, żony Mickiewicza, nie mógł być usunięty z edycyi, mającej widocznie przeznaczenie popularyzacyjne?... „Ostatnie chwile jej wytłómaczyły po części zagadkę tylu lat bolesnych. Można powiedzieć, że w chwilach tych rozłąki połączyliśmy się po raz pierwszy. Jakoż, przyrzekła mi, że będzie duchem mnie pomagać i być ze mną. Czemuż tego nie było za życia?" (271). W szczegółowym i okolicznościowym życiorysie poety znaczenie tych wyrazów przedstawia się zupełnie inaczej, niż w odosobnionej spowiedzi przed przyjaciółką i współwyznawczynią towianizmu. W ogólności, czytając zwierzenia Mickiewicza, zwłaszcza z ostatniej doby jego życia, trzeba ciągle mieć na widoku i w pamięci, że powaga i genialność wielkich ludzi kończą się na progu usterek i zboczeń prywatnego ich położenia. „Zimnych domysłów" potomności. Domeyko niepotrzebnie się lękał. Trudno nam dziś unosić się i gorączkować nad każdą literą, rzuconą na papier przez Mickiewicza w chwilach zniecierpliwienia lub upadku na duchu. Sam poeta nie żądał od nas podobnej ofiary bałwochwalczej, powiadając w liście do Hieronima Kajsiewicza i Leonarda Rettla z dnia 16 grudnia 1833 r.: „nie wierzcie ślepo żadnemu z ludzi i moje każde słowo sądźcie, bo dziś mogę prawdę mówić, jutro fałsz; dziś dobrze robić, jutro źle" (142). A w innem miejscu (31 października 1835, do Kajsiewicza): „życie nie jest to sztuka lub rzemiosło, o którem starzy tylko i doświadczeni radzić umieją; tu, im kto lepszy, tem więcej umie" (163).

Nawet niezależnie od czystych, nieposzlakowanie niebiańskich źródeł natchnienia Mickiewicz był bardzo dobrym człowiekiem. Wybornie wiemy o tem wszyscy, czuć się to daje w każdym żywszym objawie jego uczucia, drga to w każdem instyktowem drgnięciu jego warg i piersi. Nie wynika stąd przecie, żeby ów Litwin z krwi i kości nie miał swoich drobnych przesądów, nie ulegał pewnym nałogowym skłonnościom zbyt „przenikliwego, ale też i zbyt podejrzliwego umysłu, lub żeby zwycięsko zawsze wychodził z walki z górującymi wpływami lokalnego przeważnie otoczenia i namiętności „pierwotnych" (w rozumieniu A. Swiętochowskiego, „Poeta: jako człowiek pierwotny"). Dostępne mu były podszepty miłości własnej, miewał zaćmienia w mniemaniach o wysokości swego posłannictwa, zaciętym bywał w powziętych raz uprzedzeniach; broniąc

zaś majestatu swej duszy od skazy i ujmy, częściej w niej głuszył, niż tępił, kąkol uraz zastarzałych. Psuły go też, szczególnie pod koniec życia, hołdy współziomków, których zbytnia uniżoność i usłużność, posuwana niekiedy do serwilizmu, dotkliwie kłuła w oczy cudzoziemców, jak to w r. 1848 dostrzegł i światu rozgłosił Aleksander Hercen. Niewygładzonym do dziś dnia faktem pozostała dumna nieprzenikliwość Mickiewicza na wdzięk i moc lutni Juliusza Słowackiego, wykluczonego, milczeniem bezwzględnem pominiętego w wykładach w Collège de France. Razi to nas, współczesnych wielbicieli litewskiego wieszcza, — tem mocniej, że, nie rozumiejąc, nie odczuwając już dobrze żartkości ówczesnych współzawodnictw i sporów doktrynerskich (o towianizm), jednocześnie nie jesteśmy w stanie podzielić, za bezinteresowne uznać poglądów profesora na mistyczną głębokość poetyckiej twórczości najbliższych osobistych jego przyjaciół: Garczyńskiego, Zaleskiego, a nawet, w części, Krasińskiego, których pisma Mickiewicz podnosił i wysławiał nie tylko z katedry, lecz i w ocenach poufnych. „Zaleski Bohdan przyjechał tu (Paryż, 8 stycznia 1839 r.) z okropnym plikiem poezyi, które są, zdaniem mojem, najcudniejsze i stawią go na czele naszych poetów” (189). „Kto wie, czy ty teraz (do Bohdana, Lozanna, 7 stycznia 1840) nie okradasz nas przez sen z wszelkiej poezyi? kto wie, czy mocą silniejszą nie ciągniesz do siebie całego ciepła i światła poetycznego?” (208). „Czytałem cały wczorajszy wieczór twojego Wacława (do Garczyńskiego, 12 stycznia 1833 z Paryża), wrażenie zrobił on na mnie większe nad wszystkie moje nadzieje o nim... Nie byłem nigdy zdolny czuć zazdrość poetycką, ale mnie się zdaje, że, gdyby Wacław nie był twoim utworem, tobym może zazdrościł autorowi” (114). „Odebrałem twój hymn, który należy do najpiękniejszych naszej literatury twórców” (118).... Istnieją wprawdzie okoliczności, łagodzące i objaśniające. Najpierw, nawet o przesłanych do oceny wierszach Kajsiewicza, Mickiewicz pisze: „Twoje poezye ostatnie coraz wyższe, szczersze i głębsze, cieszę się z nich równie, jak ty” (153). Powtóre, znajdują się też w listach poety i o Słowackim wzmianki. wcale nieobojętne. Żartując przed Bohdanem (7 stycznia 1840) ze swojego talentu muzycznego, w który „nikt a nikt nie wierzy”, Mickiewicz utrzymuje, że z czasem, gdy „będzie miał pieniądze, a książki porzuci i na wsi osiędzie”, przekona niewiernych, że się mylili: „mam w tym względzie, jak Słowacki powiada, zapas ironii na całą publiczność” (208). W dniu 25 grudnia tegoż roku odbyła się głośna uczta u Eustachego Januszkiewicza. „Wyzwany improwizacyą przez Słowackiego—opisuje Mickiewicz—

odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu Dziadów nigdym nie czuł. Było to dobrze, bo wszyscy ludzie różnych partyi rozpłakali się i bardzo nas pokochali, i na chwilę wszyscy napełnili się miłością" (224). Bez porównania ciekawszą jest jeszcze wzmianka w liście do Zaleskiego z Paryża z d. 24 czerwca 1841 r. „O poezyi boję się myśleć. Chybabym gdzieś głęboko na wsi osiadł, tobym może coś wydumał. Niemasz tedy na ten raz współubiegaczów, prócz Słowackiego"... Wiedząc już, jak wysoko cenił sobie autor Dziadów utwory Bohdana, wyznać trzeba, że nie mogła z ust Mickiewicza wyjść większa dla Słowackiego pochwała nad przytoczoną. Lecz w takim razie zachodzi pytanie, co oznacza dalsza osnowa listu: „Dobrze i święcie powiedziałeś, że nam trzeba tulić się ku miłości i pokorze. Gdyby i nieboszczyk Byron był między nami, pewnieby nas zbudował pokorą. Ale biedne pyszałki, co się im dzieje! Boję się, żeby ich nie spotkał taki los, jakiego doznają dyktatory emigranckie, gryzieni troskami władzy najwyższej, której rozkoszy nigdy nie użyli" (230). Wystosowane to zostało niekoniecznie, być może, na intencyę Słowackiego, który w tymże jakoś czasie pisał do matki („Listy", wydanie Méyeta, t. II, str. 143): „latałem za marą szczęścia w różne strony... nabierałem także powagi i blasku; tych, co mi byli niechętni, przymusiłem, że otwarcie przedemną stanęli i, widząc mnie niedrżącego, z przed oka mego ustąpili ze wstydem"; w każdym razie, zaznaczmy przy sposobności prześliczne *confiteor* Mickiewicza: „każdy z nas nieraz wierzgnie i drugich zrani; bo, póki człowiek żyje, póty trwa walka, różne myśli, różne uczucia przewiewają głowę i serce"... (143). „Nie dajmy się, bądźmy sobą, stójmy przy swoich prawach" powtarza często i w jednem miejscu (do pani Wodpol, 1852 r.) pojaśnia: „Szukaj wszystkiego, co pociesza, co cię podnosi. Nie daj nikomu z ludzi panować nad tobą. Bądź osobą wolną. Oceń wszystkie prawa, wszystkie środki, które posiadasz, i wszystkiego broń i niczego nie daj sobie wydrzeć. Pokoju ducha nie daj sobie nikomu wydrzeć" (258).

Porównawcza analiza usposobień duchowych i temperamentów artystycznych Mickiewicza i Słowackiego niemało powabnych rzeczy obiecaćby obecnie mogła. Przeprowadził ją niegdyś po mistrzowsku Krasiński na podstawie zasadniczych cech twórczości poetyckiej, w ich dziełach wytkniętych i zestawionych. Ale w podniebnej, oderwanej krainie piękna, duchy wielkie zanadto się obnażają ze swych właściwości, ze swych ziemskich różnic i w tej swojej bezkrwistości podobne są do owych spirytystycznych całek, któremi świeżo Lutosławski, wzorem Leibnitza czy Towiańskiego, wszech-

świat zaludnił. Dziś, kiedy posiadamy listy Mickiewicza i listy Słowackiego, możnaby tę lotność nadobłoczną, balonową obciążyć nieco balastem realizmu, ściągnąć ją bliżej ku nam, spowinowacić więcej z wymaganiami i nomenklaturą doby bieżącej. Przeciwieństwa żądz, widoków, pobudek, aspiracyi wewnętrznych uwydatniłyby się wtedy w całej pełni i barwności przeciwieństw formalnych, zewnętrznych, ostro i jaskrawo występujących na ostatniej, gramatycznej nawet powierzchni pisarskich trybów obu naszych wieszczów. Według wszelkiego prawdopodobieństwa odsłoniłby się przez to i rzetelnie literacki, naukowy powód tajemniczego zamilczenia Mickiewicza o Słowackim w wykładach paryskich. Treściwy, zwięzły, dośrodkowy, rzeźbiarski, indywidualistyczny i nawet w najszczytniejszych polotach (w „Improwizacyi" np.) zawsze jeszcze konkretny i niemal empiryczny Mickiewicz, kto wie,—chciał może, lecz nie zdołał pochwycić, ująć i pokazać powiewnego, rozlewnego, odśrodkowego, fantazyjno-rozrzutnego, panteistycznego, tęczowo-pajęczego i metafizycznego widma utworów Słowackiego. Od wyborowego pisarza Mickiewicz wymagał zalet, jasno i dokładnie określonych. Gosławskiego, przypominającego cokolwiek Słowackiego, z tą tylko różnicą, że go twórca „Dziadów" kochał, taka oto admonicya spotkała w liście do Odyńca z r. 1827: „Gosławskiego uściśnij, wiersze jego czytałem w dzienniku ze smakiem, ale powiem szczerze, że wiersz, w którym zefir przekrzywiał, pożywiał i wywijał, jest pełen deklamacyi... Gosławski może się obłąkać na drodze. Byron tak nie pisał, Goethe tak nie pisał, Trembecki tak nie pisał, Szyller tak nie pisał. To nie jest ani klasyczność, ani romantyczność, — to jest poprostu nonsens. Gdzie niema wyraźnej, dobrze od pisarza zrozumianej myśli, gdzie nie ma prostego i mocnego uczucia, tam mimo słów, figur nic nikt nie znajdzie" (48). Z laty nacisk na ową prostotę, zrozumiałość, wyrazistość, rósł i wzmagał się w Mickiewiczu. Porządnie dostało się z tego powodu Odyńcowi w r. 1828 za jakiś jego dramat, w którym kwiaty rozmawiają o astronomii czy coś w tym guście. „Mam wstręt okrutny — (przepraszając już przyjaciela za pierwszą burzę, tłómaczył się autor „Grażyny") — wstręt okrutny mam do wszystkich wysp i krajów, których niema na mapie, i do królów, których niema w historyi; te intrygi, osnowane na przebraniach się, siurpryzach, wyroczniach, dla mnie nieznośne" (61). Przedmiotowość treści i dostępność przedstawienia nie powinny wszakże bynajmniej pociągać za sobą pospolitości i banalności w ogólnych założeniach i celach. Przeciwnie. Mickiewicz przekonanym jest, że nadejdą czasy takie, kiedy trzeba będzie być niemal świętym,

żeby módz być poetą, kiedy trzeba będzie rozległych wiadomości i prawdziwego natchnienia, — natchnienia z góry, z wyżyn, „żeby obudzić w ludziach uszanowanie dla sztuki, która nadto długo była aktorką, nierządnicą lub polityczną gazetą" (164). Przedewszystkiem atoli, jak na dziś, trzeba myśleć o dobrym stylu. „Dobry zaś styl — to ten, który się najbardziej zbliża do mowy, do rozmowy, a nawet wszystkie zwroty pisma, szczególniej, kiedy się rozprawia o rzeczach poważnych, wyższych, powinny prostotą i szczerotą chodzić w tok rozmowy prostodusznej, prostoserdecznej. To, co piszemy o rzeczach bożych lub ojczystych, powinno być zrozumiałe dla każdego, kto kocha Boga i ojczyznę, a zatem dla pokojowej, dla ekonoma, dla stangreta (czy, jak u was mówią, fornala) nawet. Nie idzie tu o to, aby sposób mówienia zniżać, zbłaźniać, skarczemniać. Wszak pieśni pobożne i wiele pieśni ludowych są proste, ale razem poważne. Trzeba brać wzór z pieśni ludu i dawnych naszych kronikarzy—Stryjkowskiego, Bielskiego, a mianowicie Skargi" (255). Oczywiście, nic podobnego nie przyśniło się nigdy Słowackiemu, — o niczem też podobnem nie można było nawet marzyć z powodu pism Słowackiego. Charakterystyka, ocena talentu twórcy „Anhellego", skreślona według modły mickiewiczowskiej, wyglądałaby chyba wprost potwornie. Byłoby to bodaj czy nie coś w tym rodzaju, jak gdyby posążek Róży Wenedy z bronzu, żywcem chciał kto wcisnąć i wkleić w płótno, na którem napowietrzne walki wszechludów i wszechwieków odmalowane zostały z perlistych mgieł poranka, z krwawych odblasków zorzy, z bladych przywidzeń sennego przerażenia. Dopiero doktryna Towiańskiego zatarła w części, zamazała niektóre ostrzejsze rysy zasadniczej tej między poetami niezgodności wytwórczej. Pod koniec życia np., około r. 1848, Słowacki tak samo, jak Mickiewicz dużo myślał i radził o ludzie, tak samo, jak on, stawiał dziennikarstwo na jednej niemal linii z nierządem i temiż samemi prawie słowami określał programowe zadania Polski, która, jak obaj jednomyślnie utrzymali, „tylko wyższem uczuciem musi być pojmowana". Ale o jakie to cuda autor „Króla-Ducha" u tej Polski się nie napraszał! o jakie cnoty od tego dziennikarstwa się nieupominał! jakich darów Bożych dla tego ludu się nie spodziewał!... Kiedy Mickiewicz po powrocie w r. 1848 z Włoch, dokąd na odgłos wypadków udał się był „w interesie braci" z posłannictwem czynnem, nie przestawał długi czas jeszcze karmić się nadzieją pomyślniejszego obrotu walki, „z którą i nasz los ściśle jest połączony", kiedy nawet po dniach rzezi czerwcowej na ulicach Paryża wyłącznie w poziomości zamierzeń „władz rządowych" upatry-

wał główną zawodów i klęsk przyczynę (245, 246), — to już Słowacki oddawna się pożegnał ze wszelkimi widokami „chirurgicznego, od góry przerobienia świata”... Czy był od swego „oligarchią zarażonego” antagonisty przenikliwszym, jaśniej widzącym? — Kto to dziś w chaosie niedonoszonych następstw wyśledzi i odgadnie! To tylko pewna, że obie wspaniałe te dusze, obadwa wzniosłe te umysły chmurzyły się, skwierczały, schły, mizerniały, więdły w warunkach obcego otoczenia, zaś rozpromieniały się, biły skrzydłami, rosły — nawet fizycznie — jedynie wtedy, gdy przez jakąś szparę odetchnęły powietrzem ojczystym. Jak przed dwunastu laty Mickiewicz, po odwiedzeniu kraju, pisał do księżny Wołkońskiej 16 kwietnia 1832 z Drezna: „po przejściach strasznych zeszłego roku, po życiu zwierzęcem albo raczej roślinnem w lasach poznańskich, zaczynam teraz czuć, myśleć, żyć” (105), — tak znowu obecnie Słowacki, po takiejże nad Wartą wilegiaturze, pisze do Januszewskiego z dnia 9 października 1848. „Teraz zdrów jestem i po napiciu się waszego powietrza ożywiony, nieco tylko skłonniejszy do gniewu, do dysput, co mi pokazuje, że na ducha mojego źle oddziałały dzienniki wasze, które przywiózł mi Reytzenheym. Ciągły w nich materyalizm, a co gorsza, że dosyć wykształcony i różnojęzyczny. Mądrości polskiej— nigdzie. Człowieka z siebie mówiącego także nigdzie nie słychać. Nic twórczego. Duch święty nie wionął na waszą okolicę. Nikt nad szumem łanów nie wzniósł się i nie przeszedł się ze spokojnością Chrystusa... To, cośmy tu zdarli na emigracyi — dawne szaty nasze, u was są nowością; ciekawość macie i z nią tylko zbliżacie się do tej w o l n o ś c i, która na próby będzie wystawiona, jeżeli jej kto nam doskonale stworzonej i ś w i e c ą c e j wprzód nie pokaże” (Meyet, II, 327). Tu znowu na punkcie owej wolności do zapracowania, do zdobycia trudem ciężkim i ustawicznym Słowacki, jak widzimy, jednoczy się z zapatrywaniem Mickiewicza, który w liście do Konstancyi Łubieńskiej (bez daty, 1848?) powiada: „Nie osiągniesz tej swobody, nie znajdziesz twojej drogi do ziemi, jeśli ciągle nie będziesz mieć przed oczyma wyższego celu... A niedość go mieć przed oczyma, — pałając, dążyć ku niemu winniśmy. To dążenie jest istotą życia; reszta wszystko dodatkiem” (245)... Wzniosłe myśli! czarujące słowa! — wprost niepodobna rozstać się z tymi skarbami wiedzy, poezyi, doświadczenia, stopionych w jeden kryształ prawdy moralnej.

Wróćmyż jeszcze na chwilę do nielicznego kółka osobistych już tylko przyjaciół litewskiego wieszcza, tych, z którymi najcięższe nawet spory były „jako małe odmiany powietrza latem” (141) — i do

tych samotnych rozmyślań lub prac wróćmy, wśród których poeta, niepodzielnie czując się „szczęśliwym”, mógł całymi tygodniami „z domu nie wychodzić” (104). Wiadomo, że największą wsród obcych sławę posiadał Mickiewicz — wraz z katedrą paryską... Jakże atoli często później żałował cichego kąta w Lozannie, gdzie na skromniejszej posadzie licealnej był kochany, słuchany, czczony, pomimo, że w gronie zażartych protestantów „sam jeden był katolikiem”... Stanowisko profesora literatur słowiańskich w Kolegium francuskiem zajął Mickiewicz głównie dlatego, „żeby Niemiec jaki nie wlazł i na nas stamtąd nie szczekał” (216). Ale trudu było bezmiar, narzekań jeszcze więcej, a przy ognisku rodzinnem — zasiadła niemilknąca prawie troska. „Często bywa u nas ciężki smutek — utyskiwał profesor w d. 26 lutego 1841 przed Wiktorem Jundziłłem, towarzyszem serdecznych pogawędek w Lozannie — i, ilekroć wypadnie mi kurs gotować, kiedy w domu kłopot, wiele cierpię wtenczas na zdrowiu umysłowem i bardzo się starzeję... Przecież kurs, jak mogę, ciągnę. Z Polonią mam niemało biedy. Piszą do mnie listy, przychodzą radzić, rektyfikować, oskarżają, żem stronnik Rosyi etc.” Nękał go i język wykładu, bolało rozproszenie naszych sił umysłowych. „Daję tedy tu kurs po francusku — pisał do Domeyki jeszcze z Lozanny 8 Listopada 1839—jak ty po hiszpańsku, a mój brat w Charkowie po rusku” (203). Do swarów poeta przywykł był już dawniej, wcześnie się z nimi oswoił, skoro w sierpniu 1838 zapewniał Bohdana i Józefa Zaleskich, iż sejmikowemi uchwałami i protestami nie zaprząta sobie głowy. „Cóż chcesz? — gdziekolwiek ludzi trochę na odpust się zjedzie, naturalnie, że tam wnet sąsiedzi karczemkę przy kaplicy wystawią”. Drażniło go tylko posądzenie, jakoby każdy z nas starał się „coś przy kościele utargować” (183). Przeklinał tartakowy gwar, kurz, kał i męty spraw, rozpraw m i e j s k i c h; na seryo utrzymywał, że na bruku miast wielkich nigdy nie urodzi się wielki człowiek” (145). Później od wszystkiego otrząsnął stopy, umył ręce, — dał gadaninom za wygraną. „Kiedy niekiedy odzywać się do rodaków, robić, co można, a zresztą nie mieszając się w dzienne zdarzenia, obrady, czekać dni lepszych, pogodniejszych, oto, zdaje mi się, powinienby być plan ludzi uczciwych”... „Oprócz win w ł a s n y c h innego prawdziwego nieszczęścia niema. Mało dbać o świat i ludzi, nie oglądać się na nikogo, tylko na siebie, to jest jedyna nauka, której ważność późno daje się czuć w całej rozciągłości”... „A zresztą, łatwo sobie z drobiazgami poradzi przyszłość, — bo, ile czas i oddalenie donioślejsze dzieła powiększa, o tyle lilipucie sprawy — pomniejsza i pożera”... „Z opinią ludzką to

jeszcze pół biedy; cała bieda przychodzi dopiero z zakorzenionemi ułomnościami charakteru i obyczajów narodowych. Pańskość—oto nasz grzech pierworodny, oto niszcząca nas choroba chroniczna. My tu, na emigracyi, chociaż tak długo biedujemy, humory i nałogi mamy ciągle pańskie, stąd i sposób widzenia pański kwitnie u nas zawsze"... „Ta zaraza manier hucznych, dwornych, magnackich czepia się najuporczywiej czystych zazwyczaj sukienek niewieścich, i to jest dla nas najstraszniejsze, bo Polka, polska kobieta może, i powinna rozważać, kobiety innych narodów nie są do tego obowiązane" (wyjątki z listów do Niemcewicza, Łubieńskiej, Potockiej, Domeyki i t. d., str. 148—253). Zasępiającemu się z wiekiem widnokręgowi rozmyślań, przerywanych zaledwie zrzadka radośniejszemi wzruszeniami wyobraźni lub serca, pieśń życia również wtórowała niezbyt wesoło, częściej nastrojona elegijnie, niż godowo. Do nadzwyczaj miłych wyjatków i niespodzianek sam poeta zaliczył odezwanie się Ewuni z „Pana Tadeusza", Henryety Ankwiczówny, już jako hrabiny Kuczkowskiej. „Szczęśliwy dziś jestem, Henryeto, — odpowiada jej w dniu 8 kwietnia 1855 r. — szczęśliwy, zaczynając w imię twoje pierwszy dzień zmartwychwstania i wiosny... Tę przyjemność winienem twojemu łaskawemu zgłoszeniu się. Zawsze pewien byłem twoich życzliwych dla mnie uczuć, ale dowód tej życzliwości, który, po tylu latach, pierwszy raz wprost od ciebie, wprost z ręki twojej, odebrałem — przyszedł mi w sam czas, stał mi się wielką pociechą. Od roku owego, kiedym cię poznał w Rzymie, życie moje jest prawie ciągłem grzebaniem kogoś lub czegoś... Z pokolenia, z którem żyłem i przywykłem biedować, jedni nas na zawsze porzucili, drudzy ciągną dni pogrobowe, nielepsze od śmierci. W ciągu lat takich, ilekroć wspomniałem o tobie, starałem się pocieszać tą myślą, że ty, Henryeto, nie należąc do tego smutnego pokolenia, przyszedłszy na świat znacznie później od nas, żyłaś pod inną, a więc może pod lepszą, gwiazdą... Wszakże, znając twoją duszę tkliwą i umysł wysoki, rozmyślałem się, że i ciebie nieraz musiała dotknąć w tych czasach niedola, jeśli nie osobista, to rodzinna i bliźnich"... Nie omyliło Mickiewicza, jak i w innych wielu okolicznościach, przeczucie wieszcze. W liście jego, datowanym z Marsylii 14 września 1855 r., więc, wobec komunikacyi ówczesnej, otrzymanym może przez Hanryetę wraz z wieścią o zgonie Mickiewicza, czytamy: „Nie wiedziałem wcale, iż tylu klęskami byłaś dotkniona osobiście. Nie uwierzysz, jak mi było mile dawniej myśleć o tobie, jako o istocie szczęśliwej... Owoż i to złudzenie

znikło!"... Nie było ono ostatniem, — przetrwało zgon poety, szło, jak młodość w żałobie za jego pogrzebem. Śmierć, — pani wspaniałomyślna i litościwa, dziwnym uściskiem, szczególnem przeplątaniem faktów i uświadomień powiązała białą wstęgą wspomnień Henryety nieśmiertelny sojusz wileński: Czeczotta, Zana i Mickiewicza, złudnie umieściwszy poetę w tym związku — pośrodku. W liście do tomasza Zana, skreślonym w Paryżu i zaadresowanym do Wilna w d. 2-im września 1855 r., pisał Mickiewicz: „Wiadomość o śmierci Janka (Czeczotta), możesz pojąć, że mnie nawskroś przeszyła. Właśnie około tego czasu, kiedy żyć przestał, często bardzo śniło mi się o nim, a zawsze w jeden sposób, zawsze zdawało mi się, że on przybył do miasteczka, gdzie teraz osiadłem, i że mnie szuka; ja znowu, zdawało się, że zapomniałem, wynaleźć tego mieszkania i sam siebie obwiniałem o takie niedbalstwo. Sen ten powtórzył się kilkanaście razy, aż doszła wiadomość o jego zgonie, i on ostatni raz pokazał się, jak gdyby zapraszając mnie do siebie"... Trzebaż trafu, że, zanim Mickiewicz zdążył odbyć swą podróż do Konstantynopola, skąd wrócił dopiero na cmentarz w Montmorençy, — już i Tomasza na świecie nie było: zabrał go Janek do siebie w dniu 7-ym Lipca 1855 r., bez wiedzy Mickiewicza...

Kaź. Włostowski.



Publiusza Wergiliusza Marona

SIELANKA VI

(SILENUS)

(przypisana Warusowi).

Sielanki Wergiliusza były już kilkakrotnie w całości tłómaczone na język polski. Najdawniejszym jest przekład ks. Ignacego Nagurczewskiego; drugim Józefa Lipińskiego, dodany do zbioru sielankarzy polskich wydania Mostowskiego z r. 1805. Oba dokonane są wierszem 13 zgłoskowym, rymowanym; pierwszy językiem nieco rozwichrzonym, niedbałym, raczej szlacheckim, niż akademickim, ale przez to samo więcej pociągającym barwą, niż język Lipińskiego, gładki, ujęty w karby klasyczne, lecz nieco blady. Następnie wyszedł przekład ks. Jana Gorczyczewskiego we Wrocławiu 1821 r.; ale z tym nie mogłem się spotkać w Warszawie i nie wiem, jak wygląda. Nareszcie Marc. Motty wydał ich przekład w Poznaniu r. 1852 wzorowym językiem i wybornym heksametrem, jak w tekście pierwotnym. Dodam jeszcze, iż tę jedną, obecną właśnie sielankę parafrazował Szymonowicz.

Cztery przekłady w ciągu lat stu to dowód, że każde u nas pokolenie interesowało się jednak tem dziełem rzymskiego poety. Czyby zainteresowało ono dzisiaj, rzecz to wątpliwa. Podając też próbkę, jedną sielankę z dziesięciu, nie myślałem o całości; chciałem tylko przy tym archaicznym zabytku poezyi być niejako *cicerone*'m czytelnika, okazać dzisiejszym ów ciekawy zawsze kontrast między duchem kompozycyi współczesnych a z przed wieków dziewiętnastu. To, jakby dom—odkopany w Herkulanum, obok kamienicy warszawskiej lub innej; albo, jak echo zagrobowe wśród głosów żyjących.

Wybrałem sielankę najtrudniejszą do przekładu, a chciałem mój odróżnić od innych mi znanych, żądając mianowicie, aby był wiernym, bez dodania poza tekst pierwotny, wynoszący 86 heksametrów, ani jednego wiersza (Nagurczewski i Lipiński dodali ich po 10 i więcej); następnie, ażeby dokonany był wierszem rymowym, który uważam za jedynie właściwy dla poezyi polskiej. Pierwsze założenie powiodło mi się, ale kosztem, lubo niewielkim, drugiego: gdyż, ażeby wyjść z trudności wiersza, rytmicznie ograniczonego, a związanego rymem, gdzieniegdzie, w trzech lub czterech miejscach, musiałem albo dodać wyraz, nie istniejący w tekście, albo jakiś mniej znaczący wyrzucić.

Jest to przytem najtrudniejsza sielanka do zrozumienia dla czytelnika, a to z powodu aluzyi osobistych, jakoteż szczegółów mitologicznych, które autor zaledwie potrąca: nie szczędziłem też komentarza, aby ustępy takie mniej więcej czytelnikowi rozjaśnić.

Bohaterem sielanki jest *Silenus*, półbożek, wychowawca Bachusa, stary urwis leśny, artysta, lubownik wina, pieśni i nimf. Dwom młodym pastuszkom i jednej Najadzie (nimfie leśnej) śpiewa on o początku świata i o rozmaitych wydarzeniach legendowych. Autor, odzywający się jego ustami, czerpie wątek zrazu z Epikura, następnie z Apollodora.

Utwór poświęca on Warusowi (Varus, *cognomen* kilku rodów rzymskich). Kto jednak był ten Varus, jakoby kolega autora ze szkoły filozoficznej Skarrona, epikurejczyka, niewiadomo; wnosząc z aluzyi, byłby jakimś znakomitym wojownikiem: historya wszakże nazwiska jego nie uwydatniła.

Zabrzmieć raczyła nutą Sykulskiego wiersza [1])
I zamieszkać wśród lasów naszych Talia pierwsza [2]).
Gdym o królach i wojnach chciał śpiewać przy lirze,
Cyntius szczypnął mnie w ucho i ostrzegł: — „Tytyrze, [3])
Pasterzowi paść owce i snuć wiersz prostaczy!"
Ja też — znajdą się, Warze, co twą chwałę raczej
Będą woleli śpiewać, ciężkie głosić boje, —
Do sielskiej Muzy wątłą mą dudkę dostroję.
Co wolno, śpiewam. — Ale, gdy znajdą się chętni
Czytać to, Warze, — łąki, cały gaj zatętni
Imieniem twem: najmilszą Febowi stronica,
Którą imię twe, Warze, u góry zaszczyca.
Dalej, Pierydy!... Chromis i Mnazyl, młodzieńce,
Ujrzą w grocie Sylena. Śpiąc, leżał opiły,
Winem wczorajszem wszystkie wzdęły mu się żyły,
Jak zwyczajnie; w pobliżu spadłe z głowy wieńce,
Ciężka konew na uchu przetartem wisiała.
Weszli, — nadzieją pieśni stary te chłopięta
Często znęcał — wnet z wieńców zrobili nań pęta:
Przyłączyła się do nich i Egle nieśmiała,
Najgładsza z Najad. Gdy już spozierał po stronie,
Krwawą morwą barwiła mu czoło i skronie [4]).
Rozśmiał się z psoty, mówiąc:—„Rozwiążcie mnie przecie,
Chłopcy! Poco to pętać? Dość wam, że możecie....
Chce wam się pieśni? Będzie pieśń dla was; dziewczyna
Inną weźmie nagrodę". — Ot i rozpoczyna.
Dopieroż w rytm zwierzęta i Fauny poskoczą,
Twarde dęby z wierzchołków zaszumią ochoczo.
Nie tak skałę Parnasu Feba głos porusza,
Nie tak Ismar, Rodopę—pieśni Orfeusza[5]).

---

[1]) [2]) [3]) W tekście wiersz zowie się Syrakuzańskim od pierwszego wielkiego sielankopisarza greckiego, Teokryta, urodzonego na wyspie Sycylii, gdzie leżą Syrakuzy. Mieszkańców zowią też rzymscy pisarze Siculi.—Talia czy inna muza, mniejsza o to: dość, że pierwszeństwo w tym rodzaju poezyi w Rzymie sobie przypisuje Wergiliusz, przez Talię natchniony. Właściwie natchnął go Teokryt, którego jest pobożnym naśladowcą. Cyntius—przydomek Apollona od rodzinnej wyspy Delos, zwanej także Cynthus (Κύνθος).

[4]) Może przez pustotę, a może też jest to aluzya do starego obyczaju malowania na czerwono posągów bóstw, który co do bożyszcz leśnych przetrwał bardzo długo.

[5]) Góry w Tracyi, ojczyźnie tego mitycznego piewcy.

Bo śpiewał, jak przez puste bezmiaru przestworza
Szły zarodki powietrza, i ziemi, i morza,
Razem lotnego ognia; z pierwszego ich drgania
Wszystko i miękki obszar świata się wyłania;
Toż grunt tężeje, morze osiada i rzeka,
A ląd za lądem zwolna w kształty się obleka.
Zdumione ziemie widzą, jak wybłyska słońce,
I z chmur nagromadzonych deszcze spadające.
Poczęły wzrastać lasy, a w nieznanych zrazu
Górach rzadki zwierz błądził. — Złączył z tem osnowę [1])
O rzutach głazów Pirry, dzieje Saturnowe [2]),
Kradzież Prometeusza i ptaki Kaukazu;
Wieść, jak Hyla żeglarze znikłego nad rzeką [3])
Wołali: Hylu! Hylu!.. aż brzeg grzmiał daleko.
Szczęśliwą, gdyby stadnin nie było na górze [4]),
Pocieszał Pazyfae, zakochaną w turze.
Ach, biedna dziewko, jakież to zdjęły cię szały!

---

[1]) Opis początku świata idzie według atomistycznej doktryny Epikura, zawartej w Lukrecyuszu. Dalej głównie przewodniczy autorowi Apollodor.

[2]) Jest tu zmieniony porządek chronologiczny. Naprzód idzie wiek Chronosa. Następnie, według wersyi Apollodora, nowy władca świata Zeus na ludzi żelaznych za ich złości spuścił potop, przed którym ocalał tylko Deukalion, król Ftii trackiej, i żona jego Pirra (Pyrrha). Ażeby nanowo zaludnić świat, dzięki trafnie wytłómaczonej wyroczni, zaczęli oboje rzucać za siebie kamienie, (kości wielkiej matki — Ziemi), z których powstawali ludzie. Inną grupę stanowi mit o zbuntowanych Tytanach, z których Prometeusz za wykradzenie ognia z niebios cierpi przybity do skały Kaukazu, gdzie orzeł wyżera mu wątrobę.

[3]) Wieść o pięknym Argonaucie, którego nad swą krynicą w Mizyi porwały nimfy i ukryły tak, że ani współtowarzysze, ani nawet domniemany ojciec, Herakles, odnaleźć go nie mogli.

[4]) *Pasiphaë*, według jednego z najstarszych mitów kreteńskich, jest żoną króla Krety, Minosa (błędnie zatem nazywa ją *virgo*, panną). Minos prosił Posejdona, aby mu postawił tura, na znak panowania nad wszystkiemi dzielnicami wyspy, a on mu go poświęci w uroczystej obiacie. Posejdon zadość uczynił prośbie; ale Minos, zachwycony pięknością tura, zamiast obiaty, zabrał go do stada, a bogu poświęcił lichego stadnika. Rozgniewany bóg za karę nawiedził królowę szaloną dla podstępnie zabranego tura miłością, z której powstał głośny także w legendzie Minotauros. Rozprowadzając ten mit, Silenus mówi naprzód od siebie, czyniąc zwrot do nieszczęśliwej; następnie, od wiersza 55, mówi już za nią aż do końca ustępu.

Pretydy rykiem krowim pola napełniały [1]),
Ale żadna za bydłem nie szła do folwarku,
Chociaż się opędzały przed jarzmem na karku
I na gładziutkich czołach wciąż rogów szukały.
Ty zaś po górach błądzisz, dziewo nieszczęśliwa:
Kiedy on, na borówkach złożywszy bok biały,
Pod ciemnym wiązem trawę zieloną spożywa
Lub goni za jałówką. Zamknijcież dokoła,
Dyktejskie nimfy, leśne zamknijcie rozdroże! [2])
Jeżeli oczom waszym trop błędnego woła
Ukaże się przypadkiem, to jego być może,
Zwabionego przez stado albo trawkę młodą,
Do Gortyńskiej obory jakie krówki wiodą.
Tu panna, w Hesperyjskie jabłka zapatrzona. — [3])
Tam w mszystą, gorzką korę, siostry Faetona [4])
Strojąc, stawia on wzniosłe na ziemi olszyny.
Śpiewa, jak Gallus błądził nad Permesu brzegiem [5]),

---

[1]) Córki Preta (Προῖτος): Lizyppa, Ifinoe i Ifianassa, ukarane szałem przez Dyonizosa za niechęć do jego obsługi, biegały po całym Peloponezie w przywidzeniu, że są krowami. Wyleczył je lekarz i wieszcz, Melampos.

[2]) Dikte, i dalej Gortyna: miejscowości na Krecie.

[3]) Atlantyda, córka Jazona, słynna łowczyni, w biegu niedościgniona. Nagabana o zamążpójście oświadczyła, iż temu tylko pozwoli się wziąć, kto ją w biegu uprzedzi do mety; inny od strzały zginie z jej ręki. Kilku już padło, gdy ostatni, z łaski Afrodyty uzyskawszy trzy złote jabłka, przy wyścigu rzucał przed nią po jednem. Znęcona pięknością złotego owocu, zatrzymywała się, by podejmować, co opóźniło jej bieg: przy ostatniem on ją pochwycił i za żonę otrzymał. Wergiliusz po poetach greckich, po Propercyuszu i Owidyuszu, wprowadza nową wersyę, jakoby to były jabłka z ogrodów Hesperyjskich, gdy w tamtych są to tylko jabłka złote.

[4]) Siostry Faetona (Faetontydy v. Heliady), syna Heliosowego (słońca), który raz tak się naparł obiegać wozem słonecznym, że ojciec mu pozwolił. W słabych rękach nie mogąc utrzymać ognistych rumaków, staczał się z wozem za nizko, to znów rwał się za wysoko, tak, że byłby spalił niebo i ziemię. Zapobiegając temu, Zeus piorunem go zabił. Siostry, śmierć jego opłakujące, zamienione zostały w olchy, według innych w topole (prawdopodobnie mit podsuwa jakieś drzewo, którego gałęzie opadają w dół, wyobrażając łzy).

[5]) Pomiędzy te mity o charakterze naiwnym i postaciach legendowych autor niewłaściwie wprowadza człowieka rzeczywistego, i to z doby spółczesnej sobie. Cajus, czy Cn. Cornelius Gallus obok wysokich urzędów za ces. Augusta

Jedna z Muz na Aońskie wwiodła go wyżyny,
Wszystkie przed uczniem Feba stanęły szeregiem
Pasterz Linos ze zdobną w kwiat i jaskier głową
W takie się boskim wierszem doń odezwał słowo:
— „Przyjmij tę, którą Muzy wręczają ci, fletnię:
Przy niej starzec Askrejski śpiewywał tak świetnie,
Że jesiony z gór ściągał. Ona ci jest znakiem,
Iż gaju Grynejskiego ty masz być śpiewakiem,
Bo żadnym się Apollo nie chlubi dotyla".

Cóż dalej?... Oto głośna z opowieści Scylla, [1])
Szczekające potwory u lędźwi dzierżąca,
Kruszy tratwy Odysa, w wodną przepaść strąca
Wylękłych majtków morskim psom na rozszarpanie.
Śpiewa, w jakiej postaci Terej uległ zmianie [2]),
Na jaką Filomela ucztę go zaprasza,

---

uprawiał na skalę poważną krasomówstwo i poezyę. Pisał elegie, bardzo w swoim czasie cenione; naśladował i tłómaczył poetę Aleksandryjskiego, Euforyona, który znowu rodzajem kompozycyi łączył się ze starym Hezyodem. Stąd i Wergiliusz czyni tu Gallusa przez Euforyona następcą tego „starca z Askrei" (ojczyzna Hezyoda) i każe mu opiewać gaj Grynejski (w Eolidzie), gdzie była słynna świątynia z wyrocznią Apollina. Ustęp ten jest właściwie hołdem, złożonym przyjacielowi od lat dziecięcych, który wieloraki zawód swój skończył samobójstwem. Poeta wprowadza go nad rzekę Permessos, wytryskającą z góry Helikonu, siedliska Muz, w Beocyi, góry, stanowiącej odłam łańcucha Aońskiego, gdzie Muzy i legendowy wieszcz Linos sprawiają Gallusowi rodzaj apoteozy.

[1]) Scylla, córka Krataidy (mylnie tu nazwana córką Nizosa), znana od czasów Odyssei potwora, czyhająca na okręty w zatoce Mesyńskiej. Między innymi szczegółami swej powierzchowności była ona u lędźwi opasana wieńcem potwornych psów morskich, które wypuszczała na nieszczęśliwych rozbitków.

[2]) Tereus, król tracki, żonaty z Prokną, miał z nią syna Itysa. Ale ukrył żonę, ażeby połączyć się z siostrą jej, Filomelą, upewniwszy ją, iż żona umarła; a iżby podstęp się nie wydał, wydarł Filomeli język. Siostry jednak zdołały się porozumieć i postanowiły zemstę. Zabiły małego Itysa, a Filomela podała go Tereuszowi, jako potrawę. Za zbiegłemi po tem okrucieństwie siostrami puścił się Tereusz, by je ukarać, i w chwili, gdy miał już dosięgnąć, one rozpaczliwie zawołały do bogów, aby je zamienili w ptaki. Prośba skutkowała: Prokne zamienioną została w słowika, Filomela w jaskółkę (dlatego też u Wergiliusza „oblatuje około własnego poddasza"), Tereusz w dudka.

Jakim biegiem umknęła samotna, jakiemi
Skrzydłami krąży wedle własnego poddasza. —
Wszystko, co z głosu Feba usłyszał na ziemi
Szczęsny Eurotas, czego nauczał wawrzyny, [1]
Śpiewał Sylen; pieśń gwiazdom odbiły doliny:
Aż kazał zliczyć owce, spędzić ku oborze.
Z żalem Olimpu Wieczór zstąpił na przestworze.

Kazimierz Kaszewski.



---

[1]) Rzeka, oblewająca Spartę, mająca po obu brzegach krzewy i gaje wawrzynowe.

Miączyński i Dumouriez.

Wizerunki i sceny historyczne z dziejów Polski i Francyi

(1769—1793)*).

VI.

Sesya generalności. — Misya hrabiego Marschala. — Dwór wiedeński. — Zmiana frontu. — Rozkaz opuszczenia Cieszyna. — Wyjazd Viomenila. — Rozproszenie się konfederatów.

Konfederacya generalna zebrała się była dnia 16 czerwca 1772 r. na połączoną obu narodów sesyę, celem powzięcia uchwał w przedmiocie poselstw zagranicznych i kontraktów o dostawę prochu i broni. Jeszcze posiedzenie nie było ukończonem, gdy nadspodziewanie pojawił się oficer austryacki, ozdobiony kluczem szambelańskim, i wszedł do pokoju, gdzie byli zgromadzeni adjutanci i urzędnicy rozmaitych wydziałów.

— Jestem majorem, hrabią Marschal — oświadczył gość — przysłanym tu jestem przez generała grafa Altona, celem zakomunikowania panom generalnym marszałkom rozkazu, jaki właśnie nadszedł od Najjaśniejszej monarchini.

*) Ob. „Ateneum" styczeń i luty, 1900 r.

Okazało się, że dwór wiedeński rozkazał konfederatom opuścić Cieszyn w ciągu dni czternastu i zażądał bezzwłocznego rozpuszczenia wojsk. Jako łaskę, przyznano emigrantom możność zatrzymania się czasowego na Węgrzech i Morawach.

Wybrano tymczasowo miasteczko węgierskie Sillein, gdzie oczekiwać miano rezultatu starań posła francuskiego o złagodzenie dekretu banicyi.

W tych okolicznościach Miączyński zachował spokój niewzruszony.

— Moje postanowienie — oświadczył Heykingowi — jest następujące: pozostanę przy marszałkach generalnych i pełnić będę ich zlecenia do chwili, aż się rozstrzygnie los Polski. Co do ciebie, zaklinam cię, przyjacielu, byś został ze mną i dzielił nadal wspólnie dolę i niedolę".

„Podziękowałem mu za przyjaźń, lecz niepodobna mi było wiązać się słowem. Ponieważ konfederacya jeszcze się nie rozwiązała, musiałem w każdym razie oczekiwać zleceń marszałka Paca.

„Gdym nazajutrz rano zaszedł do hrabiego, odłożył pióro na stronę, usadowił mnie przy sobie i wynurzył przedemną w zaufaniu to, co mu podyktowało jego patryotyczne uczucie.

„Zgnębieni sprzymierzeniem się trzech mocarstw, — mówił — których rywalizacya była dotąd rękojmią naszego bezpieczeństwa, musimy uledz nieprzepartej sile. Lecz skonfederowani postanowili utrzymać między sobą święte węzły, które ich dotąd kojarzyły. Wystarczy, by zgromadzenie narodowe zredukowało się do bardzo szczupłego grona. Zadaniem jego będzie nadal, jak było dotąd, walka z nieprzyjaciółmi. Wyczekiwać ono będzie stosownej chwili, by członków swoich, przebywających czasowo w ojczyźnie, zjednoczyć około wspólnego celu. Starajmy się ich ocalić. Proszę cię zatem, byś na papierze, ile można najmniejszego formatu, napisał do pana Choisy i upoważnił go do poddania zamku krakowskiego, na warunkach kapitulacyi honorowej. Pewien młody szlachcic polski zobowiązał się ową kartkę z dopiskiem Viomenila, z narażeniem życia własnego, doręczyć generałowi Choisy.

„Zabrałem się bezzwłocznie do pracy i przygotowałem projekt listu, który Pac zaakceptował, a następnie drobniutkiemi literami przepisałem go na kartce. Podpisali ją obaj marszałkowie i polecili oddać Viomenilowi. Podobny rozkaz wysłano i do innych komendantów.

„Komendant Częstochowy, otrzymawszy rozkaz, wydał twierdzę Austryakom, nie Rosyanom, ponieważ zależało mu na względach Austryi, od której bezpieczeństwo naszych osób zależnem było.

„Baron Viomenil za zgodą wodzów generalności zerwał umowy z dostawcami, bądź przez stratę zadatku, lub też za wynagrodzeniem. Pomagali sobie Polacy z iście braterską miłością. Zachowałem w pamięci wiele rysów wspaniałomyślności tego szlachetnego narodu, który, zaprawdę, lepszego wart był losu".

Uchwała, solwująca sesyę, została wprowadzoną w wykonanie. Obaj marszałkowie generalni, biskup Krasiński, wielki hetman Ogiński, generalny sekretarz Bohusz, dwunastu marszałków i konsyliarzy konfederacyi — wszyscy oni, rozjechawszy się, udali się do Czaczy, a stamtąd, do Sillein, na Węgry. Generał Viomenil i oficerowie francuscy pożegnali się z konfederatami najserdeczniej. Przed wyjazdem wręczył Pac Heykingowi w imieniu skonfederowanych sto dukatów, jako gratyfikacyę, wynurzywszy przytem najłaskawsze słowa uznania generalności i własne za okazane przezeń usługi. Postanowił Heyking udać się na Węgry za generalnością bez jakiejbądź pensyi.

Doniósł księstwu kurlandzkim o wszystkiem, co zaszło. Księżna była w rozpaczy z powodu, że biskup do Wiednia nie pojechał; lecz istotnie był chory i przygnębiony, i brakło mu sił do tej podróży, której celu zresztą nie przewidywał.

Poseł francuzki w Wiedniu, książę Rohan, nic nie wiedział o zaszłej w polityce dworu wiedeńskiego po za jego plecami zmianie i dopiero wiadomość o niej otrzymał od przybyłych do stolicy konfederatów. Zarządził też bezzwłocznie wypłacenie z kasy francuskiej zasiłków najbardziej potrzebującym.

VII.

W Sillein. — Łańcut. — Miączyński w Monachium. — Projekty landgrafa hessenkasselskiego. — Aspiracye jego do tronu polskiego. — Awanturnik Bollo. — Rokowania z Miączyńskim. — Konfederaci w Schafhuzie. — Rada kantonalna. — W Rhyneck. — Druk manifestów. — Rozstanie się konfederatów. — Ułaskawienie Miączyńskiego. — Powrót do kraju.

W miasteczku Sillein otrzymali wychodźcy wiadomości z Wiednia, iż dłuższy ich pobyt w tej miejscowości nie będzie przez

władze austryackie cierpianym. Poradzono im Sillein opuścić i zbliżyć się do granicy Francyi.

Ponieważ Wielhorski zapowiedział rychły swój przyjazd do Monachium, postanowili wychodźcy zebrać się czasowo w Łańcucie, dla powzięcia uchwały co do dalszego trybu postępowania.

Wybrał się tam i Miączyński, zaprosiwszy barona Heykinga, by mu towarzyszył.

Baron obiecał, że, po załatwieniu spraw w Dreznie, do Łańcuta przyjedzie. Niezależnie od konieczności widzenia się z księciem Karolem, zależało mu na pozyskaniu listów polecających od tego ostatniego, do elektorowej bawarskiej, siostry księcia, i do brata tegoż, elektora trewirskiego, by przychylnie usposobić władze bawarskie dla wychodźców polskich.

Z Drezna pojechał Heyking do Łańcuta z oficerem niemieckim, Schillem, rozgłośnym dowódzcą z czasów wojny siedmioletniej, który, przyjęty do konfederacyi, rościł jakieś pretensye do wielkiego hetmana Ogińskiego, a nie będąc w stanie piśmiennie swych pretensyi wyłuszczyć, uprosił Heykinga, by mu był w tej mierze pomocnym.

W Łańcucie zastał Heyking wielu Polaków, i tam nadszedł doń list od Miączyńskiego z Monachium, wzywający go, by bezzwłocznie przybył tam na mieszkanie, gdyż pragnie się z nim w ważnych porozumieć sprawach.

Nie czekając dłużej, wybrał się Heyking do Monachium i zajechał do hotelu, w którym się Miączyński ze starostą Brz. (?) był zatrzymał.

„Miączyński — pisze w swoim pamiętniku baron Heyking — udzielił mi wiadomości o projekcie, według którego landgraf hessenkasselski miał być forytowany na króla polskiego, ponieważ elektor saski tron Rzplitej odrzucił, a naród polski dłużej Stanisława Augusta na nim utrzymać nie chce.

„Projekt ten powierzył w zaufaniu Miączyńskiemu pewien ksiądz, noszący nazwisko hrabiego Bollo. Ksiądz ów, rodem z Genui, używanym był przez tęż republikę do rozmaitych poselstw tajnych. Gdy król polski zaciągnął w Genui pożyczkę 100 tysięcy dukatów, pośrednikiem w owej sprawie był Bollo. Po krótkim pobycie w Warszawie, gdzie się wplątał w brzydką sprawę usiłowania otrucia pewnej osobistości, której żonę bałamucił, wałęsał się Bollo po Niemczech i uczepił w końcu klamki landgrafa hessen-kasselskiego i snuł tam dalej projekt wyforytowania owego władzcy na króla polskiego. Miączyński zaklął mnie, bym się zajął korespon-

dencyą w tej sprawie. Uczyniłem to chętnie w taki sposób, że to mogło zachęcić Włocha do dalszych działań, lecz bez żadnych widoków powodzenia.

„Przedstawił mnie Miączyński posłowi francuskiemu, kawalerowi Folard, który już wielu Polakom ułatwił na dworze posłuchanie i pragnął to uczynić i mnie, zwłaszcza, że miałem listy polecające księcia Karola do siostry tegoż, elektorowej bawarskiej.

„Elektorstwo bawarscy odznaczali się wielką dla cudzoziemców przychylnością, i dlatego pobyt mój w Monachium był jednym szeregiem przyjemności, o których dotąd najmilsze zachowałem wspomnienie.

„Hrabia Bollo krzątał się tymczasem około urzeczywistnienia śmiesznego swego projektu. Nie mogąc sobie dać rady, uprosił Miączyńskiego, by mu był w tej mierze pomocnym. Miączyński wywijał się, ile mógł, tłómacząc się nieznajomością stosunków i związków politycznych księcia, jakoteż i ustępstw, jakieby tenże, w razie pozyskania tronu, narodowi polskiemu mógł uczynić. Radził zatem hrabiemu, by projekt swój sam wypracował. Awanturnik Bollo uprosił przeto Miączyńskiego imieniem landgrafa, by się osobiście stawił na dworze tegoż i rozpoczął układy. Lecz Miączyński wymówił się niemożnością wyjazdu do czasu odbycia posiedzenia wydziału konfederacyi, właśnie oczekiwanego, który miał o dalszym losie wychodźców postanowić ostatecznie.

„Taki był rezultat korespondencyi, prowadzonej w sprawie tronu polskiego, który się zakończył — jedynie wydatkami na porto pocztowe"...

Tymczasem elektor trewirski w przejeździe do Monachium w odwiedziny do siostry swojej i szwagra, elektorstwa bawarskich, przybył do Augsburga, czasowej swej rezydencyi. Przedstawionym mu tam został Heyking oraz Polacy, ku którym zawsze, jako syn Augusta III, w Polsce zrodzony, szczególną żywił sympatyę.

Za pośrednictwem ministrów elektora, baronów v. Hohenfeldt i v. Kerpen, uzyskał Heyking godność szambelana i posadę sekretarza przybocznego przy elektorze trewirskim. Zaledwie jednak zaczął pełnić tę służbę, gdy nadszedł z Monachium od Miączyńskiego list z załączeniem odezwy marszałka Paca, wzywający go do bezzwłocznego przybycia do Schafhuzy w Szwajcaryi, gdzie, stosownie do zobowiązań, przyjętych w chwili wyjazdu z Cieszyna względem konfederacyi, nastąpić miało uroczyste wzajemne uwolnienie się od przysięgi, na wierność tejże konfederacyi złożonej.

Baron Heyking okazał elektorowi to wezwanie, ożywione najgorętszą ku ojczyźnie miłością, i uprosił go o udzielenie mu na wyjazd do Schafhuzy zezwolenia. Elektor trewirski chętnie się ku tej prośbie przychylił, a nawet przy pożegnaniu poradził Heykingowi, by, z uwagi na świetniejsze w Polsce widoki karyery, porzucił służbę niemiecką, gdzie zawsze, jako cudzoziemiec i przybysz traktowanym będzie, i, korzystając ze sposobności, do dawnej swej ojczyzny powrócić się starał.

Z Monachium, gdzie go już oczekiwał Miączyński, udał się Heyking wraz z tym ostatnim do Schafhuzy.

Tu zebrała się tymczasem liczna gromada konfederatów barskich w niebytności marszałka Paca, który pojechał do Paryża, celem zasięgnięcia od dworu wersalskiego wskazówek, co do dalszego losu konfederacyi.

Rada kantonalna zaniepokoiła się owem tłumnem zebraniem cudzoziemców, z uwagi na możliwe ze strony Austryi reklamacye, i dlatego w uprzejmych przedstawieniach prosiła, by zjazd przeniósł się do innego, katolickiego kantonu. Celem uniknienia dalszych zawikłań postanowili konfederaci przenieść się do poblizkiego miasta Rhyneck i tam ogłosić protest przeciw podziałowi Rzplitej, w dwu językach: francuskim i łacińskim.

Zredagowany przez Bohusza w języku łacińskim manifest podpisali obaj marszałkowie generalni z sekretarzami. Krok ten zamknął im na zawsze możność powrotu do Polski, gdzie tymczasem Bohusz dobra swoje dziedziczne przelał na imię brata i poświęcił rozległe swoje starostwo.

Okazało się jednak, że w Schafhuzie, dokąd się Zboiński był udał, celem wydrukowania manifestu, żadna z drukarni tamecznych roboty tej podjąć się nie chciała.

Na zapytanie Heykinga, ile konfederacya przeznacza na druk manifestu? odpowiedział marszałek Pac, który w trakcie tego z Francyi był powrócił, iż konfederacya przeznacza sto dukatów na koszta druku 200 egzemplarzy w języku łacińskim i dwieście dukatów na 300 egzemplarzy francuskich.

— W takim razie ja się podejmę tego zlecenia — rzekł Heyking. — Ile dni przeznaczacie na wykonanie roboty?

— Pięć, do sześciu dni.

— To mało. Proszę o dni ośm. Zgodzono się na to, i Heyking, jako należący do loży wolnomularskiej, udał się do poblizkiego miasteczka, gdzie się znajdowała loża wolnomularska angielskiego obrządku, i tam pod warunkiem, że nazwiska pod manifestem wy-

drukowane nie zostaną, robota za cenę mniejszą od przeznaczonej wykonaną została.

Ostatnie zadanie konfederacyi zakończyło się. Ze łzami w oczach pożegnali się związkowi, jedni, z zamiarem powrócenia do kraju, inni — postanowili pozostać na obczyźnie.

Hrabia Pac naglęco prosił Miączyńskiego, by do pierwszych się przyłączył, tem więcej, że dobra jego nie były w terytoryach podziałowych sytuowanemi, a życzeniem całej rodziny było, by b. marszałek do kraju powrócił. W razie, gdyby Rosya odmówiła mu amnestyi, ze względu, iż do konfederacyi wrócił ponownie, Pac przyrzekł wyjednać mu dyplom oficera w służbie francuskiej, co poparł swą obietnicą i generał Viomenil.

„Rozstanie moje — pisze Heyking — z czcigodnym hrabią Pacem było nad wyraz wzruszające. Miałem przeczucie, że go już nigdy nie zobaczę. Dał mi listy polecające do dwu swoich przyjaciół w Polsce i radził, bym się starał o służbę przy księciu Adamie Czartoryskim, który obecnie w dobrych z królem pozostaje stosunkach i który niewątpliwie wyjedna mi przebaczenie za udział mój w konfederacyi.

— Nie opuszczaj swego przyjaciela Miączyńskiego — nadmienił przy rozstaniu. To zacny człowiek, ale słabego charakteru. Możesz mu być pod każdym względem pomocnym.

„Pojechałem tedy z Miączyńskim do Monachium. Tu zastał go naglący list od matki i od przyjaciół z prośbą, by nie zwlekał z powrotem. Radzono mu, by się zwrócił do posła pruskiego Bénoit, z uwagi, że część jego dóbr odpadła do Prus, i od tegoż wyjednał sobie paszport, który go osłoni przed impetycyami ze strony rosyjskiej. Listy te na prośbę Miączyńskiego ja sam zredagowałem. Prócz tego napisałem prośbę do posła rosyjskiego Stackelberga, o którym jak najpochlebniejsze miałem referencye. Jednocześnie wyjednałem sobie listy polecające od elektora trewirskiego do króla Stanisława Augusta, w którym przedstawiony zostałem, jako szambelan księcia domu saskiego. Hetman Ogiński dał mi nadto listy do żony swej i do synowicy, księżny Radziwiłłowej, przyjaciółki „od serca" posła Stackelberga, i mającej niepoślednie w towarzystwie warszawskiem wpływy.

„Upłynęło sześć tygodni, gdy pewnego dnia przybył do Monachium oficer polski z pieniędzmi i paszportem dla Miączyńskiego oraz z przychylną dla tegoż rezolucyą ze strony posłów: rosyjskiego i pruskiego.

„Nareszcie opuściliśmy Monachium. W Wiedniu spotkaliśmy się z młodym Wielhorskim, siostrzeńcem hetmana Ogińskiego, który ze swym mentorem, niemcem Bernhardi, właśnie przybył z Warszawy i dążył do Paryża.

„W tem ostatniem mieście odbył Wielhorski edukacyę, korzystając z nauk najsłynniejszych ówczesnych myślicieli, między innymi i księdza Mably, który mu dawał lekcye historyi i prawa publicznego. Młody Wielhorski celował wieloma talentami i niepospolitą wiedzą. Znał wybornie języki: francuski, łaciński, niemiecki, polski i włoski, a nawet wcale udatne wiersze francuskie układał. Przyjemnej powierzchowności, doskonałych manier i wesołego usposobienia pociągał ku sobie wszystkich, którzy go otaczali.

„Miączyńskiemu bardzo się dobrze wiodło w Wiedniu, tak, że trudno go było nakłonić do dalszej podróży. Wreszcie udało się to, lecz gdyśmy przybyli do Brna Morawskiego, zaszła nowa przeszkoda. Zastaliśmy tu panią P. S. K..., której tryb postępowania ujmę czynił głośnemu nazwisku, jakie nosić miała zaszczyt. Opanowała ona zmysłami Miączyńskiego do tego stopnia, że bezowocnemi były wszelkie moje usłowania, by wyrwać młodzieńca ze szponów owej niebezpiecznej niewiasty. Lekkomyślność jej zdziałała to, czego moje namowy osiągnąć nie były w stanie.

„Zawiązawszy nowy stosunek z jakimś austryackim oficerem, obudziła taką niechęć w sercu rozkochanego na zabój Miączyńskiego, iż ten pewnego wieczoru oświadczył mi, że dłużej tu nie pozostanie.

„Uszczęśliwiony takim obrotem sprawy poleciłem zapakować manatki i nazajutrz byliśmy już w drodze. W Krakowie zastał Miączyński listy od matki, wzywające go do przybycia z Lublina do dóbr jej, gdzie go już krewni i przyjaciele oczekiwać będą.

„Rozstaliśmy się tedy z Miączyńskim w Lublinie, a ja udałem się w dalszą drogę do Warszawy".

Na tem kończymy wyciąg z pamiętników barona Heykinga.

VIII.

Miączyński posłem na sejmie 1775 r. — Rada Nieustająca. — Miączyński w szeregach opozycyi. — Jego mowa sejmowa.

Do brzemiennego w tragiczne wypadki okresu pięcioletniego dziejów Rzplitej, jaki nastąpił po ostatnich wysiłkach orężnych kon-

federacyi, zakończonych oblężeniem i zdobyciem zamku krakowskiego (2 lutego 1772), konwencyami podziałowemi, sejmikami marcowymi 1773 roku, konfederacyą smutnej pamięci Adama Ponińskiego, ustanowieniem Rady Nieustającej, brak nam źródłowych danych, z którychby można było odtworzyć dalsze życiowe koleje b. marszałka bełskiego i wyjaśnić dokładnie rolę, odegraną przezeń w owej dobie rezygnacyi ogólnej kraju, po przebytej katastrofie.

Spotykamy się po dłuższej przerwie z jego nazwiskiem dopiero podczas nowej, nie orężnej, konfederacyi, zawiązanej pod laską Andrzeja Mokronowskiego, której zadaniem miało być poddanie rewizyi uchwał sławetnego sejmu 1775 roku. Widzimy tu Miączyńskiego, jako posła sejmowego, w szeregach opozycyi, przemawiającego za ograniczeniem wszechwładztwa Rady Nieustającej, która w rezydencie rosyjskim, hr. Stackelbergu, miała żarliwego rzecznika i orędownika.

Opozycya ta na pamiętnej sesyi 6 września 1776 r. dokładała wszelkich usiłowań, by obalić wnioski, dążące do absolutyzmu i do przelania na Radę Nieustającą mocy stanowienia nowych i objaśniania, a raczej uchylania arbitralnego, dawnych praw.

„Obywatel do Króla i Pana, syn Ojczyzny do jej Ojca, cząstka sejmującej Rzplitej do głowy narodu i widzialnego ciała wolnej, chociaż węzłem zespolonej, Rzplitej — głosił na owej sesyi starosta łosicki — otwieram usta moje, pełne wierności Majestatowi, dla zaradzenia istotnym Rzplitej potrzebom... Pozwolić Radzie Nieustającej tłómaczenia praw Rzplitej, któż nie zoczy, że tem samem jest, co dać jej większą moc nad prawodawcę, obfitszym uczynić strumyk nad samo źródło... jest to dać moc utworzonemu, żeby swego twórcy przeistaczał wyroki; jest to mędrszem uczynić dziecię — nad własną matkę, która mu swego jestestwa i życia udzieliła... Bo któreżby było tak najświętsze w Rzplitej prawo, by go moc tłómaczenia nie dosięgła?... Cieszył się ukrzywdzony z dopełnienia sprawiedliwości, gdy je w Trybunale, w Asesoryi, w Sądach marszałkowskich lub w komisyach wojskowej i skarbowej, kończąc, pozyskał.

„Dziś, wyrokom arbitralnym Rady Nieustającej, w posłuszeństwo oddanym będąc, albo dekret, albo sędziego w urzędzie widzieć będzie suspendowanym, a przecież na ministra są już sądy sejmowe, a sędziego, według wykroczenia, Trybunał sądzić i odsądzić może! Spoczywał dotąd spokojnie w domu swoim obywatel, krzewiąc rolnictwo, aby miał czem dom swój żywić i podatki opłacać. Dziś,

z lada pretekstu memoryałem od zawistnego sobie obwiniony będzie musiał za rozkazem Rady Nieustającej z najodleglejszej prowincyi przyjeżdżać do Warszawy, a przecież w poblizkości grody i ziemstwa obwinienie rozwinąćby mogły!" [1])

Wiadomo, że protesty owe nie zostały uwzględnione, gdyż większość sejmowa przechyliła się na stronę projektów rządowych, a jedynym owocem zabiegów stronnictwa reformy stało się powierzenie Andrzejowi Zamojskiemu projektu opracowania „Zbioru praw sądowych", który, odrzucony następnie, stał się w dziejach krajowych pomnikiem obywatelskich usiłowań swego twórcy, przez współczesnych według zasług nie ocenionych.

CZĘŚĆ DRUGA.

IX.

Miączyński w służbie wojskowej. — Rotmistrzem chorągwi pancernej. — Opuszcza kraj. — We Francyi. — Sprawy sercowe i pieniężne. — Ślub z Maryą Chaboteau. — Dumouriez. — Zatarg z nim. — Vergennes. — Długi i karty. — Ucieczka do Temple. — Wygnanie z Francyi.

Zawód rycerski odpowiadał zawsze temperamentowi Miączyńskiego. Zbliżywszy się nie tylko do dworu królewskiego, lecz i do osoby Stanisława Augusta, otrzymał godność fligel-adjutanta, a następnie rangę rotmistrza w chorągwi pancernej jazdy narodowej wojska koronnego, którą w roku 1776 był opuścił i przeniósł dalszą swą karyerę wojskową na obczyznę, do Francyi [2]).

Nie tylko jednak żądza szukania przygód rycerskich zagranicą skłoniła Miączyńskiego do porzucenia ojczyzny. Zdaje się, że i romantyczne usposobienie starosty łosickiego było mu w tej mierze impulsem.

Obok przygodnych miłostek żywił on w duszy szczere uczucie do pewnej Francuzki, którą był w Polsce poznał [3]), a która w epoce konfederacyi znalazła się była między gromadą oficerów,

---

[1]) Bibl. Ossol. *Rękop.* 577, Nr. 5.

[2]) *Akta kanclers.* w Arch. Głów. warsz. vol. 52, str. 11 i 36, str. 301.

[3]) *Mém. polit. et milit.* Paris 1797. T. I, str. 221.

przybyłych wraz z Dumouriezem do Polski. Była to niejaka Marya Franciszka Chaboteau, córka mieszczanina paryskiego Andrzeja i żony tegoż Joanny, z domu Coutel. Znany awanturnik, Marcin książę Lubomirski, którego młodość zeszła na romantycznych przygodach i na podbojach sercowych, (zakończonych czwartym ślubnym związkiem z frajliną Ewy Frank-Łabędzką), miał w epoce konfederacyi barskiej dosyć czasu i animuszu, by się ubiegać o względy panny Maryi Chaboteau, do której jednakim affektem, po otrzymaniu rekuzy od hrabianki Mniszchówny, pałał był i starosta łosicki, Miączyński. — Zwycięstwo sercowe zostało po stronie tego ostatniego, lecz rodzice młodzieńca długi czas sprzeciwiali się takiemu mezaliansowi.

Porzuciwszy karyerę wojskową w Polsce, pośpieszył Miączyński do Paryża.

Tutaj go w drodze do Ameryki spotkali po latach wielu dawni towarzysze broni z czasów konfederacyi barskiej: Maciej Rogowski i Kazimierz Pułaski.

„Miączyński — pisze Rogowski — żył huczno i mieszkał w porządnej kamienicy, niedaleko kościoła, gdzie jest grób i serce króla naszego Jana Kazimierza (Saint Germain des Près). Znając wielu dygnitarzy francuskich, czepiał się przy dworze w Wersalu i miał nadzieję dostać szarżę przy armii. Skomunikował on Pułaskiego z p. de St. Priest, a ten, odczytawszy list swego brata, oddał się na usługi wychodźców polskich i przyrzekł pomódz w podróży do Ameryki, do której się wybierał i markiz de Lafayette oraz p. de Noailles.

Opisuje dalej Rogowski ucztę, wydaną przez Miączyńskiego na cześć Polaków i Francuzów „z pierwszej noblessy. Znajdował się tam i Dumouriez, dawna znajomość nasza, ale, że z Pułaskim byli jeszcze w Polsce trochę na bakier, a ja nigdy do niego nie miałem nabożeństwa, więc nie przyszło między nami do wielkich oświadczeń, ani do żadnych tandresów. Traktament był prawdziwie polski, a przy końcu pito gęste wiwaty: między innemi za zdrowie Washingtona, Lafayetta i za powodzenie Amerykanów [1]."

W Paryżu też, z dyspensy arcybiskupa de l'Ange'a, odbył się dnia 8 kwietnia 1780 r. w kościele parafii S. Eustachego, ślub Miączyńskiego z panną Chaboteau, przy asystencyi byłych towarzyszów broni oblubieńca: pp. Józefa Kownackiego, kapitana jazdy w służbie Rzplitej polskiej, i Kazimierza Demeral, również kapitana kawaleryi polskiej. Ze strony panny młodej byli świadkami i dru-

[1]) Reszty pamiętn. Macieja Rogowskiego, edid.: K. Gaszyński. Paryż, 1847. str. 81 i 83.

żbami: Wephy Dondour de Balencour, prokurator parlamentu paryskiego, i Gabryel de Lette Longueville, dworzanin królewski.

Oprócz tej sprawy sercowej miał Miączyński w Paryżu na widoku i odzyskanie ze skarbu francuskiego majątku, poświęconego swego czasu na usługi konfederacyi barskiej. Nie wiadomo, czy tego rodzaju pretensya była uzasadnioną obietnicami emisaryuszów ministeryum Choiseul'a, to tylko pewna, że znalazła ona orędownika w osobie byłego wodza konfederacyi, Dumouriez'a, który, związany stosunkiem przyjaźni z byłym marszałkiem bełskim i powodowany względami wdzięczności za doznaną ze strony tegoż podczas potrzeby Lanckorońskiej usługę, postanowił dopomódz Miączyńskiemu w staraniach o uzyskanie od rządu francuskiego pożądanej bonifikacyi.

Prezydentem w zarządzie finansów był w roku 1783 hrabia de Vergennes i do niego to zwrócił się Dumouriez z przedstawieniem zasadności pretensyi Miączyńskiego.

Złe języki, które tyle szkody pamięci Miączyńskiego wyrządziły i pozostawiły w pismach, z epoki jego działalności we Francyi, ślady, czerniące pobudki, któremi się powodował, służąc obcemu sobie krajowi, utrzymują, że w sprawie odzyskania wydatkowanych na konfederacyę funduszów zaszła była jakoby między Miączyńskim a Dumouriez'em tajna umowa, mocą której korzyści przewidywane miały być podzielonemi. Dodają, co prawda, że warunek taki narzucił był Miączyńskiemu sam Dumouriez, i tem wyjaśnić usiłują niechęć tajną, jaką marszałek bełski żywić miał do osoby generała francuskiego [1]).

Trudno sprawdzić zasadność owych niecnych insynuacyi, to tylko pewna, że w okresie czasu między rokiem 1783 a 1791 spotykamy Miączyńskiego i Dumouriez'a w nieustannych stosunkach, wyłącznie zajętych sprawą odzyskania „milionów”, spotrzebowanych na konfederacyę, sprawą, która, mimo wszelkich starań i zachodów, rezultatu nie osięgała.

11 czerwca 1783 pisał Dumouriez do Miączyńskiego. „Ponowiłem przed hr. de Vergennes świadectwo gorliwości, dobrej wiary i męstwa, których Wpan dałeś dowody podczas konfederacyi. Wiem, żeś wielkie poniósł straty i ofiary, pragnę więc usilnie, by minister otrzymał dla Ciebie od króla ich indemnizacyę.” [2])

---

[1]) Cette condition imposée par Dumouriez, le rendut secrétement son ennemi“, Mém. polit. z 1797. T. I, 221.

[2]) Z papierów wdowy Miączyńskiej. Klem. Hoffm. w Przyjacielu ludu 1837, Nr. 51.

Starania te Dumouriez'a i prośby Miączyńskiego, królowi przedstawione, zaledwie wyjednały zasiłek proszącemu w kwocie sześciu tysięcy franków, ktorych, z powodu wyczerpania skarbu, nawet mu nie wypłacono [1]).

Obarczony długami i bez możności utrzymania rodziny, której zwiększenia podówczas się spodziewał, schronił się Miączyński do Temple, przytułku, z którego go wierzyciele wydostać nie mieli prawa; pani Miączyńska zaś, niepomna na stan macierzyństwa, pospieszyła do Wersalu, by tam wyjednać sobie posłuchanie u króla. Przyjęto ją tam obojętnie, tak, że ze wzruszenia padła zemdlona w przedsionku pałacu. Na wiadomość o bezskutecznych staraniach Miączyński postanowił zemścić się na ministrze Vergennes i ogłosił przeciw niemu pamflet, przypisujący złej woli owego dygnitarza nieposzanowanie decyzyi królewskiej. Tem nie tylko, że swego położenia nie polepszył, lecz nawet wywołał ze strony króla rozkaz gabinetowy, skazujący go na wygnanie z Francyi [2]).

Schronił się wówczas Miączyński do Belgii i dopiero po wybuchu rewolucyi 1789 r. powrócił do Paryża, gdzie znowu przy pomocy Dumouriez'a ponowił przed zgromadzeniem narodowem starania o uzyskanie indemnizacyi [3]).

Z owej to epoki pochodzą układy, zawiązane między Miączyńskim a jednym z jego dawnych towarzyszów broni w Polsce i we Francyi, niejakim Piotrem Józefem van Lein, kawalerem „de Libin", byłym dowódzcą artyleryi i inżynieryi Rzplitej polskiej, konfederatem barskim.

---

[1]) A force des sollicitations, Vergennes, lui fit obtenir une pension de 6000 francs, que la dureté des temps ne permit pas de lui payer avec exactitude „Mém. polit." Autor owych zgryźliwych pamiętników nie oszczędza Miączyńskiego. „Dès ce moment, — pisze — on vit s'éteindre en lui les sentiments d'honneur et de delicatesse. Il devint joueur par désespoir et perdut toutes les qualités, qui lui avoient donné quelque éclat à l'âge de 25 ans."

[2]) W pamiętnikach Bertranda de Molleville, ziejących nienawiścią do Miączyńskiego, o czem niżej, znajdujemy w tej mierze szczegół następujący: „Il (Miączyński) me parla d'une contestation tres vive, qu' il avait eue avec M. de Vergennes. Il en avait publié une relation très longue et très circonstanciée". Mém. secrets. T. II. 234. O wygnaniu Miączyńskiego, z notat jenerałowej, Hoffmanowa w Przyj. ludu.

[3]) Pendant la première assemblée nationale Dumouriez avait apuyé un de ses mémoire en reclamation d'indemnité, sous la condition, qu'ils partageroient entre eux ce qui leur seroit accordé". Mém. polit. et mil. z 1797. I. 221.

Układy, o jakich mowa, spisane w dnia 25 listopada 1789, odnaleziono niedawno w Archiwum narodowem paryskiem (w kartonie T. str. 306 i nast., zatytułowanym *Inventaire Dumouriez*), a stanowią one doskonały komentarz do charakterystyki Miączyńskiego w tej właśnie epoce jego życia, gdy niekorzystne warunki bytu potocznego nakazały mu szukać ucieczki w przedsiębiorstwach przemysłowych, na wielką skalę obrachowanych, i w odzyskaniu utraconej fortuny. Ciekawy wstęp do układów, o jakich mowa, brzmi w przekładzie, jak następuje:

„Od lat dwudziestu związani uczuciem najszczerszej przyjaźni, jako towarzysze broni, w sprawach i czasach najtrudniejszych, narażając się wspólnie na niebezpieczeństwa podczas wojny w Polsce i doświadczywszy jednakich zawodów i niesprawiedliwości ze strony ministrów, od chwili powrotu do Francyi, pragnęliśmy zawsze zjednoczyć wszystkie nasze nadzieje i podzielić się po bratersku tem wszystkiem, cokolwiekby jeden lub drugi z nas mógł kiedykolwiek otrzymać od Francyi, tytułem wynagrodzenia za usługi, orężem naszym jej wyświadczone;

„Z uwagi nadto na zobowiązania, jakie ja, hrabia Miączyński, zaciągnąłem względem kawalera de Libin, z powodu przywiązania trwałego i niezmiennego, jakie mi okazywał osobiście w Rzplitej, jakoteż z tytułu korzyści, jakie ciągnąłem z jego talentów wojskowych i rad, jakich mi udzielał w czasach najtrudniejszych, i z jego pomocy przy fortyfikowania twierdz: Lanckorony, Tyńca, Bobrka, Ładygowic, gdzie miałem sposobność odznaczyć się wojskowo;

„Z uwagi nadto na straty, poniesione przez kawalera de Libin, skutkiem pozbawienia go płacy należnej mu z tytułu dowódzcy artyleryi i inżynieryi, której nie otrzymał, a za którą ja poręczyłem, w braku poręczenia ze strony Francyi, jako konsyliarz wojenny Rzplitej skonfederowanej, znając te nakłady, jakie łożył przy fortyfikowaniu miejsc wzmiankowanych, a to w epoce, gdy zmiany, zaszłe w gabinecie wersalskim, z chwilą wstąpienia do ministeryum księcia D'Aiguillon, wpłynęły niekorzystnie na opiekę, świadczoną przedtem Rzplitej skonfederowanej przez Francyę;

„Zważywszy nadto usiłowania, jakie w ciągu lat dziesięciu podejmował kawaler de Libin, celem wykazania słuszności moich reklamacyi i na użyteczność rad, przezeń mi udzielanych, celem przyspieszenia rezultatu moich zabiegów —

„Postanowiliśmy wznowić i wzmocnić dawne węzły przyjaźni naszej, w nadziei, że prawość i szlachetność francuska za pośredni-

ctwem organu Zgromadzenia Narodowego zwróci nam to wynagrodzenie, którego mamy prawo po Francyi się spodziewać".

W tym celu układający się postanowili: wynagrodzenie, jakieby pozyskanem zostało, podzielić na trzy równe części, z których jedną otrzymałby Miączyński, drugą — kawaler de Libin, a część trzecia zdeponowaną być miała w kasie wspólnej, jako kapitał pomocniczy do przedsiębiorstwa, jakie Zgromadzenie Narodowe w widokach ożywienia handlu i usypławnienia koryta Sekwany i rzek dopływających do niej temuż kawalerowi de Libin powierzyć postanowiło. Zyski z owego przedsiębiorstwa miały znowu ulegać podziałowi na trzy części, z których część trzecia miała być wspólną obu stronom wraz z procentami, jakieby przyniosła, lecz udział większy w niej miał mieć Miączyński, jako ojciec rodziny; mniejszą zaś kawaler de Libin, jako bezżenny.

W jednym z artykułów umowy zastrzeżono najwyraźniej, iż z uwagi na krytyczne położenie hr. Miączyńskiego i konieczność natychmiastowego spłacenia długów i zabezpieczenia posagu jego żony sposobem wyjątku dozwolonem będzie pierwsze wynagrodzenie, jakie Zgromadzenie Narodowe przyzna, podzielić na pięć części, z których pierwsza użytą byłaby bezzwłocznie na pokrycie długów Miączyńskiego, pozostałe zaś cztery części pójdą do podziału między wspólników.

Charakterystyczną ową umowę kończą podpisy i pieczęcie z hrabiowskiemi koronami.

Czy widoki obu towarzyszów broni sprawdziły się, i czy Zgromadzenie Narodowe przyznało im wynagrodzenie, którego wyjednania podjął się, prawdopodobnie Dumouriez, na warunkach powyżej przytoczonych, niewiadomo.

(*d. c. n.*) *Alexander Kraushar.*

Sprostowanie. W artykule „Miączyński" Zesz. II „Ateneum" na str. 364, wiersz 19 od góry, po wyrazie „Pułaskiego" powinno być zamiast przecinka, litera i, gdyż tak, jak jest obecnie, wygląda, że Miączyński został rozstrzelany, co nie jest prawda. Ma więc być „*rozstrzelać w przytomności Pułaskiego i Miączyńskiego*".

IDEAŁY
twórczości poetyckiej Schillera
oraz
POEZYI ROMANTYCZNEJ POLSKIEJ. *)

Powyższe rozprawy należą do nierzadkich już i u nas objawów owego zwrotu do idealizmu, który wprawdzie na polu literatury nie znalazł sobie jeszcze drogi właściwej, ale jej szuka i przy pomocy wyższych aspiracyi oraz wskazówek historyczno - krytycznych, z czasem niewątpliwie znajdzie. Filozofia już dawno przezwyciężyła powierzchowny naturalizm, zadawalający się świadectwem i potrzebami zmysłów, i położyła fundamenta pod ogólny pogląd na świat, czyniący zadość wszechstronnym i głębszym potrzebom du-

*) Z powodu rozpraw:
Wł. M. Kozłowski. „Filozofia Schillera i wiersz „Artyści". Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego". Łódź, 1899.
Wanda. „Ideały romantycznej poezyi polskiej". Poznań, 1899.

cha ludzkiego. Ale przejście od ściśle naukowych danych filozofii do literatury i poezyi nie jest tak łatwe, jakby się to zdawać mogło. Twórczość poetycka jest objawem samoistnym; kieruje się przeważnie potrzebami serca i wchłania w siebie bardzo powoli czynniki myśli naukowej i filozoficznej. Kiedy czynniki te wytwarzają pewną ogólną atmosferę duchową, oddziaływającą na nastrój uczuciowy społeczeństwa, wtedy dopiero wciskają się one w umysły twórcze i znajdują odpowiedni wyraz w ich dziełach. Do wytworzenia zaś takiej atmosfery przyczyniają się znacznie prace, rozpatrujące cele i środki twórczości poetyckiej, zdające teoretyczną sprawę z jej aspiracyi życiowych. Prace takie są właśnie łącznikami między myślą filozoficzną a uczuciem poetyckiem i oddziaływają bezpośrednio na zrównoważenie tych różnorodnych objawów ducha ludzkiego.

Z tego stanowiska zaznaczone powyżej prace zasługują na bliższą uwagę; rozjaśniają one ideały, które przyświecały wielkim twórcom poezyi romantycznej, i tem samem przyczyniają się do rozwiązania kwestyi, do jakich celów dążyć winna poezya współczesna, jeśli chce zaspokoić wyższe, idealne potrzeby dzisiejszego pokolenia.

Rozprawa Wł. M. Kozłowskiego przedstawia filozofię Schillera na tle jego wiersza „Artyści (*Die Künstler*)". Już z tego okazuje się, że autorowi nie idzie o wyczerpujące rozwinięcie ogólnego poglądu wielkiego poety na świat i życie, jak to uczynił Kuno Fischer w swem dziele: „Schiller, als Philosoph", lecz głównie o scharakteryzowanie jego pojęć o sztuce i pięknie ze stanowiska filozoficznego. W samej rzeczy, w przytoczonym wierszu napotykamy, według słów autora, „wyznanie wiary poetyckiej" Schillera oraz pogląd jego na filozoficzne i dziejowe znaczenie sztuki, a więc na jej idealne dążności.

Dla należytego uwydatnienia tego poglądu autor szuka odpowiedzi na trzy pytania: 1) W jakim okresie twórczości poetyckiej i filozoficznej powstał ów wiersz i jakie odźwierciadla wpływy? 2) W jakim stopniu odbija ostateczne poglądy Schillera na piękno? 3) Jak pojmuje Schiller stosunek między pięknem a prawdą i dobrem?

Nie badając, w jaki sposób autor rozwiązał każde z tych pytań zosobna, podnosimy tu głównie poglądy znakomitego wieszcza nie-

mieckiego na ideał twórczości poetyckiej w celu porównania go następnie z takimże ideałem naszych pierwszorzędnych poetów.

Wiersz „Artyści" zaznacza ważny zwrot w życiu umysłowem Schillera, zwrot od jednostronnych, apryorycznie wyrozumowanych pojęć filozoficznych ku szerokiemu poglądowi na oświatę, jako ideał dziejowy, ku konkrentnym dążnościom życia, a na polu twórczości— ku czystemu pięknu w duchu mistrzów starożytnych, szczególniej Homera i tragików greckich. Pod wpływem tych czynników rozwija poeta główną ideę „Artystów", polegającą na uznaniu zasadniczej jedności p r a w d y, d o b r a i p i ę k n a. Piękno jest zarazem prawdą, bo urzeczywistnia w sposób realny ideał przyrody, uszlachetnionej przez kulturę, odrodzonej w sztuce, jak tego dowodzi sztuka grecka. Ale i z dobrem łączy się piękno bezpośrednio, bo staje się jego wyrazem, symbolem i rozbudza bezinteresowne oddanie się ideałowi.

Ten zasadniczy motyw rozwijają „Artyści" szczegółowo ze stanowiska dziejowego i nadają mu przez to charakter ogólno-ludzki, humanitarny. Sztuka była pierwszą przewodniczką ludzkości i przygotowała stopniowy rozwój kultury etycznej i naukowej. Sztuka to „w lekkiej zabawie" nauczyła ludzkość, „sierotę, rzuconą w życia mętną toń, nieść ciężar obowiązków i poiła ją miłością". Ona to

Od młodej piersi oddaliła
Nieczystych żądz hańbiący jad,
A wzniosłych cnót za młodych lat
Tajemny urok odsłoniła.

Podobnież tylko dzięki jej pośrednictwu rozbudził się w człowieku zmysł badawczy, rozwinęła się w nim gorąca miłość prawdy:

Nadobnych sztuk jutrzniany brzask
Prowadzi w jasny wiedzy kraj;
By prawdy znieść słoneczny blask,
Musimy przejść przez piękna raj.

Na podstawie tej ostatniej idei o ścisłym związku prawdy i piękna autor słusznie zestawia pogląd Schillera z poglądem, wygłoszonym za naszych czasów przez Alberta Langego w „Historyi i krytyce materyalizmu" o twórczości poetyckiej na polu metafizyki. Nie sądzę jednak, aby można było, wraz z autorem, nadać temu zestawieniu charakter zupełnej tożsamości. Sprowadzając metafizykę do twórczości poetyckiej na polu pojęciowem, Lange zaprzeczał znaczeniu naukowemu metafizyki i przeciwstawiał ją ścisłej nauce, bada-

jącej mechanizm przyczynowy zjawisk. Schiller natomiast dalekim był od takiego dualizmu. Istota prawdy łączyła się, według niego, bezpośrednio z szatą piękna i nie dopuszczała żadnej sprzeczności między współczynnikami rozwoju umysłowego ludzkości. To też udoskonalenie ludzkości, jako ostateczny cel jej rozwoju, dokonywa się, według Schillera, tylko dzięki ścisłemu zjednoczeniu piękna, prawdy i dobra. Poezya i sztuka, wiedza i nauka, religia i moralność to tylko niższe objawy jednego w sobie ducha ludzkości, przenikającego każdy z tych objawów. Jak światło białe, według trafnego porównania autora, rozkłada się na różnobarwną tęczę, a promienie barwne, łącząc się, wytwarzają znowu czystą białość światła, — tak i tu pierwotna jedność ducha rozkłada się wprawdzie na te odrębne objawy, ale je znowu skupia w jednolitej swej istocie i przez to zamyka przebieg swego dziejowego rozwoju. Poezya i sztuka odgrywają w tym rozwoju tylko dlatego rolę przodującą, że są bezpośrednim wyrazem ducha, uzewnętrznieniem treści, spoczywającej w jego głębiach. Więc nią się rozpoczyna i nią się kończy ten rozwój, bo ona jest właśnie widzialnem i dotykalnem zjednoczeniem wszystkich sił twórczych ducha ludzkiego. Z tego stanowiska przemawia Schiller pod koniec swego utworu do artystów w te słowa:

Ludzkości cześć wam poruczona,
Pilnujcie jej!
Z wami się wznosi, pada ona;
Poezyi tajnia niezgłębiona
Służy najmędrszym świata planom,
Niech cicho płynie potok jej
Ku wszechharmonii oceanom.

Oto ideał twórczości poetyckiej Schillera. Kozłowski rozwija w swej pracy ten ideał szczegółowo i wyjaśnia go przy pomocy danych, dotyczących rozwoju filozoficznego poety. Piękny zaś przekład „Artystów" Schillera pióra autora nastręcza czytelnikowi sposobność do samodzielnego wniknięcia w treść tego utworu.

Zestawienie powyższych poglądów Schillera na piękno i jego rolę dziejową z ideałami romantycznej poezyi polskiej wydaje się nam wielce zajmującem, a nawet pouczającem. To też korzystamy z ogłoszonej jednocześnie, a wymienionej na wstępie, rozprawy w tym przedmiocie dla dokonania owego zestawienia.

Autor „Ideałów romantycznej poezyi polskiej” rozwija w ogólnych zarysach, napisanych z serdecznem ciepłem, swój pogląd na czynniki idealne, które się uwydatniły w naszej poezyi okresu Mickiewiczowskiego. Za punkt wyjścia bierze zdanie Renana, że jest w historyi cywilizacyi ludzkiej jeden tylko cud i że tym cudem jest historya kultury i literatury greckiej.

Cudowną mianowicie jest ta okoliczność, że literatura grecka wzrastała bez żadnej pomocy i że wszystko zawdzięcza wyłącznie samej sobie, swojemu narodowi, swojej ojczyźnie. Rozkwit nowszych literatur przypada dopiero na czasy, kiedy zmartwychwstająca literatura starożytna stała się mistrzynią najznakomitszych nawet umysłów Europy zachodniej. One tedy nie rozwijały się o własnej sile, lecz potrzebowały pomocy, podpory ze strony dojrzałego piśmiennictwa Greków i Rzymian. Tymczasem Homer i Hezyod, Eschylos, Sofokles i Arystofanes, Platon i Arystoteles nie zawdzięczają nikomu nic, — i dlatego właśnie Renan nazwał literaturę grecką cudem.

Zdaniem autora, do owego cudu w historyi ducha ludzkiego dodać należy jeszcze jeden, może większy jeszcze, może mniej jeszcze zrozumiały, a jednak na prawdę istniejący, a tym cudem jest romantyczna poezya polska, bo ona wytworzyła się nie z niczego wprawdzie, ale naprzekór, w przeciwstawności do danych realnych warunków bytu i rozwoju życia narodowego. Wprawdzie, mówi autor, wiele okoliczności zewnętrznych sprzyjało rozkwitowi naszej literatury w wieku XIX-ym. Kraj był od wieków w kulturalnym związku z Europą zachodnią, a w końcu XVIII-go i na początku XIX-go wieku poezya wzniosła się w Europie na wyżyny wspaniałe. Na ruinach klasycyzmu zakwitł prześliczny kwiat romantyzmu. Wywarł on tedy wpływ i na naszą twórczość poetycką, sprawił i w naszej poezyi rewolucyę. Ale pomimo to właśnie w tym czasie położenie kraju nie zawierało, na pozór, żadnych danych do bujnego rozkwitu poezyi. Starym poetom pióro z rąk wypadało, inni pisać nie mogli, bo wpadali w melancholię lub obłąkanie, jak Zabłocki i Kniaźnin. Zapanowała tedy cisza głęboka...

Wtem niespodziewanie zupełnie zaczęto coraz głośniej mówić i u nas o jakimś romantyzmie, o jakimś świecie duchów, mar i upiorów, o jakiejś idealnej sferze marzeń! Starzy się gniewali, młodzi się cieszyli i zapalali. Aż jeden z tych młodych ogłosił swoje ballady i romanse. Podniosła się wrzawa, posypały się krytykl. Nic to nie pomogło. Romantyzm, zainaugurowany przez Mickiewicza i Zaleskiego, wystąpił do boju i zwyciężył. Za balladami przyszła „Gra-

żyna" i „Dziady", za dumkami Zaleskiego „Marya", za „Maryą" „Zamek Kaniowski", aż ukazał się utwór, który najwięcej narobił wrzawy — „Konrad Wallenrod". Przed „Wallenrodem" była wprawdzie poezya polska dzięki balladom, „Grażynie", „Dziadom", „Maryi", już świetną, była piękną, piękniejszą, niż wszystko, co było od „Trenów" i „Psalmów" Kochanowskiego do „Hymnu" Woronicza, ale jeszcze nie wielką, nie porywającą. Teraz dopiero stała się odrazu wielką i doszła do szczytu wielkości, kiedy w r. 1834 zabrzmiała pieśń tak pogodna, tak spokojna, tak cudownie piękna, jaką pozornie tylko w szczęściu zaśpiewać można, — to „Pan Tadeusz", korona całej poezyi naszej od pieśni Bogarodzica do Asnyka. Potem zjawia się „Przedświt" i trzy pierwsze „Psalmy", a wreszcie „Psalm dobrej woli", na którym się kończy wielkość naszej poezyi!

Na tle takiej, jak widzimy, wielce ożywionej charakterystyki najwydatniejszych objawów naszej poezyi romantycznej autor uwydatnia jej przewodnie ideały. I tu, jak u Schillera, na pierwszym planie stoi piękno. Poezya nasza, mówi autor, spełniła główny cel, do którego dąży każda sztuka, a którym jest piękno. Ale obok piękna przyświeca naszej poezyi inny jeszcze ideał, ideał dobra. Bez wszelkiej stronności powiedzieć można, że literatura nasza jest, w porównaniu z zachodnio-europejską dziwnie czystą, i teraz, w okresie Zoli, Maupassanta i d'Annunzia, a tem więcej dawniej — w okresie romantyzmu. Czystą zaś, na ogół biorąc, jest nasza poezya romantyczna dlatego, że głosiła właśnie najwznioślejsze ideały.

W dalszem przedstawieniu tych ideałów, świadczącem o podniosłym nastroju autora, występują na jaw coraz wyraźniej różnice naszej poezyi romantycznej od wszelkiej innej, a szczególniej od poezyi Schillera.

Porównanie cech, zaznaczonych szczegółowo w niniejszej pracy o ideałach poezyi romantycznej polskiej, z ideałami poezyi Schillera, rozwiniętymi w pracy Wł. M. Kozłowskiego, naprowadza nas na trzy takie różnice, charakteryzujące w sposób dobitny odrębności naszej wielkiej poezyi w ogólnym pochodzie twórczości poetyckiej. Oto wynik tego zestawienia.

Jeżeli twórczość poetycka Schillera miała przeważnie charakter ogólno-ludzki, humanitarny, to nasi wielcy poeci wskutek odmiennych warunków życia narodowego tworzyli przeważnie pod wpływem głębokiego poczucia swojskości i pragnęli przedewszystkiem zaspokoić indywidualne potrzeby i dążności narodu. Historyozofia ogólnie ludzka zastąpioną tu została historyozofią swojską. Następnie, gdy Schiller cały swój pogląd na świat i życie czerpał głów-

nie z filozofii i pojmował filozoficznie, nasi poeci pogrążali się często w głębie mistycyzmu religijnego i w nim szukali otuchy i podniety do rozwinięcia swych wspaniałych pomysłów. W ich twórczości wiedza ustępowała przed wiarą. Nareszcie, Schiller ulegał intelektualnemu nastrojowi swego czasu i narodu; samo poznanie, sama kontemplacya zadawalały go, przedstawiały mu się, jako ostateczny cel rozwoju dziejowego. Trafnie uwydatnia ten rys Kozłowski na str. 24 swej pracy, mówiąc: „Zamiast zbliżyć rzeczywistość do ideału, sprowadzając go na ziemię i nadając mu znaczenie bezpośredniego kierownika w dziejach, Schiller zwiększył przepaść między nimi, pozostawiając mu tylko pośrednie oddziaływanie z jego promiennych wyżyn". Nasi natomiast poeci, podobnie, jak i nasi filozofowie, kładli główny nacisk nie na myśl lub na uczucie, ale na wolę i czyn. Życiowe ziszczenie ideału, oto, według nich, cel dziejowego rozwoju ludzkości, a przybliżenie się do tego celu, oto ich misya. Autor „Ideałów romantycznej poezyi polskiej" z tego stanowiska bardzo słusznie zaznacza, że nasi poeci nie wygłaszali tylko swych idealnych haseł, ale mieli zarazem na oku „skojarzenie serca z rozumem, ideału z rzeczywistością". Domagali się oni „pracy ducha i rąk pracy" w kierunku urzeczywistnienia ideałów, domagali się przedewszystkiem „dobrej woli", jako warunku wszelkiego postępu ku doskonałości. I tem, zarówno, jak i poprzednimi rysami, zajęli wydatne miejsce w rzędzie najznakomitszych poetów świata.

Henryk Struve.



Zadruga w Polsce.

Na tle historyi i prawa porównawczego powstał ciekawy spór w nauce o zadrugę w Polsce. Instytucya ta, jak wiadomo, dotychczas przetrwała wśród Słowian południowych, jak Serbów, Chorwatów, Czarnogórców etc. Nikt jednak dotąd nie pokusił się o związanie jej z faktami życia pierwotnego i ustroju społecznego w Polsce.

Kwestya ta wyłoniła się dopiero w dwu pracach, a właściwie w recenzyi profesora Balzera [1]).

Mamy zamiar tutaj zaznajomić szan. czytelników z nowemi zdobyczami naukowemi, które z okazyi tego sporu wyszły na jaw.

W r. 1896 prof. Piekosiński wystąpił z książką p. t. „Ludność wieśniacza w Polsce w dobie Piastowskiej". (Kraków str. 151). Rzecz ze względu na wypowiedziane już zapatrywania przy hypotezie na-

---

[1]) Oswald Balzer. „Rewizya teoryi osadnictwa w Polsce" (Odb. z Kwart. hist. Lwów 1898, str. 47).

Tenże. „O zadrudze słowiańskiej. Uwagi i polemika" (Odb. z Kwart. hist. Lwów 1899, str. 741).

jazdu i dynastycznego pochodzenia szlachty, nie nowa. Z drugiej strony wysokie stanowisko, jakie sz. profesor zajmuje w nauce, jego bystrość w dociekaniu faktów historycznych z suchych i luźnych wzmianek źródłowych, wreszcie opracowanie szczegółowe jednego z najważniejszych zagadnień, dotyczących historyi społecznej w Polsce, wysunęła jego pracę ponad zakres zjawisk codziennych w nauce. Nie można się gniewać na autora o jego predylekcyę do pewnej hypotezy, skoro na zasadzie jej rozświetla wiele ciemnych zagadnień, posługuje się tym samym aparatem naukowym, co i inni, toruje sobie śmiało drogę pośród dziwnych znaków herbowych, które dla profana mają w sobie coś niby kabalistycznego, i na podstawie tych znaków (stannic) rysuje drzewo genealogiczne dynastyi Piastów i Popielidów. Dla sz. autora wszystko to być może. Lecz ten, kto się na jego runach tak dobrze nie zna, prędzej do pocztu przystąpi.

Gdy argumentacya runowa okazała się nie dość przekonywującą, sz. profesor wziął się do historyi społecznej, aby wykazać, iż stan ludności wieśniaczej w dobie Piastowskiej był tak dalece uciemiężony, a przedział między nią a warstwą szlachecką tak głęboki, iż ludność miejscowa, tuziemna nie mogła być niczem innem, jak podbitą ludnością przez najeźdźców, przybyłych z nizin nadłabskich w VI w. po Nar. Chr., którzy wytworzyli w Polsce klasę panującą czyli szlachtę.

Teraz naturalnie przeciwnicy hypotezy najazdu, a do takich należy i prof. Balzer, skierowali swoje usiłowanie w tym celu, aby wykazać, iż nie cała ludność wieśniacza w dobie Piastowskiej była niewolna i że warstwa szlachecka mogła powstać drogą stopniowej ewolucyi i zróżnicowania pierwotnej warstwy osadników w Polsce.

Prof. Piekosiński przypisuje założenie wsi na *ice* (z końcówkami patronimicznemi) osadnictwu jednej rodziny. Tak, Dalechowice zostały założone przez potomków Dalecha. Wsi zaś z końcówkami dzierżawczemi na—*ów*, —*in* wyprowadza od założyciela ojca (Dalechów od Dalecha). Na każdy sposób początek osadnictwa w Polsce tłómaczy osiedleniem się rodzin (jednej rodziny w każdej wsi). Tymczasem prof. Balzer porusza kwestyę, czy pierwotne osiedlenie, jak wogóle wszędzie, tak i w Polsce, nie dokonywało się r o d a m i, a więc grupami rodzin, połączonych z sobą węzłem pokrewieństwa. Dalej wskazuje na darowizny ludności wieśniaczej na rzecz kościoła w XII w., w których wymieniony jest pojedyńczy chłop wraz z braćmi *Gnevos cum fratribus* albo ze wszystkimi krewniakami (*cum tota generatione*). To go naprowadza na myśl o ist-

nieniu wspólnot rodowych, pod kierunkiem naczelnika rodu—głowy czyli starosty. W drugiej swej pracy, o której niżej pomówimy, wspólnoty te rodowe identyfikuje z południowo-słowiańską zadrugą. Wspólność majątkowa, gospodarcza i współżycie w jednym domu wszystkich członków rodu—oto cechy tej formy ustroju społecznego, która się przechowała jeszcze w pierwszych wiekach w Polsce.

Własność indywidualna ziemska w XII i XIII wieku w Polsce była już tak silnie rozwinięta, iż o jakiemś powszechnem prawie wspólnot rodowych nie może być mowy. To też prof. Balzer zastrzega się, iż te wieki są okresem przejściowym, w którym tylko możemy odszukać ślady dawnego ustroju rodowego. Takich śladów pozostało w dawnem prawie polskiem dwa: najprzód prawo, zabraniające pozbycia się ziemi bez zgody krewnych i stryjców, a drugi to prawo krewnych do okupu za zabójstwo członka rodu. W związku z tem wyraz gość *(hospes)*, bardzo często spotykany dla oznaczenia pewnej kategoryi ludności wieśniaczej w Polsce, Balzer nie zawsze każe odnosić do cudzoziemca przybysza, ale zarówno do członka obcego rodu, który osiedlił się w obrębie wsi innego rodu.

Tę kategoryę ludności, jako obcą, późniejszą, napływową, zalicza prof. Piekosiński do warstwy ludności wolnej, podczas gdy cała masa ludności tuziemnej miała zostawać niewolną czyli przypisaną do ziemi (*asscriptitii*) na mocy pierwotnego faktu najazdu czyli podboju. Pod tym względem autor stoi w sprzeczności ze źródłami, które mówią wyraźnie o ludziach wolnych tuziemcach, a nie gościach (*liberi homines*, *non hospites*, *sed indigenae*), jak również z tym faktem, iż nazwiska gości są po większej części słowiańskie, polskie. Co prawda prof. Piekosiński, który wyprowadza szlachtę i dynastyę panującą od jakiegoś szczepu słowiańskiego nadłabskiego, nie waha się i tych wolnych chłopów sprowadzać do Polski z obszarów pogranicznych, zamieszkałych także przez ludność pokrewną słowiańską.

I w tem jest najsłabsza strona argumentacyi szan. profesora. Jest jeszcze i druga—oto ta, że cała ziemia należy do księcia i że książę rozporządza się nią, odbiera i nadaje dowoli. Jeżeli zaś wzamian za to chłopi otrzymają niekiedy odszkodowanie, to jest to tylko wynikiem łaski księcia, tudzież wyrzutów sumienia, budzących się w nim od czasu do czasu z tego powodu, iż tak niesprawiedliwie z biednymi chłopkami sobie postępuje.

Prof. Balzer słusznie wytyka p. Piekosińskiemu to przecenianie instynktów altruistycznych w epoce, gdzie gwałt i krzywda były na porządku dziennym, i dodajmy wogóle, iż historya, jak i polityka.

nie zna dytychczas takiego pełnienia funkcyi filantropijnych w społeczeństwie przez jakąkolwiek władzę, zwłaszcza, jeżeli te fakta miłosierdzia nie są odosobnione, lecz powtarzają się stale i ciągle. Dosyć już jest, jeżeli władza potrafi strzedz ustalonego porządku prawnego. A cóż stawałoby na przeszkodzie zdobywcy rozporządzać się samowolnie ziemią podbitą, jeżeliby miał do niej prawo?

Na innem miejscu będę usiłował dowieść, iż ziemia w Polsce w czasach pierwotnych nie należała do księcia z wyjątkiem preseki i ujazdów. Pierwsza jest to pas gruntu pogranicznego między ziemiami, druga zaś między poszczególnemi wsiami. Ten drugi termin, ujazd, odpowiada niemieckiemu pojęciu marki, chociaż genetycznie nie ma z nią nic wspólnego. Te wsi, które powstały w obrębie ujazdów, są zamieszkałe przez ludność służebną lub niewolną książęcą. Tymczasem wsi, stanowiące jądro osadnictwa pierwotnego w Polsce, należą do ludności wolnej dziedziców. Tych ostatnich ziemia jest nietykalną nawet dla księcia, pomijając fakta nadużyć i uzurpacyi ziemi. Lecz nadania ziemi dotykały pierwotnie tylko ziemi w ujazdach. Co innego są fakta nadań juryzdykcyi patrymonialnej. Ten rodzaj nadań obejmował nieraz całe kasztelanie (np. nadanie kasztelanii Żnińskiej dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w bulli r. 1136). Mimo późniejszego zatarcia się różnicy między nadaniem prawa własności do ziemi a prawa jurysdykcyi patrymonialnej, dwa te prądy trzeba traktować osobno, zwłaszcza, jeżeli się z nadań książęcych wyprowadza prawo własności księcia do całej ziemi tam, gdzie było tylko prawo zwierzchnicze księcia nad ludnością. Co więcej, ta ziemia, nadawana przez księcia, od której prof. Piekosiński wyprowadza własność ziemską szlachty, była w istocie swojej bardziej zależną od woli księcia, od jego chcę lub nie chcę, aniżeli własność, która się zwała ojcowizną. Ta ostatnia przechodziła z ojca na syna, i do niej książę nie miał żadnego prawa, chyba za zrzeczeniem się pretensyi do tej ziemi zarówno właściciela, jak i jego krewnych, podczas gdy ziemia nadana, jak wogóle wszelki przedmiot nadań w czasach średniowiecznych, podlegała restrykcyi władzy książęcej, potwierdzeniu lub cofnięciu przez niego samego lub jego następców.

Tyle w kwestyi prawa księcia do ziemi w dawnej Polsce. Oczywista, wnioski te odnoszą się ogólnie do wszystkich warstw ludności. Dosyć to już, aby zbić twierdzenie o tem, jakoby własność ziemska szlachty tworzyła się z nadań. Zamało jeszcze, aby twierdzić, iż chłopi tę własność ziemską posiadali. Ale i to nawet da się udowodnić, zwłaszcza na podstawie tego, iż książę roz-

porządza się ziemią chłopów dziedziców z ich wolą albo nawet po zrzeczeniu się ich prawa do ziemi.

Powracam jednak do pierwszej rozprawy prof. Balzera. Przynosi nam jeszcze ona nowe wytłómaczenie nazwy narok. Narok jest to służba ludności wieśniaczej na rzecz księcia, a ludność, do niej przeznaczona, zwała się narocznicy. Prof. Piekosiński, który w jednej z dawniejszych rozpraw tłómaczy ten wyraz od słowa rok (termin sądowy), zaniechał tego tłómaczenia i przyjął o wiele prawdopodobniejsze. Narok ma wskazywać służbę, do której ludność była powoływana „na rok". Balzer zastrzega się co do trafności swojego filologicznego spostrzeżenia, ale wyraz „narok" wydaje mu się urobionym od czasownika „narzec" (przeznaczać), narzeczona, podobnież, jak od wyrazu „wyrzec" pochodzi „wyrok", „wyrocznia". Panom filologom należy sprostować albo potwierdzić to przypuszczenie.

Znalazłszy ród, jako komórkę zarodkową organizacyi społecznej w Polsce, Balzer doszukuje się związku społecznego wyższego rzędu. Takim było, zdaniem jego, opole, które odpowiada południowo-słowiańskiemu bractwu. Co do genezy opola, autor zajmuje stanowisko pośrednie. Nie może mu odmówić znaczenia terytoryalnego, a więc nie byłoby opole wytworem organizacyi rodowej. Natomiast możliwem jest, że opole powstało, jako połączenie kilku lub kilkunastu rodów w celach obrony wzajemnej lub utrzymania pokoju (powoła).

A teraz przychodzi kolej na literaturę czeską. Kadlec w swojej pracy „Rodinný nedil čili zadruha o pravu slovanském" (Praga, 1898) podjął się zestawienia tego wszystkiego, co wiadomem jest o wspólnotach rodzinnych czyli zadrudze w historyi Słowian, i to nie tylko południowych, ale i północnych, a więc na Rusi, w Czechach i u nas. Do tego Balzer w swojej recenzyi rozprawy Kadleca dorzuca szereg uwag, zaczerpniętych ze zbadania zapisek, w tomach XI—do XVI „Aktów grodzkich i ziemskich" zawartych Stwierdza zatem istnienie wspólnot majątkowych w XV i XVI w. nawet pośród szlachty na Rusi. Wspólnoty majątkowe trafiają się w rodzinach popów, a nawet chłopskich.

Członkowie wspólnoty nazywają się „chlebojedźcami" (po łac. *panis comestores*) i istotnie mają nie tylko wspólny majątek, ale i wspólny dom, gdzie żyją. Polska nazwa, odpowiadająca pojęciu zadrugi, jest: bracia niedzielni (odpowiada czeskiemu bratři nedilni) albo pospólstwo pospolitości. Dla ścisłości trzeba dodać, iż obok pojęcia zadruga, które obejmuje nie samą rodzinę, ale szersze koło krewnych nawet pobocznych, żyjących we wspólnym domu na jed-

nym chlebie, istnieje jeszcze w nauce węższe pojęcie „inokoština" Jest to jedna rodzina, żyjąca we wspólności majątkowej, na wypadek wyosobnienia się jej z zadrugi. I naodwrót, po kilku pokoleniach „inokoština" może się przemienić w zadrugę. Ten typ wspólnot rodowych, które Balzer odnalazł w XV w. na Rusi, odpowiada zarówno ściślejszemu, jak i obszerniejszemu pojęciu zadrugi. A zatem są wspólnoty, obejmujące jedną rodzinę i nie trwające długo, jak również są i takie, które trwają przez kilka pokoleń i obejmują cały ród, z kilkudziesięciu członków złożony.

Kadlec w swojej rozprawie zaczepia kilkakrotnie o „Rewizyę teoryi osadnictwa" Balzera, a chociaż o wspólnotach rodzinnych w Polsce wiedziano i przedtem (Józef Hube, Maciejowski), to, bądź co bądź, jest to zasługa Balzera, iż pierwszy wspólnoty rodowe wprowadził do wytłómaczenia ustroju agrarnego i genezy społeczeństwa w Polsce.

Nic niema ważniejszego nad to, ażeby pierwotne fazy rozwoju społeczeństwa w Polsce traktować na tle porównawczem z dziejami innych ludów słowiańskich. A tymczasem ten kierunek badań, w którym Polacy niegdyś przewodzili (Maciejowski, Historya prawodawstw słowiańskich), dziś w naukowej literaturze historyczno-prawnej leży prawie odłogiem.

Znalazł się jednak drugi uczony czeski p. J. Peisker, który wystąpił z zaprzeczeniem twierdzenia, jakoby zadruga była typową formą pierwotnych stosunków agrarnych Słowian. Owszem, utrzymuje on, że własność pierwotna Słowian była ściśle indywidualna. Zasług p. Peiskera na polu historyi społecznej Czech lekceważyć nie można. Zaznaczył się on najprzód polemiką z Lippertem z powodu jego dzieła: „*Socialgeschichte Böhmens*". W badaniu stosunków agrarnych Peisker trzyma się tej samej metody, którą kierowali się uczeni niemieccy, jak Meitzen, Lamprecht etc. W określeniu stosunków własności, prawa do ziemi i układu poszczególnych warstw społecznych trzyma się on metody niezmiernie ścisłej. Wychodzi z badań kartograficznych, które są jedyną rękojmią w ocenianiu stosunków agrarnych. Na tej podstawie udało mu się wykazać, jak błędnie Lippert zapatruje się na stanowisko prawne ludności wieśniaczej w pierwszych wiekach dziejów czeskich (J. Peisker. *Die Knechtschaft in Böhmen*).

Teraz zaś w szeregu rozpraw, noszących tytuł ogólny „*Zur Socialgeschichte Böhmens*" (*Geschichte d. slavischen Pfluges* i *Die altslavische župa*) przekształca cały pogląd na dzieje pierwotne Słowiańszczyzny. A więc najprzód stawia twierdzenie o najeździe i podboju

germańskim, dokonanym na Słowianach — tem samem okazuje się, iż Słowianie na prawym brzegu Wisły zajmowali swe siedziby jeszcze na początku ery chrześcijańskiej. Dotychczas, jak wiadomo, odnoszono początki Słowian do VI-go w. po Nar. Chr. Drugą fazą rozwoju Słowian miało być ujarzmienie Słowian rolników przez Słowian pasterzy. Pierwsi wytworzyli pogardzoną odtąd warstwę smerdów, drudzy żupanów. Trzecią fazę stanowi wyzwolenie się Słowian rolników z pod jarzma pasterzy-koczowników. Do tego zdarzenia nawiązują się mity o chłopskiem pochodzeniu wielu dynastyi Słowian (Piastów, Przemysłowców).

Tam, gdzie się toczy tak żywa polemika, jak między Peiskerem a Balzerem, warto przyjrzeć się przynajmniej, do czego ona doprowadza. Muszę jednak być jak najostrożniejszym, gdyż przysłowie mówi: „nie kładź palca między drzwi".

Na ogół wywody Peiskera brzmią dziwacznie. Najprzód stan koczowniczy pasterski uważany jest powszechnie za niższy rodzaj kultury. Skąd więc warstwa ludności, czy nawet lud o niższej kulturze, może podbić i zapanować nad warstwą, o wiele wyższy szczebel kulturalny zajmującą? W tej pozornej nielogiczności jest zresztą wiele prawdy. Najprzód, etnografia porównawcza stwierdza, iż u ludów koczujących, które częściowo zajmują się rolnictwem, zajęcie to spada na niewolników, jako o wiele trudniejsze i cięższe. Powtóre, faktem jest, iż człowiek w stopniowym rozwoju przechodzi od zajęć lżejszych, jak myśliwstwo, pasterstwo, do trudniejszych, jak uprawa roli, a nawet tak skomplikowanych, jak dzisiejszy przemysł. Stąd porównałbym pracę rolnika i pasterza w dobie pierwotnej rozwoju społeczeństwa do dzisiejszej pracy robotnika a zawodowego inteligenta lub przemysłowca. Bezwarunkowo pierwsze rodzaje pracy są o wiele cięższe, i warstwa, trudniąca się niemi, z natury rzeczy podpaść musi pod przewagę warstw, lżej pracujących.

Najciekawszem jest, iż rolniczy Słowianie mieli być, zdaniem Peiskera, nauczycielami koczowników Germanów. Dowodu na to najważniejszego dostarczyła Peiskerowi historya pługa, który Germanie co do formy swej przejęli od Słowian. Podobnież jest faktem stwierdzonym, iż Istwoonowie, związek ludów germańskich, który zajął siedziby dawnych Celtów na prawym brzegu Renu, byli ludem koczowniczym i rolnictwa nauczyli się dopiero od swoich niewolników.

Co do drugiego okresu rozwoju Słowian—żupańskiego, Balzer zarzuca Peiskerowi, iż przypisuje żupanom znaczenie stanowe (warstwy ludności), gdy tymczasem żupan była to nazwa urzędnika wogóle, a wyraz żupa oznacza: urząd lub władza.

W tym punkcie rozchodzę się ze zdaniem sz. uczonego. Obok godności i urzędu wyraz żupa ma także znaczenie obwodu terytoryalnego (*supa cracoviensis*) [1]). Doszukując się znaczenia wyrazu żupa, prof. Balzer pominął jeszcze jedno—danina, od której ludność bywa uwalniana [2]). Nazwy danin również często biorą swój początek od jednostek terytoryalnych, jak opole, preseka etc. To stanowczo, zdaniem mojem, przemawia za tem, iż żupa była nazwą obwodu terytoryalnego. Co więcej, jestem skłonny przypuszczać, iż obwód ten stanowi kasztelanię, po łacinie *civitas*. U Słowian zachodnich w drugiej połowie XII w. naczelnicy wsi (*seniores villarum*) zowią się żupani. A przywilej Bolesława dla klasztoru lubiąskiego mówi o wsiach, nadawanych czy to przez osobę duchowną, czy też świecką, czy kogokolwiek z żupanów [3]). Możemy więc śmiało mówić nie tylko o godności żupańskiej, lecz i o podziale kraju na żupy i o warstwie żupanów. Co innego, jaki był jej stosunek do innych kategoryi ludności, tudzież, jak z biegiem czasu warstwa ta się przeobrażała i zeszła na stopień niższych funkcyonaryuszy książęcych.

Podobnież drugi wyraz smerd, mający rzekomo tylko partykularne znaczenie, a nie ogólnosłowiańskie, muszę wziąć w obronę wbrew twierdzeniu p. Balzera. Prof. Balzer utrzymuje, iż źródłowo da się on stwierdzić tylko w Miśni, jako też na Rusi. Trzeba dodać, że, chociaż rzadko, występuje on i w źródłach polskich (*smerdovnes*) [4]).

Podobnież co do wyrazu kmieć Balzer zaprzecza, jakoby był on nazwą chłopa. Kmieć oznacza kogoś z ludzi przedniejszych, nawet komesa. W „Bogarodzicy" Adam nazwany jest bożym kmieciem. Dopiero z czasem nazwa kmieć rozszerzyła się na przedniejszych wśród chłopów,—t.j. chłopów, osadzonych na prawie niemieckiem, w odróżnieniu od dawnych chłopów na prawie polskiem. Jako nazwę pospolitą dla oznaczenia wieśniaka, zdaniem p. Balzera, używano wyrazu chłop, co oznacza tyle, co człowiek. Powiedzmy, przeciwnie, niektórzy filologowie wywodzą ten wyraz od słowa uchłopić, tyle, co ułapać. Wyraz więc chłop służyć może dla oznaczenia jeńca, niewolnika, mieści w sobie coś pogardliwego. Jakaż więc mogła być inna nazwa polska dla wieśniaka, jak nie kmieć? Nie mam tutaj na myśli wszystkich kategoryi ludności wieśniaczej, tylko tę, która stanowiła warstwę, ekonomicznie niezależną i prawie wolną, czyli

---

1) Kod. Wielkopolski, t. II, 652.
2) W tomie I, 234.
3) „Urkundenbuch des Klosters Leubus", t. I, str. I.
4) Reg. Lit. t. I, 59.

dziedziców, co się zgadza z wywodami p. Balzera w pierwszej z pomienionych wyżej rozpraw.

Że wyraz „kmieć” nie był wprowadzony dla odróżnienia chłopów na prawie niemieckiem, na to dowód mamy w tem, iż czasem ludzi książęcych myśliwych—a więc chłopów na prawie polskiem, źródła nazywają kmieciami (*duo kmethones proprii patris nostri venatores castrorum*) [1]). Dla czego tej nazwy „kmieć” nie ma w źródłach naszych do połowy 13-go w., t. j. mniej więcej do czasów kolonizacyi niemieckiej, to trzeba tłómaczyć tem, iż obok nazwy kmieć istniała jeszcze inna—dziedzic, której w tłómaczeniu łacińskiem (*haeres*) używają źródła dla oznaczenia przedniejszej warstwy ludności wieśniaczej w społeczeństwie. I naodwrót, z wyginięciem dziedziców nazwa kmieć pozostała, jako najszanowniejsza dla oznaczenia wieśniaków. Jestem skłonny nawet przypuszczać, iż wyraz kmieć był używany w znaczeniu tak utartem i szablonowem, jak dzisiejszy wyraz pan, francuski citoyen w okresie wielkiej rewolucyi. Nic więc dziwnego, iż źródła nasze XIII w. i późniejsze nazywają kmieciami kasztelanów i komesów.

Ostatecznie wcisnąłem palce między drzwi, chociaż trzymam je mocno, aby drzwi nie zamknięto. Nie chodzi mi o teoryę najazdów, pasterzy, żupanów i rewolucyi rolników Peiskera. Zaznaczam tylko swoje stanowisko co do żupanów i kmieci. Pierwsze pojęcie nawet, jako stanu, da się włączyć do teoryi rodowego życia pierwotnego Słowian. Niemniej także wyraz kmieć wskazuje na jedno z przedniejszych stanowisk ludności rolniczej w ówczesnem społeczeństwie.

Osią jednakowoż polemiki Balzera z Peiskerem jest spór o zadrugę. Obydwaj stoją zarówno na tem stanowisku, iż komunizm Słowian pierwotnych nie ma nic wspólnego ze współczesnym teoretycznym komunizmem doktrynerów społecznych. Ziemia zadrugi bowiem jest dzielną, i to według pokoleń, nie liczby członków zadrugi. Balzer słusznie mówi tylko o współwłasności. Zamało jednak uwzględnia warunki bytu poprzedniego—pastersko-koczowniczego. Przy wszelkiem przejściu od stanu nomadów do uprawy ziemi zachowała się forma dawnego bytu koczowniczego. Niewiadomo jednak, dlaczego Peisker uznaje za niemożliwe przejście od stanu koczownictwa do formy osiadłej zadrugi. Tutaj argumenta Balzera mają bezwarunkowo słuszność. Wszakże istotą irlandzkiego klanu jest także współżycie wszystkich jego członków w jednym domu.

[1]) Kod. Wielkopol. t. I, 308.

Współżycie to przy przejściu od trybu życia koczowniczego do osiadłego odbiło się w podziale ziemi.

Podobnież niema nic nieprawdopodobnego w tem, aby zadruga wytworzyła się z formy życia pastersko - koczowniczego. Spostrzeżenie Peiskera o pierwotnem gospodarstwie nawpół koczowniczem wydaje mi się zupełnie trafnem. Księga jędrzychowska, źródło, odnoszące się do XIII w., nasuwa w wielu wypadkach spostrzeżenie, iż ludność wieśniacza często zmieniała swe siedziby i przenosiła z jednego miejsca na drugie. Tak, w jednym wypadku z powodu waśni dwu najprzedniejszych członków rodu, w drugim z powodu niedogodnego sąsiedztwa. Stan więc kultury rolnej był jeszcze nawpół koczowniczy.

Przecząc istnieniu komunizmu gospodarczego u pierwotnych Słowian wogóle, Peisker wpada w krańcowość. Sili się na dowody za Hovakovičem, iż zadruga serbska powstała dopiero w XVI w. pod wpływem jarzma tureckiego. Musi jednak liczyć się z tym faktem, iż Zakonnik Duszana, a więc jeszcze przed Turkami w Europie, stwierdza istnienie zadrugi w Serbii. Istnienie tej zadrugi przypisuje Peisker systemowi podatkowemu bizantyjskiemu. Zarówno wpływ systemu fiskalnego tureckiego, jak i bizantyjskiego, przecenia stanowczo Peisker.

A jakże wytłómaczy istnienie zadrugi w Czarnogórzu, które wcale pod panowaniem tureckiem nie było? Trzeba pamiętać, iż Peisker współwłasności u Słowian nie przeczy, tylko uważa ją za współwłasność rodzinną. Opiera się na różnicy między wielką a małą zadrugą. Nie jest to tylko kwestya ilości członków zadrugi, jak chce Balzer. Zapytuje on, ileż członków powinna posiadać zadruga, ażeby ją uważać za wielką,—jaka liczba członków stanowi małą zadrugę. W Czarnogórzu, według Peiskera, istniała zawsze tylko mała zadruga. Tę małą zadrugę stanowi zwykle dziad, synowie jego i wnucy. To jest komunizm rodzinny, ale nie rodowy. I, bądź co bądź, trafnem jest spostrzeżenie to Peiskera, chociaż nie znosi samej zadrugi. Czy większa, czy mniejsza liczba członków zadrugi, czy żyje głowa, od której się wywodzą, czy też nie: zawsze jest to raczej wspólnota rodzinna, niż rodowa.

Ostatecznie zgoda na rodzinny charakter komunizmu pierwotnego Słowian! ale to już jest zadruga. Mniejsza o ilość członków, głowę rodziny, tudzież o linie boczne.

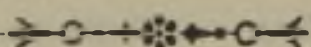
Spór ten między uczonymi jest właściwie sporem o ród i o rodzinę. Pierwszy jest pojęciem szerszem, druga stanowi pojęcie węższe. Ale już przy dzielności zadrugi mieści się *implicite*, iż zadruga powstaje z rodziny, a rozrasta się w ród.

Przy chwiejności definicyi rodu nic dziwnego, iż Peisker tak zażarcie walczy z Balzerem o ustrój pierwotny rodowy. To, co ten ostatni nazywa rodem, drugi określa pojęciem związku rodzinnego. Jakoż mniejsza o szersze lub węższe koło krewnych, mieszkających we wspólnocie rodzinnej, o małą czy wielką zadrugę; zawsze okaże się, iż zadruga jest zawiązkiem gospodarczym i społecznym u Słowian. O tych związkach w Polsce mówią źródła, odnoszące się do szlachty; ale również i ludność wieśniacza pozostaje w tym samym bycie społecznym. Przykładów dostarcza księga jędrzychowska.

Zadrugę szlachecką albo niedział uważa Peisker za wspólne prawo do pożytków, a więc czynszów lub danin z ziemi. Całkiem słusznie opiera się na tem, iż majątki szlachty w tych czasach były uprawiane samodzielnie przez chłopów, do szlachty należały tylko opłaty z ziemi. Ale, pomijając to, iż niedział stosuje się także i do roli, którą zawsze, chociażby w małej ilości, szlachta uprawiała na własny rachunek, słusznie podnosi Balzer, iż niedział w odniesieniu do pożytków mógł być tylko szczątkiem dawnego niedziału co do roli. Inaczej zupełnie byłoby niewytłómaczonem, poco niedział stosować do dochodów w pieniądzach, jak np. czynszu, które jak najłatwiej mogły być podzielone czyli zindywidualizowane.

W tym interesującym sporze, którego streszczenie tutaj podaliśmy, Balzer wywalczył zadrudze polskiej prawo obywatelstwa w nauce—i to zarówno w XV i XVI wieku pośród szlachty (niedział), jak i w samem zaraniu dziejów polskich (wspólnoty rodowe). Mogą się spierać z nim uczeni, jak Peisker, czy w Polsce istniała zadruga wielka, czy mała, czy wspólnoty pierwotne w Polsce miały charakter rodowy czy rodzinny. Zawiązek bytu gospodarczego i społecznego u nas został odkryty. Analogia bytu pierwotnego w Polsce z resztą Słowian na jego pierwszem stadyum rozwoju została uwidoczniona. A to ułatwi historykom dalszą pracę, dotyczącą genezy społeczeństwa polskiego, zwłaszcza, że zadruga w Polsce odnosi się zarówno do szlachty, jak i do ludu. Przedział, który kopią niektórzy historycy, jak prof. Piekosiński, pomiędzy temi dwiema warstwami, nie pogłębia się z biegiem czasu w nauce, lecz owszem coraz bardziej widzimy, jak blizki grunt wspólny prawno-ekonomiczny ich łączył.

Adam Szelągowski.



Rozwój przemysłu górniczo-hutniczego

w Królestwie Polskiem *).

O znaczeniu przemysłu górniczego dałoby się powiedzieć bardzo wiele. Stanowi on jedną z najważniejszych, bo podstawową niemal gałąź dzisiejszego życia wytwórczego. Kruszce szlachetne

---

*) Źródła: „Przegląd Techniczny“, „Wiestnik Finansow“, „Przyroda i przemysł“, „Ekonomista“ z 1866—74 r. Lud. Wolski: „Wiadomości statystyczne o Król. Polskiem“ w Kalendarzu Obserw. Astron. z r. 1857 i 59, W. Załęski: „Statystyka porównawcza Król. Pol.“ „Siły wytwórcze Rosyi“ (po rosyj. wyd. Min. Finans., r. 1896) „Złota księga przemysłu fabr., handlu, rolnictwa i t. d.“ 1898 r., R. Luxemburg. „Die industrielle Entwicklung Polens“, Choroszewski: „Górnictwo w Król. Pol. w 1895 r.“, St. Kontkiewicz: „O rozwoju przemysłu górniczo-hutniczego w Król. Pol. w ostatnich latach 25“ (Przegl. Techn. 1897 r.). S. Czarnowski „Historya hadlupowszechnego“ (z dodatkiem o przem. i handlu w Polsce). Tatomir „Geografia i statystyka ziem dawnej Polski“. T. Korzon: „Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta“. Hieronim Łabędzki: „Górnictwo w Polsce“, Warszawa, 1841 r. „Zbiór urządzeń i przepisów Banku Polskiego“, tom I i II. „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego“ tom VIII; Encyklopedye, artykuły, kroniki ekonomiczne i t. p. w pismach tygodniowych i codziennych. „Ateneum“ z roku 1898 zesz. XI i XII: Roman Plenkiewicz: „Zakłady górnicze w Białogonie“.

grają rolę pośrednika i miernika wymiennego, inne, mniej „szlachetne", płody kopalnictwa służą do produkowania najniezbędniejszych przedmiotów nie tylko użytku powszedniego, lecz i służących do dalszego wytwarzania nowych bogactw. Zwłaszcza żelazo i węgiel kamienny grają pod tym względem rolę pierwszorzędną. Węgiel kamienny stał się dziś czynnikiem wprost niezbędnym w rozwoju przemysłu wielkiego, jako materyał opałowy i źródło siły mechanicznej, a żelazo, wydobywane w ilości dowolnej, dzięki zastosowaniu ulepszonych metod do produkcyi żelaza i stali, przyczynia się również do kolosalnego wzrostu współczesnego przemysłu. Cała niemal produkcya wielko-przemysłowa zależną jest wprost od tego działu produkcyi (machiny, narzędzia, koleje żelazne, parostatki i t. d.). Można powiedzieć, iż żelazo i węgiel kamienny stały się najniezbędniejszymi czynnikami współczesnego życia ekonomicznego, a co za tem idzie, i całej cywilizacyi współczesnej. Stąd ilość spotrzebowywanego przez dany kraj lub państwo żelaza i węgla (głównie jednak pierwszego) może być uważaną za miernik ich rozwoju zarówno ekonomicznego, jak kulturalnego.

Zbliżone w pewnym stopniu do rolnictwa (a dalej do myśliwstwa, rybołówstwa), jako przemysł okupacyjny, dobywający (a nie przetwórczy), z innych stron górnictwo posiada wszelkie właściwości przemysłu miejskiego (koncentracya robotników-wytwórców, wyspecyalizowanie techniczne, związanie produkcyi z maszynami i większy udział w niej kapitału stałego, zawartego w maszynach, szybach, sztolniach i t. d.); co zaś do typu swej gospodarki z natury niejako powołanem jest ku temu, aby stało na stopie przemysłu wielkiego. Trudności wydobywania i potrzeba wielkich i szerokich nakładów na eksploatacyę, wielka niepewność bogactwa kopalnianego wymagają też wielkich kapitałów, dając możność tylko ich posiadaczom (zwłaszcza towarzystwom akcyjnym, najwięcej w tej gałęzi przemysłu rozpowszechnionym) lub państwu prowadzić produkcyę górniczą.

Przemysł górniczo-hutniczy jest u nas—po tkackim — najbardziej typowym przedstawicielem przemysłu kapitalistycznego. Wartością swej produkcyi i ilością zatrudnionych robotników zajmuje on miejsce poważne nie tylko pośród innych gałęzi przemysłowych Królestwa Polskiego, lecz i w ogólnej wytwórczości kraju, zasługuje więc na bliższe poznanie zarówno ze względu na swój stan obecny, jak i z historycznego i rozwojowego punktu widzenia.

Dobywanie bogactw mineralnych w Polsce sięga czasów bardzo odległych. Oddawna istniały u nas kopalnie kruszców, wydo-

bywano w Wieliczce sól, większy zaś rozwój górnictwa datuje od Kazimierza Wielkiego, który w 1368 roku nadał ustawę żupom wielickim, rozszerzoną później na kopalnie olkuskie i bocheńskie. W w. XVI górnictwo dosięgło znacznego stopnia rozwoju: w Sandomierskiem i Krakowskiem dobywano żelazo, prócz tego w różnych stronach kraju — ołów, miedź, galman, sól, wapno, siarkę i srebro. Olkuskie kopalnie ołowiu i srebra już za czasów Kazimierza Jagiellończyka używały około 800 koni do roboty; produkcya ich, rosnąca w ciągu XVI i połowy XVII w., dawała rocznie przeciętnie 15 tysięcy centnarów ołowiu i 1500 grzywien srebra, a wartość jej w roku 1659 sięgała blizko 2 milionów złp. Po wojnach szwedzkich, a nadto po zatopieniu kopalń w końcu XVII wieku, upadały one coraz bardziej, a przy Stanisławie Auguście, pomimo prób podźwignięcia ich, upadły zupełnie.

W wieku XVII-tym rozwija się w kraju produkcya żelaza, mnożą się kopalnie, huty i kuźnice (około 200), wielkie piece (w Końskich) i t. d. Wszystkie razem wydawały rocznie około 32,000 centnarów żelaza. Dochód z krakowskich żup solnych w w. XVII wynosił około 150,000 złp. Nadto w kilku miejscowościach kraju znajdowały się obok źródeł słonych warzelnie soli (w Solcu, Słońsku, Sołotwinie i t. p.) W Chęcinach — w Kieleckiem — łupano marmur.

Jednak rozwijający się i do dość znacznych już rozwinięty rozmiarów przemysł górniczo-hutniczy uległ w końcu XVII w. losowi wspólnemu z całem życiem ekonomicznem kraju. Wojny kozackie i szwedzkie zubożyły wsie i miasta i zabiły prawie zupełnie życie przemysłowe i handlowe. Upada rolnictwo i związane z niem gałęzie gospodarstwa, jak chów bydła, koni, owiec, gospodarstwo leśne, rybne, pszczelnictwo, upada przemysł rękodzielniczy i rzemieślniczy, a wraz z nimi handel zbożowy i miejski. Po epoce znacznego rozwoju życia ekonomicznego następuje upadek. Dalszy ciąg dziejów naszych nie sprzyjał również rozwojowi przemysłu. Punktem zwrotnym dopiero zarówno na tem, jak i na tylu innych polach, stała się epoka pokoju i zbudzenia energii społecznej, która nastąpiła po roku 1772. W usiłowaniach Stanisława Augusta obudzenia życia przemysłowego w kraju dbałość o rozwój górnictwa zajmowała miejsce wydatne. W 1772 r. powstała Komisya Górnicza, wyznaczona przez Stanisława Augusta, a złożona z 13 komisarzy, która rozpoczęła ruchliwą działalność. Na koszta eksploatacyi król wypłacał jej z własnego skarbu 48,000 złp. Szukano srebra, złota i miedzi, dobywano galman, ołów, marmur, nawet węgiel kamienny. Około 1790 r. rozwinęły się znakomicie fabryki żelazne, zwiększając wciąż

produkcyę pod okiem Komisyi Skarbu Koronnego. Roczny wytwór krajowy żelaza wynosił 200 tys. pudów (w r. 1782), choć mimo to nie wystarczał na potrzeby krajowe; musiano więc posiłkować się i przywozem ze Szwecyi, Węgier i Rosyi. Według ułożonego przez T. Korzona spisu fabryk i zakładów przemysłowych za Stanisława Augusta, kraj posiadał następujące zokłady górnicze i hutnicze oraz przerabiające płody górnictwa i hutnictwa: 1) kopalnia miedzi (pod Kielcami — Miedziana góra); 2) kopalnie z wielkimi piecami i fryszerkami w Końskich; fabryki żelaza, stali, ołowiu, szrótu, kopalnie węgla kamiennego, kuźnice w biskupstwie krakowskiem, 42 wielkie piece (w r. 1782), 41 dymarek, 83 fryszerek; 3) wyrób machin i narzędzi — 12 fabryk; warzelni i kopalni soli — 8; wyroby z marmuru i gipsu — 2 fabryki, z miedzi — 1, szklannych, fajansowych, garncarskich i zduńskich — 12.

Wszystkie te jednak zakłady spotkał los nader smutny. Nieodpowiednie warunki społeczne, nie dopuszczające szerszego rozwoju życia przemysłowego (stosunki poddańcze i pańszczyźniane, braki komunikacyi i t. d.) oraz wypadki polityczne sprowadziły upadek przemysłu górniczego — narówni z całym przemysłem, stworzonym usiłowaniami Stanisława Augusta i Tyzenhauza i fantazyą magnatów.

W wieku bieżącym do rozwoju górnictwa przyłożyła się niezmiernie działalność Staszyca i Lubeckiego, a następnie Banku Polskiego. W 1816 r. utworzono Dyrekcyę główną górniczą z siedzibą w Kielcach, a na czele jej postawiono Staszyca. „Usuwany za czasów Rzeczypospolitej — pisze R. Plenkiewicz [1]) — od wszelkiej działalności publicznej z przyczyny swego mieszczańskiego pochodzenia; nie mogąc służyć za czasów rządu pruskiego, który Niemcami wszystkie stanowiska obsadzał, teraz powołany na dyrektora wydziału górnictwa i przemysłu w 61 roku życia, rozwinął cały zasób niezwykłej energii i wiedzy, dlugoletniemi studyami zdobytej, by wydrzeć ziemi ukryte w jej łonie skarby i obrócić je na pożytek krajowy". Dyrekcyi tej oddano w zarząd pola dawnych kopalń Olkuskich, Miedzianogórskich pod Kielcami, fabryki żelaza Samsonowskie, Suchedniowskie, Pankowskie i t. d., otworzono kopalnie węgla i galmanu. W 1817 r. utworzono korpus górniczy, a obok dotychczasowych 5 okręgów górniczych powstaje szósty — biało-

---

1) Roman Plenkiewicz Zakłady górnicze w Białogonie. „Ateneum" 1898 Zesz. XI i XII.

goński (Białogon pod Kielcami), który zajmuje miejsce nader wydatne; produkuje i przerabia miedź, srebro i ołów, gdy w innych okręgach przeważnie żelazo. W 1825 r. wskutek raportu ks. Lubeckiego, pragnącego zastąpić kosztowną produkcyę metali mniej potrzebnych intensywną eksploatacyą zelaza, zarząd spraw górniczych przeszedł w ręce Komisyi Rządowej Przychodów i Skarbu. Staszyc podał się do dymisyi, a po śmierci jego w 1826 r. zabrano się do gruntownej reorganizacyi i rozszerzenia górnictwa — w myśl ks. Lubeckiego.

Postanowiono rozwinąć kopalnie węgla i huty cynkowe, wznieść nowe zakłady żelazne i t. d.; w Białogonie hutę miedzianą zastąpił zakład żelazny i warsztaty mechaniczne, powstał warsztat machin na Solcu w Warszawie, pobudowano wielce piece. Utrzymanie górnictwa od 1816—33 r. kosztowało Skarb około 22 milionów złp., w tę zaś kwotę wchodzą pożyczki, zaciągnięte w Banku Polskim na sumę przeszło 9½ mil. złp., z funduszów emerytalnych zaś na sumę przeszło 4 mil. złp. Pomimo to przemysł górniczy nie rozwinął się na większą skalę. Zakłady górnicze nie tylko nie były w stanie płacić procentów od zaciągniętej pożyczki, ale jeszcze potrzebowały dalszej pomocy rządu, uiszczanej po 400,000 złp. rocznie. Niektóre z nich zaczęły upadać, innych nie puszczano w ruch zupełnie.

Wtedy z pomocą górnictwu przyszedł Bank Polski, który wziął je pod swą opiekę na okres 1833—1842 r. Założony w r. 1828, jako jeden z wytycznych punktów swej działalności, Bank Polski postawił sobie rozwój handlu, kredytu i przemysłu narodowego. W tym celu starał się on o jaknajszersze uprzystępnienie kredytu drogą pożyczek, wydawanych przedsiębiorstwom przemysłowym i handlowym na budowle, materyał surowy, machiny parowe i t d. Pożyczki takie były zwrotne: długoterminowe, nie przenoszące lat 12, i z krótkim terminem, nie dłuższe nad 9 miesięcy, oraz bezzwrotne. Dla przykładania się do rozszerzenia kredytu, handlu i przemysłu Bank miał sobie dane przez Skarb Królestwa uposażenie w ilości 42 mil. złp. Miał on prawo udzielić zapomogę nawet wtedy, gdy nie miał pewności zwrotu, za porozumieniem się jednak z Komisyą Rządową Spraw Wewnętrznych.

Jeden z paragrafów ustawy głosił, iż Bank może wspierać przedsiębiorstwa, zmierzające ku rozszerzeniu handlu i przemysłu krajowego, albo też sam się podejmować ich wykonania. W myśl

więc swej ustawy Bank, poza pożyczkami, sam zakładał fabryki lub przejmował na siebie zarząd nad niemi (papiernia w Jeziornie, fabryka Żyrardowska, fabryki żelazne w Ostrowcu, warzelnie soli w Ciechocinku i t. d.), powołując w ten sposób do życia mnóstwo fabryk lub ratując te, które upadały; przeprowadzał komunikacye, szosy, kanały (Augustowski), przyczynił się znacznie do przeprowadzenia kolei warszawsko-wiedeńskiej, wreszcie — duże zasługi położył około podniesienia górnictwa.

Objąwszy w 1833 r. upadające zakłady górnicze pod swój zarząd, przez jakiś czas (do 1837 r.) zarządzał kopalniami sam—z wielkim dla rozwoju górnictwa pożytkiem, zwiększył wydajność kopalń, ilość pieców szachtowych (o 15 w ciągu 1833 — 42 r., z nich 6 wypadało na założoną przez Bank Polski Hutę Bankową, będącą dziś największem przedsiębiorstwem hutniczem w Królestwie); założył szereg walcowni turbinowych, wprowadził wyrób stali pudlingowej zakładał warsztaty mechaniczne i t. d. i t. d., a w 1837 r. Bank zawarł korzystne umowy z przedsiębiorcami prywatnymi Steinkellerem i Koniarem o eksploatacyę cynku i żelaza.

Ogółem w przeciągu lat 50 (do 1870 r.), szczególniej w okresie 1833—59 r., Bank rozdał na pożyczki handlowe i przemysłowe 91 mil. rub. Głównie atoli opiekował się cukrowniami, zakładami górniczymi i mechanicznymi oraz fabrykami tkackiemi. Z 7,259,975 rub., wydanych zakładom przemysłowym w charakterze pożyczek długoterminowych do chwili zawieszenia udzielania takich pożyczek w r. 1870, cukrownie otrzymały 2,745,222 rub., zakłady tkackie 850 tys. rub., zaś huty, fabryki żelaza, machin i t. p. – 1,614,267 rub., czyli blizko $^1/_4$ ogólnej sumy.

W 1843 r. górnictwo przeszło znów z pod opieki Banku Polskiego w ręce skarbu, a mianowicie specyalnie utworzonego Wydziału górnictwa przy Komisyi Skarbu. Wkrótce jednak zaczęło znów upadać, co zmusiło Komisyę Skarbu do oddania kopalń i zakładów górniczych w ręce prywatnych przedsiębiorców, przeważnie firm cudzoziemskich, które w większości pozostają dotychczas ich właścicielami.

Wydział górniczy później przydzielony został do ministeryum w Petersburgu.

Około 1864 r. przemysł górniczy skupił się głównie w powiatach kieleckim, opatowskim i opoczyńskim (okrąg wschodni), oraz

w olkuskim i wieluńskim (okrąg zachodni) [1]), mniej więcej jednak do 1870 r. prowadził żywot dość skromny. Do pewnego jego rozwoju przyczyniło się już przeprowadzenie kolei Warsz.-Wiedeńskiej (1848—50 r.), które zwiększyło zapotrzebowanie węgla i żelaza przedewszystkiem na użytek kolei, następnie zaś Łodzi, Warszawy i innych miejscowości przemysłowych. Dopiero jednak przeprowadzenie dalszych kolei około 1870 r. i połączenie ich z kolejami Cesarstwa, zarządzenia celne (cło w złocie od 1877 r. [2]) i podwyższanie kilkakrotne cła na żelazo, surowiec i węgiel zagraniczny) oraz coraz szerszy po 1870 r. rozrost przemysłu fabrycznego spowodowały szybki i szeroki rozwój górnictwa i hutnictwa w ostatnich latach 20 kilku.

Zobrazowanie rozwoju poszczególnych gałęzi przemysłu górniczego w Królestwie Polskiem rozpoczniemy od produkcyi węgla kamiennego.

Produkcya ta w chwili obecnej budzi szczególne zainteresowanie ze względu na sztuczne wyśrubowanie cen węgla do niebywałej wysokości, co daje się dotkliwie uczuwać zarówno fabrykom i przemysłowi, jak i szerokim warstwom ludności miejskiej w kraju, korzystającej z węgla do użytku domowego. Stąd zapoznanie się ze stanem produkcyi węglowej posiada w chwili obecnej znaczenie podwójne: zarówno ze względów ogólniejszych — jako przyczynek do poznania naszego życia ekonomicznego, jak i — dla swej aktualności.

A) *Węgiel kamienny.*

Pokłady węgla kamiennego w Król. Pol. znajdują się w południowo-zachodniej części kraju, zajmując część pow. Będzińskiego (gub. Piotrkowska) i Olkuskiego (gub. Kielecka). Pod względem geologicznym stanowią one przedłużenie t. zw. Szląsko-polskiego zagłębia, którego część zachodnia leży w granicach Prus, a południowa — Austryi. Granice tego terenu w Prusach i Austryi są wiado-

---

[1]) Najnowsze rozporządzenie ministeryum rolnictwa, dzieląc całe państwo na 7 dzielnic górniczych (północną, północno-zachodnią, zachodnią — Królestwo Polskie, uralską, moskiewską, nadwołżańską i południową), podzieliło Królestwo Polskie na 6 okręgów: dąbrowski, będziński, częstochowski, kielecki, radomski i lubelsko-warszawski.

[2]) Wprowadzenie w 1877 r. cła złotego, czyli pobierania opłat celnych w monecie brzączącej, podwyższyło opłaty te *de facto* o 40 — 50%. Współdziałała z wpływem cła złotego szybka obniżka kursu rubla kredytowego.

me dokładnie, natomiast w Król. Polskiem nie są, wobec braku odpowiednich badań, ściśle określone. Rozległość całego terenu da się oznaczyć: w kierunku południowo-zachodnim 100 kilometr., północno-wschodnim 70 klm. Największa część przypada na Szląsk Pruski, najmniejsza na Królestwo Polskie (800 kil. kw.). W 1895 r. na Szląsku Pruskim czynne były 54 kopalnie, które dały węgla 65% całej produkcyi terenu, w Austryi 14 kopalń z produkcyą 20%, w Król. Pol. 19 kopalń z produkcyą 15%. Ilość robotników wynosiła: w Prusach 53 tys., w Austryi 33 tys., w Król. Polskiem około 20 tysięcy

Pokłady węgla w całem zagłębiu dzielą się na 3 grupy: 1) dolną, podredenowską, 2) środkową, redenowską i 3) górną nadredenowską. Pierwsza zawiera węgiel wysokiego gatunku, koksujący się, oraz antracyt. Druga stanowi główną co do ilości węgla grupę, trzecia, nadredenowska, zawiera węgiel gorszy, niż pokłady redenowskie, lecz znacznie dogodniejsza jest do eksploatacyi, przez co węgiel z tego pokładu wytrzymuje konkurencyę z lepszym, redenowskim. W Królestwie wszystkie te trzy warstwy podlegają eksploatacyi, nie w równym jednak stopniu. Podstawę produkcyi węgla u nas stanowi eksploatacya grupy środkowej, dającej 89% całej produkcyi Zagłębia dąbrowskiego. Zapas węgla w tej grupie da się oznaczyć na 600 z górą milionów tonn ($36^1/_2$ miliarda pudów), a ponieważ roczna produkcya przenosi dziś 4 miliony tonn, do wyczerpania kopalń dość jeszcze daleko. Jednak nie należy pod tym względem poddawać się zbytniemu optymizmowi, jeśliby bowiem produkcya utrzymywała się nadal na poziomie 4 mil. tonn rocznie, zapas węgla starczyłby na 150 lat. Ponieważ zaś możliwe jest niedługie dojście rozmiarów produkcyi do 6, 8, 10 i więcej mil. tonn rocznie, w takim razie Zagłębie dąbrowskie starczyłoby na lat 80, 60, a nawet mniej.

Przemysł węglowy u nas powstał daleko później, niż żelazny, gdyż dopiero w końcu XVIII stulecia. Wprawdzie już za Stanisława Augusta dobywano w nieznacznych ilościach węgiel kamienny, lecz bardziej systematyczną produkcyę rozpoczęto dopiero po przejściu Zagłębia dąbrowskiego pod niedługie panowanie pruskie. W 1796 r. otworzono tu pierwszą kopalnię węgla Reden, a obok niej zaczęła się natychmiast wznosić kolonia fabryczna, tejże nazwy. Otrzymały one to miano od nazwiska ówczesnego pruskiego ministra robót publicznych, a zarazem dyrektora górnictwa, hr. Redena. Choć jednak używanie węgla, jako paliwa, rozpoczęto już w zeszłym wieku, gdy brano go potrosze do opału gorzelni, a przez pierwszą połowę

bieżącego stulecia wydobywano go w kopalniach rządowych i prywatnych, rozmiary produkcyi, zarówno jak zapotrzebowanie, były bardzo nieznaczne (patrz niżej).

Około 1830 r. powstaje w Dąbrowie kilka nowych kopalń rządowych. Produkcya wszystkich kopalń wynosi około 1840 r. ledwie 6,1 mil. pud. W znaczniejszym stopniu węgiel kamienny poczyna się u nas upowszechniać po r. 1854, kiedy zaczęto go używać do opału parowozów drogi żelaznej, a następnie, gdy z każdym rokiem wchodził w coraz częstsze użycie do kuchen i pieców w Warszawie i w całym kraju. Pomimo to aż do r. 1870 produkcya węgla rozwija się bardzo powoli. Tak w 1856 r. wynosiła 5 mil. pudów, w 1864 r. — 10 mil. pud., a od 1865 — 70 r. średnio rocznie 15,7 mil. pud. Rok 1870 stanowi chwilę ważną dla przemysłu węglowego u nas, w tym bowiem roku wydane zostało nowe prawo górnicze, które oddzieliło w pewnej mierze własność powierzchni ziemi od własności wnętrza, pozwalając na wydobywanie węgla (i niektórych innych płodów kopalnych) na cudzej ziemi, nawet bez zgody właściciela gruntu, za pewnem tylko odszkodowaniem. Prawo to wywołało niezmierny napływ kapitałów, zwłaszcza zagranicznych, do przemysłu węglowego i powołało do życia szereg nowych kopalń. Tak w 1873 r. kopalń było już 13, w 1874 — 20, a w 1875 — 25; zatrudniały one około 4 tysięcy robotników, wartość produkcyi nie dosięgała 1 miliona rub.

W 1870 r. kopalnie wydały 19½ mil. pud. węgla, w 1870—75 r. średnio rocznie 21 mil. pud., a w następnem 5-cioleciu (1875 — 80 r.) już 53 mil. pud. rocznie. Pomiędzy 1870—80 r. produkcya zwiększa się przeszło 4-krotnie (z 19½ do 78½ mil. pudów).

W 1877 r. podniesiono cło na węgiel szląski, którego konkurencya hamowała szerszy rozwój kopalń dąbrowskich. Ponieważ stosunki celne miały znaczny wpływ na dalszy rozwój przemysłu węglowego, zabezpieczając go przed współzawodnictwem zagranicy i do dziś stanowiąc nieprzebyty mur ochronny, dozwalający nawet na bezkarne rozpanoszenie się spekulacyi, rzucimy okiem na stopniowe zmiany w opłatach celnych, zarządzane od r. 1877. Doniosłe znaczenie miała reforma celna 1877 r. (cło złote). Dzięki niej cło od węgla szląskiego, wynoszące dotychczas (od 13 stycznia 1869 r.) ⅓ kop. od puda, a od 1871 r. — 0,55 kop., podskoczyło o 30 — 40%, potem wskutek spadku kursu rubla kredytowego jeszcze wyżej. W 1882 r. cło od węgla podniesiono do 1 kop. od puda, w r. 1884 do 1½ kop., a w r. 1887 — do 2 kop. w złocie. Oddziałało to natychmiast na znaczne podniesienie produkcyi w kopalniach

Królestwa Polskiego, podczas gdy przywóz węgla ze Szląska zmniejszył się o połowę, odtąd ogranicza się on już niemal wyłącznie do takiego tylko węgla, jakiego zagłębie dąbrowskie nie produkuje zupełnie (np. gazowego, dającego koks).

Następnie, na wiosnę roku 1894, wskutek traktatu handlowego z Niemcami, zniżono cło do 1 kop. w złocie od puda; zmiana ta jednak nie odbiła się źle na wytwórczości zagłębia dąbrowskiego dzięki innym okolicznościom pomyślnym, a przedewszystkiem zaprowadzeniu we wszystkich większych kopalniach nowych urządzeń technicznych, mających na celu zarówno powiększenie produkcyi, jak i zmniejszenie jej kosztów.

Wprawdzie przywóz węgla szląskiego zwiększył się bezpośrednio po zniżeniu cła: z 7,7 mil. pudów przy ogólnej produkcyi 192 mil. pud. w 1893 r. do 12 mil. pud. przy ogólnej produkcyi 205 mil. pud. w 1895 r., poczem w 1896 r. wynosił 17 mil. pud., w 1897 r. 19 mil., pud., a 1898—18 mil. pud., w stosunku jednak do produkcyi krajowej stanowi od lat 12 stale 5—7%. Warto wspomnieć o ostatniem zarządzeniu celnem, wywołanem bezpośrednio spekulacyą węglową: o zawieszeniu czasowem (na rok) cła od węgla zagranicznego, sprowadzanego przez magistrat miasta Warszawy na potrzeby ludności miasta wyłącznie na użytek domowy. Jako środek czasowy, o nader ograniczonym zakresie, zarządzenie to, wydane w interesie spożywców, nie wpłynie prawdopodobnie ujemnie na produkcyę krajową. Przewidywany przez Zjazd górniczy dowóz węgla szląskiego ma wynieść w r. 1900 — 21 mil. pud., w 1901 — 24 mil. pud., w 1902 — 26 mil. pud., jakkolwiek liczby te zdają się być przesadzonemi.

Jednocześnie z zarządzeniami celnemi na ożywienie przemysłu węglowego oddziaływały: 1) przeprowadzenie kolei żelaznych w Królestwie (zwłaszcza Iwangrodzko-Dąbrowskiej) i w Cesarstwie, wraz ze zwiększeniem zapotrzebowania węgla na użytek kolei, 2) rozwój przemysłu fabrycznego w kraju, zużywającego bardzo znaczną ilość węgla. Okres po 1870 r., właściwie po 1875 r., jest to okres olbrzymiego rozrostu Łodzi, powstania i rozwoju Sosnowca, żywszego rozbudzenia przemysłu żelaznego i t. d. Tak pomiędzy 1880—85 r. kopalnie dąbrowskie produkują średnio rocznie 97 mil. pud., a w następnem pięcioleciu (1885 — 90 r.) — 138 mil. pud. W ostatnich wreszcie 8 latach widzimy stopniowy i szybki rozwój produkcyi węglowej:

Miliony pudów.

1891 r. — 158,8	1895 r. — 224,8
1892 r. — 175,6	1896 r. — 223,6
1893 r. — 192,1	1897 r. — 229,8
1894 r. — 201,7	1898 r. — 250,0

Jeśli produkcyę 5-lecia 1870 — 75 r. przyjąć za 100%, rozwój przemysłu węglowego od tej chwili przedstawia się, jak następuje:

1870 — 75 r. — 100%	1890 — 95 r. — 929%
1875 — 80 r. — 252%	1896 r. — 1066%
1880 — 85 r. — 462%	1897 r. — 1095%
1885 — 90 r. — 657%	1898 r. — 1190%

Na najbliższe lata przewidywaną jest następująca produkcya:

1900 r. — 269 mil. pud.
1901 r. — 299 „ „
1902 r. — 328 „ „

(Raport Komisyi Statystycznej Zjazdu Górniczego z r. 1899).

Ciekawem będzie wyliczenie, ile ogółem wyprodukowano u nas węgla kamiennego, poczynając od pierwszych chwil powstania przemysłu węglowego w kraju aż do czasów ostatnich. Według wiadomości, zebranych przez Hieronima Łabęckiego o produkcyi kopalń rządowych i prywatnych od 1787—1856 r., a dalej za czas 1857 — 70 r. w „Ekonomiście" (1873 r.), wreszcie wyżej przytoczonych danych od r. 1870, możemy ułożyć następującą tabliczkę produkcyi węgla:

Lata	Tysiące pudów	Lata	Tysiące pudów
1787 — 1808	1,716	1871 — 75	105,000
1808 — 24	11,880	1876 — 80	265,000
1825 — 32	32,532	1881 — 85	485,000
1833 — 42	54,391	1886 — 90	690,000
1843 — 56	68,907	1891 — 95	955,000
1857 — 70	110,700	1896 — 98	700,000
Razem 1787 — 1870	280,126	Razem 1871 — 98	3,200,000

Ogółem 3,480,126 tysięcy pudów.

Ogółem więc od zaczątków naszego przemysłu węglowego do końca r. 1898 wydobyto węgla kamiennego blizko $3^1/_2$ miliarda pudów. Dodawszy przypuszczalną sumę produkcyi lat 1899 i 1900 — z górą 500 milionów pudów, i biorąc pod uwagę, iż wytwórczość zeszłego stulecia sprowadza się do rozmiarów minimalnych, otrzyma-

my, iż w ciągu całego XIX stulecia produkcya węgla u nas wyniosła *4 miliardy pudów*. Chwilę, od której rozpoczęto wydobywanie węgla na poważną skalę, określi fakt, iż cała suma produkcyi przed r. 1870 stanowi ledwo $^{1}/_{12}$ tego, co wydobyto po tym roku, przytem w ciągu lat przeszło 80 (1787—1870 r.) wydobyto niewiele więcej (280 mil. pud.), niż daje dzisiaj produkcya jednego roku!

Widoki rozwoju na przyszłość są dla przemysłu węglowego w Królestwie Polskiem bardzo pomyślne. Konkurencya węgla szląskiego, jak widzieliśmy, jest bardzo nieznaczna. Tymczasem zapotrzebowanie i rynki zbytu szybko się rozszerzają. Dotychczas spożywcami węgla polskiego są głównie fabryki oraz koleje żelazne Królestwa.

Ponieważ węgiel jest prawie jedynym środkiem opału w Król. Polskiem, posiadającem dziś stosunkowo mało lasów, stąd pochodzi ścisły związek produkcyi węgla z rozwojem przemysłu krajowego, natomiast niewielką ilość zagłębie dąbrowskie wysyła poza granice kraju. Jednak zbyt węgla zwiększa się coraz bardziej na kolejach Cesarstwa, na których węgiel polski ogarnia coraz nowe rynki w kierunku wschodnim i północnym, wypierając używane dotychczas drzewo i węgiel angielski.

W 1890 r. na potrzeby łódzkiego okręgu fabrycznego poszło 30,6 mil. p., w 1893 r. — 36,2 mil. pud., a w 1896 r. — 41 mil. pud., na potrzeby okręgu Sosnowickiego w r. 1890—40 mil. pud., a Warszawskiego w 1890 r. — 26 mil. pud., a 1893 r. — 35$^{1}/_{2}$ mil. pud.

W 1895 r., z ogólnej produkcyi 225 pud., przewieziono kolejami z zagłębia dąbrowskiego 170—180 mil. pud., w okręgu Sosnow.-Dąbrowskim pozostało do miejscowego spożycia 45 — 55 mil. pud. Na obszar, obsługiwany przez kolej wiedeńską, wypada 83 mil. pud., łódzką — 40 mil. pud., dąbrowską 18 m. pud.; nadwiślańską około 10 mil. pud. Resztę, 20—30 mil. pud., wysłano na koleje Cesarstwa. W 1880 r. wywóz do Cesarstwa wynosił tylko 10,8 mil. pud., w 1885 — 13,8 mil. pud., w 1890 — 17,5 mil. pud., wreszcie w 1895 r. 20—30 mil. pud. Największa ilość tego węgla idzie na drogi żelazne Południowo-Zachodnie (znaczna część aż do Odessy), mniej znaczne partye na Fastowską, Moskiewsko-Brzeską, Moskiewsko-Niżegorodzką i Pskowsko-Ryską.

Według rodzaju zużytkowania, z produkcyi 1892 r. (176 mil. pud.) 40—50 mil. pud. zostało w obrębie Dąbrowsko-Sosnowickiego okręgu na potrzeby miejscowych zakładów metalurgicznych, około 19 mil. pud. zużyły miejscowe drogi żelazne, około 15 m. p. cukro-

wnie, około 35 mil. pud. przemysł bawełniany i wełniany i około 25 mil. pud. różne inne zakłady przemysłowe oraz użytek domowy.

Wraz z ogarnianiem nowych rynków zbytu i rozszerzaniem produkcyi, kopalnie dąbrowskie wprowadzają u siebie nowe urządzenia i zastosowania techniczne, mające na celu zwiększenie wytwórczości i większą taniość produkcyi (nie należy mieszać z tendencyą obniżania cen sprzedażnych).

Kopalń w 1897 r. funkcyonowało 19; należały one do 13 firm, które co do swych rozmiarów dzielą się na dwie grupy. Do pierwszej należą firmy wielkie z produkcyą ponad 20 mil. pud. rocznie: 1) Towarzystwo Sosnowickie (92 mil. pud.), 2) hr. Renarda (30 mil. pud.), 3) Francusko-Włoskie (30 mil. pud.), 4) Warszawskie (28 mil. pud.), 5) ks. Hohenlohe (23½ mil. pud.). Razem dają 203 mil. pud., co stanowi 86% ogólnej produkcyi. Pozostałe 8 firm produkują tylko nieznaczne ilości węgla — od 100 tys. do 1 mil. pud.; razem 14% ogólnej wytwórczości.

Jak widzimy, produkcya węgla już dziś zmonopolizowaną jest w rękach 5 wielkich towarzystw akcyjnych, które—pomimo olbrzymiej faktycznej swej przewagi na rynku — świadomie dążą do zapanowania nad całym rynkiem Królestwa Polskiego i wyzyskiwania go w celach spekulacyjnych drogą wzajemnego porozumienia (syndykat węglowy), co właśnie nader dotkliwie dało się odczuć w zimie r. 1897 i w r. 1899 podczas drożyzny węgla. Pierwsze miejsce wśród wielkich przedsiębiorstw węglowych zajmuje Towarzystwo Sosnowickie, które już przy zawiązaniu swem postawiło sobie wprost za zadanie nabycie i dalszą eksploatacyę ziemi, kopalń, rud, zakładów, jednem słowem całego nieruchomego i ruchomego majątku, będącego w ręku: 1) Towarzystwa von Kramsta, 2) Tow. hr. Renarda, 3) kopalni Miłowickiej („Wiktor"), 4) Juliusza Aleksandra. Jakkolwiek dotychczas nie osiągnęło ono jeszcze całkowicie owego „zamierzonego" celu, produkcya jego stanowi dziś przeszło 40% ogólnej wytwórczości węgla w Królestwie, a $^1/_6$ — w całem państwie. Towarzystwo to posiada dziś następujące działy specyalne: a) kopalnię węgla „Jerzy" w Niwce (2,500 robotników;) b) kopalnię węgla „Ignacy" w Zagórzu (1,500 rob.); c) kopalnię węgla „Wiktor" w Miłowicach (800 rob.); d) kopalnie galmanu w Bolesławiu (900 rob.); e) hutę cynkową „Paulina" w Zagórzu (800 rob.); f) walcownię blachy cynkowej „Emma" w Sosnowicach (50 rob.); g) fabrykę bieli cynkowej w Sosnowicach (20 rob.); h) dobra i lasy. Ogółem przy 96½ mil. pud. produk. węgl., 1½ mil. pud. galmanu, a 200 tys. pud. cynku zatrudnia około 7 tys. robotników.

Dane powyższe wykazują nam miarę rozwiniętej w naszym przemyśle węglowym centralizacyi wielko-przemysłowej, ze sfery żywiołowych pojawów ekonomicznych przechodzącej w sferę działania świadomego i obejmującej obok sił wytwórczych sferę kapitału (towarzystwa akcyjne) oraz cele wymienne, rynkowe (syndykat, skierowany przeciw spożywcom).

Wartość produkcyi węgla, nie dosięgająca w 1873, 4, 5 r. 1 miliona rub., w 1894 r. wynosiła przeszło 9 mil. rub., w 1897 r. — 11 do 12 mil. rub., dziś 15 mil. rub.

Ilość robotników w 1873 r. wynosiła 3,255, w 1874 r.—3,838, w 1875 r. — 3610, w 1885 — 7816. W 1896 r. wynosić miała 16,200, według innych źródeł 18 tysięcy. Dziś liczbę robotników węglowych można określić na 20 tysięcy. O postępach centralizacyi przemysłowej w ostatnich latach 20 kilku świadczą dane, wykazujące stosunek pomiędzy ilością kopalń i robotników, oraz ilością kopalń a wartością produkcyi. Tak w 1874 r. na 1 kopalnię węgla przypadało 50,000 rub. wart. i 192 robotn., gdy w 1897 r. już 631,800 rub. i 942 robotn.

Wydajność pracy pojedyńczego robotnika z 260 rub. wart. prod. w r. 1874 wzrosła do 666 rub. w r. 1897, czyli 2½ raza.

Inaczej nieco przedstawia się wzrost produkcyjności pracy robotnika, obliczony w stosunku do wyprodukowanego węgla. Tak w 1874 r. na 1 robotnika wypadało 6,394 pudy węgla (105 tonn), w 1875 r. 7,010 pud. (115 tonn). W 1893 r., jeśli oprzemy się na danych urzędowych, wykazujących 13,545 robotników i 192 mil. pudów produk. — otrzymamy 14,039 pud. (230 tonn), w 1894 r. 16,386 pudów (268 tonn), a w 1898 r. — 320 tonn (!) (Dla 1898 r. — dane V Zjazdu Górniczego z r. 1899). Dla porównania przytoczymy dane o wydajności pracy górników zagranicą. Tak w 1893 r. na 1 górnika wypadało:

W Stanach Zjednoczonych	448	tonn węgla
„ Anglii	256	„ „
„ Niemczech	254	„ „
„ Francyi	197	„ „
„ Austro-Węgrzech	186	„ „
„ Belgii	166	„ „
„ gub. Cesar. ros.	148	„ „
„ Włoszech	133	„ „
„ Szwecyi	130	„ „
„ Hiszpanii	125	„ „

Wynikałoby stąd, iż wytwórczość robotnika w zagłębiu dąbrowskiem jest niższą tylko od wytwórczości w Stanach Zjednoczo-

nych, dorównywa produkcyjności robotnika angielskiego i niemieckiego, a znacznie jest wyższą, niż francuskiego, belgijskiego i t. d. Tymczasem wytwórczość ta zależy ściśle od warunków produkcyi, od naturalnych cech węgla, a przedewszystkiem stopnia zastosowania udoskonaleń technicznych do produkcyi; w kopalniach zaś Król. Pols. eksploatacya węgla stoi na niższym znacznie poziomie, niż zagranicą, i gdyby zastosowano do niej środki eksploatacyi takie, jakie np. stosowane są na Szląsku, produkcya wzmogłaby się parokrotnie; z drugiej zaś strony i warunki naturalne nie są najlepsze, i układ geologiczny nie nazbyt wygodny. Możemy stąd wnioskować pośrednio, iż kopalnie zatrudniają większą ilość robotników, niż wykazują zapisane źródła.

O wzroście płacy zarobnej mamy następujące nieliczne dane: w 1890/1 r. przeciętny robotnik kopalni Renarda pobierał dziennie 88 kop., a w 1895/6 – 1 rub. 08 kop., czyli w ciągu tych lat 6 płaca wzrosła o 23%. Sprawozdania o rozwoju przemysłu węglowego u nas, odczytywane na ostatnim zjeździe górniczym, wskazywały też wzrost płacy w ciągu ostatnich lat kilku o 20%.

Zobaczmy teraz, jakie miejsce zajmuje przemysł węglowy Król. Polskiego w stosunku do Cesarstwa i krajów Zachodu.

Rozmiarami produkcyi zagłębie dąbrowskie zajmuje drugie miejsce w państwie po zagłębiu donieckiem, z którym wespół dają 93% ogólnej produkcyi węgla w państwie (zagłębie dąbrowskie 42%, donieckie 51%). W pozostałych okręgach, uralskim, kaukaskim, moskiewskim i t. d., produkcya jest bardzo nieznaczna. Rzućmy okiem na parę dat porównawczych w rozwoju produkcyi węgla w zagłębiach dąbrowskiem, donieckiem i całem państwie:

Miliony pudów.

Rok	Zagł. Dąbr.	Zagł. Don.	Całe państwo
1880	78,4	86,3	200,8
1885	109,2	114,9	260,6
1886	120,1	128.7	279,4
1887	121,2	125,5	276,8
1888	147,4	136,8	316,6
1889	151,1	189,9	379,4
1890	150,8	183,2	367,2
1891	158.8	191,7	380,5
1892	176.0	218,1	424,1
1893	193,0	239,8	464,8
Przyrost % 1880—93	+ 147%	+ 179%	+ 133%

Jak widzimy, zagłębie dąbrowskie wykazuje prędszy rozwój produkcyi, niż całe państwo, wzrasta jednak wolniej, niż zagłębie donieckie. To ostatnie wykazuje znaczniejszą przewagę nad pierwszym dopiero od 1889 r., przedtem bowiem wytwórczość obu zagłębi utrzymywała się na jednym prawie poziomie.

Charakterystyczne jest zestawienie obu zagłębi ze względu na ilość kopalń węgla: i, gdy w Królestwie Polskiem liczba kopalń nie dochodzi 20, zagłębie Donieckie posiada ich około 250. W ten sposób, gdy na 1 kopalnię w Królestwie wypada blizko 10 mil. pud. produkcyi (1893 r.), na 1 kopalnię na Dońcu tylko 1 mil. pud. Świadczy to o daleko wyższym stopniu centralizacyi w produkcyi węgla u nas i pochodzi stąd, iż w zagłębiu donieckiem po pierwsze istnieje wielka rozmaitość węgla, rozrzuconego na znacznych przestrzeniach, stąd zaś liczne ogniska produkcyi, powtóre przemysł węglowy pomimo niezmiernych bogactw znajduje się tam niemal w początkowych fazach rozwoju (przedewszystkiem co do swej techniki). Donieckie zagłębie obejmuje przestrzeń 25,000 klm. kwadr., gdy dąbrowskie 800 klm. kw.

Dane porównawcze z zagranicą posiadamy, poczynając od 1871—75 r., do r. 1893. Dotyczą one ogólnej produkcyi węgla na kuli ziemskiej oraz w poszczególnych głównych krajach, produkujących węgiel: Anglii, Niemczech, Austro-Węgrzech, Stanach Zjednoczonych, Francyi, Belgii, wreszcie w całem państwie Rosyjskiem, oraz w Królestwie Polskiem.

	średnio rocznie						
Rok:	1871—75	1876—80	1881—85	1886—90	1892	1893	Przyrost % 1871—1892
	Tysiące tonn.						
Na kuli ziemskiej	266,770	303,576	395,705	465,250	514,004	—	92%
Anglia	128,000	138,556	161,511	172,402	181,787	164,300	41%
Niemcy	44,000	52,000	69,000	81,000	92,544	74,000	109%
Austro-Węgry	10,612	12,940	17,268	23,866	25,431	—	127%
Stany Zjednoczone	45,000	55,000	93,000	124,000	156,000	163,000	247%
Francya	16,000	17,500	20,200	22,800	26,179	25,000	62%
Belgia	14,900	15,100	17,600	19,023	19,583	—	31%
Gub. Cesarstwa	1,171	2,262	3,966	5,439	7,440	7,619	535%
Gub. Król. Pols.	347	870	1,600	2,265	2,880	3,170	730%

W stosunku więc do ogólnej produkcyi węgla na kuli ziemskiej, jak i do produkcyi głównych krajów Zachodu, wytwórczość i całego państwa i Królestwa Polskiego jest względnie nieznaczna. Gdy jednak produkcya na kuli ziemskiej pomiędzy 1871—1892 r. wzrosła o 92%, w Anglii o 41%, Francyi o 62%, Niemczech 109%, Stanach Zje-

dnoczonych o 247%, a w całem państwie Rosyjskiem o 535%, produkcya Królestwa Polskiego wzrosła o 730%. Z państw zagranicznych pierwsze miejsce pod względem wzrostu produkcyi do 1893 r. zajmowała Anglia, obecnie dorównały jej Stany Zjednoczone, od 1883 do 1892 r. postąpiły one naprzód o 58%, Niemcy o 32%. Tymczasem w Anglii, Francyi, Austryi i Belgii poziom produkcyi w tym czasie (1883 — 92 r.) pozostawał prawie ten sam — z nieznacznym przyrostem.

Spożycie roczne węgla na 1 mieszkańca Król. Polskiego, licząc ogólną sumę spożycia w 1895 r. na 200 mil. pud., wyniesie 23 pudy.

W Królestwie Polskiem prowadzone jest również dobywanie na niewielką skalę węgla brunatnego (w okolicach Częstochowy). W 1897 r. wydobyto 3 mil. pudów. Pracowało 200 robotników. Z powodu znacznych kosztów produkcyi i niedogodnych taryf przewozowych produkcya ta nie rozwija się znaczniej, znajdując zbyt przeważnie wśród okolicznej ludności włościańskiej, używającej węgla brunatnego na opał. Zjazd górniczy obradował nad środkami podniesienia tej gałęzi kopalnictwa, bliższe rozpatrzenie sprawy polecając radzie Zjazdu.

B) Żelazo.

Co do czasu swego powstania przemysł żelazny u nas, również jak w całej Europie, jest daleko wcześniejszym, niż węglowy, gdyż sięga jeszcze XIII wieku. Pierwotnie otrzymywano żelazo wprost z rud w niewielkich piecach, zwanych dymarkami, i dopiero w XVII w. zaczęto budować tak zw. wielkie piece (w Końskich), które początkowo wydają żelazo w postaci surowca. Aż do połowy bieżącego stulecia wytapiano surowiec i otrzymywano żelazo w tak zw. fryszerkach wyłącznie na węglu drzewnym, przytem w tych tylko miejscowościach, gdzie znajdowały się obok siebie rudy żelazne, lasy, dające paliwo, i woda, stanowiąca siłę poruszającą dla używanych w tym przemyśle narzędzi. Dopiero około 1840 r. rozpoczęto wytapiać surowiec na koksie i z inicyatywy Banku Polskiego zaprowadzono nowy, ulepszony sposób otrzymywania żelaza za pomocą pudlingowania. Pierwsze wielkie piece na koksie wzniósł w Dąbrowie Bank Polski w 1842 r., dając początek Hucie Bankowej. Prócz niej było w tym czasie w okolicach Dąbrowy i Częstochowy jeszcze kilka niedużych zakładów żelaznych rządowych i prywatnych. Wkrótce po swem założeniu Huta Bankowa wraz z całem górnictwem — przeszła w ręce skarbu, który zarządzał nią z górą

lat 30, do 1876 r. Jednak do r. 1870, a właściwie nawet do 1877 r. przemysł żelazny rozwijał się bardzo powoli, chwilami zaś nie tylko nie postępował, lecz upadał. Dopiero zaprowadzenie cła złotego wywarło ogromny wpływ na rozwój przemysłu żelaznego, dla którego rok 1877 stanowi punkt zwrotny ku lepszemu zarówno w całem państwie Rosyjskiem, jak i w Królestwie Polskiem (zwłaszcza w zachodnim okręgu górniczym Królestwa). Od tej chwili państwo rozpoczęło się opiekować przemysłem żelaznym, zabezpieczając go przed konkurencyą zagranicy wprowadzeniem wysokich ceł, popierając go bezpośrednio zapomocą rządowych obstalunków (dla kolei żelaznych i t. d.), wyznaczając premia za wyrób szyn wyłącznie z materyałów krajowych i t. p. Opłata ceł w złocie podniosła cło na żelazo blizko o 40%, oddziałała w tym samym kierunku obniżka kursu rubla, następnie zaś cło na żelazo i surowiec podwyższano kilkakrotnie. W 1887 r. doprowadzono cło do 30 kop. (w 1891 r. zaś do 35 kop. złotych, to jest $52\frac{1}{2}$ kop. papierowych) od puda surowca i 50 kop. od puda żelaza (zamiast poprzednich 5 kop. od puda surowca i 40 kop. od puda żelaza).

Wszystko to szybko pchnęło naprzód przemysł żelazny Królestwa: powstaje szereg wielkich przedsiębiorstw górniczo-hutniczych, dotychczasowe średnie i drobne albo znikają, albo rozrastają się w wielkie. Zamiast dotychczasowej starej Huty Bankowej, ustąpionej w 1876 r. prywatnym przedsiębiorcom i nie odpowiadającej wymaganiom współczesnego hutnictwa, powstaje wielki akcyjny zakład metalurgiczny z 1 wielkim piecem dużych rozmiarów, stalownią systemu martynowskiego i walcownią szyn. W dalszym ciągu zakład rozrasta się niezmiernie: dziś buduje on już czwarty wielki piec, posiada stalownię z 10 piecami Siemens-Martina i 3 walcownie; ogranicza on coraz bardziej produkcyę żelaza, a rozwija fabrykacyę stali. Huta wyrabia szyny i bandaże kolejowe, stal resorową, różnych gatunków żelazo handlowe, drut, blachę cienką i grubą i t. p. O rozmiarach jej produkcyi sądzić można z następujących danych: w r. 1896 wytopiono blizko 5 mil. pudów surowca i 5, 7 mil. pud. stali; wyrobiono żelaza pudlowego 314 tys. pud., wyrobów żelaznych 266 tys. pud.; wyrobiono żelaza i stali na sprzedaż (szyny, blacha, drut i t. d.) 4,3 mil. pudów (dla porównania patrz niżej dane o ogólnych rozmiarach produkcyi żelaznej w kraju). Obrót roczny dosięga 10 mil. rubli. Robotników pracuje 4,000 — 4,300, nie licząc ludności, zatrudnionej produkowaniem rudy na potrzeby Huty i jej dostawą. Jest to więc ze względu na rozmiary centralizacyi zakład wielki w całem tego słowa znaczeniu, i nie tylko w stosunku do po-

zostałych naszych zakładów hutniczych, lecz i do podobnych zakładów w Cesarstwie i zagranicą.

Prócz Huty Bankowej, około 1880 r. w zachodnim okręgu górniczym powstaje kilka fabryk żelaznych, założonych, jako filie hut, istniejących w sąsiednim Szląsku Pruskim w celu przerabiania zagranicznego surowca na żelazo: huta „Katarzyna" w Sielcach, huta „Aleksander" w Miłowicach i „Puszkin" w Sosnowcu. Wobec znacznego podwyższenia cła na surowiec zagraniczny w r. 1887 (z 5 do 30 kop. w złocie) musiały one zabrać się do wytapiania i przerabiania surowca krajowego i w tym celu wznieść własne wielkie piece. Huta „Katarzyna" buduje pierwszy wielki piec w r. 1890, drugi — w 1895; dają one 3 mil. pud. surowca. Prócz tego huta posiada stalownię z 2 piecami martynowskimi, oddział pudlingowy z 14 piecami pudlingowymi i 3 młotami i walcownię. Huta „Aleksander" ma 2 wielkie piece do topienia surowca, 2 piece martynowskie, 12 pieców pudlingowych i t. d. Produkcya żelaza rozwija się też w drugim okręgu górniczym — wschodnim (w gub. Radomskiej i Kieleckiej), gdzie powstaje szereg znacznych i wielkich hut i fabryk, jak zakłady Chlewiskie, Starachowickie, hr. Platera (Niekłańskie i Bliżyńskie), Ruda Maleniecka i inne. Na czele ich stoi dzisiaj „Towarzystwo akcyjne wielkich pieców Ostrowieckich", powstałe w 1885 r. z dawnych zakładów Klimkiewiczowskich, założonych w 1837 r. Posiada ono 2 wielkie piece na koksie i 6 pieców martynowskich i wytwarza (w 1895 r.) 1,2 mil. pud. surowca, 1, 8 mil. pud. stali, a 1,5 mil. pud. wyrobów stalowych. Obrót roczny — $3\frac{1}{2}$ mil. rubli. Prócz tego istnieje w tym okręgu sporo mniej znacznych zakładów żelaznych, samodzielnych lub pomocniczych dla okręgu zachodniego.

Przyjrzyjmy się rozwojowi produkcyi żelaznej nieco bliżej, poczynając od produkcyi rudy żel. Królestwo Polskie posiada rudę żelazną w obu okręgach górniczych: zachodnim i wschodnim. Pomimo to część rudy sprowadzają huty krajowe aż z Krzywego Rogu w Rosyi południowej. Mimo wysokiej ceny tej rudy używanie jej u nas opłaca się wobec wysokiej stosunkowo zawartości żelaza, niemal 2 razy większej, niż w naszej krajowej rudzie (60 — 68%). Pokłady rudy w Królestwie mają bowiem tę niewygodną własność, że posiadają względnie niewielką zawartość żelaza (33 — 45%) i nie znajdują się nigdzie w większych masach, lecz rozrzucone są na znacznych przestrzeniach. W Zachodnim okręgu górniczym pokłady rudy mamy w okolicach Dąbrowy Górniczej, Zawiercia, Częstochowy i Olkusza, we wschodnim — w okolicach Kielc (dziś nie eksploatowane), Suchedniowa, Ostrowca, Starachowic, Końskich,

Niekłania, Rudy Malenieckiej i t. d. Sposób jej dobywania jest bardzo pierwotny, dotychczas w ogromnej ilości wydobywaną jest przez włościan—właścicieli gruntów lub przez drobnych przedsiębiorców, którzy dostarczają rudę do hut za bardzo nizką cenę 6—8 kop. za pud. Przyczyną takiego sposobu eksploatacyi są głównie złe i utrudnione komunikacye. Ponieważ poszukiwacze rudy są to ludzie bez dostatecznych środków materyalnych i technicznego przygotowania, prowadzą oni eksploatacyę sposobem pierwotnym i wprost „rabunkowym" (w znaczeniu właściwem) ze szkodą dla przyszłej eksploatacyi. Wobec takiego stanu rzeczy trudno określić produkcyę rudy dokładnie.

Według inż. Kontkiewicza („Przegl. Techn.") produkcya rud żelaznych (w 1897 r.) wynosi we wschodnim okręgu górniczym 170 tys. tonn, w zachodnim 185 tys. tonn, razem przeszło 350 tys. tonn, czyli około 20 mil. pud. rocznie. Wzrasta ona stale. W 1865 r. wyprodukowano rudy 3,3 mil. pud., w 1883 r. 9,8 mil. pud., w 1892 r. — 11,4 mil. pud., w 1893 — 13,8 mil. pud., w 1895 r. — 20 mil. pud., w 1896 r. — 18,8 mil. pud., w 1897 — 19,6 mil. pud., w 1898 r. — 22 mil. pud.

Kopalń czynnych było w 1865 r. 79, w 1883 r.— 76, w 1892 r.— 78, w 1895 r. — 99, w 1897 r. — 110. Ilość pracujących wynosiła w 1865 r. — około 2,000, w 1895 r. — około 6,000, wartość wydobytej rudy w 1865 r. dała 150 tys. rub., w 1895 r. sięga $1\frac{1}{2}$ mil. rub.

W 1865 r. na 1 kopalnię wypadało 41,250 pud. rudy, 1,875 rub. wart. prod. i 25 robotn., w 1895 r. — 201,000 pud. rudy, 15,000 rub. wart. produk. i 60 rob.

Wydajność pracy robotnika z 1650 pud. rudy i 75 rub. wart. prod. w 1865 r. wzrosła do 3,350 pud. rudy i 250 rub. na 1 robotnika w 1895 roku.

Stosunek eksploatacyi rudy żelaznej w Królestwie Polskiem do Cesarstwa przedstawia się następująco: w 1892 r. w 2 głównych okręgach przemysłu żelaznego w Cesarstwie — na Uralu i w południowej Rosyi wydobyto 82,607 tys. pud. rudy (52,000+32,607 tys.), a w Królestwie 11,436 tys. pud. (blizko $^1/_7$), w 1893 r. zaś w Cesarstwie 93,709 tys. pud. (56,449 + 37,260 tys.), gdy w Królestwie 13,582 tys. pud., przeszło $^1/_7$). Później stosunek zmienił się na korzyść Królestwa.

Produkcya żelaza z rud,—wytapianie surowca oraz wyrób żelaza i stali—do ósmego lat dziesiątka, a nawet i do dziewiątego była, jak wyżej mówiliśmy nieznaczną. Tak w 1840 r. wytopiono 1,28 mil. pud. surowca i wyrobiono 610 tys. pud. żelaza; w 1856 r.—1,140

tys. pud. surowca, w 1865 r. 1,148 tys. pud. sur., w 1870—1,658 tys. pud. sur. i 762 tys. pud. żel. W tych niemal granicach utrzymuje się produkcya do czasu zaprowadzenia cła w złocie w 1877 r., odkąd datuje szybszy rozwój górnictwa. Pomiędzy 1880 — 86 r. produkcya surowca utrzymuje się w granicach 3 mil. pud., a żelaza i stali od 5½ — 6½ mil. pud. Szybki rozwój w latach następnych uwidocznią następujące dane:

T y s i ą c e p u d ó w.

Rok	Surowiec	Żelazo	Stal
1885	2,467	4,197	2,446
1886	2,832	4,585	3,151
1887	3,717	3,809	3,048
1888	4,728	3,238	3,137
1889	5,380	4,051	2,390
1890	7,424	4,137	3,366
1891	7,471	3,403	4,085
1892	9,045	3,683	5,606
1893	9,875	3,504	7,245
1894	10,745	3,783	5,825 (?)
1895	11,586	3,757	9,367
1896	13,321	3,528	10,373
1897	13,944	4,140	12,204
1898	16,000	17,000	

Jak widzimy w ciągu 14 lat ostatnich 1885 — 98 r. produkcya surowca wzrosła 6½ razy (o 545%), wyrób żelaza utrzymuje się na tym samym poziomie, za to wyrób stali podniósł się 5-krotnie (o 400%). W 1865 r. istniało 83 zakłady hutnicze z produkcyą wartości 2,412 tys. rub., zatrudniające 4,600 robotników. Dziś hutnictwo żelazne (35 zakładów) zatrudnia 12—15 tysięcy robotników, a wartość produkcyi sięga 20—25 mil. rub. W 1865 r. na 1 zakład hutniczy wypadało 29 tys. rub. prod. i 55 robotn. Dziś na 1 zakład wypada 571 do 714 tys. rub. wartości produkcyi i 343 do 428 robotników. Świadczy to o znacznym stopniu centralizacyi wielko-przemysłowej w naszem hutnictwie żelaznem.

Wydajność pracy robotnika w stosunku do wartości produkcyi określała się w 1865 r. — 524 rub., dziś — 1666 rub. na 1 robotnika. Jednak w porównaniu z wydajnością pracy pojedyńczego robotnika zagranicznego jest ona znacznie niższa, podczas gdy przewyższa wydajność pracy robotnika w Cesarstwie. Tak w porównaniu z robotnikiem belgijskim wydajność pracy naszego robotnika jest blizko

2 razy niższą. Według broszury Radziga [1]) do produkcyi surowca, żelaza i stali Królestwa w r. 1893 potrzebaby było w Belgii 6,210 rob., gdy w samej rzeczy pracowało ich u nas 11,247. Dla Rosyi południowej cyfry analogiczne wyrażą się, jak następuje: 6,284 (Belgia) i 14,010 rob. (Poł. Ros.); dla Uralu: 11,165 rob. (Belgia) i 142,486 (Ural). Za przyczynę mniejszej wydajności robotnika u nas i w Cesarstwie uważać należy niższość techniki produkcyi, w znacznym stopniu powodowaną wysokiemi cłami ochronnemi, które, utrzymując w wysokiej cenie wytwory produkcyi krajowej, pozwalają przemysłowcom mniej dbać o stosowanie wszelkich ulepszeń technicznych.

Dla wyrobienia sobie pojęcia, jakie miejsce zajmuje nasz przemysł żelazny w stosunku do produkcyi Cesarstwa i zagranicy, przytoczymy trochę danych porównawczych.

Zestawimy najprzód cyfry produkcyi surowca, żelaza i stali w ciągu ostatnich lat kilkunastu dla Cesarstwa z odpowiedniemi danemi dla Królestwa Polskiego.

Miliony pudów.

Rok	Surowiec		Stosunek	Żelazo		Stosunek	Stal		Stosunek
	Cesars.	Król. P.		Cesars.	Król. P.		Cesars.	Król. P.	
1880	25,7	2,7	1/9	16,5	1.3	1/13	14,4	4,3	1/3
1885	29,7	2.5	1/12	18,0	4,2	1/4	9,4	2,4	1/4
1890	49.1	7.4	1/7	22.3	4,1	1/5	19,7	3,4	1/6
1896	84,1	13.3	1/6	27.0	3.5	1/8	33,4	10,4	1/3

Gdy produkcya surowca w ciągu lat 16 (1880—96 r.) w Cesarstwie wzrosła z 25½ mil. pud. na 84 mil. pud. (o 230%), w Król. Pol. wzrosła o 400%; produkcya żelaza w Cesarstwie wzrosła o 64%, w Król. Pol. o 170%, a prod. stali w Cesarstwie o 132%, w Król. Pol. o 142%. Dziś w stosunku do produkcyi Cesarstwa produkcya surowca w Król. Pol. stanowi 1/6, żelaza 1/8, a stali 1/3.

Stosunek do przemysłu żelaznego innych krajów (według prod. surowca) przedstawia się, jak następuje:

W 1897 r. na kuli ziemskiej wyprodukowano 31 mil. tonn surowca. Z tego na Stany Zjednoczone, Anglię i Niemcy wypada 24 mil. tonn, Francyę 2 mil. tonn, Rosyę 1,6 mil. tonn, Austryę 1,2

---

[1]) Radzig: „Żeleznodiełat. promysz. wsiewo swieta“.

mil. tonn, Belgię 950 tys. tonn, Szwecyę 560 tys. tonn, Hiszpanię 300 tys. tonn.; Królestwo Polskie z 230 tys. tonn wydaje nieznaczną względnie, bo 1/135 ogólnej produkcyi całej kuli ziemskiej.

Nieco wcześniejsze dane (z 1894 r.) wykazują porównawczo stan przemysłu żelaznego, a właściwie produkcyi i spożycia surowca względnie do zaludnienia.

Nazwa kraju	Ludność w milionach	Produkcya surowca w tysiąc. tonn	Spożycie w tysiąc. tonn	Produkcya na 1 osobę w kilogr.	Spożycie na jedną osobę w kilogr.
Stany Zjedn.	69	6,800	6.850	98,1	99
Anglia	39	7,500	—	192	—
Niemcy	51	5,400	3,720	99	72,5
Francya	39	2,070	1,720	53,3	44,1
Austryo-Węgry	43,5	1,000	1,180	23,1	27,3
Belgia	6,5	810	410	125	63
Włochy	31	22	367	0,7	12
Szwecya	5	460	—	92	—
Szwajcarya	3	1	248	0,3	82,7
Gub. Cesarstwa	121	1,200	1,800	9,9	14,8
Gub. Król. Polsk.	9	176	200 do 260	20,3	około 25—30

Według poszczególnych gubernii produkcya żelazna dzieli się, jak następuje. Z ogólnej sumy wyprodukowanego w 1895 r. [1]) surowca — 11,586 tys. pud., żelaza walcowanego 3,757 tys. pud. oraz stali i żelaza zlewnego 9,367 tys. pud. w sumie ogólnej wartości 17 mil. rub. (przy 12,000 robotników) na gubernię Piotrkowską wypada 6 mil. pud. surowca, 2,600 tys. pud. żelaza i 7,200 tys. pud. stali; wart. produk. — 13 mil. rub., ilość robotników 5,500; na Kielecką — 329,300 pud. surowca, na Radomską — przeszło 5 mil. pud. surowca, 1,156 tys. pud. żel., 2,167 tys. pud. stali. Według okręgów: na okręg zachodni z ogólnej sumy 188,300 tonn (11,586 tys. pud.) surowca wypada 100 tys. tonn (6,100 tys. pud.); na wschodni 88,300 tonn (5,386 tys. pud.).

Ogółem wartość produkcyi 110 kopalń rud żelaznych i 35 zakładów hutniczych da się obliczyć na 25 mil. rub., a ilość robotników w przemyśle żelaznym (górniczo-hutniczym) na 22½ tysięcy.

---

[1]) Choroszewski. Górnictwo w Król. Pol. w 1895 r.

C) Cynk.

Produkcya cynku w Król. Polskiem względnie do produkcyi żelaza i węgla zajmuje miejsce podrzędne i odznacza się zarówno dość ograniczonymi rozmiarami, jak i tem, że od szeregu lat utrzymuje się na jednym poziomie, wcale lub niewiele posuwając się naprzód. Dzieje się to pomimo obfitych pokładów rud cynkowych (galmanu) pod Olkuszem i większej czystości, niż na Szląsku, a to z powodu konieczności kosztownego osuszania kopalni przez przeprowadzanie nowych sztolni i zaprowadzanie silnych maszyn do pompowania, jak również z powodu konkurencyi cynku szląskiego. Wobec pomyślniejszych warunków ekonomicznych na Szląsku i taniości kapitału tamtejsi producenci mają możność stosowania wszelkich ulepszeń do produkcyi i obniżania ceny produktu. Eksploatacya rud cynkowych (galmanu)ześrodkowuje się w Bolesławiu w pow. Olkuskim (gub. Kielecka), i Bendzińskim (gub. Piotrkowska).

Produkcya galmanu w 1865 r. wynosiła 915 tys. pud. W 1893 r. wydobyto galmanu 3 mil. pud., w 1895 — 3,35 mil. pud., w 1896 — 2 mil. pud., w 1897 — 2,1 mil. pud. (w 1898 r. 3,8 mil. pud.); w kopalniach pracowało 762 robotników, według innych źródeł 1,300. Hut cynkowych istnieje dwie, prawie równych rozmiarów: huta „Paulina", należąca wraz z kopalniami Bolesławskiemi do Towarzystwa Sosnowieckiego i rządowa Huta pod Bendzinem (w prywatnej dzierżawie). Rozwój produkcyi cynku od r. 1856 posuwał się następującymi krokami: w 1856 r. wyprodukowano 98 tys. pud. cynku, w 1865 r.—189 tys. pud., 1870 r. — 201 tys. pud., 1880 r. — 268 tys. pud., 1885 r. — 280 tys. pud., 1890 r. — 230 tys. pud., 1895 r. — 292 tys. pud., 1896 r.—325 tys. pud. W r. 1897 otrzymano 359 tys. pud. w 2 hutach cynkowych; wart. produk. wynosi 1,2 mil. rub., robotników w hutach pracuje 1,500; ogółem zaś na hutach i w kopalniach cynkowych 2,262. Na 1 hutę cynkową przypada 600 tys. rubli wartości i 750 robotników, na 1 robotnika 800 rub. wartości prod. (W 1898 r. otrzymano z hut 346 tys. pud. cynku, wyrobiono zaś blachy cynkowej w 1896 r. — 192 tys. pud., w 1897 r.—204 tys. pud., w 1898 r. — 193 tys. pud.) Udział Królestwa Polskiego w ogólnoświatowej produkcyi cynku jest bardzo nieznaczny. Tak produkcya cynku w Europie i w Stanach Zjednoczonych wynosiła w 1894 r. — 375 tys. tonn, w 1895 r. — 410 tys. tonn, w 1896 r. 418 tys. tonn. Z tego wyprodukowano:

Kraj:	Tysiące tonn. 1895 rok	1896 rok
W całej Europie	332 tys. tonn	345 tys. tonn
W prowincyach Nadreńskich, Belgii i Holandyi	172 " "	172 " "
Na Szlązku	94 " "	96 " "
We Francyi i Hiszpanii	23 " "	28 " "
W Wielkiej Brytanii	29 " "	25 " "
W Austryi	8 " "	9 " "
W Królestwie Polskiem	5 " "	6 " "

Czyli: produkcya cynku w Królestwie Polskiem stanowi $^1/_{60}$ produkcyi Europy, a $^1/_{70}$ — całej kuli ziemskiej. W Cesarstwie produkcya cynku nie istnieje pomimo pokładów galmanu w zagłębiu donieckiem i na Kaukazie.

Przywóz cynku z zagranicy dosięga rocznie 500 tys. pud. (1893 r.) Cynk w granice państwa Rosyjskiego przywożony jest głównie z Belgii i ze Szląska.

Zanim zsumujemy dane o produkcyi górniczo-hutniczej Królestwa, należy wspomnieć jeszcze o dobywaniu niektórych innych produktów kopalnictwa. Kamienie budowlane i wapienne oraz marmur wydobywane są w 35 kamieniołomach większych. W 1896 r. pracowało w nich 2,296 robotników.

Produkcya soli w Ciechocinku zatrudnia 50 ludzi.

Produkcya siarki prowadzi się w Czarkowach, w pow. Pińczewskim (gub. Kielecka). Po 19 latach przerwy podjęto ją ponownie w 1896 r. z kapitałem 200,000 rubli. Ruda wydobywana jest z gruntów włościańskich; za każdą morgę skopaną właściciele przedsiębiorstwa i majątku dają włościanom dwie morgi ziemi. Dziennie wytapia się 400 pud. siarki. Wytapianie prowadzi się za pomocą pary i nowym sposobem za pomocą ognia, najmniej kosztownym (sposób sycylijski). Robotników stałych pracuje 150, prócz tego niestałych 50. Płaca stałego robotnika wynosi 60 kop., niestałego 35 kop. dziennie. Przedsiębiorstwo jest w ręku spółki rosyjskiej, do której należą: gen. A. Kirejew, szlachcic Aleksiej Mordwinow, gen. baron T. Meyendorff i tajny radca W. Ochotnikow. Zarządza kopalnią Edward Łużecki, główno-zarządzającym fabryki jest p. Trzciński, dyrektorem p. Weinzweig, a inżynierem fabrycznym Włoch August Rigoletti. Dawniej prowadzili siarkownię właścicie-

le Czarków, Pusłowscy, którzy włożyli w nią do 300 tys. rubli, lecz z powodu złych obrotów musieli przerwać produkcyę [1]).

Cały zaś przemysł górniczo-hutniczy u nas przedstawia się, jak następuje (1897 r.):

Rodzaj przemysłu	Kopalń i zakładów	Wartość prod. w rublach	Ilość robot.
Kopalnie rudy żelaznej	110	25,000,000	22,500
Hutnictwo żelazne	35		
Kopalnie galmanu	?	1,200,000	2,262
Huty cynkowe	2		
Węgiel kamienny	19	12,000,000	20,200
„ brunatny			
Kamień budowlany	35	?	2,296
Sól	—	—	50
Ogółem	201	38,200,000	47,308

Jak widzimy, dziś cały nasz przemysł górniczo-hutniczy przedstawia poważną roczną wartość blizko 40 milionów rubli, wyprodukowaną w 200 z górą zakładach, kopalniach i hutach—przy udziale blizko 50 tysięcy robotników.

Dla wnioskowania o szybkości wzrostu zestawimy te dane z danemi lat poprzednich:

Rok	Wart. prod. w 1000 rubli	Ilość kopalń i zakł.	Ilość robotników	Ile rubli na 1 zakład?	Ile rubli na 1 robotnika?	Ilu robotników na 1 zakład?
1857	3,000	301	10,500	10,000	286	34
1865	4,383	—	9,203	—	476	—
1870	3,516	182	6,443	13,824	545	35
1873	6,052	124	8.310	48,806	753	67
1897	38,200	201	47,308	190,049	807	235

Tak więc pomiędzy 1870 — 97 r. wartość produkcyi górniczo-hutniczej u nas wzrosła przeszło 10 razy (z $3\frac{1}{2}$ mil. rb. do 38 mil. rb.), a ilość robotników przeszło 7 razy (z 6443 do 47,308).

O postępach centralizacyi wielko-przemysłowej świadczą dane, dotyczące stosunku wartości produkcyi i ilości robotników do ilości kopalń i zakładów. Tak, gdy w 1857 r. na 1 zakład wypadało

---

[1]) O produkcyi siarki podajemy dane szczegółowsze, gdyż te nigdzie jeszcze ogłaszane nie były.

10 tys. rub. wart. prod. i 34 robotn., a w 1870 r. 13,8 tys. rub. i 35 rob., — w r. 1897 na 1 zakład wypada *190 tys. rub.* i *235 rob.* Różnice te znacznie byłyby wyższe, gdybyśmy do ogólnej sumy nie wliczali całej masy drobnych kopalń rudy żelaznej i kamieniołomów.

Wydajność pracy pojedyńczego robotnika w przemyśle górniczo-hutniczym (w stosunku do wartości produkcyi) wzrosła z 286 rb. w 1856 r., do 545 rub. w 1870 r., 753 rub. w 1873 r., wreszcie 850 rub. w 1897 r.

W całym okręgu Dąbrowsko-Sosnowieckim ilość robotników, zatrudnionych w różnych gałęziach przemysłu (wraz z przędzalniami i tkalniami) przenosi dziś 60,000. Wszystkich górników i hutników polskich liczyć należy (r. 1893): na Szląsku Górnym pruskim 125 tys., w Westfalii 60 tys. (?), na Szląsku Austryackim 35 tys. Razem w Europie 260 tysięcy; nadto w Ameryce podobno 15 tysięcy. Ilość górników i hutników w Anglii (1887 r.) wynosi 507 tys., w Niemczech (w całem państwie) w 1892 r. — 423 tys., w Austro-Węgrzech 80 tys., we Francyi 113 tys., w Belgii 102 tys., w gub. Cesarstwa Ros. (1887 r.) — 416 tys. Dodać jeszcze należy parę słów o udziale kobiet i dzieci w przemyśle górniczo-hutniczym. Jak wszędzie, tak i u nas, jest on minimalny. Tak np. w hutnictwie żelaznem i przemyśle mechanicznym na 100 rob. wypada 99,6 męż., a 0,4 kobiet. W przemyśle węglowym w 1896 r. w ogólnej liczbie 16 tys. robotn. było 600 kobiet, czyli 96% mężczyzn, a 4% kobiet. Ilość dzieci, zajętych w górnictwie i hutnictwie, nie dochodzi 0,66%.

Ponieważ objawy centralizacyi wielko-przemysłowej przypisać należy oddziaływaniu maszyny, przytoczymy garść danych, dotyczących upowszechnienia się maszyn w naszym przemyśle górniczo-hutniczym, co zarazem posłuży ze swej strony za miernik rozwoju tego wielkiego działu wytwórstwa krajowego.

Postępy maszyny w przemyśle węglowym uwydatni następująca tabliczka.

Rok	Ilość kopalni	Ilość maszyn	Siła koni parowych
1873	13	49	1,220
1874	20	39	2,082
1875	25	40	2,149
1884	28	126	6,865
1885	27	137	8,507
1893	18	211	15,629
1894	17	214	15,934
1895	19	212	16,304
1896	20	230	19,877
1898	—	241	20,438

Tak więc, gdy ilość kopalń w 24-letnim okresie 1873 — 96 r. wzrosła stosunkowo nieznacznie (z 13 do 20), ilość maszyn parowych wzrosła o 265%, a siła maszyn o 1,500%. Ogółem zaś cały przemysł górniczo-hutniczy Królestwa (żelazny, węglowy, cynkowy i t. d.) korzystał w r. 1893 z 383 maszyn parowych o sile 25,336 koni parowych, a prócz tego z 78 motorów wodnych o 1,083 siłach.

Kotłów parowych działało w zakładach górniczych i kopalniach w 1895 r. — 508, w 1897 — 555.

Największy w Królestwie zakład górniczo-hutniczy, Huta Bankowa, w r. 1865 miała zaledwie 10 maszyn parowych o nieznacznej sile 288 koni parowych (przy kilkuset robotnikach); w r. 1893 Huta posiadała 34 maszyny o sile 3,385 koni parowych, a w 1894 r. — 52 maszyny o sile 4,100 k. p. (przy 4,000 rob.). Huta „Katarzyna" (przy 1,200 rob.) miała w 1893 r. 27 maszyn parowych o sile 2,755 koni parowych, a w 1894 r. — 26 maszyn par. o sile 2,740 koni par., huta „Aleksander" w 1894 r. — 17 maszyn par. o sile 983 koni par., „Puszkin" — 3 maszyny o sile 565 koni parowych i t. d.

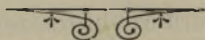
Jeśli do przemysłu górniczo-hutniczego dodamy wartość przemysłu metalowego, opartego na górnictwie i hutnictwie (fabryki machin, narzędzi, wyrobów żelaznych, złotych i t. d.), wapniarni i cegielni, fabryk szkła, fajansu, ceramicznych i t. d., otrzymamy, iż cały dzisiejszy przemysł, przerabiający płody kruszcowe i ziemne, przedstawia wartość 75 milionów rubli przy 1,200 zakładach, kopalniach i fabrykach i 86 tysiącach robotników. Pomimo to przemysł ten w ogólnej wytwórczości kraju zarówno wartością swej produkcyi, jak ilością robotników i stopniem centralizacyi wielko-przemysłowej, zajmuje drugie miejsce po przemyśle tkackim, dla którego stanowi niezbędny czynnik i warunek rozwoju.

Stanisław Koszutski.





Wacław Sieroszewski.



W ostatnich latach stało się w literaturze naszej coś, z czego sobie dotąd nie zdajemy dostatecznie sprawy: w różnych kierunkach twórczości strzeliły naraz w górę potężne, samodzielne organizacye artystyczne i sprawiły, że literatura nasza współczesna jest dziś wśród europejskich jedną z najciekawszych, najbogatszych w młode talenty i w pierwiastki bujnego rozwoju. Jest przed nią przyszłość, która należy do młodych, szczerych, odważnych, jest w niej siła, dowód niewyczerpanych zasobów naszej potęgi duchowej, jest odrębność indywidualności twórczych, która jej zapewnia rozwój, a chroni od zmanierowania w jednym do ostateczności doprowadzonym kierunku. Ale tego tchnienia, które z chwili obecnej wybucha, a zapowiada nam „jutro", nie odczuwa jeszcze głęboko całe społeczeństwo. Przeciwnie, jakiś niepokój ogarnia umysły o losy duchowej spuścizny naszych wielkich serc i umysłów: jakby na historycznej i społecznej powieści Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej kończyła się świetna doba, jakby coś zapadało w mrok i dobiegało istotnie kresu z końcem wieku. Jednych ogarnia zupełna nieufność, innych przejmuje „jakieś oczekiwanie tęskne i radosne" w nadziei, że przyjdzie prąd, który będzie reakcyą przeciw temu, który się teraz poczyna. Przyjdzie z rózgą ognistą jakiś wy-

bawca, objawienie z XX wieku, zmiecie w puch swoich poprzedników i stworzy pieśń, potężniejszą nad wszystko. Czemże wobec tych marzeń jest teraźniejszość? Jakiemś chwilowem przejściem, zaćmieniem, zresztą, według utartego już określenia, anarchią i dekadencyą. Te nazwy, określające pewne objawy kultury zachodniej, przeniesione w nasze warunki, są często nadużywane, ruchu tego nie wyjaśniają, lecz przeszkadzają raczej do głębszego wniknięcia w jego istotę — przez fałszywe analogie. U nas powracająca fala romantyzmu i mistycyzmu słowiańskiego uderzyła na umysły, opanowane przez „sternika duchami napełnionej łodzi", który wiedział, że „przyszłość jest jego", rozpłomieniły wyobraźnie iskrą, skrzesaną przez twórcę „Króla Ducha" nie ze strof jego tęczowych, nie z kryształów i dyamentów, ale z jego przeczuć i wierzeń, z intuicyi wieszczej, z nastroju. Równocześnie tchnął od poezyi skandynawskiej duch „Nowej Sztuki", metafizyczny, skupiony w sobie, szukający syntezy: objawiła się reakcya przeciw zasadniczym podstawom twórczości realistycznej.

U nas wszakże teraz dopiero zdobycze realizmu francuskiego wniknęły w swojską kulturę i pierwsze wydają owoce. Świat zewnętrzny pociąga, głosem silnym odzywa się ukochanie przyrody i potrzeba przedmiotowego odbijania jej poprostu dla radości oczu. Dlatego to w twórczości artystycznej ostatnich lat spotykamy tak różnorodne pierwiastki, że trudno mówić o jednym wyłącznym kierunku. Obok spokojnego realizmu powieści Dąbrowskiego mamy paradoksalny, bogaty naturalizm Reymonta, głęboką, szorstką, potężną poezyę Kasprowicza, pełną wyrazu, a doskonałą w formie lirykę Tetmajera, ostre, przenikliwe akcenty Żeromskiego, oraz muzyczne w rytmie dramaty Wyspiańskiego, dziwne utwory Brzozowskich, drgające bólem, śpiewne poematy Przybyszewskiego — i Sieroszewskiego jasną, w marmurze kutą prozę. O większe kontrasty trudno; jedynie głębokie poczucie artyzmu łączy tych „młodych", poza tem każdy z nich ma nie tylko własny, niezależny świat, ale jakby i własną, odrębną kulturę duchową, w przeciwstawieniu do zwartej ławy romantyków i do francuskiej szkoły naturalistycznej z lat 70-tych. Trudno byłoby jednak zniszczyć dziś legendę o potwornej „Szkole Krakowskiej", zwiastującej erę upadku i zepsucia, legendę, która obiega salony i panuje w prasie. Na temat nowych prądów powstaje wiele dowcipów ostrych i błyszczących. Wprawdzie chwila obecna nie jest taką przełomową godziną dziejową, jak owa niezapomniana epoka, w której zakwitł kwiat naszego romantyzmu — „jedną tylko taką wiosnę mamy w życiu".

Nie mniej jednak i tego rozwoju artystycznego, jaki się w oczach naszych odbywa, nie powinniśmy lekceważyć, ale starać się o poznanie jego różnorodnych przejawów. Może właśnie różnorodność kierunków i talentów utrudnia to zadanie, trzeba bowiem wielkiej wrażliwości, aby odczuć tyle dusz, tak odrębnych. Bywają organizacye artystyczne, zapatrzone w siebie, wybujałe, przepaściste, z olbrzymią fantazyą, do których żadnej miary, prócz ich własnej, przykładać niepodobna; ich losem niejako jest nieporozumienie z żyjącymi, rozdźwięk ze społeczeństwem. Bywają inne, do których serca lgną same, mimo że wysoki nastrój duchowy broni im szukania efektów i czynienia kompromisów dla podbicia tłumu. Jest to udziałem natur, które łączą w sobie talent, mądrość i prostotę serca przy zdolności do gorącego współczucia.

Otóż przez tę mądrość, prostotę i współczucie serdeczne zajął stanowisko wyjątkowe wobec społeczeństwa Wacław Sieroszewski. Artysta to „z łaski Bożej", obdarzony bystrym wzrokiem i wrażliwością na objawy zewnętrznego życia, na kolory i kształty, z wyobraźnią silną, konkretną, wyrażającą się jasno, zwięźle, w rysach prostych, rzucanych pewną i śmiałą ręką; artysta szczery i głęboki, unikający łatwej drogi, wstrzemięźliwy i surowy.

Pisano już o Sieroszewskim dużo; talent jego zajął gorąco przedstawicieli prądów społecznych, jak Świętochowskiego i Orzeszkową, zajął też młodych i podbił ich szczerością, siłą twórczego tchnienia oraz samorzutnością, z jaką się przejawia dusza głęboka i szlachetna. Wszystkie charakterystyki, zgadzając się w zasadniczych rysach, a uzupełniając wzajemnie — podniosły prymitywność i świeżość tego talentu, połączoną z imaginacyą spostrzegawczą, ciekawą, obejmującą szczegóły, imaginacyą niepospolitych dzieci, takich, jakie podchwycił sam w „Latoroślach", z imaginacyą ludową pierwotnych natur. Plastyka i ścisłość w krajobrazach, epiczność w odtwarzaniu życia syberyjskich ludów, siła dramatycznego napięcia i podkład wielkiej miłości dla człowieka, litości nad jego biedą — wszystkie te cechy znalazły silne odczucie i zostały określone w sylwetach, wśród których krótka charakterystyka pióra A. Potockiego najwybitniejsze zajmuje miejsce.

Przed sześciu laty umieścił „Czas" pierwszą powieść Sieroszewskiego pod pseudonimem Sirki „Na kresach lasów". Zwróciła ona uwagę na autora i wzbudziła zainteresowanie egzotycznością swego świata i losami bohatera — Pawła. Wrażenie to jednak nie odpowiadało jeszcze istotnej wartości dzieła; dopiero później, po wy-

daniu nowel, lepiej oceniono tamten głęboki dramat, który jest niewątpliwie jedną z najświetniejszych kreacyi artystycznych w ostatnich latach. Książkę otwiera obraz dorocznego głodu u Jakutów na wiosnę, wypełnia ją historya codziennego życia tego łowieckiego ludu i historya wewnętrzna wysłanego tam młodzieńca, — a zamyka potężna wizya nadchodzących ciemności zimowych, wśród których okropne żniwo rozpoczyna przywleczona z czukockiej tundry zaraza. Z tej prostej osnowy stworzył Sieroszewski powieść o zakroju epicznym, ale o nastroju dramatycznym. Nad nędzą życia — tchnienie zabójcze nieubłaganej, niepożytej śmierci, tragedya tego niezwalczonego strachu przed nieznanem, groźnem, bezlitosnem Złem, owego okropnego strachu Ślepców nad brzegiem morza i tragedya niemocy bezsilnej, połączonej z rozbijaniem się wszystkich trudów i pragnień czynu o granity nagiej rzeczywistości; tragedya samotności, tęsknoty, dumnie, bez skargi znoszonej, — oto wyraz tej bolesnej książki, wyraz głęboki, spotęgowany przez spokój, skupienie i rezygnacyę autora. Ani jednego wykrzyknika, ani jednego drgnienia muskułu wobec morza cierpienia i zagadki bytu. Żyć trzeba, cierpieć, kochać mocno, — tak — nawet w tym strachu, w tej ciemności, w tej samotnej głuszy — śmiało! — tylko pracy nie przerywać, — codziennego trudu pracy wewnętrznej! To życie, to sens życia! Intencyi symbolicznej, ani też z góry powziętej tendencyi niema w tej opowieści, tylko potęga uczucia i głębia filozoficzna podnoszą ten dramat północny do znaczenia ogólno-ludzkiego symbolu, a idea etyczna staje przed czytelnikiem wyraźna i jasna. Arcydziełem nastroju jest zakończenie „Na kresach lasów”, — błądzenie Pawła po lesie, wokół wymarłej osady, z niepokonaną trwogą w tej samotnej, białej głuszy, wobec bladego widma śmierci...

Jeszcze silniejszy w tonie jest jeden z ostatnich utworów Sieroszewskiego „Czukcze”. Wśród długiej nocy świta w głowie młodzieńca o bujnej wyobraźni nadzieja zmiany położenia, ratunku, przy pomocy dzikich. Plany, obliczenia, zwierzenia przed przyjacielem, zaznajomienie się z czukocką bandą; wreszcie upragniona wyprawa na północ, niby w odwiedziny, połączone z misyą chrześcijańską do Czukczów nad ocean; a dalej — przyszłość. Działanie się rozpoczęło, — co się stanie? A więc niepokój o jutro, przewidywania przeszkód, obawa, — a zarazem radość, — bo może się uda. I naraz rzeczywistość, straszniejsza nad wszystkie przewidywania, szekspirowskie „okropność, okropność, okropność!”. Potworne trupy pomordowanych, zastygłe ogniska, wściekły wicher od oceanu,

groźniejszy, niż Samum w pustyni. Na tundrze odegrała się wśród dzikich krwawa tragedya zawiści rodowej, widziadło mordercy — mściciela wychyla się z za skały, — jakaś ohydna twarz, jak z wizyi Ed. Al. Poego. Rozpaczna walka ze śmiercią, jedyny ratunek w szybkim odwrocie, odrętwienie i pogrzebanie „tamtej myśli” — na zawsze.....

„W matni” jest obrazem tych samych stosunków, wobec których znajduje się człowiek energiczny, pełen inicyatywy i hartu. Największą przykrość sprawia mu to, że jest ciężarem ludziom biednym, dla których szczerą czuje życzliwość. Ma cel życia — córeczkę, którą przywiozła mu żona, — ma swoją ideę: zdobycie własną pracą środków do życia przez uprawianie odłogiem leżącego pola. O to pole toczy upartą walkę z Jakutami, którzy, mimo nakazów rządowych, oddać mu nie chcą, obiecując raczej podwoić datki na utrzymanie. Jest w tym ich uporze coś z logiki naszych chłopów przy układzie o służebności: ta sama obawa podejścia ze strony przeciwnej. Ale jest też w tym zaciekłym konserwatyzmie Jakutów pewna racya, i to głęboko sięgająca; niechże się uda rolnictwo jednemu „nuczy”, choćby dobremu, przyjdą w te tropy różni, ziemię zabiorą, nie stanie jej na pastwiska. Racyonalista praktyczny i wyrachowany, łączy Jakut z naiwnością prostaczych natur chytrość i rozsądek; jest to ów „mądry chłop” z andersenowskich bajek, — nic sentymentalizmu, nic rzewności, za to wielka zdolność do życia, jaką mają i te drzewa karłowe tajgi, i porosty, — możność przerzucania się z apatyi w wir energicznej czynności; przytem głęboki podkład fatalizmu, wyrobiony zależnością od losu, od wyniku polowania i zmian powietrza.

Z nowel, osnutych na tle życia jakuckiego, największe wrażenie sprawia „Chajłach” tragizmem zakończenia i mistrzostwem formy. Jestto skrajny realizm, wydobywający jaskrawe barwy z poezyi bujnie rozkwitłego lata, z tragicznego losu bezbronnych istot, z psychologii „katorżnika”, łączącego instynkty wrodzone ze wspomnieniami krwawej przeszłości. Jest wśród nowel jedna, odmienna kolorytem i stylem, przypominająca wschód chaldejski swą powagą i podniosłym nastrojem. Tchnienie religijne patryarchalnych czasów, tak obce jakuckiej naturze racyonalistycznej, objawia się z całą potęgą i poezyą w uczuciach koczującego plemienia Tunguzów. Dla odwrócenia moru poświęca się za naród cały „W ofierze bogom” najznakomitszy i najszlachetniejszy, spełniając dobrowolnie żądanie wyroczni kapłańskiej. Heroizm i wielka

moc ducha biją od postaci sądziwego Sołticzana, który zwycięża przywiązanie do życia miłością dla idei nieśmiertelnej: ofiary jednego za wszystkich.

Nowoczesność techniki Sieroszewskiego polega na tem, że nie opowiada on nigdy, nie objaśnia nic; rzuca nam wprost przed oczy obraz za obrazem, stawia ludzi we wszystkich warunkach ich życia, traktowanego z bogactwem szczegółów i dobitnością akcyi, a z oszczędnością słów. Jego sposób wywoływania nastroju to realizm faktu — i niedomówienie myśli. Jest to praca, męcząca dla przeciętnego czytelnika, zaprawionego do obszernych wywodów i poufnych wynurzeń autora — takie odtwarzanie kilku danych z wszystkich myślników i pauz; nie wszyscy też umieją pochwycić to, „co się mieści pomiędzy palcami, i co najważniejsze" według określenia Falka z „Homo Sapiens". Ale umysły, na dzisiejszej literaturze wychowane, poprostu znieść nie mogą wielomówstwa; coraz gwałtowniej objawia się pragnienie znalezienia całego wyrazu w czynie, w ruchu. W jednym z dramatów Wyspiańskiego wchodzi na scenę żołnierz z pola bitwy z raportem do generała. Wszyscy zebrani w najsilniejszem naprężeniu oczekują wieści. On — nie mówi nic, nie robi żadnego gestu, prócz salutacyi wojskowej. A jednak, co się stało, czują wszyscy. I to robi kolosalne wrażenie. Sieroszewski ma wymowę tego żołnierza.... Do wydobycia charakterystyki psychologicznej postaci nie posługuje się analizą i wnioskowaniem. Z rysów zewnętrznych, które nam istotnie wpadają w oczy, z wyrażeń, z zachowania, stwarza fizyognomie wybitne, odcinające się ostro i wyraźnie na tle przygód i krajobrazów. Ta metoda impresyonistyczna wypływa u Sieroszewskiego z silnego odczucia rzeczywistości i z wewnętrznego impulsu do oddawania wrażeń najprostszymi sposobami, bez komentarzy. Tworząc tę własną formę w duchu najnowszej techniki pisarskiej, nie akcentuje Sieroszewski tej odrębności; dlatego to forma jego nie ma w sobie maniery, jak wiele świetniejszy jeszcze, wirtuozowski impresyonizm Piotra Altenberga. Natomiast w samej treści utworów Sieroszewskiego powtarza się stale pewien rys, który z czasem przejść może w manierę: jest to zamiłowanie do nadzwyczajnych przygód, wypływające z charakteru stosunków pierwotnych, złączone z życiem i wyobraźnią autora. Wychowany przez naturę czuje ją Sieroszewski instynktem człowieka pierwotnego, którego zmysły zaostrzyła ciągła styczność z żywiołami, zżył się z nimi, z nich wyrósł, od nich nauczył się wszystkiego. Nie ciąży na nim ten kolosalny balast „literatury", co najtęższe umysły współczesne przygniata, prześladując na-

tarczywością przypomnień, dając łatwą fakturę z wzorów, z pod której wpływu otrząsać się trzeba, by znaleźć własny, odrębny ton.

Oddalenie od pospolitości życia i od literackiego młyna bieżącej chwili wycisnęło piętno samodzielności na twórczości Sieroszewskiego, dało mu właściwą samoukom zdolność obserwacyi bezpośredniej, zarazem jednak zwiększyło trud umysłowej pracy, wytężonej jednocześnie ku opanowaniu języka i ku zdobyciu wszystkich sposobów techniki pisarskiej, bez pomocy owych bezwiednych przypomnień, torujących drogę. To też utwory Sieroszewskiego nie mają charakteru improwizacyi szczęśliwej, rozpędzonej, nazbyt bujnej; najpiękniejsze obrazy, najsilniejsze akcenty nie przychodzą z czarodziejską łatwością, ale są owocem dojrzałym głębokiej pracy wewnętrznej. I pod tym względem porównać go można z Alfonsem Daudetem, który ten trud uważał za najistotniejszy obowiązek powołania artystycznego i całą namiętność południowca opanowywał żelazną wolą i hartem umysłu, tworząc arcydzieła jednolitości ze swych dramatycznych powieści. Młody pisarz polski ma kilka rysów, przypominających ducha tego artysty, które oby równie świetną w przyszłości wydały działalność: podkład etyczny i gorącość serca, poczucie dramatycznego napięcia, wypukłą, pełną wizyę świata realnego.

W pierwszych utworach Sieroszewskiego znać jakby pokonywanie trudności językowych, zawsze zwycięsko, ale nie zawsze ze swobodą. Czasem trafi się jeszcze jakiś zwrot obcy, ogółem jednak język to nierównie czystszy od tego, jakim mówi nasza młodzież; jędrnością zaś dorównywa najdoskonalszym wzorom, a styl jest zwięzły, męski, rzeźbiony, silnie wpływem klasycznej prozy przejęty.

„Na kresach lasów" i „Risztau" to dwa wybitne kontrasty oświetlenia: motyw północy i motyw południa: pieśń ziemi sieroty, rozjaśniającej się nikłym uśmiechem, który na długo zamiera przed czarną troską nocy, — i fanfara ziemi rodzicielki, rozkwitającej jaskrawym przepychem zdziczałych sadów i borów dziewiczych, wspaniała fanfara gór i morza, zakończona groźnym akordem rozpętanych żywiołów. Sieroszewski rozumie i kocha ziemię zawsze — i tę opuszczoną tajgę, po której błąka się Paweł, i tę królewską wspaniałość stoków kaukaskich, i majestat Białowieży, i tę „inną piękność" krajobrazu, który „bywa smętny, rzewny, to znowu łagodnie uśmiechnięty", „a nad tem wszystkiem niebo nizkie, chmur pełne, swojskie i miłe". Od tych krajobrazów jego oderwać się trudno; przepojone miłością miłość budzą, bo nie tylko biją w oczy

kształtem i barwą, wyrazistością szczegółów w odpowiedniej perspektywie, ale odsłaniają się z całą głębią swego wyrazu wewnętrznego i swego nastroju. To nie dekoracya i nie tło portretu czy sceny z życia; naturę, żyjącą własnem, tajemniczém, skomplikowanem życiem wprowadza Sieroszewski dla niej samej, czuje uciechę jej, rozkwit, jej wiekowe walki, przewroty, ciche melancholie i niemą rozpacz zamierania zimowego, a czuje to tak bezpośrednio i silnie, że każda jego kreacya jest dramatem, pieśnią czy sielanką przyrody w równym zupełnie stopniu, jak i serca ludzkiego. Weźmy dla przykładu dwa światy odrębne: syberyjską tajgę i puszczę kaukaską, wejdźmy w nie za przewodnictwem Sieroszewskiego, a poznamy nietylko „ich postać, ich lice", ale także „ich wnętrzne serca tajemnice".

„Dziwny widok przedstawia las podbiegunowy. Cmentarz to raczej, gdyż zaprawdę więcej tu leży pni zwalonych, niż żywych koron wznosi ku niebu. Tak, to pobojowisko. Tu się toczy walka zajadła, nieubłagana między wichrami, jałowością gleby a lasem. Poległo już wielu bojowników, ale bój nie skończył się jeszcze, o czem świadczą wymownie młode latorośle, świeżo wyrastające pomiędzy chróstami. Chciwe słońca, powietrza, pewne praw swoich, szeroko rozstawiają kosmate łapeczki swoje, wyścibiają kędzierzawe, pachnące czubki blado zielonych iglastych gałązek ponad ciałami zabitych i w cieniu umierających. Przyjdzie czas, że i one zginą gwałtowną śmiercią, ale nie zginą napróżno. Kiedyś, gdy rozkład i próchno umarłych zbogaci soki ziemi, zjawią się nowe pokolenia — liczne, silne, zdrowe, wspólnemi siłami odmienią klimat, wchłoną wilgoć, wstrzymają wichry, ulepszą i rozgrzeją glebę, a wówczas tam, gdzie niegdyś padli pierwsi bojownicy, pokorni i beznadziejni, zaszumi bór potężny i zielony, mogący oprzeć się wszelkiej wichurze".

A oto krajobraz z doliny rzeki Anczi na Kaukazie, u stóp śnieżnego wierzchołka „Risz-tau".

„Puszcza zaczynała się tuż za strumieniem. Potężna, spiętrzona jej masa odcinała się czarno na niebie, wysrebrzonem blaskiem wschodzącego księżyca. Na dole, w cieniu, monotonnie szumiał niewidoczny potok, a w gąszczu przeciągle nawoływały się małe sowy kaukaskie, w jednakowych odstępach czasu powtarzające sylabę: śpię, śpię, śpię! głosem cichym, śpiewnym, dziwnie tęskno rozpływającym się w powietrzu gorącem, pełnem upajających woni. Jurek szedł ze spuszczoną głową, słuchał i marzył. Przed nim leciały roje świętojańskich robaczków — to zapalały się, to gasły, to, zapadłszy w krzaki, oświecały swem błękitnem migocącem światłem brzeżki i płaszczyzny najbliższych liści. Na reszcie gęstwiny leżała gruba, jednolita płachta ciemności. Jurek nic nie widział, ale czuł ścieżkę pod stopami, a całym sobą odgadywał miejscowość. Mówiły mu o niej natura gruntu, po którym stąpał, różnorodność dobiegających go dźwięków,

fale powietrza, płynącego ku niemu, to zatęchłe, wilgotne, to znowu palące, lotne a wonne i odurzające, jak kąpiel z wina i kwiatów. Idąc, wciąż odróżniał: parowy, skały, gąszcze azalii, jaśminów. . Stąpał ostrożnie — starał się nie robić szelestu. Natomiast las dokoła gędźbiał, mruczał, szeptał i wzdychał, niby milion par, układających się do snu; kiedy niekiedy w górze, ponad głowami, z głuchym łoskotem przetoczyła się dłuższa fala gwaru, to wiatr od morza wstrząsał konarami buków i dębów, rozległ się trzask łamanej gałęzi, zapiszczały wiewiórki, krzyknął ptak, beknął głucho rogacz — wówczas Jurek stawał i nasłuchiwał: wprawne jego ucho umiało w tej powodzi szumów rozróżniać oddzielne dźwięki, szeroko otwarte oczy zdawały się przenikać ciemności. Stał długo, chłonąc w siebie upajające powietrze puszczy, rozkoszując się czarowną jej muzyką. Zwolna ucichły niepokoje, sprzeczne myśli, sprzeczne uczucia, umilkła nawet miłość. Bór znowu do niego, jak do brata, przemówił, znów uczuł się cząstką — dziecięciem jego.... „Było tu już jaśniej, powietrzniej, niż w sąsiednich „chenereczach“. Światło księżyca, stojącego już nad niemi, przesiękało przez otwory między konarami drzew: przęcze, bluszcz i wino zwieszały się z pod kopuły, niby ogromna sieć pajęczyny, srebrne smugi, strzałki i plamy miesiąca przekradały się z góry do wnętrza i kładły niewyraźne rysunki na pniach drzew, kędzierzawych czuprynach krzewów i wysokich łopiastych paprociach, zjawiały się, niby nagle wykrzesane iskry, na lufie karabinu Jurka, na oprawie jego noża, gdy pochylony błądził po gaju“.

Te brzeżki i płaszczyzny liści, oświecone błękitnem światłem robaczków świętojańskich, te srebrne smugi — strzałki i plamy miesiąca, iskry, skrzesane na lufie karabina: jaka w tem wrażliwość i pamięć malarska!

Jest w dolinie u stóp Risz-tau zakątek, zamieszkiwany przez rodzinę polską: wdowa po urzędniku b. Banku Polskiego, pani Strasiewiczowa, dwu dorosłych synów, wychowanka Helena i domownica Justyna. Należy do nich kawał wykarczowanej ziemi, którą uprawiają, codziennym trudem rąk zdobywając środki do życia. Zaprowadziły ich tam losy i pewna idea zmarłego przed paru laty ojca. Pan Wojciech Strasiewicz w mieście mieszkać nie chciał, bo się przyzwyczaił do roli. „Mówił, że rolnik zależy tylko od Boga; takie było jego przekonanie”. A do przekonania tego doszedł w dalekiej miejscowości, z której do najbliższego miasteczka było miesiąc drogi; tam wziął się z żoną do prostej, fizycznej pracy, chatę zbudował i obsiał kawał pola. Synom, gdy zaczęli podrastać, nie chciał dać innej edukacyi, mimo próśb żony. „Niech dzieci moje zostaną chłopami, wtedy niczego się bać nie będą potrzebowały”. Uczył ich sam i wpajał w nich swoje zasady.

„Mój ojciec twierdził, opowiada Szymon, że w zgodzie z sumieniem można zostawać jedynie, pracując na roli. Ona źródło wszelkich bogactw — i moralności. Wiele tam w tem różnych ekonomicznych, statystycznych, a nawet antropo-

logicznych dociekań mego ojca, ale ja tego przez brak nauki opowiedzieć nie będę w stanie".

A pani Strasiewiczowa dodaje, że teorye te powstały po powrocie z Syberyi, gdy im było wolno osiąść w mieście w Rosyi. Strasiewicz dostał miejsce liche, zaczęły się upokorzenia, kłopoty, niepewność.

„Mążowi w końcu wszystko obrzydło, do ziemi tęsknił. Ot, wówczas zaczęły się owe ekonomiczne, a może nawet statystyczne wnioski.... Szczerze wyznam, że nie mam w nie wiary... nie wierzę, aby człowiek od małpy pochodził.... Mąż pisał notatki, które czytywał znajomym... Pokażę je panu, jeśli pan ciekaw, może się na co przydadzą"..

Wyborna to charakterystyka obydwu postaci. Ten Polak idealista — ideolog, spisujący „notatki", wyciągający wnioski statystyczne, to człowiek kryształowy i nieugięty, urabiający swe życie podług „przekonania". Rówieśnicy jego pisywali memoryały, traktaty, wysnuwali z nich koniunktury polityczne; tak, jak oni, „nieboszczyk miał głowę otwartą, był bardzo rozumny, wszyscy mu to przyznawali, wszyscy go szanowali" — z uwielbieniem wspomina p. Strasiewiczowa, wzdychając jednak ciężko nad niepraktycznością męża, przez którą wiele się nacierpiała w życiu. Kupił kawał puszczy na Kaukazie, wykarczował i stworzył dzieciom egzystencyę, wprawdzie zdrową i niezależną, ale smutną, bez wyjścia. O powrocie do kraju nawet marzyć trudno, p. Strasiewicz myślał o tem zawsze, szukał nawet kupca na ziemię, ale daremnie. Praca rąk wystarcza im więc na utrzymanie, ale sprzedać nic nie można: dróg niema. Młodzi Strasiewiczowie prowadzą żywot pustelniczy, znużeni trudem fizycznym, przestają umysłowo się rozwijać, jak niegdyś pod okiem ojca. Starszy, stroskany, spycha zajęcia gospodarskie, młodszy żyje w górach i puszczach, wolny syn natury, „pan lasu — myśliwy". Przychodzą wreszcie komplikacye, które poniekąd wywracają owe teorye p. Strasiewicza o zgodzie z sumieniem. Obaj bracia zakochują się w Heli, którą z Syberyi, sierotę po przyjacielu, zabrali ze sobą Strasiewiczowie! Ale Szymon wplątał się był w stosunek z Justyną, starszą od siebie, niegdyś pewno służącą, dziś współpracownicą mieszkańców podgórza. Hela kocha, jak braci, obydwu chłopców, z większą jednak dla Jurka sympatyą. To życie jednostajne przerywa nagły wypadek. W czasie polowania na niedźwiedzia trafia Jurek przez pomyłkę — w człowieka. Rannego przynoszą do domu. Pielę-

gnuje go Hela z panią Strasiewiczową. Jest to młody Polak Wichlicki, jak wielu młodych Polaków z tego pokolenia: kochał naukę i poszedł na przyrodę (czemu nie na medycynę, pyta praktyczna staruszka), miał matkę, ale nie miał pieniędzy, „tak bywa zwykle”. Pędzony ambicyą z rojeniami o niezależności i znaczeniu udał się na krańce Rosyi i dla „Tow. Geograficznego” miał robić poszukiwania. Teraz właśnie wybierał się z ekspedycyą na niezbadany dotąd wierzchołek Risz-tau, gdy go spotkała przygoda, której o mało nie przypłacił życiem. Podczas choroby zakochuje się w Helenie. Ona w nim. Pan Stanisław jest piękny, smutny, ranny, dzielny, z kraju przybywa, a świat przed nim otworem. Do tego świata, gdzie się żyje naprawdę, ona tak tęskni, tak się rwie całą siłą młodej duszy. Rozmowami o kraju, o życiu, on te drzemiące pragnienia rozbudził. Helena czuje, że się dzieje koło niej coś dziwnego: czego oni chcą od niej — Szymon — Jurek? Ona ich wszystkich kocha, ale nie tak, „by im całe życie oddać, które jest jedno”. Wichlicki wraca do zdrowia i czeka na przysłanie pieniędzy z Petersburga, ale sytuacya staje się wkrótce naprężona w skutek niechęci Szymona. Odjeżdża więc gość do blizkiego miasteczka. O miłości z Heleną nie mówi, choć oboje czują, że łączy ich serca, a rozdziela teraz ich losy. Uczucie Wichlickiego potęguje się przez tęsknotę, choć tłumi je refleksya; stanęło ono w drodze jego planom ambitnym, może zachwiać chęć do wyprawy, poza którą jest cała przyszłość. Myśli więc dopiero po powrocie z Risztau wyznać jej miłość i zabrać ją z sobą, jeśli go zechce, a zechce. Ale przed samem wyjściem na ekspedycyę, pchany pragnieniem zobaczenia ukochanej, przychodzi nocą i wywołuje Helenę z pokoju; idą nad brzeg urwiska. Krótka to, ale silna, pełna poezyi scena: szczęście tajonych wyznań, ból rozstania, trwoga przed przyszłością i niebezpieczeństwem, a jednak ponad wszystkiem fanatyczna, mocna wiara młodości i gotowość zdobycia losu czynem śmiałym; Wichlicki odchodzi. Potem długie tygodnie tęsknoty i szarego życia. Szymon wpada w melancholię; do miasteczka jeździ, pije. Przedtem jeszcze Justyna o mało go nie otruła lekarstwem, zadawanem na miłość z porady znachora, a Helena dowiedziała się o całej tej przykrej historyi. Gniewa to Szymona i trapi. Wtem, jak grom, spada wiadomość o losach wyprawy, przywozi ją Szymon pijany. Dolina Urucha zawalona, Wichlicki zabity lub odcięty od świata. Tragiczna noc, bezsenna dla dwu kobiet. Pani Strasiewiczowa przekonała się poraz pierwszy, że syn wrócił nie trzeźwy, co zaledwie podejrzywała, a rozpacz Heleny zdradziła całą siłę i głębię jej uczu-

cia, które dotąd uważała staruszka za wrażenie miłe, lecz przemijające pierwszej młodości. W śmiertelnym niepokoju, targane uczuciami sprzecznemi, czekają obie powrotu Jurka, wysłanego do miasta po bliższe wiadomości. Boleść gwałtowna kochającej dziewczyny wybucha strumieniem łez na kolana kobiety, znękanej troską, która już wiele przeżyła chwil ciężkich, ale żadnej może tak ciężkiej, jak teraz wobec ruiny najdroższych marzeń. Ten obcy, jeśli wróci, zabierze Helę, a jakież będzie życie jej synów, z których jeden stał się pijakiem, a drugi przez całe życie zostanie samotny? „Syn Wojciecha Strasiewicza pijak!", a te wyznania Justyny i takie zmarnowanie życia bez możności wydostania się do ludzi, do kraju.... W młodym wieku nieszczęście spada, jak grom, jeśli nie zabije i nie złamie, to zostawia tylko ślady wstrząśnienia, ale zgryzota starości ciągnie się u nóg ołowianą kulą, leniwa, szara, zatruwająca ostatek dni widokiem ruiny i upadku, bez nadziei lepszej przyszłości.

Z niezmierną subtelnością psychologiczną odczuta jest ta boleść matki z nieodłącznym od niej egoizmem, który współczucie dla nieszczęścia Heleny przesuwa na plan dalszy. Zresztą co do zawodów sercowych ma p. Strasiewiczowa swoją filozofię, której doświadczenie życiowe ją nauczyło.

„Widzisz, dziewczyno, taki jest los większości kobiet. Każda kocha, choć raz w życiu głęboko, gorąco. Nieszczęśliwa, która nie zaznała tego! Ale rzadko której uda się z ukochanym człowiekiem połączyć. Większość wyciąga do nich ręce, jak do cieni.. Albo obojętni, albo się zbliżyć nie mogą. Może to i dobrze, gdyż te małżeństwa z miłości zazwyczaj nie bywają szczęśliwe. Szarpią się przez całe życie, jak ja z Wojciechem. Najlepiej wtedy w małżeństwie, gdy mąż kocha żonę, a żona dzieci. Wówczas jest spokój i zgoda, a to już wielki los w życiu kobiety. Większość cierpi bez potrzeby, i ani piórem....."

Obok ciotki Płoszowskiej, panny Marty z „Nad Niemnem", „Babuni" Orzeszkowej jest pani Strasiewiczowa jedną z najświetniej odtworzonych postaci kobiecych w naszej literaturze i stanowi typ bardzo charakterystyczny z tą tradycyą katolicką polskiego domu i pobożnością serdeczną, ze swym rozsądkiem przy mnóstwie zabawnych uprzedzeń, z niezależnością swoją i niezwykle jasnem, krytycznem pojmowaniem rzeczywistości. Nie dziw, że przez całe życie „szarpali się z Wojciechem" mimo gorącej, silnej miłości; bo też trudno wyobrazić sobie większe sprzeczności w usposobieniach i w naturze umysłu; stąd nieporozumienia i żale, które aż za grób

sięgnęły i mieszają się w wynurzeniach pani Strasiewiczowej ze słowami najgłębszej czci dla pamięci męża. Znakiem krzyża odpędza staruszka kuszącą myśl, że Wichlicki już nie żyje („niechby choć pogrzeb miał chrześcijański”), ale do myśli tej przyczepia się mimowoli w nadziei, że Helena zapomni z czasem; Jurka już kocha za dobroć i poświęcenie, pokocha go jeszcze więcej.... I dlatego zezwala na prośby Heleny, aby poszli oboje szukać w górach zaginionych Wichlickiego i przewodnika Selima. Katastrofę spowodowało trzęsienie ziemi, odłamy głazów zawaliły koryto rzeki, woda wezbrała; gdy Wichlicki z Selimem odnaleźli się po pierwszem wstrząśnieniu, odwrót mieli przecięty. Próbowali przejść górą, drapiąc się, jak kozice, po stromych ścianach. Daremnie, Wichlickiemu osunęła się noga, wpadł w przepaść, uratowała go głębokość wody i umiejętność pływania. Zagrożeni przez wzmagającą się powódź, stanęli w obliczu nieuniknionej śmierci, zmarznięci, wyczekujący raczej ostatecznego końca, niż pomocy od ludzi, a jednak, wbrew obliczeniom rozsądku, żywią w głębi duszy niewyrozumowaną nadzieję, 'że stanie się coś nadzwyczajnego, co będzie wybawieniem. Opowiadanie Czerkiesa o młodości, o leonidasowem męstwie górskiego plemienia, o śmierci ojca i braci, o boju ostatecznym i o tęsknocie, co godność i dumę przemogła, o zwyciężonej tęsknocie do słodkiego powietrza rodzinnych wybrzeży, całe to opowiadanie, proste w wyrazach, a silne w uczuciu, jest jedną z najpiękniejszych kart epickich i zostawia niezatarte wrażenie. W długich godzinach wyczerpują się siły wyczekujących; mahometanin modli się, poddaje z rezygnacyą przeznaczeniu, Wichlicki ze wspomnień straconej wiary nie umie złożyć hymnu, nie znajduje słów, które korzą się, wielbią i unoszą w ekstazę. Ale zostały mu wszystkie wyrazy żalu, uczucia odpowiedzialności moralnej przed sumieniem własnem i odzywają się w tej chwili ostatecznego porachunku. „Brud drobnych fałszów, zamilczeń, ustępstw, jakie w rozmaitych okolicznościach życia musiał był spełniać, palił go teraz, jak ślady haniebnego piętna”. Naraz zrozumiał wszystko: całą wartość życia takiego, jakiem on nie żył, jakiem miał żyć kiedyś, później, gdyby był zdobył to wszystko, o co się z trudem dobijał. Teraz już nigdy niem żyć nie będzie, bo zginie za kilka godzin. „I wszystko leciało w ciemną przepaść rozpaczy wobec tego jednego wyrazu „śmierć”. Wtem zdawało mu się, że z wyżyn górskich jakaś mglista postać niewieścia chyli się ku niemu i wypowiada jego imię w długim szeregu zmarnowanych synów”.

Ta chwila okropnej męki wewnętrznej jest dla Wichlickiego zarazem chwilą pokuty i zadośćuczynienia duchowego. Z energią odpycha kuszącą myśl o skróceniu tej bolesnej agonii. Jego natura czynna nie znosi obojętnego poddania się fali losu, czuje potrzebę wysiłku jakiegokolwiek dla ratowania się jeszcze. Aby ujść coraz przybierającej powodzi, wznosi Wichlicki z kamieni piramidę i chroni się na nią z resztą zapasów, pociągając za sobą Selima. Ale niezręczne poruszenie rujnuje szaniec, woda wdziera się coraz wyżej, sięga do połowy ciała, zamraża im członki. Selim podtrzymuje głowę Wichlickiego, dla którego zaczyna się konanie. Otwierając oczy, widzi jeszcze srebrną jasność, ale jak przez mgłę, słyszy wołanie, ale nic nie rozumie. W tej chwili właśnie przybywa Jurek na tratwie z pomocą i huka zdaleka „Żyje?" — „Żyje" — odpowiada Selim, „ale się spieszcie, bo mi ręce mdleją — spieszcie się". „Ciało młodzieńca już wspłynęło". Odpowiedź Selima zawiesza na promieniu nadziei niedomówioną groźbę. Czy Wichlicki przytomność odzyskał, czy zaczął to życie nowe, o którem śnił w godzinie skruchy? Takie pytania niepokoją czytelników, przyzwyczajonych do cudownych zmartwychwstań. To urwanie charakterystyczne jest dla Sieroszewskiego, który stwarza obrazy, ale nie podpisuje objaśnień. Dał nastrój śmierci, wydobył tony najgłębsze beznadziejnego żalu po zmarnowanem życiu, ale przy końcu nie przeciął stanowczym akcentem wątpliwości, czy tén przejmujący obraz był jedną z tych tragedyi nieodwołalnych za temat „Za późno", czy też zawierał lekcyę życia. Możliwość dowolnego tłómaczenia intencyi autora jest bądź co bądź błędem artystycznym w utworze tego rodzaju; końcowy akord przez zawieszenie myśli nabiera pewnej finezyi, ale traci coś ze swej grozy i siły.

Wybitnym pierwiastkiem utworów Sieroszewskiego jest idea pracy na roli, pracy bezpośredniej, twardej, która rozwija energię i daje niezależność, idea, pokrewna Tołstojowskim zasadom i marzeniom Ruskina. Gdy wszakże u tamtych myślicieli zrodziła się najprzód teórya prostoty i samodzielności w skutek reakcyi przeciw nadużyciom wielkiej cywilizacyi przemysłowej, u Sieroszewskiego, przeciwnie, życie pierwotne, stworzone przez konieczność, wpłynęło na urobienie „przekonania", poprzedziło ideę. Jest to wogóle umysł wybitnie dedukcyjny, dla którego przedewszystkiem istnieje obserwacya i doświadczenie, i dla tego, mimo silnych przekonań, jest on zupełnie wolny od doktrynerstwa.

O rolnictwie marzy Ujbańczyk, jeśli jęczmień urośnie, to nie będzie już głodu u Jakutów, — i oni będą ludźmi, jak ludzie z po-

łudnia. Ziemia zawodzi. Z zapałem równie gorącym i z wiarą w zbawienne skutki tej pracy zabiera się Aleksander („W matni”) do uporczywej walki o kawał pola, zdobywa go siłą, uprawia z trudem i cieszy się nadzieją plonu. Lecz i on ustępuje pod naciskiem ciężkiego brzemienia nienawiści krajowców, opuszczenia, choroby dziecka. Praca jego — idzie na marne. Przeczucia Ujbańczyka i dążenia Aleksandra zrealizował p. Wojciech Strasiewicz, ujął je w system, stworzył z nich podstawę do własnego na świat poglądu; w tych zasadach wychował synów, sądząc, że im zapewnił przyszłość jedynie niezależną. Istotnie, dał im egzystencyę zdrową, ale bez możności pełnego życia i rozwoju duchowego. Samotni i nieznani, są, jak drzewo, nie przynoszące żadnego owocu. Nad wysiłkami ludzi, nad idealną prawdą szlachetnych pomysłów bierze nieraz górę twarda konsekwencya życia; nie mniej wysiłki są konieczne, niemniej idea, w oświetleniu prawdy bezwzględnej, staje się godną bezwzględnej miłości. Sieroszewski nie łudzi się optymizmem, nie daje nigdzie zakończenia kłamliwą obietnicą nagrody, ale wypowiada stanowczo podstawowe prawdy etyczne, które bez względu na powodzenie mają wartość niezmienną. Ideę osobistej produkcyjnej pracy na roli uzupełnia przekonanie, że tylko „w pokrewnem środowisku możemy oddziaływać głębiej, trwalej”. Pogląd Sieroszewskiego tem więcej zasługuje na uwagę, że jest wyrazem nie tylko przekonań, ale osobistego doświadczenia człowieka; pogląd ten, bardzo szeroki w założeniu, uderza w tony zasadnicze; nie tylko bowiem chodzi o pole działania, ale i o motywy, przedewszystkiem nawet o motywy. Jeżeli wogóle tak silnie zaznacza się kwestya wyboru miejsca zamieszkania, to tylko dlatego, że jest najważniejszym warunkiem utrzymania lub zerwania łączności duchowej ze społeczeństwem własnem. A zatem nie tylko ten bezużytecznie ginie i bez śladu, co zdala od wszystkich i od wszystkiego schnie, oderwany, „tyle lat, najlepszych lat, — jak ten liść”, ale i ten, co na miejscu, bierny, istnieje, jak kamień, i ci wszyscy, co powinni zużyć włożone w nich siły”, a zawodzą, „unosząc wysiłki innych”.

* * *

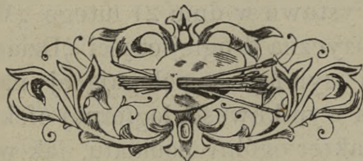
Jesteśmy spragnieni syntezy za wszelką cenę. Analiza psychologiczna spełniła swoje; w nastrojach symboliczno-mistycznych są jeszcze całe dziedziny nieznane, ciekawe, może jednak niedługo powiemy już o nich, jak Sieroszewski o krajach najświetniejszej

zorzy: „Ach, znam to wszystko — i mam już tego dosyć, mówiły moje znękane oczy". Motyw Masinissy, synteza siły i pogardy, pyszna, demoniczna, wcieliła się w logikę Maxa Stirnera, obłędy Nietzschego, bujność d'Annunzia i rozpacz Przybyszewskiego. Ale zgrzyt wzgardy, potępienia dla biednej egzystencyi ludzkiej i dla „pracy wieków", zamknięcie się w kulcie wyłącznym swej wspaniałej „jaźni" nie jest jedynym wyrazem filozoficznej myśli, idącej na spotkanie XX-go wieku. Wobec tych samych cierpień, niebezpieczeństw, niedoli, ten, co poznał i rozumiał wszystko, — umierający Faust, zostawił w ostatnich słowach testament:

„Nur der verdient sich Freiheit, wie das Leben,
Der täglich sie erobern muss".

A ten pierwiastek dzielności uzupełniła głębią swej idei etycznej miłościwa obietnica, dana Irydyonowi na życie nowe, — pod krzyżem w Coloseum..... Pokrewnym duchem tchnie zdumiewająca działalność Ruskina, krańcowa konsekwencya idei Tołstojowskich, silne przekonanie Foggazzara, wyznanie wiary Maeterlincka w najnowszych dziełach i zasadnicza myśl Sieroszewskiego. I zlewają się te głosy w jeden hymn „Sursum corda".

Julia Krzymuska.



RUCH ARTYSTYCZNY.

„Widma“ Moniuszki. — Charakterystyka. — Ilustracya muzyczna. — Projekt zmiany na dzieło sceniczne. — „Zamek na Czorsztynie“ Kurpińskiego.

Z uwagi na materyał bieżący charakterystykę „impresyonizmu” w malarstwie naszem muszę odłożyć do numeru następnego. Na teraz pozwolę sobie zająć uwagę czytelników rozbiorem utworów z dziedziny muzyki.

Teatr Wielki wystawił w dniu 21 lutego „Widma” Moniuszki. Jest to ilustracya muzyczna drugiej części „Dziadów” Mickiewicza. Całość nie stanowi symfonii, polegającej na przeprowadzeniu ścisłem tematów i na wynikliwości logicznej efektów, któraby bądź odzwierciedlała charakter ogólny poematu, jak w tym razie nastrój fantastyczny zabobonnych praktyk gminnych, bądź uzmysławiała jego myśl przewodnią, jak w tym razie rezygnacyę ludu, zdającego się na wolę Bożą, — lecz jest szeregiem utworów luźnych, opartych to na deklamacyi mistycznej, to na liryzmie szczerym, to na akcentach dramatycznych, to znów na obrazowości instrumentalnej, a charakteryzujących i podnoszących jedynie znaczenie słowa w danej chwili i w danej sytuacyi. Bez słów Mickiewicza „Widma” Moniuszki byłyby dziełem niezrozumiałem. Ustępom pojedyńczym

zbywa na plastyce wyraźnej dźwięków, a kompozycyi całej na spójni organicznej tematów. Muzyka, polegająca tu na charakterystyce obrazów i momentów psychologicznych, jest raczej pomocnicą słowa, niż objawem sztuki odrębnej.

Tylko Beethoven potrafił bez udziału słowa wypowiedzieć całą głębię uczuć, targających serce ludzkie, i ująć wyraz porywów ducha w dźwięki samoistne. Tylko Chopin, nie kusząc się o malarstwo muzyczne, potrafił dźwiękami samymi oddać najsubtelniejsze drgania serca, przepojonego miłością, tęsknotą, pragnieniami, żalem, i oddać za pomocą rytmów charakter obrazów zewnętrznych, wywołanych siłą fantazyi w duszy.

„Widma" Moniuszki to nie oratoryum, nie kantata, złożona z deklamacyi muzycznej (r e c i t a t i v o) i aryi, lecz album, wiązanka utworów odrębnych, poprzedzona krótkim wstępem.

Druga część „Dziadów" w artystycznej budowie całego poematu „ma tylko — jak słusznie powiada Chmielowski w znakomitym swoim zarysie biograficzno-literackim: „Adam Mickiewicz" — znaczenie dekoracyi, i to dekoracyi pięknej częściowo". Jest to epizod prawie luźny — „uroczystość, obchodzona w wielu powiatach: Litwy, Prus i Kurlandyi na pamiątkę dziadów czyli wogóle zmarłych przodków" — obraz fantastyczny, scharakteryzowany w części tylko słowami na modłę pojęć gminnych, a uscenizowany wzorem dramatów książkowych, „Fausta" Goethe'go. Akcya nie rozwija się wcale, a dramat psychologiczny zarysowuje się dopiero w końcu, i to w wyrazie boleści niemej dwu widm, dwojga kochanków domiemanych, Gustawa — upiora i pasterki — bezimiennej. A jednak w tej dekoracyi fantastycznej, mającej, jak mówi poeta, „uzmysławiać sposobem gminnym pewne dążenia moralne i pewne nauki", ile siły, ile czaru, ile grozy! „Pospólstwo rozumie, że potrawami, napojem i śpiewami przyniesie ulgę duszom czyścowym", to też spieszy na cmentarz, dokąd i „starcy swoim zwyczajem chodzą dumać, i młodzież zdobić krzyże kwiatami i majem" — i ten „nieszczęsny, kto częściami do mogiły wrastał", i ten szczęśliwy, kto się łudzi, że „jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata, ktoś, co do mnie myślami wzajemnemi lata". Zabobon pogański miesza się tu z głęboką wiarą chrześcijańską, a „śpiewy obrzędowe, gusła i inkantacye, po większej części wiernie, a niekiedy dosłownie z poezyi gminnej wzięte", stanowią podłoże obrazu. Być może, iż poeta nie osiągnął prostoty pożądanej w całości; sceny jednak pojedyńcze odzwierciedlają doskonale duszę naiwną ludu, któremu „pieśń i wiara przewodniczy".

W tym poemacie ponurym, odtwarzającym w części rzeczywistość, nie zaś podanie ludowe, niema nic niedopowiedzianego; to też zadanie muzyka polega raczej na ilustracyi charakterystycznej scen i na podniesieniu tonu deklamacyi, niż na pogłębieniu uczucia, i zastąpieniu słów dźwiękami.

Pierwszy akord (sekstowy), cichy, długi, niepokojący, bo nie pełny, rozbrzmiewa w orkiestrze. Gdzieś w dali odzywa się miarowy głos niby dzwoneczka kościelnego, metalicznie dźwięczny, cienki, a przez to tajemniczy. Zdaje się, że to ilustracya słów z pierwszej części „Dziadów":

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie.
Z czujnym słuchem, z bacznem okiem,
Spieszmy się w tajnym obrzędzie.
Z cichem pieniem, wolnym krokiem,
Wszak nie nucim po kolędzie!
Nucimy piosnkę żałoby:
Nie do dworu z Nowym Rokiem,
Ze łzami idziem na groby".

I ten słuch czujny, i to oko baczne, i te pienia ciche, a żałosne, i te łzy na grobach czuć w intradzie, we wstępie orkiestrowym, będącym niejako syntezą poematu. Wstęp ten dzieli się na trzy części, mechanicznie z sobą związane, na trzy widma, posobnie występujące, na trzy momenty nastroju, uzmysławiające bądź rysunkiem łagodnym melodyi, bądź harmonią niespokojną w ruchu i barwie, bądź rytmem, jednostajnie falującym, trzy wyrazy uczucia: liryzm naiwny, szczery i pogodny na widok dzieci-aniołków, tragizm duszy, rwącej się krzykiem namiętnym, rozpacznym i beznadziejnym w zetknięciu z widmem upiora-zbrodniarza, wreszcie rezygnacyę, żałościwą w tonie, lecz spokojną w formie, na wspomnienie dziewczyny-latawicy, co „żyła na świecie, lecz, ach, nie dla świata!"

Intrada jednak stanowi całość muzyczną, odpowiadającą nastrojem poematowi i charakteryzującą obraz uroczystości zabobonnej: zbywa jej tylko na zarysie modlitwy chrześcijańskiej, kojącej duszę, lecz ta niebawem zjawi się w głosach nabożnych chóru, który co raz to widmom, wywołanym przez guślarza, ogłosi wyrok Opatrzności i swojemu też uczuciu — współubolewania czy potępienia — da wyraz właściwy.

Dekoracya przedstawia wzgórek cmentarny na tle rozległem nieba i ziemi, jesienią, pod wieczór. Na mogiłach sterczą krzyże; w przestworzu płyną górą mary, widma, upiory.

Nawiasowo mówiąc, dekoracya ta, dobrze pomyślana w rysunku, grzeszy brakiem harmonii w kolorze. Niebo, w chwili zmierzchu, namalowane jest w tonie zimnym, a cały pagórek, na przodzie obrazu, mieni się przeblaskiem ciepłym światła dziennego, które niewiadomo skąd tu ze swoim odcieniem złotawym się zjawia. A przytem w głębi krajobrazu nie czuć powietrza: ziemia nie ucieka tonami coraz bardziej niebieskimi w dal. Dekoracyę tą należy koniecznie przemalować, gdyż jest ona niejako uzupełnieniem intrady, a rzeczy pięknych w nastroju nie można uzupełniać malowidłami fałszywemi w tonie.

Na chwilę przed rozpoczęciem obrzędu zasłona, przedstawiająca krajobraz, znika, a natomiast zjawia się obraz kaplicy, wyciosanej z modrzewia, z tłumem pospólstwa wiejskiego we wnętrzu, z trumną na przedzie, z oknem w głębi, przez które widać krzyże cmentarne. Obrazowi temu nic pod względem malowniczości zarzucić nie można. Jest on wybornie utrzymany w tonie i odpowiada doskonale wymaganiom sceny. Dzieło to p. Klopfera, dekoratora teatrów warszawskich. Tłum w strojach barwnych, wiernie charakteryzujących cechę etnograficzną ludu litewskiego, malowniczo grupuje się dokoła guślarza i żywo uczestniczy w praktykach religijnych. Zasługa to p. Chodakowskiego, reżysera opery, który nie szczędził tu zachodów i pracy. To też publiczność od pierwszej zaraz chwili przejęta jest wrażeniem głębokiem, jak podczas uroczystości kościelnej, i odczuwa najdelikatniejsze zmiany w obrazach, w nastroju poematu, w ilustracyi muzycznej.

Zaledwie na dany znak guślarza zawieszono na oknach całuny, już dreszcz grozy ścina krew w żyłach słuchaczów i widzów. „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie: co to będzie, co to będzie?" Rozpoczynają się praktyki. Guślarz zapala garść kądzieli, a lud lekkim oddechem pędzi płomyk w górę. Muzyka łagodna, wyrażona melodyą płynną i harmonią spokojną, czarująca nastrojem pieszczotliwym, doskonale odpowiada słowom guślarza, który tu „jasnym znakiem" płomyka wzywa najprzód te duchy lekkie, co „wietrznym błądząc szlakiem, w niebieskie nie wzleciały bramy". Jest to wyborne przygotowanie do widzenia olśniewającego, rozkosznego, wzruszającego formą prześliczną, prawie nadzmysłową. Pod stropem kaplicy ukazuje się nagle jasność — i „oto złocistemi pióry trzepoce się tam dwoje dzieci".

„Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem“.

Dzieło to maszyneryi teatralnej, za pomocą której dwoje dzieci trzyma się w górze i buja spokojnie w powietrzu. Łza podziwu i wzruszenia ciśnie się do oka. Pieśń natchniona, szczera, lekka, miła, choć rzewna, kołysze się równo na fali rytmu jednostajnego, a harmonia jasna, prosta, kiedy niekiedy zabarwiona dysonansami przygodnymi i przejściowymi, podbija wyraz uczucia w sfery podniebne szczęścia serafickiego, gdzie dzieciom lepiej jeszcze, niż u mamy.

Lecz oto naraz tkanina miękka harmonii zaczyna się mienić figuracyami ruchliwemi skrzypiec i fletów, arabeską srebrzystą linii zgrabnych, misternie z sobą powiązanych. Melodya pozostaje ta sama, lecz harmonia, wskutek instrumentacyi bardziej urozmaiconej, zabarwia się odcieniem wesołości jakiejś, a ruch przyspieszony i rytm ożywiony dodaje muzyce wyrazu figlarności i swywoli, odzwierciedlającej charakterystycznie uciechę dziecięcą na wspomnienie, że „w raju wszystkiego dostatek, co dzień to inna zabawka”. Lecz rozkosz bez troski nie zapewnia szczęścia w niebie. Muzyka, rozkołysana w rytmie, rozigrana w falach dźwięcznych, urywa się nagle, i oto tam pod stropem, odzywa się nuta żałosna, niepokojąca postępem chromatycznym dźwięków, recitativo aniołków: „Ach, mamo, dla twoich dziatek zamknięta do nieba droga!”

Gdy guślarz obdzielił dzieci ziarnkami gorczycy, o które prosiły, bo „ta usługa, tak marna, stanie za wszystkie odpusty”, wtedy lud koi ich tęsknotę i swój żal pieniem nabożnem, smutnem w nastroju, lecz spokojnem w ruchu głosów i w barwie harmonii. To wyraz rezygnacyi:

„Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że, według Bożego rozkazu,
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie“.

„A kysz, a kysz!” I widmo znika. W sercu słuchaczów pozostaje tylko jakiś ból nieuchwytny, wywołany zaklęciem końcowem guślarza: „A kto prośby nie posłucha: w imię Ojca, Syna, Ducha! Widzicie Pański krzyż?.. A kysz, a kysz!” — Zaklęcie to, tak po-

miarkowane w tonie, bo oparte na brzmieniu pustem jednodźwięków, w których się zlewają dwa głosy posępne w barwie: guślarza-barytonisty i wiolonczeli rzewnej, i tak proste w rysunku melodyi, uwarunkowanej jedynie tonacyą minorową, przenika do głębi duszy. Niepodobna oprzeć się wrażeniu groźby tajemniczej, podtrzymanej doskonale nutą pieśni gminnej, wahającą się tu pomiędzy zawodzeniem żałosnem a formą taneczną — objaw to dość zwykły u ludu, który tą samą melodyą i tym samym rytmem, przy drobnej zmianie harmonii, wyraża zarówno uczucie bólu, jak i wylew radości. Uroczystość „Dziadów" to obrzęd gminny, i Moniuszko, w genialnem poczuciu nastroju, znakomicie zastosował tu charakter muzyki do znaczenia słów. Co więcej: ilustracya muzyczna całej tej sceny, zarówno szczebiotu aniołków, jak i rozhoworu ich w duecie z chórem, przesłaniając nastrój czułostkowy poezyi, dodaje słowom wyrazu prawdy. Te „szczegóły życia Józia i Rózi, upływającego na pieszczotach, swywoli, skokach, śpiewach, zrywaniu kwiatków, strojeniu lalek, jedzeniu łakotek — to wcale nie znamiona, charakteryzujące położenie smutne wieśniaków, o jakiem niebawem posłyszeć mamy. Obrazek ten—pisze Chmielowski—jest tak wypieszczony i taką nieprawdą realną bijący w oczy, iż musimy go raczej poczytać za odbicie sielankowo-sentymentalnych wzorów ówczesnych, aniżeli za rysunek z rzeczywistości. Jakkolwiek bowiem śpiewy ludu litewskiego odznaczają się istotnie nadzwyczajną delikatnością uczuć i lubują się w wyrazach zdrobniałych, nigdy w nich jednak właściwość ta nie jest posunięta do tego stopnia przesady, jaką sielanka sentymentalna nam przedstawia". Tę nadmierną czułostkowość poezyi właśnie dźwięki muzyki przesłaniają doskonale, a rytm miękki i harmonia pogodna dodają uroku słowom, opromieniają je wdziękiem uczucia szczerego.

Lecz w teatrze, przy plastyce efektów, nie należy przeciągać struny. Ma to być widzenie nadzmysłowe. Dzieci zbyt długo wiszą w powietrzu, przez co wrażenie się zmniejsza, a domniemana matka zbyt wyraziście gestykuluje na przedzie sceny, przez co obraz symboliczny staje się melodramatem grubym. Tak czy owak, za aniołka musi śpiewać ktoś inny—sopranistka, umieszczona za sceną. Dość byłoby zatem, aby para aniołków zjawiła się na scenie w chwili, gdy jeden z nich wypowiada, iż „zbytkiem słodyczy na ziemi jesteśmy nieszczęśliwemi". A przytem należy zwrócić je do widza wprost twarzami, nie zaś bokiem; wskutek tego bowiem linie drutów, podtrzymujących je w górze, zleją się w jedną, i przez to maszynerya stanie się mniej widoczną.

I znów „ciemno wszędzie, głucho wszędzie: co to będzie, co to będzie?”. Następuje wywołanie potępieńców „z najcięższym duchem”, tych, „co do tego padołu przykuci zbrodni łańcuchem z ciałem i duszą pospołu”. Z piersi guślarza, zaklinającego duchy przez żywioł ich, „przez ognisko” wydostaje się głos napoły rzewny, napoły namiętny. Harmonia jędrna, barwna, przelewająca się w akordach pełnych z dysonansu w dysonans, podparta brzękiem instrumentów miedzianych, uwypukla dosadnie rytm melodyi, ton deklamacyi, na teraz jeszcze liryczny. Za sceną słychać krzyk rozpaczy i złości:

„Hej, kruki, sowy, orlice!
O wy, przeklęte żarłoki!
Puśćcie mnie tu pod kaplicę,
Puśćcie mnie tu na dwa kroki!“

Tłum, przerażony, zwraca się ku oknu. W orkiestrze porywa się burza. Chór wybucha okrzykiem przerażenia: „Wszelki duch!” W oknie ukazuje się upiór potworny, widmo pana okrutnego, który za życia nie znał litości. W gębie ma dym i błyskawice, oczy mu na głowę wysiadły:

„A jak suchy snop cierniowy,
Płonąc, miotłę ognia ciska:
Tak od potępieńca głowy
Z trzaskiem sypią się iskrzyska“.

Jest to kulminacyjny punkt obrazowości dramatycznej poematu i muzyki. Chór, już nie falą, ale grzmotami tonów suchych, urywanych, dziwnie ruchliwych i splątanych, wyrzuca z piersi straszne słowa wieszcza. Orkiestra to podpiera melodyę poszarpaną przodownika chóru, to przecina głos jego w ruchu synkopowym akordami dopełniającymi, to uwypukla akcenty zgrzytem instrumentów miedzianych, to dodaje obrazowi grozy poświstem gam i biegników przygodnych pod smyczkami skrzypków. Instrumentacyi zbywa na tej sile brzmienia i charakterystyki dosadnej, z jaką Beethoven, Berlioz, Wagner, Brahms wypowiadali swoje namiętności i porywy niepohamowane ducha. Moniuszko z natury swojej był lirykiem, któremu ogień namiętności w sercu gasiła łza rzewna melancholii słodkiej: uczucie wyzwalało się chętniej i łatwiej w aryach płynnych i w pieśniach tkliwych, niż w akcentach dojmujących i przykrych dramatu wewnętrznego. Mimo to czuć tu obraz burzy, rozkiełznanej w ruchu. Przyczynia się do tego jednak więcej cha-

rakterystyka rytmiczna głosów chóralnych, niż koloryt obrazowo-dramatyczny instrumentacyi. Zresztą ustęp ten trwa krótko i stanowi tylko odsadę dekoratywną aryi upiora.

Jest to prawdziwa arya, jakkolwiek motyw jej główny, powracający miarowo co pewien czas, niby znamię charakterystyczne uczucia, wije się dokoła trzech dźwięków. Z piersi potępieńca porywa się okrzyk: „Dzieci, nie znacież mnie dzieci?....” Okrzyk ten, ten wyraz błagania i zarazem rozpaczy Moniuszko oparł na górnej skali głosu basowego. Trudno wyrazić słowami, jak ten frazes muzyczny, wirujący dokoła jednego tonu dysonującego a mimo to zatoczony szeroko, odrzyna się wyraźnie od całokształtu efektów harmonicznych i instrumentacyjnych i wraża się w duszę słuchacza siłą skupioną dźwięków, wyrazemześrodkowanym namiętności. On to nadaje charakter całej aryi, prowadzonej w wybuchach dramatycznych, w wykrzyknikach gniewnych, w akcentach gwałtownych, którymi pierś potępieńca oddycha. Dusza, przejęta nawskroś bólem, rozpaczą, „męką, której niemasz końca”, nie może śpiewać melodyi płynnych. To też arya upiora jest naprzemian to zgrzytem rozpaczy, to krzykiem cierpienia, to jękiem błagania. Orkiestra burzy się i huczy, harmonia melodyę, i tak już poszarpaną, wyprowadza z równowagi ruchem synkopowym, akcentującym zamiast mocnych słabe części taktu, a potępieniec miota się okropnie w walce beznadziejnej z rozpaczą. Zjawia się zgłodniałe a żarłoczne ptactwo.

„Nie znałeś litości, panie!...
Hej sowy, puhacze, kruki!
I my nie znajmy litości.

W orkiestrze rozpoczyna się taniec piekielny, dziki, szorstki w brzmieniu, rozwichrzony w rysunku melodyi, postrzępiony w rytmie skocznym, a podrywanym na jednej nucie, jednostajny w harmonizacyi, wrzaskliwy w instrumentacyi i tak rozpędzony w tempie, tak rozszalały w ruchu, iż sam, niezależnie od walki okropnej potępieńca z ptactwem 'żarłocznem, przejmowałby grozą. Czuć tu gorączkę wyobraźni, przed której oczyma przesuwają się widma dawnych poddanych, parskające śmiechem szyderstwa, ziejące nienawiścią, dyszące zemstą, „szarpiące jadło na sztuki krzywymi dzioby”, zapuszczające w ciało potępieńca szpony, dobierające się do wnętrzności! A taniec ten, ta uciecha złośliwa ptaków nocnych, wrąc szałem gorączkowym w orkiestrze, wtóruje tylko okrzykom niepohamowanym chóru za sceną, który tu występuje w roli mściciela.

Groza chwili dramatycznej jest tak świetnie wyrażona szorstkością akcentów, jednostajnością rytmów i wybuchowością gorączkową głosów, iż słuchaczowi tchu brak w piersi z przerażenia. „Niemasz, niemasz mękom końca!"

„Tak musi dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzenia Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże".

I w myśl tej sentencyi głębokiej wznosi się pod niebo chór piękny, spokojny w ruchu głosów, choć smutny w nastroju — kadencya, uzupełniająca dzieło: wyraz poddania się wyrokom niezbłaganym Opatrzności. Czuć w tem geniusz muzyka, który w sercu swojem, wrażliwem na dolę i niedolę ludzką, znalazł formę ukojenia duszy, przeciwstawiając harmonię religijnie wzniosłą pokrzykom rozwichrzonym namiętności.

Chór ten, zbudowany podobnie, jak w pierwszej scenie, brzmi jednak nieco inaczej. Lud poddaje się zrządzeniom woli Bożej, lecz jego rezygnacya tchnie odcieniem smutku. Myśl, iż potępieniec „dręczyć się będzie wiek wiekiem", zabarwia wyraz żałobą i podsuwa uczuciu nastrój posępny tonacyi minorowej w podłożu harmonii. To zestawienie szału namiętnego i rozpaczy beznadziejnej z powagą spokojną a smutną wyroku niewzruszonego nadaje całej tej scenie cechę tragedyi okropnej, zwłaszcza że i poeta i muzyk odganiają w końcu widmo tem samem zaklęciem, co i wprzódy: „A kto prośby nie posłucha: w imię Ojca, Syna, Ducha! Czy widzisz pański krzyż?... A kysz, a kysz!" I widmo znika, i w sercu słuchaczów pozostaje tylko ból nieuchwytny, wywołany nastrojem tej rezygnacyi przygnębiającej w tonie i tego zaklęcia tajemniczego, wyśpiewanego na nutę pieśni gminnej.

I znów następują praktyki zabobonne. Guślarz bierze święcone ziele na koniec laski, zapala je i przyzywa duchy pośrednie, te, co wprawdzie żyły z ludźmi pospołu, „lecz od ludzkiej wolne skazy, żyły nie nam, nie światu—jako te cząbry i ślazy: ni z nich owocu, ni kwiatu." I w głębi kaplicy, na tle ściany, zjawia się postać anielska. To Zosia, najpiękniejsza z całego sioła dziewczyna z kraśnym wiankiem na głowie, z badylkiem w ręku — „a przed nią bieży baranek, a nad nią leci motylek". Umarła, nie znając troski, ani prawdziwego szczęścia.

„Żyłam na świecie, lecz, ach, nie dla świata!
Myśl moja, nazbyt skrzydlata,
Nigdy na ziemskiej nie spoczęła błoni!
Za lekkim zefirkiem goni,
Za muszką, za kraśnym wiankiem,
Za motylkiem, za barankiem,
Ale nigdy za kochankiem.“

Obrazek to na wskroś sielankowy, scena czysto liryczna, rozkoszna w nastroju, lecz wolna od zmazy uczucia zmysłowego. Moniuszko dał jej wyraz w melodyi płynnej i rozlewnej, podpartej harmonią dźwięczną, przejrzystą, spokojną, lekko zabarwioną dysonansami przygodnymi i skromnie instrumentowaną. Czuć tu jednak, iż „po jagodach uśmiech lata, ale w oczach łza niedoli.” Jest to rozhowor naiwny pomiędzy wietrznicą a ludem, duet w rytmie jednostajnym barkaroli, która jednak, mimo wylew swobodny i łagodny uczucia, mieni się odcieniem tęsknoty, łzą jakiejś rzewności serdecznej. W całym tym ustępie przeważa ton minorowy, kiedyniekiedy tylko rozjaśniony dźwiękami tonacyi majorowej, wyrażającej wesołość, swywolę; lecz „uśmiech, co po jagodach lata”, do serca nie zstępuje. Bądź jak bądź barkarola ta to odpoczynek dla ducha. Jak poeta nie chciał pozostawić czytelników pod przygnębiającem wrażeniem ponurego obrazu życia, tak muzyk znów zagrał słuchaczom na strunie liryzmu szczerego. Zresztą jest to wstęp do piosnki Zosi, która „tu niegdyś w wiosny poranki, najpiękniejsza z tego sioła, pasając baranki, śpiewała: la, la, la, la!” Flecik w orkiestrze, niby skowronek, wdzięcznie jej do taktu przepioruje, a figuracya skrzypiec w trylach i gamach chromatycznych uzmysławia poświst „wiatru, co nią jak piórkiem pomiata.” Piosnka ta, przypominająca zarówno nastrojem, jak i budową, cudowny liryzm pieśni Mendelsohna, napawa duszę rozkoszą niewysłowioną: jest lekka, swobodna, płynna i, mimo swywolność pewną rytmu, tak mało zmysłowa, iż dźwięki jej uspasabiają raczej do marzenia, niż do miłości.

Ale bo też i Zosia latawica próżno wzywa młodzieńców, by ją pochwycili za ręce i przyciągnęli do ziemi. Choć po śmierci zapłonęła ogniem, za życia sobie nieznanym, „musi jeszcze sama jedna latać z wiatrem przez dwa roki. Dziś modlitwa nic nie zjedna.”

I znów wyraz rezygnacyi, poważny, spokojny, lecz na teraz już łagodny w nastroju, jak w scenie z aniołkami, rozbrzmiewa w głosach chóru, ogłaszającego słowa Bożego wyroku.

„Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.“

Zosia też, jak cichutko zjawiła się w kaplicy, tak cichutko odpływa w przestworza, i w sercu słuchaczów pozostaje tylko ból nieuchwytny, wywołany nastrojem rezygnacyi i tonem żałosnym zaklęcia tajemniczego na nutę pieśni gminnej: „A kto prośby nie posłucha: w imię Ojca, Syna, Ducha! Czy widzisz pański krzyż?.. A kysz, a kysz!”

„Przeszła północ, kogut pieje, skończona straszna ofiara”; Skończona?... Przebóg! Na scenie zjawia się „pasterka w żałobie” i siada na trumnie. Naprzeciw niej, z pod podłogi, która się nagle zapadła, powstaje widmo blade samobójcy. Ona się do niego uśmiecha—on wzrok dziki i zasępiony „utopił całkiem w jej oku.” Na nic zaklęcia Guślarza! Darmo prosi, darmo gromi! Nie pomaga i kropidło! Jest to obraz symboliczny miłości nieszczęsnej Gustawa-samobójcy i może Maryli-pasterki, noszącej po kimś żałobę, choć „mąż i rodzina zdrowa.” Duch zjawił się na „Dziadach” snać dla odbycia pokuty, lecz nie uczestniczy w obrzędzie. Guślarz, nie mogąc poradzić sobie z nim inaczej, rozkazuje tłumowi wyprowadzić pasterkę za kaplicę. „Przebóg, widmo kroku rusza!” I chór odpowiada: „Gdzie my z nią, on za nią wszędzie... Co to będzie, co to będzie?”

O ile w poemacie, przy czytaniu, scena ta wzrusza siłą dramatyczną, gdyż wyobraźnia na miejsce samobójcy-upiora i pasterki bezimiennej podsuwa parę poetyczną: Mickiewicza samego i jego Maryli, o tyle w dziele scenicznem traci na znaczeniu: jest zaczątkiem akcyi, niczem nie związanej z obrazami poprzednimi i zgoła nierozwiązanej. Poeta wprowadził ją, jako płód swojej wyobraźni, poza tworami fantazyi ludowej. To też rozum ludu nie znajduje rady na cierpienia tej pary, która jest symbolem miłości w duchu. Co najwyżej, można pasterkę „wziąć pod ręce i wyprowadzić za kaplicę”; lecz widmo, ten najwyższy wyraz uczucia uduchowionego, ani gusłom, ani praktykom religijnym nie ulegnie.

Moniuszko nie dotrzymał tu poecie lotu, nie zdołał wznieść się w sferę marzeń niedościgłych, w sferę fantazyi rozwianej, w kształtach i tajemniczej w wyrazie. Cała ilustracya muzyczna tego ustępu nie przemawia do duszy podniosłością nastroju, nie podnieca wyobraźni rozmachem skrzydeł. Dźwięki trzymają się zanadto niewolniczo słów. Idą prośby i groźby, idą zaklęcia i przekleństwa, a muzyka nie przeinacza się w tonie, nie nabiera plastyki odpo-

wiedniej, nie uwypukla kształtów światłocieniem, nie uzmysławia myśli harmonią szczególną, nie podznacza wyrazu akcentem subtelnym. Jedynie tylko chwila, gdy guślarz święci „straszydło" gromnicą, przejmuje dramatycznością. W orkiestrze brzmi ponuro fagot, a bęben akcentami synkopowymi niepokoi rytm głosu ludzkiego. Poza tem muzyka, a wraz z nią i scena cała dłuży się niejako słuchaczowi. Zbywa jej na efektach przeciwstawnych grozy i czułości, krzyku i uśmiechu. Ruch jest przyspieszony, *molto agitato;* głosy chóru krzyżują się z głosami orkiestry; wszyscy pracują ze zdwojoną energią, a mimo to *finał* nie drga życiem. Ale bo też harmonizacyi zbywa na różnorakości efektów, na światłocieniu akordów przeciwstawnych, na barwności, charakteryzującej odpowiednio chwilę; rytmika nuży jednostajnością układu, trwającego niezmiennie od okresu do okresu; akcenty, wybijane silnie na mocnych częściach taktu, rażą pospolitością. Dopiero zakończenie samo, będące waryantem kontrapunktycznym pierwszego chóru: „ciemno wszędzie, głucho wszędzie", wstrząsa nerwami słuchaczów. Chór ten utrzymany w tonie pienia łagodnego, przenika do duszy nie tyle siłą dźwięków, ile nastrojem tajemniczym harmonii, która tu zmiennością tonacyi i ruchliwością głosów odzwierciedla niepokój sceny. I ofiara, jak tajemniczo się zaczęła, tak też tajemniczo się kończy: „Co to będzie, co to będzie?"

Niepodobna oddać słowami wrażenia, jakie to dzieło, wybornie uscenizowane i doskonale wyreżyserowane, na słuchaczach i widzach wywiera. Potęga słowa, i tak już uwypuklona światłocieniem dźwięków, zyskuje nadto chwilami niepomiernie wskutek plastyki kształtów zewnętrznych i dosadności efektów teatralnych. To też publiczność poddaje się wrażeniu i tego arcydzieła dwoistego poezyi i muzyki słucha z namaszczeniem, z tchem zapartym w piersi. Lecz zakończenie zawodzi oczekiwanie. I nic dziwnego. Zmysł wzroku zadawala się tu kształtami widomymi aktorów, wcielających w siebie mniej więcej dobrze postaci mar, i przez to oko wyobraźni przestaje szybować w sferę złudzeń fantastycznych i myśli niedościgłych. Muzyka też, zamiast podbijać uczucie w górę harmonią niezwykłą, obniża nastrój chaotycznością dźwięków i brakiem wyrazu odpowiedniego.

Wykonanie samo, zarówno w części instrumentalnej, jak i chóralno-wokalnej — co stanowi zasługę panów: Młynarskiego, jako kapelmistrza, Chodakowskiego, jako reżysera, Maszyńskiego i Zakrzewskiego, jako nauczycieli chórów, oraz p. Korolewiczówny

(Zosia), pp. Chodakowskiego (Guślarz) i Didura (Upiór), jako solistów, a nadto panny Bogusławskiej, Waci Brzezińskiej i p. Rolanda, jako deklamatorów, — odznacza się starannością niezwykłą. Dość powiedzieć, iż wszyscy trudne partye swoje wykonywują bez pomocy suflera. Rzecz to na scenie naszej niebywała.

Lecz strona deklamacyjna — z wyjątkiem wierszyków aniołka, wypowiedzianych pod stropem kaplicy doskonale, bo spokojnie przez Wacię Brzezińską — traktowana jest powierzchownie. Śpiewacy, przyzwyczajeni do modulowania głosu na strunach napiętych, nie są władni nadać głosom plastyki odpowiedniej w warunkach zwykłych mowy. Przy wykonywaniu „Widm" na estradzie trudność tę usuwano w ten sposób, iż w danych rolach występowali osobno śpiewacy, a osobno deklamatorzy. Na scenie rzecz to niemożliwa.

A przy tem „Widma" w całości, jako dzieło sceniczne trwają zbyt długo. Moniuszko, przez uszanowanie winne geniuszowi Mickiewicza, nie poważył się zmian ani skróceń. Ale bo też pewnie nie marzył on nigdy, aby jego „Widma" przyoblekły się kiedykolwiek w szatę teatralną. Stało się przeciwnie. Lecz inne są wymagania estrady, a inne sceny. To samo, co czaruje słuchaczy w sali koncertowej, może nużyć w teatrze, gdzie słuchacz jest zarazem widzem. Przedstawienie sceniczne bez przesileń dramatu psychologicznego i bez akcyi, jest tylko szeregiem żywych obrazów, uzupełnionych słowem, a wyilustrowanych dźwiękami, jako takie, i, nie może ciągnąć się długo. „Widma" trwają pięć kwadransów, co nie wpływałoby jeszcze zbyt ujemnie na wrażenie ogólne, gdyby nie to, iż stronie deklamacyjnej zbywa na podniosłości tonu, a zakończenie grzeszy brakiem siły. Zaradzić temu łatwo, nie narażając się nawet na miano świętokaźcy.

Przedewszystkiem, co do tekstu samego, który wynosi *sześćset dwadzieścia dwa* wiersze. Wszystkie inkantacye u Mickiewicza powtarzają się nieodmiennie. Każdą myśl guślarza przejmuje chór i wypowiada ją wręcz temi samemi słowy. Jest to efekt czysto muzyczny, całkiem usprawiedliwiony w książce, gdzie chodzi o podznaczenie sztuczne wyrazu, o podniesienie nastroju dźwiękami słów, o zastąpienie muzyki rytmem głosu, powtarzaniem jednej i tej samej miary wiersza. Przy ilustracyi muzycznej efekt ten jest zbędny, gdyż muzyka rzeczywista zastępuje go w zupełności. Dość byłoby zatem, aby chór sam wypowiadał w śpiewie swe zaklęcia tajemnicze, owe słowa Bożego rozkazu, które w ustach guślarza-śpiewaka, nie wdrożonego do deklamacyi głosem naturalnym, nie

mają ani dość siły, ani dość plastyki. Piękność poematu nicby na tem nie straciła, a przez wypuszczenie powtórzeń, wynoszących *sześćdziesiąt cztery* wiersze, „Widma" trwałyby o jedną dziesiątą część część czasu krócej.

Możnaby nadto usunąć z tekstu mówionego niektóre wiersze, stanowiące część informacyjną poematu, która w dziele Mickiewicza jest niejako objaśnieniem zakulisowem rzeczy, wskazówką dla reżysera. Z chwilą, gdy poemat stał się dziełem scenicznem, objaśnienia te niekiedy są również zbędne. Przez usunięcie ich poemat nicby nie stracił na jasności, lecz tym sposobem możnaby doprowadzić do tego, iż przedstawienie trwałoby godzinę, co i tak, jak na wrażliwość nerwów, jest miarą czasu dość długą.

A teraz co do muzyki samej, która, ilustrując znakomicie charakter poematu w trzech czwartych częściach jego budowy, nie spełnia w końcu swego zadania—nie jest wyrazem tej fantazyi szczytnej, którą Mickiewicz, potrącając o strunę liryczną swego serca, roztoczył w scenie z marą nie z tego świata, nie z podań gminnych. Ustęp końcowy „Widm" Moniuszki nie odpowiada fantazyi myślowej poematu, nie podnieca wyobraźni słuchaczów, nie zadawala muzycznie: pod względem charakterystyki i wyrazu jest słabszy od poprzednich; nie wywołuje wrażenia, nie stanowi korony dzieła. Więc usunąć go?... Nie! — „Dziady" Mickiewicza to szereg obrazów w dekoracyi dramatu. „Widma" Moniuszki to szereg ilustracyi w albumie muzycznym. Nic łatwiejszego nad mechaniczne przełożenie kartek i uszeregowanie ich według natężenia barwy lub siły wyrazu. Pasterka w żałobie i widmo samobójcy zjawiają się poza obrzędem „Dziadów" i są nie na rękę guślarzowi, który, nie mogąc sobie poradzić z widmem, każe pasterkę wziąć pod ręce i wyprowadzić ją za kaplicę: „widmo idzie za nią". To samo może stać się na początku obrzędu, albo lepiej jeszcze, z uwagi na efekt przeciwstawny cienia posępnego z świątłym i jasnym, po scenie z aniołkami. Wprawdzie spaczyłoby to nieco kompozycyę poetycką „Dziadów". Serce skrwawione samobójcy jest tu wyrazem niemym uczucia, symbolem myśli czy pragnień niedościgłych, na których ranę niema leku ni rady w zakresie środków materyalnych. Słusznie też Mickiewicz, w poczuciu genialnem stopniowania myśli, symbolem tym zakończył uroczystość obrzędu zabobonnego. Lecz przez takie przemieszczenie obrazów, zwłaszcza iż po scenie wyprowadzenia „pasterki w żałobie" za kaplicę, mogłaby nastąpić uroczo-liryczna scena z Zosią-latawicą, „Widma" Moniuszki z albumu muzycznego sta-

łyby się w jednej chwili dziełem scenicznem, dramatem lirycznym, tragedyą fantastyczną z zakończeniem pełnem siły i wyrazu. Nicby już nie osłabiało wrażenia grozy, będącej kulminacyjnym punktem kompozycyi, gdyby w końcu, po szamotaniu rozpacznem potępieńca, skazanego na „pastwę głodów wiecznych”, po wrzawie piekielnej ptactwa nocnego, zatapiającego z namiętnością dziką szpony w ciało okrutnika, po słowach ludu, urągającego występkowi krwawemu, odezwał się już tylko głos rezygnacyi, tak wspaniale, tak genialnie ujętej przez Moniuszkę w formę chóru religijnego z podkładem tonacyi minorowej, harmonizacyi posępnej w nastroju. Oto wyraz niezłomności tragicznej! Niema ratunku ani w tem, ani w przyszłem życiu.

„Tak — musisz dręczyć się wiek wiekiem:
Sprawiedliwe zrządzenie Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże“.

W tej formie, jak obecnie, „Widma” wywierają wrażenie wielkie; lecz pod koniec pobudliwość nerwowa się zmniejsza: w sali czuć znużenie. I nic dziwnego, po wstrząśnieniach gwałtownych dramatu następują jeszcze dwie sceny: jedna rozrzewniająco-liryczna, druga chaotyczno-tajemnicza. Nie ulega wątpliwości, iż cała Warszawa pociągnięta urokiem dwu geniuszów szczerych: poezyi fantastycznej i muzyki natchnionej, pójdzie na przedstawienie „Widm”, i to dzieło, przeznaczone na estradę koncertową, będzie cieszyło się powodzeniem długiem w teatrze. Nie idzie jednak o to, aby Warszawa poszła na „Widma”, lecz aby na nie stale chodziła. Drobne skrócenia w tekście i przemiana mechaniczna w układzie scen przyczynić się do tego mogą znacznie. W tym jednak razie, przez cześć należną obu geniuszom sztuki narodowej, należałoby do programów dodawać tekst w niezmienionej formie i z odpowiedniem objaśnieniem, a co pewien czas nadto wystawiać „Widma” według pierwowzoru, jak to dzieje się zagranicą z arcydziełami Shakespere'a, Goethe'go, Mozart'a.

Wznowiono też na scenie Teatru Wielkiego „Zamek na Czorsztynie”, krotochwilę hr. Józefa Krasińskiego z muzyką Karola Kurpińskiego.

Jest to utwór tak naiwny w budowie scenicznej, iż niema potrzeby powtarzać jego treści, zresztą zupełnie błahej. Występują

tu: Bojomir, rycerz, powracajacy z wojny, i Wanda, córka Dobrosława, pana na Czorsztynie, która z tęsknoty za oblubieńcem, Bojomirem, dostała pomieszania zmysłów. Służebna Wandy i góral, przewodnik Bojomira, wypełniają dwa akty, zresztą krótkie, trefnowaniem wesołem, nic jednak z akcyą nie mającem wspólnego.

Kurpiński w budowie szeroko rozwiniętych aryi, w sposobie harmonizacyi prostej i instrumentacyi skromnej, trzymał się tu wzorów Mozart'a, Cimarosa'y, Rossini'ego. Jest to jakby odbicie humoru naiwnego epoki, lecz z drugiej ręki. Niemniej jednak w nastroju piosnek, w dosadności rytmów tanecznnych, w zatoczeniu zamaszystem niektórych frazesów czuć liryka swojskiego, który umie być naprzemian rzewnym i dziarskim i stara się też chwilami muzyce swojej nadać cechę narodową. Wszystkie ustępy, zarówno czułe, a raczej czułostkowe, jak i wesołe, tchną szczerością i pogodą duszy. To też i tych kwileń żałosnych, i tych żartów naiwnych i tych wreszcie porywów nie gwałtownych temperamentu słucha się ze łzą błogiego rozrzewnienia w oku, z uśmiechem wesołym na ustach. Jest w tem coś z sielanek czułostkowych Franciszka Karpińskiego, coś z „kopersztychów", zgrabną linią rysowanych a wdzięcznie, na różowo kolorowanych, w jakich ówczesna epoka malarska się lubowała.

„Zamek na Czorsztynie" był wystawiony poraz pierwszy na scenie warszawskiej w r. 1819. Niepodobna dziś tą muzyką zachwycać się bezgranicznie. Ma ona tylko wartość, jako dokument historyczny w rozwoju sztuki narodowej i jako próba nieśmiała wyodrębnienia nastroju z pod wpływu muzyki kosmopolitycznej, konwencyonalnej. Niezależnie od wielkiej aryi Bojomira, trzymanej w rytmie poloneza buńczucznego, i melodya służebny zatrąca krakowiaczkiem, i w zawodzeniu żałościwem górala czuć nutę dumki ukraińskiej, tak pokrewnej piosnkom podhalan tatrzańskich. Największe jednak wrażenie wywiera polonez charakterystyczny, zamaszysty w rytmie, płynny w melodyi, uroczysty w nastroju, a wstawiony do opery, jako przygrywka do aktu drugiego, i świetnie przez orkiestrę wykonany. Soliści, panny: Korolewiczówna i Skulska, oraz pp. Grąbczewski, Dyliński i Kawalski, ożywiają całość śpiewem w miarę możności i uzdolnień wdzięcznym i charakterystycznym. Ostatecznie i dziś jeszcze, dzięki nastrojowi pogodnemu muzyki, możnaby się bawić wesoło na „Zamku na Czorsztynie". Należałoby jednak w tym celu dorobić jaki taki ...sens do libretta-krotochwili. Rzecz zresztą nietrudna i warta zachodu, gdyż tę próbkę naiwną muzyki narodowej możnaby dawać łącznie z „Weselem w Ojcowie" lub jakim innym baletem charakterystycznie swojskim.

Pomysł łączenia „Zamku na Czorsztynie" z „Widmami" jest niewczesny. Wpływa to ujemnie na sąd o talencie Kurpińskiego i nie przygotowuje publiczności odpowiednio do obcowania z geniuszem Moniuszki. A przytem przeskok od błahostki niedorzecznej w krotochwili do fantazyi potężnej, do poezyi wybujałej w „Dziadach" jest zbyt wielki. To też, jako wstęp do „Widm", należałoby raczej dawać *Verbum nobile* w doskonałej obsadzie ról, albo lepiej jeszcze wznowić „Flisa", ten wyraz świetny pogodnego geniuszu Moniuszki, który, niewiadomo czemu, znikł naraz z widowni naszej sztuki.

Antoni Sygietyński.



KRONIKA EKONOMICZNA.

Kwestya braku węgla.—Zastosowanie prądu elektrycznego, jako siły motorycznej w rolnictwie.—Projekt kanału przez cieśninę amerykańską.—Działalność komisyi kolonizacyjnej w Wielkopolsce. — Szykany niemieckie przeciwko producentom rolniczym.

Zaledwie ustąpiła zmora utrudnionego kredytu i nastąpiła pewna równowaga na rynku pieniężnym, już znowu widnokrąg ekonomiczny zasnuwają przykre chmury — trudność w dostawie węgla i drożyzna tego chleba dla maszyn daje się we znaki przemysłowcom, tamuje rozpęd całego mechanizmu produkcyjnego. Wielki strejk górników czeskich trwa już 8 tygodni, a w Saksonii przez kilkanaście dni doszło z tejże przyczyny do chwilowego zmniejszenia liczby kursujących pociągów. Te dwa fakty, sporadyczne, bądź co bądź, spowodowały w całej Austryi, Niemczech, a nawet we Francyi, podrożenie węgla, a nawet brak zupełny materyału opałowego w niektórych miastach, względnie oddalonych od kopalni, dotkniętych zatargiem. Czeskim węglem posługują się Saksonia, Bawarya i średnio-niemieckie państwa drobne, dochodzi on nawet do Szwajcaryi. Wobec zawieszenia produkcyi Saksonia musi pokrywać niedobór z kopalń szląskich bardziej odddalonych, Bawarya z nadreńskich. O ile więc te kopalnie miały węgiel do rozporzą-

dzenia, wysłano go tam, lecz oczywiście taki kolosalny wzrost zapotrzebowania oddziałał na wzrost cen. Francya już od kilkunastu lat posługuje się węglem z nad Renu, w ten sposób więc niedobór odbił się tam i jednocześnie w Belgii. Fakt sam przez się nie miałby jeszcze tak doniosłego znaczenia. Przedsiębiorcy opłacą drożej paliwo, zyski ich zmniejszą się o jakiś ułamek procentu: mniejsza o to. Lecz fakt ten jest wskazówką, że w rzeczywistości produkcya węgla jest zbyt szczupłą, aby zaspokoić ogólne wymagania produkcyi: skoro jedno lokalne wstrząśnienie jest w stanie wywołać takie skutki, mamy dowód, że pomiędzy podażą a popytem istnieje bardzo poważny dysonans. A dalej jeszcze: ten eksperyment pouczy właścicieli kopalń o potędze nadmiernej, jaką posiadają. Bezrobocie, tak czy inaczej, zostanie zażegnane, lecz wielkie syndykaty węglowe nie omieszkają podnieść cen na węgiel stale, i z głosów prasy sądzić można, że plan taki rzeczywiście istnieje. Wobec takiego stanu rzeczy zradza się kwestya, czy społeczeństwa nie odwołają się z konieczności do interwencyi państwa. Boć potworne jest położenie, skoro grupa monopolistów może nakładać dowolny haracz na całą produkcyę społeczną. Interwencya ta może przybrać formę urzędowego naznaczenia ceny maksymalnej, jak to ma miejsce co do sprzedaży węgla w Warszawie. Lecz takie załatwienie kwestyi nie nadaje się już tam, gdzie chodzi o regulacyę cen w całem państwie, a nawet w stosunkach międzypaństwowych. Wobec tego projekty upaństwowienia tej najważniejszej gałęzi produkcyi nabierają bardzo poważnego znaczenia. Oczywiście trudności są olbrzymie, lecz z drugiej strony takie rozwiązanie kwestyi jedynie daje rękojmię, że, po pierwsze, zostanie położona tama nieregularnej, rabunkowej gospodarce, która i dziś jeszcze powoduje kolosalne straty, gdyż miliony pudów „czarnych dyamentów” giną bezpowrotnie; powtóre, zapobiegnie się wstrząśnieniom takim, na jakie patrzymy, z powodu zatargu pomiędzy pracą a kapitałem; po trzecie, zniknie obawa nagłych zamachów na całe społeczeństwo ze strony gromady przedsiębiorców, liczących się li tylko z „konjunkturą” dalekich od wszelkich „sentymentalnych” względów na dobro społeczne.

Oczywiście tego rodzaju głęboko sięgające reformy nie urzeczywistniają się z dnia na dzień, i lata upłyną, zanim opinia publiczna pogodzi się tylko z myślą samą, lecz sądzimy, że taki krok jest nieuniknionym, gdyż chodzi o — być albo nie być dla całej produkcyi. Tymczasem wszakże zagranicznemu społeczeństwu bieży na pomoc — elektrotechnik! Siła prądu elektrycznego nie uwolni nas od samowoli monopolistów węglowych, gdyż motor elektryczny w prze-

ważającej ilości wypadków musi być wprowadzony w ruch „staroświecką" siłą pary. Jednakże z jednej strony siła motoryczna słońca, zamknięta w węglu, zostaje spotęgowaną przez nową siłę, a powtóre, w znacznej części mamy możność wyzyskania jeszcze bardziej starożytnej siły — spadku wody; tem samem więc zmniejsza się rola węgla, jako głównego czynnika przy wytwarzaniu siły motorycznej.

To też chcemy podzielić się z czytelnikami wiązanką faktów, świadczących o coraz bardziej rozpowszechniającem się użyciu sił elektrycznych, i to w najbardziej konserwatywnej dziedzinie produkcyi — w rolnictwie. Pominąwszy już Szwajcaryę, gdzie strumienie górskie same wzywają do zakładania turbin i przenoszenia energii, w ten sposób zdobytej, i Amerykę, ojczyznę Edissona, gdzie ferma elektryczna jest dosyć rozpowszechnionem zjawiskiem, zastosowanie motorów elektrycznych rozpowszechnia się w rolnictwie niemieckiem i wielkopolskiem. W Brandenburgu i na Pomorzu istnieje już kilkadziesiąt gospodarstw rolniczych, które posługują się światłem lamp żarowych i używają motoru elektrycznego dla wprawienia w ruch młockarń, sieczkarń, pługów. Po większej części są to gospodarstwa wielkie, lecz w ostatnich latach spółki włościańskie przystąpiły do budowy stacyi centralnych, posiłkujących się siłą prądu wodnego, a z tych stacyi prąd elektryczny zostaje przeprowadzony do zagród włościańskich. Taką stacyę budują np. obecnie w Bawaryi, w okręgu Ochsenfurth (dolna Frankonia). Turbina o sile 50 koni i motor elektryczny o sile 100 koni wprawiają w ruch dynamo-maszynę, a ta wprawia w ruch maszyny w siedmiu wioskach. Że ulice są oświetlone elektrycznie i dziewki doją krowy przy blasku lampek żarowych, rozumie się samo przez się. Podobną stacyę zamierzono też założyć w Wielkopolsce, w okręgu Szamotulskim. Stacya ma dostarczyć siły motorycznej na obszarze o średnicy 25 kilometrów. Dla tej ostatniej stacyi zakomunikować możemy kilka danych co do kosztów: założenie stacyi centralnej i przewodników obliczono na 5,330,000 marek. Od tej sumy stowarzyszenie obywateli ziemskich gwarantuje zakładowi elektrotechnicznemu, który podjął się budowy, 6% zysku; w razie, gdyby zyski były wyższe, zakład wypłaca nadwyżkę stowarzyszonym. Dotąd zapisano 67,000 morgów gruntu do zorania elektrycznymi pługami; orka na tym obszarze musi być ukoń-

czoną w terminie 120 dni, i to w czasie pomiędzy 15 czerwca a 1 grudnia; jeżeli właściciele ziemscy będą mogli przedłużyć ten termin, tak, że orka uskuteczni się w 150 dni, to kapitał zakładowy zmniejszy się o ½ miliona marek. Opłata za zoranie jednego hektara wynosi 20, 22 i 24 marek stosownie do rodzaju gruntu. Jakież wspaniałe perspektywy co do podniesienia kultury rolniczej stają przed oczyma wobec tego nowego przełomu w technice!

Sprawa kanału panamskiego zdawała się pogrzebaną na zawsze w morzu błota skandalicznego procesu. Miliony drobnych oszczędności zginęły rzeczywiście w przepaścistych kieszeniach zgrai aferzystów, i, dopóki zmora stagnacyi przemysłowej ciążyła nad światem wspomnienie tej sprawy budziło tylko gorycz. Lecz oto zaświtała nowa era rozwoju, i olbrzymi projekt nabiera form określonych; nie ulega kwestyi, że cieśnina amerykańska zostanie przekopaną. Obecnie nawet mamy do czynienia z dwoma projektami. Z jednej strony utworzyło się nowe konsorcyum, które zakupiło maszyny dawnego towarzystwa panamskiego, przeistoczyło nieco plany genialnego Lessepsa i stara się o ufinansowanie nowego przedsiębiorstwa. Ten plan wszakże nie ma obecnie prawie żadnych szans powodzenia, gdyż rząd Stanów Zjednoczonych odmówił poparcia. Rzeczpospolita bowiem już oddawna kazała wypracować projekt kanału, który przecinałby cieśninę na terytoryum rzeczpospolitej Nikaragua. Kanał brałby tedy początek nad morzem Karaibskiem w pobliżu miasteczka Greytown, nieco na północ od ujścia rzeki San Juan i kończyłby się u brzegów Oceanu Spokojnego w pobliżu miasta Brito (San Juan del Sur). Długość wynosiłaby 273 kilometry, lecz koryto rzeki San Juan, jezioro Nikaragua i kilka pomniejszych jezior ułatwiają pracę, tak, że przekopać w zupełności wypadnie tylko 46 kilometrów. Szluz wypadłoby wybudować tylko sześć, które służyłyby do przezwyciężenia różnicy w poziomie 33,5 metrów. Czas przeprawy okrętów obliczono na 30 godzin przy szybkości przeciętnej 9 kilometrów na godzinę; koszta zaś obliczono na 125 milionów dolarów. Ta ostatnia suma przy ścisłej rewizyi prawdopodobnie okaże się za małą, a są nawet inżynierowie, którzy twierdzą, że zbyt optymistyczni Yankesi omylili się o 100%. Lecz to nie stanowiłoby zapory. Wypadłoby chyba zwątpić w rozum ludzki, jeżeli na budowę okrętów pancernych każde z państw ma do rozporządzenia miliardy, a nie znalazłoby ich na budowę kanału, który przyniesie

zyski olbrzymie. Że zyski dla Ameryki samej są olbrzymie, tego wyjaśniać nawet nie potrzeba. Droga z New-Yorku do zachodnich wybrzeży i droga z San-Francisco do wschodnich wybrzeży zostaje skróconą o połowę. Lecz i w komunikacyi z Europą skraca się droga znakomicie. Np. z Liverpool do San-Francisco droga dokoła przylądka Horn wynosi 13,719 mil angielskich, po przekopaniu kanału wynosiłaby 7,759 mil; droga z tegoż portu do Valparaiso wynosi obecnie 10,167 mil, przez kanał wynosiłaby 7,349.

Oczywistą jest rzeczą, że w pierwszym rzędzie korzyści z tego dzieła spłynęłyby na Stany Zjednoczone. Bogate, lecz dotąd pod względem ekonomicznym w powijakach będące, kraje południowej Ameryki stanowią naturalny rynek zbytu dla przemysłu Stanów Zjednoczonych, i na tym rynku po przekopaniu kanału nie może już być mowy o konkurencyi Europy ze Stanami Zjednoczonymi. Więcej nawet: już dziś Stany Zjednoczone górują śród państw przemysłowych wskutek naturalnych warunków obszaru; Europa, podzielona na drobne państewka, odgraniczające się wzajemnie baryerami celnemi, jak dziwaczny anachronizm, przedstawia się wobec olbrzymiego organizmu jednolitego, jakim są Stany Zjednoczone. Płody południa i północy dojrzewają na obszarze tego państwa, ma ono możność być zarazem państwem rolniczem i przemysłowem i rozporządza olbrzymimi skarbami kopalnianymi.. I otóż — ten organizm zostaje powiększonym jeszcze w dwójnasób, z przekopaniem kanału stosunki ekonomiczne pomiędzy lądem północnym a południowym zawiążą się do tego stopnia ścisłe, że muszą pociągnąć w końcu za sobą zmianę politycznego ustroju: federacya, obejmująca ustroje państwowe północnej i południowej Ameryki, jest już wtedy tylko kwestyą czasu.

W Stanach Zjednoczonych oceniono zupełnie doniosłość tej sprawy, lecz, jako punkt decydujący, postanowiono postulat, że kanał musi być własnością wyłączną Unii. Tak też głosi *bill*, wniesiony obecnie do kongresu Waszyngtońskiego. Urzeczywistnieniu tego planu staje na przeszkodzie traktat, zwany traktatem Clayton-Bulwer. Chodzi o umowę, zawartą już w roku 1850 pomiędzy Anglią a Unią, dotyczącą projektowanego już wówczas kanału pomiędzy oceanem Spokojnym a Atlantyckim, i opiewającą, że kanał taki musi być bezwarunkowo neutralnym. Kiedy więc myśl urzeczywistnienia projektu przybrała nowe formy, wszczęto rokowania dyplomatyczne pomiędzy Londynem a Waszyngtonem celem usunięcia tego zastrzeżenia. W styczniu roku bieżącego donoszono, że rokowania te są na drodze pomyślnej i że Anglia zrzeka się

praw swoich, wynikających z owego traktatu, obecnie wszakże biuro Reutera donosi ponownie o trudnościach, jakie powstały, i prasa przypisuje wyjazd posła Stanów w Londynie na dłuższy urlop temu właśnie niepomyślnemu zwrotowi w sprawie układów. Gdyby Anglia rzeczywiście trwała w uporze co do tej sprawy, należy spodziewać się, że kanał Nikaraguański odegra poważną rolę w blizkiej kampanii wyborczej w Stanach; wtedy zatarg pomiędzy „królową mórz" a młodym olbrzymem amerykańskim mógłby przybrać bardzo ostre formy, gdyż politycy Unii, zarówno demokraci, jak liberałowie, będą musieli zaangażować się bardzo w tej sprawie.

Pruskiemu sejmowi złożono niedawno sprawozdanie z działalności komisyi kolonizacyjnej za rok 1899. Z przyjemnością możemy zaznaczyć, że i w tym roku ta bezecna akcya, podjęta w imię bismarkowskiego „ausrotten", wydała rezultaty bardzo niepomyślne — dla inicyatorów. Zakupiono 28 dóbr ziemskich, lecz z tych tylko 4 należało dotąd do właścicieli polskiego pochodzenia. Dziś więc fundusz gadzinowy 200 milionów służy w pierwszym rzędzie do ratowania z bankructwa junkrów pruskich, osiadłych na ziemi wielkopolskiej; ekonomiczny zaś rezultat jest ten, że komisya przyczynia się do podwyższenia ceny sprzedażnej ziemi. W roku 1898 płacono przeciętnie po 774 marek, w r. 1899 po 824 marek. Skarży się też komisya gorzko, że coraz trudniej o kolonistów: Westfalia i Hanowerya przestają dostarczać ochotników zasobnych, a w innych prowincyach pruskich dotąd nie udało się pobudzić emigracyi na grunta kolonizacyjne. Rezultat to tem bardziej znamienny, że komisya nie szczędzi pieniędzy na agitacyę i nie przebiera w środkach dla urzeczywistnienia swoich zamiarów. Agenci z ramienia komisyi objeżdżają kraje niemieckie i obiecują złote góry tym, którzyby zdecydowali się porzucić lary i penaty i dać się użyć, jako materyał germanizacyjny. Wielka więc akcya, wszczęta przez „epokowego męża", zaczyna rzeczywiście przybierać formy komiczne.

Komisya od roku 1886 wydatkowała 125 milionów marek, z której to sumy poszło na zakup 130,899 hektarów, 86,700.427 marek. 40,37% obszaru zakupiono z rąk niemieckich właścicieli, 59,63% z rąk Polaków. Na gruntach zakupionych osiedlono dotąd 3,116 osadników niemieckich, a komisya oblicza, że wraz z rodzinami czyni to 22—24,000 dusz ludności niemieckiej, osiedlonej na ziemi polskiej. Obliczenie to jest bezwarunkowo zbyt wygórowane, gdyż w żadnym razie na rodzinę chłopską nie wypada 7 do 8 głów. Lecz,

przyjąwszy nawet oszacowanie takie, to jeszcze każda taka „dusza niemiecka” kosztuje nie mniej, jak 60,000 marek! Czy nie za drogo? A przytem dodać należy, że z tych kolonistów tylko część świeżo osiedliła się w Poznańskiej, gdyż 38% ogólnej liczby pochodzi właśnie z Księstwa poznańskiego i Prus Zachodnich. Charakterystyczną też jest skarga komisyi, że bardzo często włościanie niemieccy nabywają ziemię, po krótkim czasie odprzedają ją innym, a potem ponownie zgłaszają się z zamiarem zakupu gruntów kolonizacyjnych. Świadczy to o tem, że wytwarza się śród tych „kulturtregerów” typ spekulantów, którzy *à tout prix* robią interesa na funduszu gadzinowym. Polityczny charakter haniebnego planu, oczywiście, nie traci na ohydzie wskutek fiaska, jakie go spotkało.

W parlamencie rzeszy niemieckiej zachodzą fakty, które nie mogą ujść uwagi tych, którym poruczono przestrzeganie interesów handlu i rolnictwa u nas, gdyż chodzi tu o jawne naruszenie traktatu handlowego. Oddawna już obradowano w Niemczech nad ochroną zdrowia publicznego przez obostrzenie kontroli weterynaryjnej w bydłobójniach oraz wogóle nad sprzedażą materyałów spożywczych, a w pierwszej linii mięsa. Nie ulega kwestyi, że na państwie ciąży obowiązek możliwie ścisłej pod tym względem kontroli, również nie ulega kwestyi, że ten obowiązek był w Niemczech dotąd spełniany bardzo niedbale. Prawa odnośne nie są dostateczne i w dodatku są źle przestrzegane. To też raz po raz wykrywają się przestępstwa przeciw przepisom sanitarnym, i to przestępstwa, uskuteczniane bezkarnie przez długi czas. Niedawno np. wykryto, że wszyscy rzeźnicy w Gdańsku, z wyjątkiem zaledwie dziewięciu, farbowali wędliny celem nadania nadpsutemu mięsu pozoru świeżości, a przed kilku tygodniami wykryto, że w rzeźni berlińskiej istniało całe stowarzyszenie opryszków, które manipulowało w sposób następujący. Przy rzeźni urządzono aparaty specyalne, w których mięso wieprzów węgrowatych zostaje wygotowane w sposób, dający rękojmię, że zarazki zostały usunięte, i dopiero po przebyciu takiej operacyi mięso to zostaje sprzedane oczywiście po cenach zniżonych; okazało się tedy, że służba rzeźni była w konszachtach z kilkunastu rzeźnikami, którzy nabywali tę podejrzaną wieprzowinę, wywozili ją po nocy z rzeźni i sprzedawali w swoich jatkach.

Podobne więc fakty dały powód do wypracowania nowego prawa, obostrzającego kontrolę. Lecz z tego skorzystali natych-

miast agrarczycy dla przeprowadzenia swoich planów, które nic już nie mają wspólnego z ochroną zdrowia publicznego, lecz są skierowane bezpośrednio do uniemożliwienia przywozu mięsa do Niemiec celem podniesienia przez to cen na rynku miejscowym. Projekt rządowy nowego prawa poddawał mięso, przywożone z zagranicy, surowej kontroli. Ta kontrola utrudnia oczywiście handel, gdyż przewóz przez granicę byłby oczywiście dozwolony tylko na tych komorach, gdzie zostaną urządzone stacye doświadczalne, a przytem mięso miało być przewożone tylko w takiej formie, która pozwala na kontrolę. Przeciwko takim przepisom nie wiele da się powiedzieć, gdyż rzeczywiście chodzi tu o zdrowie konsumentów. Jednakże w komisyi rządowej projekt uległ doraźnym zmianom. Po pierwsze, usunięto z pod dozoru mięso zwierząt, bitych po za rzeźniami, dla domowych potrzeb. Skoro się zważy, że przez taki przepis w znacznej części uniemożliwia się kontrola, gdyż w małych miasteczkach i po wsiach mięso takie niekontrolowane, bądź co bądź, łatwo dostaje się do sprzedaży, to nasuwa się wniosek, że wnioskodawcom nie bardzo znów chodziło o stronę sanitarną. Natomiast wnieśli oni do projektu nowy paragraf, który brzmi: przywóz mięsa solonego (peklowanego) z wyłączeniem szynek, słoniny i kiszek oraz mięsa w puszkach i innych naczyniach zamkniętych, kiełbas i wogóle mięsa posiekanego, zostaje wzbroniony. Po za tem przywóz mięsa jest dozwolonym do dnia 31 grudnia 1903 roku tylko pod następującymi warunkami: świeże mięso musi być przewożone tylko w całych sztukach zabitych zwierząt; przepona brzuszna i piersiowa, wątroba serce i nerki oraz — u krów — wymiona muszą być w naturalnem połączeniu z mięsem. Mięso, w jakikolwiek sposób spreparowane, może być przywożone li tylko w takim razie, jeżeli sposób spreparowania wyklucza z natury rzeczy wszelkie niebezpieczeństwo dla zdrowia konsumentów, lub jeżeli nieszkodliwość tego mięsa może być skonstatowaną w stacyach granicznych. Od roku 1904 przywóz mięsa i produktów mięsnych, prócz szmalcu, słoniny, oleomargariny i kiszek zostaje zabroniony.

Z terminem 31 grudnia 1903 roku kończą się traktaty handlowe Niemiec z Rosyą, Stanami Zjednoczonymi etc. Od tego terminu więc projektodawcy chcą odciąć zupełnie przywóz mięsa. Już fakt, że przywóz szmalcu, słoniny i kiszek pozostaje dozwolonym, pomimo że kontrola jest tu również trudną, dowodzi, że kierowano się tu zgoła nie interesami konsumentów, lecz wyłącznie producentów, którzy pozbędą się w ten sposób konkurencyi zagranicznej. Jednakże przepisy, które mają obowiązywać do końca roku 1903 są tego

rodzaju, że faktycznie uniemożliwiają wszelki przewóz mięsa przez granice niemieckie, a to bezwarunkowo jest naruszeniem obowiązującego traktatu handlowego.

Jak powiedzieliśmy, jest to projekt, lecz projekt ten w dniu 9 marca został przyjęty w drugiem czytaniu w parlamencie. Przedstawiciele rządu w komisyi obradującej oświadczyli, że na takie naruszanie traktatów handlowych rząd pozwolić nie może. W plenum wszakże ton już był inny; minister spraw wewnętrznych. Posadowski, i kanclerz prosili o przywrócenie pierwotnego brzmienia projektu rządowego, lecz nie wypowiedzieli się decydująco za przestrzeganiem obowiązujących traktatów. Zachowanie się tych panów jest zupełnie zrozumiałe: nie wolno im teraz wzbudzać niechęci agrarczyków, inaczej przepaść może projekt cesarski powiększenia marynarki! Agrarczycy znakomicie umieją operować zasadą: „do, ut des", istnieje więc obawa, że w trzeciem czytaniu projekt zostanie przyjęty, i rząd pod groźbą frondy przeciw marynarce da sankcyę nowemu prawu.

Dotkniętym zostaje w pierwszej linii handel Stanów Zjednoczonych, które przewożą do Niemiec mięso, a głównie konserwy mięsne, rocznie na sumę przeszło 20 milionów marek. Z Rosyi przywóz mięsa do Niemiec reprezentuje sumę około 1,5 do 2 milionów marek, a mięso to pochodzi głównie z Królestwa. Przytem zważyć należy, że chodzi tu tylko o jeden z kroków nieprzyjaznych, jakich dopuszcza się rząd niemiecki względem naszego handlu produktami rolniczymi. Od lat już kilku trwają bezustanne szykany pod względem przewozu bydła i trzody chlewnej przez granicę niemiecką. Jako pretekst, podaje się oczywiście choroby zakaźne, które jakoby szerzone są przez zwierzęta, przywożone z zagranicy. Faktem natomiast jest, że te zarazy szerzą się w Niemczech głównie z powodu niedostatecznej kontroli. Dowodów na to dostarcza statystyka niemiecka: od lat kilku przewóz bydła i trzody został prawie zupełnie przerwany, a w roku 1899 faktycznie ustał; dozwolono zaledwie przewozić zwierzęta, które w pasie granicznym musiały być bite. I oto od roku 1886, odkąd prowadzi się statystyka dokładna, nigdy jeszcze zaraza racicowa nie była tak ogólną, jak w roku ubiegłym! W ostatnim kwartale roku 1898 było 9,400 gospodarstw, dotkniętych zarazą, w ostatnim kwartale roku ubiegłego — 54,000. Na Szląsku, gdzie ludność przemysłowa konsumuje znaczne ilości wieprzowiny, bardzo dotkliwie odczuto szykany, skierowane prze-

ciw dostawcom zagranicznym, i jeden z lekarzy w Bytomiu, doktór Bloch, Niemiec, a zatem świadek niepodejrzany, wykazał w broszurze, wydanej w roku 1898, całą bezzasadność zamknięcia granicy. Pisze on, co do handlu trzodą chlewną: „Faktycznie usunięto w okręgu Sosnowickim zarazę od $1\frac{1}{2}$ roku, na Górnym Szląsku trwała ona dłużej, lecz obecnie ustała zupełnie". Bloch wykazuje, że urządzenia sanitarne w Sosnowcu są wprost wzorowe: chlewy są nader czysto utrzymane, zwierzęta, przywiezione z głębi kraju, ulegają sumiennej rewizyi, podejrzane okazy zostają izolowane, a zdrowe trzymane jeszcze w pięciodniowej kwarantannie i obserwowane bacznie. Po przekroczeniu granicy weterynarze pruscy jeszcze raz robią rewizyę. Taka kontrola wystarcza najzupełniej, i, jeżeli pomimo to utrudnienia nie ustają, to najoczywiściej chodzi o inne, nie zdrowotne, cele. Zresztą dowód tego nawet jest jasnym: ponieważ bez dowozu mięsa ludność Szląska obejść się nie mogła, przepuszczają trzodę; lecz — tylko w określonej ilości, 1360 sztuk tygodniowo. Jasnem jest, że skoro można przepuścić bez obawy taką ilość, to można również przepuścić więcej. Ograniczenie to świadczy, że pod pozorem ochrony od zarazy, ze szkodą polskich producentów i ze szkodą konsumentów, niemieckim producentom daje się możność podnoszenia cen na rynku przez ograniczenie dowozu.

W Stanach Zjednoczonych odpowiedziano na szykanę niemiecką tem, że zarządzono ścisłą kontrolę sanitarną niemieckich win, piwa, wyrobów cukierniczych i zabawek (które mogą być malowane trującemi farbami), i zagrożono dalszemi represaliami, gdyby projekty agrarczyków uzyskały sankcyę prawną. Sądzimy, że zadaniem Towarzystwa popierania przemysłu i handlu byłoby zebrać niezwłocznie odpowiedni materyał dowodowy o poszkodowaniu handlu w Królestwie przez szykany niemieckie i zwrócenie się do ministeryum o interwencyę.

J. B. M.



Rozbiory i Sprawozdania.

Bolesław Koskowski. Finlandya, według zbiorowego dzieła autorów fińskich i rosyjskich, Warszawa, 1899.

Nie mieliśmy dotychczas w literaturze polskiej dzieła, powiadamiającego o przeszłości i obecnym ustroju Finlandyi. Autor zatem wpadł na szczęśliwą myśl wypełnienia owego niedostatku, przy czem posiłkował się zbiorowem dziełem, wyczerpującem wszechstronnie życie polityczne, narodowe i społeczne Finlandyi. Zastanawiając się nad warunkami geologicznemi, w jakich się znajdowała Finlandya, autor zauważył, że właśnie powyższe czynniki wywarły znaczny wpływ na ustrój społeczny ludności miejscowej, uchylając możność zaprowadzenia w wiekach średnich stosunków feodalnych i pańszczyźnianych. Feodalizm bowiem rozwijać się mógł tylko tam, gdzie praca włościan była dość owocną, aby po zaspokojeniu pierwszych potrzeb pracowników mogła pozostać pewna część dla seniora. Z drugiej strony liche grunta finlandzkie, łącznie z surowym klimatem, nie pozwalały ludności wzrastać liczebnie i podnosić się w dobrobycie. Do końca XVIII stulecia, a nawet później, ludność Finlandyi wcale się nie zwiększała, a kraj był pogrążony w głuchem, monotonnem życiu.

Dwa czynniki geograficzne wywarły wpływ na stosunkowo wielki rozwój kultury, zdobytej obecnie przez Finlandyę. Pierwszym z nich jest golfstrem, którego oddziaływanie jest tutaj, oczywiście, znacznie mniejsze, niż w Anglii lub Skandynawii, ale w każdym razie dla tego właśnie rolnictwo kwitnie tu na takich szerokościach, na jakich bardziej na wschód zaledwie może istnieć; następnie Finlandya pochylona jest ku południowi i zachodowi; w tę stronę biegną jej rzeki, tutaj wylewają się wody jej jezior. Takie położenie Finlandyi nie tylko ułatwiało wywóz produktów do przystani morskich, ale wogóle sprzyjało łączności duchowej z krajami cywilizowanymi, a w szczególności ze Szwecyą, która pierwsza założyła tu podwaliny cywilizacyi.

Finlandyę zamieszkują Finnowie i Szwedzi. Finnowie zjawili się prawdopodobnie około 800 r. po N. Chr., cofając się przed natarciem plemion słowiańskich na poprzednią ich ojczyznę, między Dźwiną Zachodnią a Wołgą. Obecnie zajmują oni prawie cały kraj, a ludność szwedzka skupiła się na wązkim pasie wzdłuż zatoki Fińskiej. Panującymi rysami charakterystycznymi Finnów są: niezwalczona, dumna, bierna siła, pokora, wytrwałość i jej odwrotna strona — upór; powolny, gruntowny, głęboki proces myślenia, stąd zwolna wybuchający, ale za to niepohamowany gniew, spokój w śmiertelnem niebezpieczeństwie, kiedy ono minęło, ostrożność, małomówność, przechodząca niekiedy w niepowstrzymany potok mowy, skłonność do wyczekiwania, odkładania, aby w następstwie śpieszyć się niepotrzebnie; oddanie się temu, co jest dawne i znane, i niechęć do nowości; poszanowanie obowiązku i prawa, ukochanie wolności, gościnność, uczciwość i głęboka dążność do prawdy wewnętrznej, ujawniająca się w szczerej, literalnej bojaźni Bożej. Finna łatwo poznać po jego skrytości, umiarkowaniu, braku nerwu towarzyskiego. Potrzeba wiele czasu, aby go rozgrzać i zdobyć sobie jego zaufanie, wtedy wszakże można liczyć na jego przyjaźń; pewien admirał mawiał: „trzeba Finna poczęstować petardą w kark, żeby go rozruszać,” i rzeczywiście jego władze duchowe potrzebują bodźca z zewnątrz, aby się rozruszać. Ktoś ogłosił o Finnach takie zdanie: w domu wylegują się na piecu, zagranicą zaś pracują za trzech. Wreszcie ogólną ich właściwością jest pociąg do baśni, piosnek, zagadek tudzież skłonność do satyry.

Zdecydowawszy się Finlandyę przyłączyć do Rosyi, Cesarz Aleksander I zwołał w 1809 r. sejm w Borgo i w tymże roku nastąpiło Najwyższe Zatwierdzenie instytucyi „Rady rządzącej” (Conseil de régence), której projekt opracowała specyalna Komisya. Do

zakresu czynności rady wchodziło wszystko, co dotyczyło głównego zarządu, sądownictwa i gospodarstwa państwowego, z wyłączeniem spraw i rzeczy, co do których decyzya według prawa należała bezpośrednio do władzy najwyższej. Lubo przez ustanowienie sejmu położona została mocna podwalina pod cały ustrój kraju, wszakże w skutek różnych okoliczności od r. 1809 nie był on zwoływany. Dopiero w 1863 r. Aleksander II zwrócił uwagę na to, że mnóstwo szczególnie ważnych i mających wpływ na rozwój kraju spraw wymaga rozpatrzenia i współdziałania posłów, w następstwie czego otworzony został sejm w Helsingsforsie. Na sejm ten obowiązani byli stawić się rycerstwo i szlachta, z zachowaniem tego, co w tym względzie postanowiono w przepisach o stanie rycerskim w 1626 r., i w dodatku z 1778 r., przedstawiciele zaś innych stanów, zgodnie z faktycznymi przepisami, dotyczącymi reprezentantów sejmowych.

W ciągu z górą 50 lat prawa zasadnicze Finlandyi, zatwierdzone przez Aleksandra I, jakkolwiek nie były zmieniane, nie miały jednak zastosowania praktycznego. Przez cały ten czas naród fiński ani razu nie skorzystał z przysługującego mu prawa udziału w prawodawstwie. Nie było w tem żadnej obrazy konstytucyi, albowiem zwołanie sejmu zależało w zupełności od woli monarchy. Zresztą, ponieważ szerokiemi były pełnomocnictwa monarchy w stosunku do gospodarstwa państwowego i zarządu finansowego, przeto prawodawstwo mogło się w znacznym stopniu rozwijać i bez udziału reprezentacyi narodowej. Ogólne potrzeby kraju zaspakajane były za pośrednictwem dochodów zwyczajnych, a kwestye bieżące regulowano na drodze prawodawstwa ekonomicznego. Od czasu zwołania w r. 1863 sejmu w Helsingsforsie i ustanowienia peryodyczności zgromadzeń poselskich dziedzina prawodawstwa ekonomicznego znacznie się zmniejszyła, wiele kwestyi, odnoszących się do niej, przekazano rozpatrywaniu stanów, wszystkie zaś uchwały, wydane przy ich udziale, otrzymały moc praw, mogących być zmienianemi jedynie na drodze prawodawczej.

Reprezentacya narodowa w Finlandyi zachowała dotychczas postać stanową. Posłowie, którzy na sejmie reprezentują naród fiński, składają się ze stanów: rycerstwa i szlachty, duchowieństwa, mieszczan i włościan; stany te są resztą dawnego ustroju społecznego szwedzkiego i obecnie nie wyrażają istotnych stosunków socyalnych w Finlandyi. Skutkiem podziału reprezentacyi na cztery stany liczne klasy obywateli finlandzkich i wiele poważnych interesów nie mają swych obrońców, prace sejmowe wloką się ociężale i nie zawsze prowadzą do pomyślnych wyników. Co najważniejsza

zaś, taki stan rzeczy nie odpowiada wymaganiom współczesnego prawa państwowego, które wymaga, aby reprezentacya powstawała z ogólnych dla wszystkich klas wyborów. Dla Finlandyi przeszedł już czas, kiedy podział stanowy ze specyalnymi interesami każdego stanu cieszył się powodzeniem i uznaniem opinii publicznej, obecnie też pojęcie stanu straciło w świadomości powszechnej wszelkie znaczenie. Ustawa sejmowa z 1869 r. rozszerzyła znacznie prawa wyborcze wszystkich stanów, z wyjątkiem szlacheckiego, który i dotąd cieszył się obszernymi przywilejami. W stanie duchownym np. prawo udziału w wyborach rozszerzono na uniwersytet i na personel pedagogiczny, w mieszczańskim na wszystkich, opłacających podatki miejskie.

Pozbawiona prawa wyborczego ludność składa się z urzędników prywatnych, mieszkających na wsi nauczycieli ludowych, służby kościelnej, rzemieślników i kupców wiejskich, drobnych dzierżawców, rybaków, służących wiejskich i miejskich, robotników fabrycznych i najemników dziennych. Reprezentacya każdego stanu na odmiennych opiera się zasadach. W stanie szlacheckim z prawa udziału w sejmie bez wyborów korzysta każdy zapisany w księdze rycerstwa. W stanie duchownym arcybiskup i biskupi zasiadają w sejmie wskutek wezwania Cesarza; pozostali wybierani zostają przez duchowieństwo po dyecyzyach, przez nauczycieli i profesorów uniwersytetu, wreszcie przez nauczycieli średnich zakładów naukowych. W stanach mieszczańskim i włościańskim wybory także różnią się, albowiem w pierwszym są bezpośrednie, w drugim odbywają się za pośrednictwem elektorów. Głosy obliczają się według jednostek dochodowych lub według stopnia opodatkowania wyborcy na cele publiczne. Ostatnimi czasy prowadzi się w Finlandyi silna agitacya na rzecz zniesienia lub przynajmniej ograniczenia wieloliczebności głosów, przypadających na jednego wyborcę. Najradykalniejsza partya broni hasła: „jeden człowiek, jeden głos," umiarkowańsza zaś żąda ograniczenia liczby głosów do dziesięciu. Skutkiem wadliwego prawa wyborczego we wszystkich sejmach Finlandyi zasiadały osoby, wybrane mniejszością mieszkańców miast. Biedniejsza ludność jest też niezadowolona, gdy widzi, że zwycięstwo na wyborach zostaje po stronie nielicznych, ale zamożniejszych przeciwników. Posłowie pobierają dostateczne i przyzwoite utrzymanie, zwykle od 12 — 20 marek na dobę, oprócz zwrotu kosztów. Osoba deputowanego jest nietykalna. Posłowie stanowi zgromadzają się na wezwanie Cesarza przynajmniej co pięć lat, ale od 1882 r. sejmy zwoływane bywają co trzy lata. Stany zwoływane

bywają przez Cesarza na sejmy nadzwyczajne. Na sejmie nadzwyczajnym rozpatrywane bywają tylko te sprawy, dla których on został wezwany, albo które są komunikowane przez Cesarza. Czas trwania posiedzeń zwykłego sejmu określono na cztery miesiące, ale może być przedłużony lub skrócony stosownie do woli Monarchy.

Punkt ciężkości prac sejmowych spoczywa w komisyach, tworzonych z równej liczby reprezentantów każdego stanu. Na każdym zwykłym sejmie w ciągu 8 dni od jego otwarcia utworzone bywa pięć komisyi: 1) prawna, 2) gospodarcza, 3) skarbowa, 4) podatków nadzwyczajnych i 5) bankowa, ta ostatnia do rewizyi banku finlandzkiego. Jednomyślna zgoda wszystkich stanów potrzebna jest tylko w razach wyjątkowych, mianowicie, kiedy chodzi o wydanie, zmianę, wyjaśnienie lub zniesienie prawa zasadniczego. Takaż uchwała potrzebna jest i przy stanowieniu podatku nadzwyczajnego. Inne sprawy wymagają uchwały trzech stanów, w przeciwnym razie dany wniosek uważa się za odrzucony. Braki organizacyi reprezentacyi narodowej niejednokrotnie zwracały na siebie uwagę sejmu. Na ostatnim sejmie pięciu członków komisyi prawniczej wyraziło żądanie udzielenia prawa wyborczego wszystkim kobietom, odpowiadającym ustanowionym przez prawo warunkom. Kobiety, zdaniem tych członków, przeszły w Finlandyi niezbędną dla działalności politycznej szkołę przygotowawczą, korzystają bowiem od roku 1865 z prawa udziału w samorządzie gminnym wiejskim, a od roku 1873 i w miejskim. Opinia ta znalazła uznanie jedynie w stanie szlacheckim. Stan duchowny, nie wypowiadając się w zasadzie przeciwko projektowi, był jednak przeciwnym wszelkim zmianom w jego własnej organizacyi.

Po konstytucyi, a raczej po ustroju reprezentacyi narodowej, rozpatrzono w następnych rozdziałach treściwie, a gruntownie, administracyę krajową, która spoczywa w ręku ministra sekretarza stanu, generał-gubernatora i Senatu Cesarskiego. Samorząd miejscowyześrodkowuje się w gminach miejskich i wiejskich. Urządzeń społecznych, ogarniających interesy większych obszarów, t. j. gubernii lub powiatów, w Finlandyi niema, lubo potrzeba ich odczuwana jest oddawna i na sejmie niejednokrotnie poruszano kwestyę organizacyi reprezentacyi gubernialnej lub powiatowej. Samorząd gminny miejski i wiejski zorganizowany został przez Cesarza Aleksandra II. Dawniej gmina wiejska w Finlandyi zlewała się z parafią. Sprawy publiczne, kościelne i świeckie, rozpatrywane były na zebraniu parafialnem, zwoływanem przez głównego pastora i zło-

żonem z właścicieli nieruchomości. Nowa organizacya udzieliła prawa uczestniczenia w zarządzie sprawami publicznemi w miastach wszystkim klasom ludności miejskiej, na wsi zaś oddzieliła sprawy świeckie od kościelnych i utworzyła gminę wiejską, terytoryalnie dostosowaną do parafii, ale posiadającą odrębne urządzenie i odrębną sferę działalności. Osobny rozdział w książce został poświęcony sądownictwu, poczem skreślono bardzo interesująco ustrój kościelny i życie religijne Finlandyi.

Bogactwo treści, jakie się w książce, poświęconej Finlandyi, znajduje, dozwala jedynie na zaznaczenie najważniejszych i najciekawszych ustępów. Odnośnie też do spraw religijnych przytoczyć należy, że od r. 1870 położenie prawne kościoła luterańskiego w Finlandyi zmieniło się gruntownie. Zasada swobody religijnej zdobyła sobie prawo obywatelstwa, i odtąd kościół finlandzki stracił charakter państwowego i stał się narodowym, t. j. tym, do jakiego należy większość narodu. W każdym razie wolność religijna istnieje tylko do pewnych granic, niema bowiem prawa porzucania jednego wyznania, nie przechodząc na inne. W niektórych wypadkach więc następowały starcia, tak np. pewien młodzieniec nie mógł być przyjęty do uniwersytetu, bo nie był chrzczony; ktoś inny musiał udać się do Danii dla wzięcia ślubu cywilnego.

Rozchody Finlandyi przedstawione są w budżecie na r. 1897 w sumie 58,274,629 marek. Z tego wydaje państwo rocznie na instytucye kształcące, oprócz wydatków na wykształcenie techniczne, około 6,560,000 marek, t. j. nieco więcej, niż 10% ogólnej sumy rozchodów. Tymczasem wydatki na wojsko wyniosły 6,423,085 m., nadzwyczajne zaś, z których najgłówniejszym był wydatek na nową broń dla wojska finlandzkiego, — 1,642,632 m. Tym sposobem ogólny wydatek na wojsko przekroczył nieco sumę 8 milionów marek, t. j. 13% ogólnej sumy. Niepodobna powziąć należytego wyobrażenia o ogólnem położeniu finansowem Finlandyi, jeżeli się nie weźmie pod uwagę środków pieniężnych miast i gmin wiejskich, które korzystają z dość dużej samodzielności i same troszczą się o pokrycie wydatków na administracyę i inne potrzeby. W miastach główne pozycye wydatków to: administracya, sądownictwo, straż ogniowa, oświata ludowa, i zdrowie publiczne. Gminy wiejskie wydatkują głównie na oświatę i na utrzymanie dróg i poczt. W ogóle autonomiczna gospodarka finansowa prowadzona jest bardzo roztropnie i umiejętnie.

Następne rozdziały przedstawiają nam przemysł i handel, rolnictwo i ludność wiejską ze wszystkimi jej podziałami i cechami

oryginalnemi. Sejm z r. 1897 przyjął projekt powyższego, chociaż nieobowiązkowego nauczania. Projekt ten oczekuje jeszcze sankcyi władzy wyższej. Mówiąc o ludności rolniczej, należy jeszcze zwrócić uwagę na środki, dążące do podniesienia rolnictwa i pracy ręcznej, i na rozszerzenie działalności kas oszczędnościowych przez zakładanie kas gminnych i pocztowych.

Dalej przedstawiono w książce zarys historyczno-społeczny Finlandyi i zwrócono uwagę na rozwijające się coraz silniej współzawodnictwo partyi fenomanów i swekomanów. Następnie dano udatny obraz życia publicznego w Finlandyi, przedstawiono rozwój prasy peryodycznej, nauki, przyczem nie zapomniano o uniwersytecie i studentach. Szkolnictwo doczekało się osobnego roździału, w którym zaznaczono, że oryginalną własność szkoły ludowej fińskiej stanowi nauczanie pracy ręcznej. Nie zapomniano także i o sztuce w Finlandyi, a ostatni roździał poświęcony został walce z alkoholizmem i opiece nad ubogimi.

Jednem słowem, książka p. Koskowskiego o Finlandyi ogarnęła wszelkie strony życia politycznego, ekonomicznego, społecznego i duchowego Finlandyi. Autor umiejętnie przedstawił przeszłość z jej oryginalnemi stanowemi naleciałościami i jeszcze oryginalniejszą teraźniejszość, która się nie da ująć w żaden szablon zachodnio-europejskich teoryi, ale na każdym kierunku życia polityczno-społecznego chce wycisnąć swe oryginalne piętno.

A. R.

Prof. Franciszek Piekosiński. Heraldyka Polska wieków średnich, Kraków 1899 r.

Rozpoczynając poważną swą pracę od przedstawienia źródeł, prof. Piekosiński poświęcił przedewszystkiem uwagę Długosza rzeczy o Klejnotach Królestwa i rycerstwa polskiego. Pomimo jednak wielkiego znaczenia, jakie ma dla heraldyki średniowiecznej praca Długosza, dopiero Antoni Zygmunt Helcel, wydając w tomie drugim starożytnych prawa polskiego pomników zapiski sądowe, dotyczące wywodu i nagany szlachectwa, odkrył jakby inny świat, jakby inne o szlachectwie bogate źródło heraldyczne. Zachęcony tem powodzeniem prof. Ulanowski odbył skrzętne poszukiwania w Krakowie i Poznaniu, gdzie zebrał przeszło 2000 zapisek, stanowiących dla heraldyki średniowiecznej nieocenioną wartość.

Równocześnie z prof. Ulanowskim robił poszukiwania zapisek sądowych w archiwach w Radomiu i Warszawie Karol Potkański i odnalazł wprawdzie tylko 105 zapisek, ale w nich zawiera się dużo materyału pierwszorzędnego dla heraldyki średniowiecznej. Przyczynki szczuplejsze, tego samego przedmiotu dotyczące, znajdują się w księcia T. Lubomirskiego „Księdze ziemi Czerskiej", Liskego „Aktach ziemskich i grodzkich", Lekszyckiego „Die aeltesten polnischen Grodbücher" i Pawińskiego „Księgach sądowych łęczyckich." Wśród tych przyczynków ważne zajmuje miejsce prof. Łaguny wydawnictwo kilkudziesięciu zapisek sądowych ziemi sieradzkiej. Ale prócz tych źródeł, dla wszystkich dostępnych, jest jeszcze świat cały materyałów, ważnych dla heraldyki średniowiecznej. Są nimi przedewszystkiem średniowieczne pieczęcie szlachty polskiej, zworniki i tablice erekcyjne kościołów średniowiecznych, płyty nagrobkowe i t. p., których śmiało można liczyć tysiące, a które w drobnej cząstce opublikowane zostały.

Przy wydaniu kilku kodeksów dyplomatycznych dokumentów polskich średniowiecznych prof. Piekosiński miał sposobność mieć w ręku kilka tysięcy oryginalnych takich dokumentów, opatrzonych średniowiecznemi pieczęciami szlachty polskiej. Prócz tego autor pilną zwracał uwagę na barwy herbów. Wiadomo bowiem, że w heraldyce równą wartość z kształtem herbu mają jego barwy, nieraz nawet barwy używają się wprost zamiast herbu. Znajomość barw herbów naszych średniowiecznych, z różnych pochodząca źródeł, będzie nam w stanie wyjaśnić, czy i u nas ów zwyczaj heraldyki zachodnio-europejskiej, formowania odmian herbowych przez zmienianie barw, był w użyciu, lub nie. Otóż co do owych barw dzieło Długosza o Klejnotach ma pierwszorzędne znaczenie. Ale najstarszym pomnikiem takim są malowidła ścienne w klasztorze po-cysterskim w Lądzie, które pochodzą z XIV wieku, a przedstawiają 19 kolorowanych herbów szlachty polskiej. Drugim pomnikiem tego rodzaju jest wydana w Augsburgu w 1883 r. Kronika soboru Konstancyjskiego Ulryka Reychenthala, w której się znajduje kilkanaście kolorowanych szlacheckich herbów, pochodzących z r. 1413. Znajduje się jeszcze w bibliotece arsenału paryskiego rękopis marszałkowskiej roli Mikołaja z Brzezia Lanckorońskiego z 1461 r. Ta rola obejmuje aż 65 kolorowanych herbów, a z początku XVI w. znajduje się jeszcze drugi rękopis w arsenale w Paryżu, który podaje blizko półtorasta kolorowanych herbów.

Przejrzawszy krytycznie i z gruntowną znajomością rzeczy źródła, autor zastanowił się nad kwestyą, czy Długosz był heraldykiem, i odpowiedź na powyższe pytanie stanowiła pierwsze zadanie naukowej pracy. Dla uwidocznienia, w jakim stosunku zostają do siebie pojedyncze znane rękopisy Klejnotów Długoszowych, dołączył autor autentyczny tekst tych Klejnotów, dodając nie tylko odmiany tekstu, w poszczególnych rękopisach zawarte, ale także i numery porządkowe, pod jakimi każdy herb w każdym rękopisie jest zawarty. Drugiem zadaniem pracy prof. Piekosińskiego było przedstawienie polskiej heraldyki średniowiecznej. Co do drugiego zadania, to sam autor tłómaczy się z dwu usterek, a mianowicie, że dał i za mało, i za dużo. Nie wciągnął bowiem do heraldyki średniowiecznej polskiej tych wszystkich znanych herbów polskich, które, z tematów runicznych pochodząc, do heraldyki polskiej średniowiecznej należą. Dla uzupełnienia wszelako heraldyki średniowiecznej autor dołączył szereg pierwotnych herbów runicznych w tej formie, w jakiej one istniały w chwili swego powstania w dobie pogańskiej.

Za wiele zaś podał autor w pracy niniejszej o tyle, o ile przekroczył rok 1506, jako powszechnie przyjęty przez naszych historyków koniec wieków średnich, i, o ile wciągnął do swej pracy znaczny poczet herbów, już z XVI, a nawet z XVII wieku pochodzących, co nie powinno było nastąpić. Tłómacząc się z tego przewinienia, o które się zresztą sam obwinił, autor oświadcza, że ograniczył się co do tych herbów z XVI i XVII wieku, które na tematach runicznych są oparte, i których pierwowzory niewątpliwie jeszcze z doby pogańskiej pochodzą, a odmiany ich, zjawiające się już w wieku XVII, łatwo z wieku XVI jeszcze pochodzić mogą, tembardziej, że formowanie się odmian herbów runicznych w samej Polsce prawdopodobnie już w pierwszej połowie wieku XIV ustało.

Praca prof. Piekosińskiego, heraldyi średniowiecznej polskiej poświęcona, jest studyum naukowem w całem znaczeniu tego słowa. Znajomość krytyczna źródeł i gruntowność w objaśnieniu ich treści nadają powyższej pracy niepospolitą powagę, tak, że wybitne zajmie ona miejsce w rzędzie tych prac, które poświęcone zostały pochodzeniu i historyi rycerstwa polskiego.

A. R.

Zenker E. V. Die Gesellschaft. I Band. Natürliche Entwicklungsgeschichte der Gesellschaft, Berlin, Reimer, 1900 (str. 232). Cena m. 5.

Autor, wykształcony publicysta wiedeński, przystępuje w niniejszem dziele do zbudowania nowego systemu socyologicznego. Zamierza on mianowicie (str. 11) „dać wykład ogólny dziejów i praw społeczeństwa ludzkiego". Takie oświadczenie znajdujemy w każdym mniej więcej podręczniku socyologii, — nic ono nam nie mówi, kto zacz jest autor, jaką nową samoistną, samorzutną wnosi cegiełkę do gmachu, który się buduje od lat kilkudziesięciu, a który — jak dowiodły tego chociażby debaty na przedostatnim kongresie socyologicznym w Paryżu — nawet u samego spodu fundamentów swoich (kwestye teoretyczne prawne, metodologia) nie jest jeszcze bynajmiej wykończony. Niema nawet dziś jeszcze widoków żadnych, aby można było w najbliższej przyszłości pewną ilość zasad najbardziej podstawowych, elementarnych uznać za „żelazny inwentarz" socyologii. A wczytując się w pokaźną ilość tomów, w których tytułach znajdujemy wyraz „socyologia", powtarzamy niejednokrotnie, zniechęceni jałowością i nienaukowością wysiłków: „quot capita, tot sensus", — ilu socyologów tyle socyologii... Oczywiście nie może być mowy o jakiejkolwiekbądź umiejętności tam, gdzie czynnik podmiotowości w tak znacznym przeważa stopniu. I, jak gdzieindziej, tak i tutaj, jedna tylko droga prowadzić może do wyjścia z zaczarowanego koła ogólników, przypuszczeń, domniemań, zarozumiałości i frazeologii: monograficzne, dokładne, ostateczne zbadanie instytucyi społecznych i nagromadzenie pewnego, wiarogodnego, sprawdzonego materyału indukcyjnego. Żadnej nie ulega wątpliwości, żeśmy już na tę drogę wstąpili. Kto kiedykolwiek miał w ręku badania amerykańskie, ogłaszane przez Instytucyę Smithona (Smithonian Institution), prace socyologów-etnografów amerykańskich Morgana, Powella, Dorsey'a, Masona i inn., albo znakomite studya Kubarego, albo prace angielskie (Fison, Houitt i inn.), niemieckie (Kohler), holenderski (Wilken) — ten wie, że z czasem dzisiejszy „beznadziejny" stan pracy naukowej w dziedzinie umiejętności społecznych zmienić się musi. Z drugiej strony wie zarówno dobrze, że ta oczekiwana, błogosławiona chwila nastąpi wtedy dopiero, kiedy materyał ostatecznie zebranym, sprawdzonym, krytycznie skomentowanym zostanie.—Rozumie, o ile się zdaje, to wszystko pan Zenker. Sądząc z ostatniego ustępu przedmowy, nie przypisuje on swej pracy, na kilka obliczonej tomów, innego znaczenia, jak

przejściowe. Materyał gromadzi się więc, napływają nowe dane, często przeczące dawnym przyjętym albo uznanym przez niektórych badaczy hypotezom. Otóż dobrze jest materyał ten tymczasowo zasegregować, w odpowiednich rubrykach ułożyć, a nawet możliwem jest szerszą publiczność w odpowiedniej formie z nim zapoznać. Skutkiem tego książka pana Zenkera ma znaczenie popularyzacyjne; nie idzie bynajmniej w zawody z wielkimi systematami socyologicznymi Spencera albo Ward'a.

Tak I tom obejmuje dwie części, zatytułowane: 1) „Składniki rozwoju społecznego", (Społeczeństwa zwierzęce, Pra-historya społeczna człowieka, Gospodarstwo pierwotne, Pokrewieństwo, Władztwo, Ustrój rodowy); 2) „Rozwój polityczny", (Stosunek wzajemny grup społecznych, zasada walki, podział pracy; powstawanie klas; pierwotne związki polityczne. Handel. Formy rozwoju politycznego. Klasy panujące. Szlachta. Kapłani. Plutokracya. Centralizacya władzy. Despotya. Republika i parlamentaryzm).

Taka jest treść dzieła w ogólnych konturach. Notatka niniejsza ma charakter bibliograficzny, a nie krytyczny, i dlatego na kilku tylko powyższych uwagach poprzestać musimy, jakkolwiek w bardzo wielu miejscach nie moglibyśmy się na poglądy autora zgodzić. — Forma zewnętrzna wykładu jest przejrzysta, bardzo lekka.

S. P—r.

Stefan Żeromski. Ludzie bezdomni, powieść, tom I i II, Warszawa, nakład Bronisława Natansona, 1900, skład główny w księgarni Jana Fiszera.

Dwa tomiki „Opowiadań" i „Utworów powieściowych" w krótkim czasie zjednały Żeromskiemu szeroką popularność w społeczeństwie, które upatruje w nim jedną z najdzielniejszych sił w gronie naszych „najmłodszych".

Popularność bez wątpienia zasłużona. W obrazkach, składających się na te dwa zbiorki, są rzeczy, nie powiem, słabsze, lecz różnorodne. Ale we wszystkich niemal panuje nastrój tak głębokiego smutku i żalu, smutku nad nędzą ludzką i żalu za nieziszczalnemi marzeniami młodości, że odrazu zwróciły uwagę czytelników na młodego autora.

Bo nie zajmująca fabuła, która w utworach Żeromskiego tak podrzędną odgrywa rolę, nie kunsztowność formy, na którą się wcale nie sili, nie plastyka postaci, które majaczą się zazwyczaj, jak

mroczne cienie, zarówno w „Opowiadaniach”, jak i w „Utworach powieściowych”, nie barwność opisów natury, chociaż w nich nasz autor celuje, ale coś zgoła innego jest owym magnesem tajemniczym, który mimowoli przykuwa serce czytelnika do utworów Żeromskiego. Tą siłą nieprzepartą jest *uczucie*, inne może nieco od tego, w imię którego nasz romantyzm podniósł chorągiew buntu przeciw wszechwładztwu praktycznego *rozumu*; z wielkich poetów naszych treścią tego uczucia współcześni pisarze najbardziej zbliżają się do Krasińskiego, który przez usta Anioła-Stróża nawoływał bohatera „Nieboskiej komedyi”, hr. Henryka: „schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich” — bo „błogosławiony pośród stworzeń, kto ma serce — on jeszcze zbawion być może”.

Zbawion? o nie! chyba potępiony, wyklęty przez wszystkich żyjących, ścigany od domu do domu, wieczny tułacz na ziemskim padole, samotny i bezdomny!

Takim jest rozpaczliwy wynik ostatniego utworu Żeromskiego, dwutomowej „powieści” p. t. „Ludzie bezdomni.” Co znaczy ów tytuł? i kto są ci „ludzie bezdomni”, skazani na dożywotnią pielgrzymkę po „tej nizkiej ziemi?” Jeden z bohaterów powieści słowami Słowackiego określa tak klątwę swego żywota:

Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był, jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu...

W tem leży napozór rozwiązanie zagadki. „Bezdomni” to ci szlachetni ideologowie, co, napróżno walcząc ze złem, padają zniechęceni, co w tem życiu egoistycznych zabiegów i trosk o chleb powszedni — dla siebie są istotami jakby z innego świata, co w swych porywach idealnych o prawdę rozbijają czoło o mur obojętności, co, głosząc miłość ku „schorzałym, zgłodniałym i rozpaczającym”, spotykają jeżeli nie brutalny opór ze strony „możnych tego świata“, to co najmniej pogardliwy uśmiech i ściągnięcie ramion, mające w najlepszym razie oznaczać: „Waryat!”

„Bezdomnym” jest w powieści dr. Judym, syn warszawskiego „motłochu”, jak mówią wzgardliwie ci, co się szczycą stanowiskiem społecznem, a za nimi powtarza i on z kłującą ironią w sercu; przypadek czy los pozwolił mu zdobyć wiedzę, której pragnie użyć na dobro cierpiącej ludzkości—daremnie; „bezdomną” jest panna Joanna, sierota, nauczycielka, która nie ma już ani jednego serca kocha-

jącego na ziemi, a której dziennik, zamykający tom I, śmiało może stanąć w jednym rzędzie z najlepszymi naszymi utworami w tym rodzaju, jak „Bez dogmatu" lub pamiętnik subjekta w „Lalce"; „bezdomnym" wreszcie ów inżynier Korzecki, który, zniechęcony ostatecznie do bezowocnych usiłowań, przesycony goryczą do ostatniej komórki mózgowej, znalazł ukojenie — w lufie pistoletu.

Ale nie na tem koniec. Ostatni utwór Żeromskiego ma pozatem głębsze i szersze znaczenie. Nie tylko Judym, nie tylko Joasia, nie tylko Korzecki należą do szeregu „bezdomnych"; imię ich legion, a liczba — tyle, co łez niedoli. To nie tylko brat Judyma, wyrobnik, fatalizmem głodu pędzony z Warszawy do Szwajcaryi, ze Szwajcaryi do Ameryki, a z Ameryki już Bóg wie dokąd; to nie tylko suchotnica w ostatnim stadyum choroby („Asperges me..."); to nie tylko robotnicy fabryczni, pracujący w zabójczych dla organizmu warunkach; nie tylko mieszkańcy zatęchłych podwórek warszawskich („W pocie czoła"), lub „czworaków" w zakładzie kąpielowym w Cisach, nad stawami, pełnymi cuchnącej wody, siejącej zarazki malaryi wśród dzieci; nie tylko górnicy w Zagłębiu, narażeni na śmierć co chwila („Glikauf!") — to całe miliony nędzarzy, oddanych na pastwę nędzy i rozpuście; bez stałego dachu nad głową, bez ciepłej strawy po całych tygodniach w ustach, zdziczeni i ogłupieni niedostatkiem,—ci najbardziej zasługują na miano „bezdomnych."

A w sposobie, w jaki Żeromski kreśli te twarde warunki życia, tyle serca, tyle wielkiego *współczucia*, płynącego z głębi *przekonania*, a że na to wszystko nic poradzić nie można — tyle bezbrzeżnego smutku, że z każdego wiersza, zda się, nie łzy, lecz krew tryska. Tę stronę twórczości widzieliśmy już w „Opowiadaniach" i „Utworach": w obrazkach: „Zmierzch", „Zapomnienie", „Niedziela", „Ananke" w pierwszym z tych zbiorków, „Promień" i „O żołnierzu tułaczu" w drugim; ale nigdzie uczucie to tak żywem i wielkiem nie przemówiło słowem.

Porównywając wogóle dawne utwory Żeromskiego z „Ludźmi bezdomnymi", dochodzimy do wniosku, że talent młodego autora zmężniał i skupił się. Można wprawdzie odnaleźć „bezdomnych" i w „Opowiadaniach" i w „Utworach": „Doktór Piotr", a zwłaszcza Raduski w „Promieniu" łudząco przypominają d-ra Judyma; Joasia przywodzi na myśl „Siłaczkę". Ale takiej jednolitości nie widzieliśmy dotąd u Żeromskiego; jeden za drugim idą obrazki, szare i dżdżyste, jak dnie jesienne, czasem smutne, jak zawodzenie wiatru, czasem straszne, jak zamieć w noc zimową. „Ta łza co z oczu

twoich spłynie...". rozdzierający serce obraz rozstania się brata Judymowego z żoną i dziećmi, „Gdzie oczy poniosą" lub końcowa „Rozdarta sosna" niezgłębionym swym smutkiem wypalają się na długo w pamięci czytelnika. Tylko „Swawolny Dyzio" swymi psimi figlami odskakuje gwałtownie od tła ogólnego, przypominając nastrojem „Karę" w „Utworach powieściowych", chociaż w mniej karykaturalnych konturach.

Potrafił również Żeromski uniknąć przykrego realizmu, który tylokrotnie wstrząsał nerwami czytelników w poprzednich utworach: ani „Tabu" ze wstrętną postacią waryata o zwierzęcych instyktach, ani „Promień" z dotkniętym nosacizną doktorem Poziemskim nie znajdą tu miejsca. To tylko, co było tam najczystszem, najszlachetniejszem, najbardziej przemawiającem do duszy, złożyło się na „Bezdomnych."

Tylko na kompozycyę wielkiej powieści Żeromski zdobyć się nie zdołał. Zauważyliśmy już w „Promieniu" ten brak organiczny, który nie pozwolił autorowi skupić się w pewnej, zamkniętej akcyi i dążyć prostą drogą, wysnutą z przesłanek logicznych. Mylnie nazwał Żeromski „Bezdomnych" powieścią; to raczej szereg obrazków, nie związanych nawet jednością bohatera, bo w wielu dr. Judym żadnej nie odgrywa roli, ale jedynie jednością tonu i tendencyi; o żadnej spoistości, architektonice, kunsztownem zadzierzgnięciu lub rozwiązaniu akcyi nie może tu być mowy; oddzielne części „Bezdomnych" to bezładnie ugrupowane plamy ciemne na obrazie „piekła dni teraźniejszych."

Przyczynia się do tego w znacznej mierze rodzaj umysłowości i talentu Żeromskiego. Niejednokrotnie robi on wrażenie człowieka w najwyższym stopniu podniecenia nerwowego, dotkniętego okrutną katastrofą lub w jej oczekiwaniu. Pragnąłby on skupić myśli na przedmiocie, najbardziej go w danej chwili obchodzącym, lecz one pierzchają mimo jego wiedzy na wszystkie strony, wyłamując się z pod surowej logiki; staje w oknie i myśli — o czemże myśli? ach! tak, ten liść zżółkły na drzewie jesiennem to właśnie *to* ten liść — rozpaczliwie trzepocze się na obnażonej gałęzi, mocuje, się z wiatrem, w męce konania konwulsyjnie wytężając włókna szypułki — spadnie, czy nie spadnie? to pytanie, na którem zebrać trzeba całą uwagę... cóż znowu! nie o liść tu chodzi; ale jak zabawnie huśta się wrona na kołysanej wiatrem gałęzi. I znowu nie *to*... nieznośnie! Ludwik XVI, jadąc na miejsce stracenia, przyglądał się mylkom ortograficznym na szyldach; Marya Antonina, jeśli wierzyć Dumasowi, w takiej samej chwili przykuła uwagę do swego

maleńkiego pieska pokojowego. Otóż takich liści zwiędłych, szyldów nieortograficznych i piesków pełno w powieściach i opowiadaniach Żeromskiego. Nagle wysuwa się jakiś szczegół trzeciorzędny z całą natarczywością natręta, rośnie, olbrzymieje w oczach, jak ów dyabeł w szklanicy Twardowskiego — i zdziwiony czytelnik pyta sam siebie, czy to *to*? czy o *to* chodzi? Czy w „Promieniu" rodzina Poziemskich, wymierająca na nosaciznę, to właśnie to? Ależ nie, *tamto* zostało na uboczu, a figlarny dyabełek przesłonił sobą to, co w samej rzeczy jest kręgosłupem akcyi. I w „Bezdomnych" mamy rażące przykłady takiego nastroju autora: np. w obrazie wnętrza kopalni węgla, kiedy autor przedstawił nam całą grozę życia w podziemiach, wśród niebezpieczeństw wybuchu gazów, zawalenia się stropu, wtem rzuca okiem na cherlawego konia, ciągnącego ponad siły wagony z węglem, i szkapa wyrasta do rozmiarów symbolu... Więc o to mu chodziło? bynajmniej, przecież to wcale nie to!

Na karb tych nierówności w sposobie tworzenia należy położyć nie rozwiązanie, lecz raczej zakończenie powieści. Judym rozstaje się ze swą ukochaną Joasią, bo, jak powiada, wskazując jej obrazy nędzy rozpaczliwej dokoła, „nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którąbym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmory. Muszę wyrzec się szczęścia. *Muszę być sam jeden* (jak bohaterowie Ibsena, których w wielu razach przypomina, np. „Wroga Ludu"). Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mnie nie trzymał!"

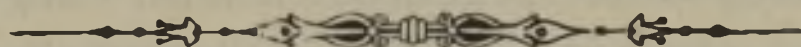
Ideowo rozumiemy wybornie intencye autora: tacy ludzie, jak dr. Judym, całe życie muszą być „bezdomni", choćby nawet założyli sobie ognisko domowe, ale *faktycznie* postępowanie jego jest niczem nie umotywowane. W podobny sposób dr. Piotr rozstawał się ze swoim starym ojcem w pierwszem „Opowiadaniu", ale ten miał wyraźnie wskazaną sobie drogę przez konieczność losu i — sumienie, dr. Judyma zaś nic nie zmuszało do takiego wallenrodyzmu, Gdyby autor postawił go w takie warunki, że stworzenie osobistego szczęścia szłoby wspak z jego ideami i z możnością urzeczywistnienia dobra ogólnego, podziwialibyśmy hart jego duszy i siłę poświęcenia.

A wreszcie, gdzież w powieści szukać „tych podłych zmor" współczesnego świata? Przedstawił je Reymont w „Ziemi obiecacanej" jaskrawie, lecz zupełnie objektywnie, jako dokumenty życiowe, bez względu na ich wartość etyczną; u Żeromskiego widzimy je więcej w odbiciu — w smutnej duszy autora, niż w rzeczywistości. I podwórza warszawskie, i fabryki, i malarya, i Zagłębie —

to wszystko jeszcze nie to. Wybitny subjektywizm — to podstawa twórczości Żeromskiego.

Ten subjektywizm okazuje się aż nadto wyraźnie w opisach natury, które zawsze dostrajają się do ogólnego tonu, jakby ta przyroda miała duszę, czułą na niedole człowieczeństwa. Ta łączność i jakby serdeczna wymiana uczuć między naturą a jej, o gorzka ironio! arcytworem potęguje niepospolite wrażenie, jakie „Ludzie bezdomni" na długo pozostawiają w sercu „czułego słuchacza."

H. Galle.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Kazimierz Wróblewski. **Bronisław Trentowski.** (1807 — 1869). Szkic biograficzny. W trzydziestą rocznicę zgonu autora „Chowanny" napisał... Lwów, nakładem Towarzystwa Wydawniczego, 1899, in 8⁰ min., str. 87. Kiedy w roku 1898 zaprowadzono w uniwersytetach austryackich seminarya filozoficzne, prof. Skórski, z którego seminaryum przytoczona rozprawa wyszła, postawił na pierwszym punkcie badania z zakresu filozofii polskiej. I oto, po pierwszym roku istnienia seminaryum, ukazuje się w druku rozprawa Wróblewskiego o Bronisławie Trentowskim. Ujrzał światło dzienne nasz filozof w Kopcach w powiecie Siedleckim 21 stycznia 1807 roku. Nauki pobierał w szkole wojewódzkiej w Łukowie, dokąd się przenieśli jego rodzice. Zamiłowanie do filologii zniewoliło go do zapisania się na wydział filologiczny uniwersytetu warszawskiego w r. 1826. Równocześnie zajmował się filozofią i teraz przeczytał Platona i Arystotelesa, Kartezyusza, Bacona i innych. Po ukończeniu nauk ze stopniem magistra został nauczycielem szkoły wydziałowej w Szczuczynie, gdzie uczył literatury polskiej, historyi polskiej i powszechnej oraz filologii klasycznej. Tutaj też dokonał przekładu „Narzeczonej z Messyny" i „Don Carlosa". Tymczasem powstanie listopadowe, w którem wziął udział, jako szeregowiec, zmusiło go do udania się na emigracyę. Udał się tedy najprzód do Królewca, gdzie słuchał w uniwersytecie wykładów Herberta, cały rok 1832/1833 przebywał w Jenie i Heidelbergu, poczem w roku 1833 — 1834 uczęszczał na prelekcye uniwersyteckie we Fryburgu badeńskim, tutaj też w r. 1836 uzyskał stopień doktora filozofii. W r. 1837 ogłosił dzieło p. t. „Grundlage der universellen Philosophie", a następnie rozprawę „de vita hominis aeterna", na podstawie której uzyskał prawo wykładania na uniwersytecie w charakterze docenta. Tymczasem widocznie w chęci pozyskania życzli-

wości Niemców wygłosił w dziele p. t. „Vorstudien" zdanie, iż czuje się duszą całą Niemcem, co oburzyło na niego cały kraj. Niebawem Trentowski zaczął pisać po polsku, artykuły zaś swoje ogłaszał licznie w pismach poznańskich, a w roku 1842 wydał obszerniejsze dzieło p. n. „Chowanna", ktore zawiera mnóstwo nowych terminów filozoficznych. W roku 1846 nawiązał Trentowski stosunki z Krasińskim, który zapewnił mu byt materyalny. Od tego też czasu oprócz dwutomowej „Myślini" ukazuje się całe mnóstwo prac Trentowskiego, traktujących bądź o filozoficznych zagadnieniach, bądź też o sprawach aktualnych, jakie zajmowały umysły emigracyi polskiej; te ostatnie nawet zaczęły przeważać. W roku 1848 Trentowski w Krakowie zaczyna wykłady treści politycznej, które niedługo trwały, bo rząd wydalił filozofa z kraju. Odtąd też zaczął prowadzić życie w kółku rodzinnem, przeniósłszy się napowrót do Fryburga. Rok 1859 przyniósł straszny cios — Krasiński, ten najżyczliwszy przyjaciel Trentowskiego, zeszedł do grobu. Ze zgonem jego zabrakło podpory materyalnej, to też Trentowski wyjechał do Paryża, ażeby wystarać się o zajęcie. Niestety zajęcia odpowiedniego nie znalazł, powrócił do Fryburga chory i znękany. Mimo to pracował jeszcze nad dziełem p.t. „Panteon wiedzy ludzkiej", które w roku 1861 wykończył, i nad rzeczą o wolnomularstwie. Tak gasł powoli, aż go śmierć zabrała 16 czerwca trzydzieści lat temu. O zgonie jego nikt się nie odezwał, w rok później dopiero napotykamy wzmiankę o nim w „Tygodniku literackim." Szkic p. Wróblewskiego ma nie tylko tę zasługę, że zebrał wszystkie znane dotąd dane o Trentowskim, które, porozrzucane po czasopismach, wymagły wiele czasu i trudów około ich odnalezienia, lecz i tę także, że wiele fałszywych dat usunął, a nadto sięgnął po materyały, dotąd nieznane, np. spis wykładów, mianych przez Trentowskiego w uniwersytecie Fryburskim. Życzyćby należało, ażeby seminarya filozoficzne uniwersytetów galicyjskich coraz więcej wydawały prac z zakresu historyi filozofii polskiej, tak sumiennych, jak ta właśnie.

Stanisław Zdziarski.

Ludwik Gumplowicz. **Socyologiczne pojmowanie historyi.** Odbitka z „Przeglądu Filozoficznego", Warszawa 1899. Str. 18 in 8⁰. Niema bodaj w rzędzie nauk tak upośledzonej, jak historya; niektórzy nawet wcale nie przyznają jej miana nauki. I nic dziwnego. To stanowisko, na jakiem się dotychczas znajdowała, a w znacznej mierze i dzisiaj się znajduje t. zw. historya, nie daje jej nawet prawa do ubiegania się o zaszczytny tytuł „nauki." — Za nielicznym wyjątkiem kilku lub kilkunastu autorów, moglibyśmy śmiało, biorąc do ręki jedną z niezliczonych książek z napisem „Historya", powiedzieć, że znajdziemy wewnątrz mniej lub więcej barwne opisy wojen, bitew; legiony imion przeróżnych królów, wodzów, bohaterów; szeregi dat i t. p. Jeśli spytamy jednak, co nam te wszystkie wiadomości dały, czyśmy się choć o krok w rozumieniu dziejów ludzkości i praw, rządzących niemi, posunęli,—odpowiedź będzie prze-

cząca. Czyż więc może *taka* historya nazywać się nauką? Chyba nie. Nauka istotna bada, odkrywa prawdy i prawa, leżące w osnowie badanych zjawisk, a nie zabawia się anegdotami w rodzaju przytoczonej przez Gumplowicza: „Amenophis był bardzo mądry człowiek i waleczny, pobił Asyryjczyków; kochał on także swój naród i kazał kopać kanały wzdłuż Nilu i t. d." Ażeby stać się nauką, musi historya wkroczyć na bardziej rzeczową drogę, sięgnąć głębiej, do jądra życia ludzkości. A taką, według Gumplowicza, może być tylko historya, pojmowana socyologicznie, t. j. taka, któraby uważała wszystkie procesy, fakty i zjawiska dziejowe za wynik „współdziałania (czyli raczej przeciwdziałania) conajmniej dwu grup społecznych", za wynik antagonizmu tych grup—i, jako takie, badała je. Mniejsza o to, co było przyczyną tego antagonizmu, wystarcza sam fakt jego istnienia. „Czy rewolucya francuska wybuchła wskutek teoryi encyklopedystów, czy była skutkiem nędzy i głodu ludu", — dość, że była. Taki punkt widzenia nie jest ani materyalistyczny, ani idealistyczny, lecz socyologiczny. Dowiódłszy, że jest on jedynie możliwy, stara się autor z niego objaśnić niektóre zjawiska społeczno-dziejowe z zupełnem powodzeniem. Dalej wykazuje przewagę tego ostatniego pojmowania historyi nad materyalistycznem, jako obszerniejszego, przyjmuje natomiast całkowicie teoryę materyalizmu dziejowego tam, gdzie chodzi o wykrycie przyczyn antagonizmu społecznego. Resztę pracy poświęca krytyce historyi idealistyczno-bohatersko-powieściowej, nie mającej nic wspólnego z nauką, jako taką. W 18 stronicach zawarł Gumplowicz wiele myśli, prawdziwych i niewątpliwie usprawiedliwionych.

W. M.

Adolf Dygasiński. **Muchy**, szkic z natury — **Sen**, fantazya, Warszawa, nakład Adolfa Szredera, skład główny w księgarni St. J. Zaleskiego i S-ki, 1900 12⁰, str. 84 + 18. Pierwsza z tych nowelek już samym tytułem budzi żywsze zainteresowanie. Dygasiński życiu zwierząt przypatrywał się z taką uwagą i bystrością i odtworzył je tak znakomicie, dał całą galeryę typów zwierzęcych: wilków, psów, zajęcy, wróbli, że i „muchy" pod jego piórem w tej galeryi powinny zająć niepoślednie miejsce. I tak się też stało. Życie, obyczaje, nałogi, stosunki z ludźmi tych sześcionożnych szkodników zostały tu odmalowane wiernie i żywo. Ale na tem treść nowelek nie ogranicza się bynajmniej. „Muchy" to nie tylko owady z rodzaju *musca*, ale także symbole, symbole trosk i ciężarów życiowych, które tak są dokuczliwe, a od których odpędzić się niepodobna. Przekonał się o tem po raz pierwszy w życiu bohater niniejszego opowiadania, Szymek Bujański, zobaczywszy, jak jego stary nauczyciel, złamany życiem i nadaremną walką z „muchami," pada pod brzemieniem melancholii. A i późniejsze życie dało mu tego dowodów niemało. Śmierć ojca, przerwa, jaka wskutek tego nastąpiła w nauce pana Szymona, kłopoty finansowe, niedobrane małżeństwo, kłótnie między świekrą a synową, które zakończyły się powrotem

„młodszej pani" do matki, wyrugowanie z rodzinnej wioski, poszukiwanie pracy na miejskim bruku bez żadnego uzdolnienia fachowego i t. d., i t. d.—to wszystko „muchy", jedna natarczywsza i nieznośniejsza od drugiej. Nie dziw więc, że pan Szymon wreszcie zapałał ku owym „trębaczom piekła" taką samą nienawiścią gorącą, jaka zdawała mu się kiedyś zupełnie niezrozumiałą u „pana profesora". Tylko tego, komu symboliczne muchy dokuczyły, muchy rzeczywiste mogą pozbawić snu i spokoju; człowiek szczęśliwy, wolny od trosk i kłopotów życiowych, nie spostrzeże nawet ich obecności i spać będzie mimo najzaciętszego bzykania. Nowelkę okrasza ton łagodnej, bynajmniej nie cierpkiej ironii, to uczucie, które pozwala człowiekowi uśmiechać się nad własną niedolą. Ta ironia jest tonem zasadniczym drugiej nowelki p. t. „Sen"; to już nie szkic z życia, lecz „fantazya", i jako taka, mniej się udała autorowi, który w bezpretensyonalnych obrazkach celuje. Bohaterowi, czy raczej autorowi, śni się, że się znajduje pod sądem, że sądzą go przyjaciele i wrogowie, skazują na śmierć; wyrok ulega niezwłocznemu wykonaniu, głowa spada pod mieczem kata. Wszystko to jednak, mimo szczerego uczucia żalu do życia i ludzi, mimo gęsto rozsianych uwag filozoficzno-życiowych, nie robi głębszego wrażenia i nikogo też wzruszyć nie zdoła.

H. G.



Bibliografia.



1. A. Czasopisma. **Architekt,** nowe pismo poświęcone sprawom architektury, budownictwa i przemysłu artystycznego, pojawi się w Krakowie z początkiem kwietnia b. r. pod redakcyą W. Ekielskiego. Miesięcznik ten wychodzić będzie staraniem krakowskiego Tow. Technicznego, obejmować będzie wszystkie sprawy, tyczące się sztuki budowania. Szereg starannie wykonanych tablic światłodrukowych da poznać dzieła naszych budowniczych, dalej dzieła tak dzielnie rozwijającego się u nas przemysłu artystycznego; wreszcie szereg zdjęć pomników budownictwa zprzeszłości zapełni dotkliwą na tem polu lukę, w artykułach zaś pomieszczone będą wiadomości z ruchu budowlanego i przemysłowo-artystycznego, a wreszcie wiadomości, odnoszące się do konserwacyi pomników przeszłości.

= **Biblioteka Warszawska** (zeszyt lutowy): A. Brueckner „Słowianie i Niemcy“, St. Tarnowski „Szujski, jako poeta“, Stan. Koszutski „Przemysł w Królestwie Polskiem: I. Tkactwo, II. Przetwory roślinne“, E. Lipnicki „Polacy-ministrowie w Austryi (od Gołuchowskiego do Gołuchowskiego“), Ant. Potocki „Wrażenia literackie: „O czującem widzeniu“ Żeromskiego“.

= W Krakowie zaczęło wychodzić pod redakcyą prof. Fr. Xawerego Fiericha **Czasopismo Prawnicze i Ekonomiczne** (prenumerata roczna wynosi bez przesyłki pocztowej 8 koron, z przesyłką 9 koron = 4 ruble = 8 marek); zeszyt 1 — 2 zawiera: prof. d-ra Fr. Zolla Sen. „O naukowem stanowisku prawa rzymskiego po zaprowadzeniu powszechnego kodeksu cywilnego w Niemczech“, prof. d-ra E. Krzy-

muskiego „Determinizm i poczytanie przestępstw w świetle najnowszych badań“, prof. d-ra Fr. Zolla Jun. „O warantach rolniczych“, prof. d-ra J. Rosenblatta „Reforma prawa prasowego“ i inn.

= **Eos,** czasopismo filologiczne, rocznik V zeszyt 2: M. Jezienicki „Kwestya platońska w świetle najnowszych badań Winc. Lutosławskiego“, A. Danysz „Teorya pedagogiczna Kwintyliana“, St. Witkowski „O uwzględnianiu archeologii klasycznej w szkołach średnich“, Aleks. Radecki „O środkach poglądowych do nauki filologii klasycznej w gimnazyum“.

= **Muzeum,** czasopismo Towarzystwa nauczycieli (Lwów), zeszyt 2 z 1900 r. E. Dworski „Reforma szkół średnich w Niemczech“, dr. K. Nitzch „Ile mamy konjugacyi w języku polskim?“, dr. J. Leciejewski „Ile mamy konjugacyi w języku polskim?“

= **Przegląd Polski** (zeszyt marcowy): Teresa z Potockich Wodzicka „Krystyna, królowa Szwedzka“, Adolf Strzelecki „Karty z życia Chopina“, dr. Józef Rostafiński „Henryk Jordan. Z powodu 30-ej rocznicy doktoryzacyi“.

= **Przegląd Powszechny** (zeszyt marcowy): ks. St. Załęski „Nawrócenie się królewicza Fryderyka Augusta 1700 — 1720“, prof. Ant. Mazanowski „Młoda Polska w powieści i poezyi“, ks. Jan Morawski „Świętych Obcowanie“, ks. S. Kobyłecki „Filozofia ¡wolnych dusz“.

= **Przewodnik Naukowy i Literacki** (luty): D. Zaleski „Korespondencya J. B. Zaleskiego“, Wojc. Dieduszycki „Historya malarstwa na Północy i w Hiszpanii“, ks. Jan Sygański „Nowy Sącz w epoce Wazów“, J. Snitka „Zarys pojęć o narodzie“, J. Horoszkiewicz „Pamiętnik o stroju narodowym Rplitej polskiej“, X. „Wojna grecko-turecka w r. 1897“, Aleks. Wybranowski „O dworach i dworkach szlacheckich“.

= **Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego** tom XXV zesz. 2, 3 i 4, (Poznań, 1900). W. Eliasz „Korony królów polskich“, J. Ogończyk „Ks. Adam Czartoryski i Józ. Twardowski, korespondencya 1822—24“, Stan. Żdziarski „Trzy listy Stef. Witwickiego“.

= **Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu** rok VI (Toruń, 1899): prof. dr. A. Karbowiak „Szkoły dyecezyi chełmińskiej w wiekach średnich“ i inn.

= **Sprawozdania komisyi do badania historyi sztuki w Polsce** tom VI, zesz. IV: H. Łopaciński „Z dziejów cechu mularskiego i kamieniarskiego w Lublinie“, Al. Jelski „O fabryce szkieł i zwierciadeł w Urzeczu na Litwie“, Wł. Łuszczkiewicz „Do historyi architektury kościołów wiejskich w Polsce średniowiecznej“, Leon Lepszy „Hermy w gabinecie archeologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego“, M. Bersohn „Kilka słów o dawniejszych bożnicach drewnianych w Polsce“, F. Kopera „Z zabytków polskich w Petersburgu“. Fr. Piekosiński „Pieczęcie polskie wieków średnich“.

= **Światowit**, tom II, 1900 (Almae Matri Jagellonicae quingentesimo anniversali MCCCC — MDCCCC): W. Szukiewicz „Kurhany całopalne w Pomusiu (pow. Trocki gub. Wil.)“, Fr. Tarczyński „Groby rzędowe kamienne w pow. Płockim“, Er. Majewski „Garncarstwo we wsiach Grabowa i Góra (w pow. Stopnickim)“, Er. Majewski „Zabytki przeddziejowe w Dziesławicach (pow. Stopnicki), Dr. Wł. Olechnowicz „Narzędzia krzemienne z okolic Chodla w pow. Lubelskim“, Er. Ma-

jewski „Ślady Wendów we Frankonii“, M. Wawrzeniecki „Zabytki przeddziejowe w pow. Miechowskim gub. Kieleckiej“, Er. Majewski „Sprawozdanie z wycieczek archeologicznych, dokonanych w latach 1898 i 1899“, M. Butrymówna „Kurhany w Pakalniszkach w pow. Poniewieskim“.

= Na posiedzeniu **Komisyi historyi sztuki** Akademii Umiejętności w Krakowie z dnia 22 lutego r. b. pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego prof. Wł. Łuszczkiewicz przedstawił wypisy z księgi wydatków, odnoszące się do artystycznych prac w kościele św. Katarzyny w Krakowie w latach 1712 — 1713, sporządzone przez ks. A. Sutora, p. Julian Pagaczewski zaś odczytał pracę o tak zw. jasełkach czyli figurkach szopek kościelnych z drugiej połowy XIV w., z w. XV i późniejsze, które odnalazł w klasztorze św. Andrzeja w Krakowie; wreszcie przewodniczący zestawił te jasełka z innemi znanemi dotychczas, zaznaczając, iż figurki z XIV w. należą do najstarszych.

B. Filozofia. **Kozłowski Wł. M.** Psychologiczne źródła niektórych zasadniczych praw przyrody (odbitka z Przeglądu Floz.), Warszawa, 1899.

C. Socyologia. **Dmowski R.** Wychodźtwo i osadnictwo, cz. I, Lwów, 1900.

D. Historya. **Album biograficzne** zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX, tom I zeszyt IX—X, Warszawa, 1900,

= **Dzieje Powszechne ilustrowane**, zeszyt 281—300, Wiedeń, 1900.

= **Kozłowski Wł. M.** Listy Kniaziewicza do Dąbrowskiego i Kościuszki. Lwów, 1899.

= **Krotoski Kazimierz** dr. Gall, scholastyk poznański, i jego kronika, Lwów, 1899.

= **Maercker H.** Geschichte der ländlichen Ortschaften und der kleineren Städte des Kreises Thorn, Lieferung II (Schriften der westpreus. Geschichtsvereins). Danzig, 1900.

= **Rembowski Aleksander.** Źródła do historyi pułku polskiego lekkokonnego gwardyi Napoleona I, Warszawa, 1900.

= **Śmigielski Walenty ks.** Wspomnienia z Kulturkampfu, 1875 — 1878, Ostrów i Gniezno, 1900.

= **Wernic Henryk**. Historya powszechna, opowiedziana i zaopatrzona pytaniami, III, czasy nowożytne, Warszawa, 1900.

E. Literatura. **Heck Korneli J. dr.** Najnowsze publikacye o Pasku tudzież o czasie powstania i częściach składowych jego Pamiętników, Kraków, 1900.

= **Lutosławski Winc.** Bańki mydlane, pogląd krytyczny na tak zwany satanizm nagich a pijanych dusz, Kraków, 1899.

= **Strzelecki Adolf.** Szekspir i Bakon, studyum, wyd. 2-gie, Lwów, 1900.

= **Wyzewa Teodor de.** Le roman contemporain à l'étranger (Ecrivains étrangeres, III), Paris, 1900.

= **Z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych.** Książka zbiorowa, poświęcona pamięci Adama Mickiewicza w stuletnią rocznicę jego urodzin, 1798—1898, Warszawa, 1900.

F. Sztuki piękne. **Borowski Józef Skarbek.** Juliusz Korsak, Kraków, 1900.

G. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Biernacki Edmund.** Chałubiński i obecne zadania lekarskie, Warszawa, 1900.

= **Lassar-Cohn dr.** Chemia życia codziennego, wyklady publiczne, przełożył M. Stępowski, z przedmową Juliana Ochorowicza, Tom I — II (Biblioteka dzieł wyborowych № 121—122), Warszawa, 1900.

= **Oltuszewski Wł. dr.** Zadanie rodziców oraz społeczeństwa względem dzieci upośledzonych (idyota, gługtak, zacofany), Warszawa, 1900.

= **W sprawie sanatoryów ludowych,** o wartości klimatu swojskiego przy leczeniu gruźlicy, Łódź, 1900.

H. Beletrystyka. **Aspiro.** W dolinie łez, powieść współczesna, (dodatek do „Gazety Polskiej"), Warszawa, 1900.

= **Bolanden von K.** Luter w drodze do narzeczonej, przełożył z niem. ks. J. Echaust, wyd. II, Warszawa, 1900.

= **Dygasiński Adolf.** Muchy, szkic z natury — Sen, fantazya, Warszawa, 1900.

= **Gąsiorowski Wacław.** Z pamiętników nowonarodzonego, wydanie II, Warszawa, 1900.

= **Gliński Kazimierz.** Krzywda, powieść, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Krasicki Ignacy.** Wybór pism, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Przybyszewski St.** Na drogach duszy, Kraków, 1900.

= **Roguski S. M. (Es—Em—Er).** Mąż i pan, opowiadanie, Warszawa, 1900.

= **Rostand Edmund.** Księżniczka zza morza, przekład Maryi Chwalibóg, Warszawa, 1900.

= **Sieroszewski Wacław.** Brzask — Puszcza Białowieska — Grecka szczelica — Dno nędzy, Warszawa — Kraków, 1900.

= **Starzeński Leopold.** Z gawęd starego myśliwca, Warszawa — Kraków, 1900.

= **Sten Jan.** Jeden miesiąc życia.—Hamlet. — Przysięgły. — Spotkanie.— W pełnem słońcu.—Pierwszy wiersz. — Trzy dusze, Kraków, 1900.

= **Tołstoj hr. L. N.** Zmartwychwstanie. powieść, w przekładzie J. A. Święcickiego, Tom I i II (Biblioteka dzieł wyborowych № 123—124), Warszawa, 1900.

= **Wędrychowski Bolesław.** Komedye wierszem, Warszawa, 1899.

I. Książki ludowe. **Dygasiński Adolf.** Kukułczę, powiastka, Warszawa, 1900.

= **Gruszecki Artur.** Stach Misiak, powiastka, nagrodzona na konkursie „Gazety Świątecznej", Warszawa, 1900.

= **Kirkor Witold.** Ciekawy Wojtek, Warszawa, 1900.

= „ „ Gawędy Bartłomieja o emigracyi, czyli wędrowaniu, Łódź, 1899.

= **Kirkor Witold.** Pisarz i nauczyciel, Łódź, 1899.

= **Żdżarska Józefa.** Lirnik wioskowy, powiastka, wydanie II, Warszawa, 1900.

J. Różne. **Rauber A.** O miłości, Warszawa, 1900.

= **Rościszewski Mieczysław.** Gry i zabawy towarzyskie, Warszawa, 1900.

= **Sprawozdanie** roczne stacyi oceny nasion w Warszawie przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, Warszawa, 1900.

= **Sprawozdanie** z czynności Towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej w Warszawie za rok 1899, Warszawa, 1900.

2. A. Filozofia. **Stange K.** Einleitung in die Ethik, I, Systeme und Kritik der ethischen Systeme, Leipzig, 1900.

B. Socyologia. **Croce B.** Materialismo storico ed economia Marxistica, Milano, 1900.

C. Historya. **Henne-am Rhyn O.** Handbuch der Kulturgeschichte in zusammenhängender und gemeinfasslicher Darstellung, 1 Lfg., Leipzig, 1900.

= **Kirkup Th.** A history of socialim, new ed., revised and enlarged, London, 1900.

= **Mater (Marshall) John Ruskin.** His life and teaching, London, 1900.

= **Sapożnikow A.** Istoriczeskoje naznaczenije Rossii, Petersburg, 1900.

D. Literatura. **Pokrowskij N.** Muzykalnaja drama, jeja niedawnieje proszłoje, sowremiennoje położenije i nadieżdy na buduszczeje, Petersburg, 1900.

= **Ruskin John.** Praeterita, outlines of scenes and thoughts, perhaps worthy of memory, in my past life, vol. 3, London, 1900.

= **Velics A. von.** Ueber die Urquellen aller Sprachen, eine Studie, Leipzig, 1900.

= **Wołynskij A. L.** Bor'ba za idiealizm, kriticzeskija statii (Dostojewskij, Sienkiewicz, Nietzsche, Strachow i dr.), Petersburg, 1900.

E. Różne. **Bubis G. M.** Sionistskoje dwiżenje pri swietle kritiki, otkrytoje piśmo k drugusionistu, Petersburg, 1900.

= **Kapnist P.** Kłassicizm, kak nieobchodimaja osnowa gimnaziczeskawo obrazowanja, II Istoriczeskij oczerk razwitja sredn. obrazowanija w Giermani., Moskwa, 1900.

= **Kłopow A. A.** K woprosu o szkolnoj reformie, słowo k roditielam, wyp. I, Petersburg, 1900.

= **Siergiejewskij N. D.** Kazuistika, sbornik sudiebnych słuczajew dla prakticzeskich zaniatij po ugołown. prawu, izd. 3, Petersburg, 1900.

—*h.*—

---

3. Przekłady z polskiego. „Syn Otieczestwa" zamieścił tłómaczenie opowiadania **Glińskiego** „Hans i Florentyna".

W ostatnich czasach opuściły prasę następujące przekłady dzieł **H. Sienkiewicza:** tom 2 i 3 czeskiego tłómaczenia „Bez dogmatu" w Pradze, „Quo vadis" w języku niemieckim (tłom. E. i R. Ettlingerowie) w Einsiedel, „Rodzina Połanieckich", przełożona na niemieckie przez wymienionych dopiero, a poprzedzona szkicem biograficzno-literackim przez K. Mutha. W Neapolu ukazał się przekład kilku nowel p. t. „Bartek il vincitore ed altre novelle".

„Biblioteka Siewiera" zapowiedziała na rok b. wydanie 12 tomów przekładów powieści **Kraszewskiego**, a mianowicie: „Książe Michał Wiśniowiecki", „Grzechy hetmańskie", „Król chłopków", „Kniazie Hołuby", „Ostatni z Siekierzyńskich", „Bracia Ramułtowie", „Dwie drogi", „Chata za wsią", „Kordecki" „Sfinks".

„Kijewskoje Słowo" zamieściło przekład noweli **E. Orzeszkowej** p. n. „Dobra pani", a „Siewier" tłóm. opowiadania **B. Prusa** p. t. „Widzenie Jakóba".

4. Udział Polaków w obcych literaturach. W Wiedniu wyszła broszura **S. Madejskiego** p. t. „Politische Betrachtungen".

P. **Kornel Jaskulski** wydał w Czerniowcach rozprawę p. n. „Ueber den Einfluss der socialen Bewegungen auf das moderne deutsche Drama, popularwissenschaftlicher Vortrag".

„Revue des deux mondes“ w zeszycie z 15 stycznia przynosi rzecz **M. T. Wyzewy** p. n. „Cent ans de littérature allemande“, a „Revue scientifique“ rozprawę p. **Kłossowskiego** p. t. „Vie physique et notre planète“.

5. Cudzoziemcy o rzeczach polskich. „Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens“, wydawane przez Grünhagena w Wrocławiu, przynosi w roczniku XXXIII następujące rozprawy, tyczące się nas, d-ra Staendera „Die Handschriften der königl. Universitätsbibliothek zu Breslau“, F. Piebatscha „Der Glogauer Erbfolgestreit“, W. Schultego „Die Nachrichten der Cisterzienser über Kloster Leubus“ i J. Jungnitza „Beiträge zur mittelalterlichen Statistik des Bisthums Breslau“.

W **Revue des Revues** z 15 stycznia znajdujemy artykuł pióra Anatola Leroy Beaulieu p. n. „L'Avenir de la Nationalité polonaise“. **Bulletin polonais** z 15 lutego zamieścił artykuł p. t. „Deux poètes français en Pologne“, **Revue encyklopédique** z 13 stycznia obszerny nekrolog Fr. Smolki pióra Ludwlka Legera.

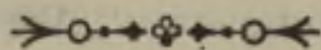
Piękne artykuły o H. Sienkiewiczu napotykamy w rzymskiej **Tribunie** z 15 stycznia i medyolańskim **H. Tempio** z 23 stycznia.

St. Zdziarski.



Wydawcy: *Wł. Spasowicz* i *St. Łaguna*.
Redaktor: *Ignacy Chrzanowski.*

OGŁOSZENIE.



Rada Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego podaje niniejszem do wiadomości publicznej, iż 1) z dn. 1 kwietnia (st. st.) upływa termin składania rozpraw konkursowych z dziedziny medycyny teoretycznej i chirurgii dla uzyskania nagrody im. Adama Chojnackiego w ilości r. 900, i że 2) od tegoż dn. 1 kwietnia wyznacza się termin dwuletni (od 1 kwietnia r. 1900 do 1 kwietnia r. 1902) nadsyłania rozpraw konkursowych z dziedziny medycyny popularnej dla uzyskania takiejż nagrody. Do współzawodnictwa dopuszczają się tylko prace oryginalne, rękopiśmienne lub drukowane. Z drukowanych mogą być dopuszczone tylko te prace, które zostały ogłoszone w ciągu 4 ostatnich lat, poprzedzających konkurs. Rozprawy mają być napisane w języku rosyjskim. Rękopisy powinny być czytelne i czyste. Prawo do nagrody przysługuje tylko poddanym rosyjskim; w żadnym razie nie może być ona rozdzielona między dwoma lub kilku autorami, Prace, przeznaczone na konkurs z dziedziny medycyny popularnej, mają być przesłane na ręce wydziału lekarskiego Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego przed 1 kwietnia 1902 r. Autorowi pozostawia się w zupełności wybór języka, w którym ma być drukowana jego praca rękopiśmienna, zaszczycona nagrodą. Nagroda będzie wypłaconą autorowi drukowanej pracy lub jego prawnym spadkobiercom w dn. 11 (24) grudnia 1902 r. po uprzedniem złożeniu w Uniwersytecie 150 egzemplarzy dla rozdania profesorom Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego i wymiany z innemi instytucyami. Jeśli zaś nagrodzoną będzie praca rękopiśmienna, wydrukowana następnie nie w języku rosyjskim, to może być ona przedstawiona Uniwersytetowi dla otrzymania nagrody, lecz nie inaczej, jak po poświadczeniu przez Wydział Lekarski zgodności i wierności tłómaczenia. Rękopis tego poświadczenia musi być przedstawiony Radzie nie później, jak w trzy miesiące po nadesłaniu pracy drukowanej. Jeśli zaś zaszczycona nagrodą praca dla jakichkolwiek bądź przyczyn nie będzie nadesłaną Uniwersytetowi w 150 egzemplarzach do dn. 11 (24) grudnia 1902 r., to w dniu tym zostanie ogłoszone w miejscowych pismach przyznanie nagrody, nagroda zaś będzie wydaną dopiero po przedstawieniu wyżej wymienionej liczby egzemplarzy.

